

# JOHN GRISHAM WEZZWANIE



ALBATROS

PODOBNO NIE BRAŁ ŁAPÓWEK. HAZARD? OWSZEM,  
CZASAMI ODWIEDZAŁ KASYNA, ALE NIE GRAŁ NA  
WIELKIE SUMY. WIĘC SKĄD TAKA KASA?!

Nieuleczalnie chory sędzia Reuben Atlee z Clanton w Missisipi, przeczuwając zbliżający się koniec, wzywa swoich dwóch synów. Ray – starszy z nich, wykładowca prawa – zjawia się w rodzinnym domu przed bratem. Ale i tak przybywa za późno – ojciec już nie żyje. Poza testamentem, który nie zawiera żadnych niespodzianek, pozostawia po sobie ukryte w pudłach pieniądze. Ponad trzy miliony dolarów! Zatajając ten fakt przed uzależnionym od narkotyków bratem, Ray stara się za wszelką cenę odkryć źródło pieniędzy. Bo przecież sędzia z prowincjonalnego miasteczka żadnym sposobem nie mógłby uczciwie tyle zarobić. Wkrótce okazuje się, że o istnieniu fortuny wie nie tylko Ray. I wtedy robi się naprawdę głośno... i gorąco!

JOHN  
GRISHAM  
WEZWANIE

Z angielskiego przełożył  
ANDRZEJ LESZCZYŃSKI

ALBATROS  
Wydanie elektroniczne

## JOHN GRISHAM

Współczesny amerykański pisarz, autor 38 powieści (w tym sześciu dla młodzieży), fabularyzowanego reportażu oraz zbioru opowiadań. Jego książki ukazują się w 50 językach, a ich łączny nakład przekroczył 300 milionów egzemplarzy. W 2011 r. otrzymał prestiżową nagrodę literacką Harper Lee.

Po twórczość Grishama chętnie sięgają filmowcy takiej miary jak Sydney Pollack, Francis Ford Coppola, Robert Altman czy Alan J. Pakula, a ekranizacje jego powieści, m.in. **Raport Pelikana** z Julią Roberts i Denzelem Washingtonem, **Firma** z Tomem Cruise'em, **Czas zabijania** z Matthew McConaugheyem, Sandrą Bullock i Kevinem Spacey czy **Zaklinacz deszczu** z Mattem Damonem, stały się megahitami.

[jgrisham.com](http://jgrisham.com)

[www.facebook.com/JohnGrisham](https://www.facebook.com/JohnGrisham)

*Tego autora w Wydawnictwie Albatros*

FIRMA  
KANCELARIA  
ZAKLINACZ DESZCZU  
KRÓL ODSZKODOWAŃ  
WIĘZIENNY PRAWNIK  
OSTATNI SPRAWIEDLIWY  
CALICO JOE  
KOMORA  
DARUJMY SOBIE TE ŚWIĘTA  
UŁASKAWIENIE  
NIEWINNY CZŁOWIEK  
RAPORT PELIKANA  
GÓRA BEZPRAWIA  
CHŁOPCY EDDIEGO  
KLIENT  
SAMOTNY WILK  
ADEPT  
WERDYKT  
DEMASKATOR  
ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH  
WEZWANIE  
WSPÓLNIK  
BAR POD KOGUTEM  
WYSPA CAMINO

**Jake Brigrance**

CZAS ZABIJANIA

CZAS ZAPŁATY

**Theodore Boone**

MŁODY PRAWNIK  
UPROWADZENIE  
OSKARŻONY  
AKTYWISTA  
ZBIEG  
AFERA

Tytuł oryginału:  
THE SUMMONS

Copyright © Belfry Holdings, Inc. 2002  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Andrzej Leszczyński 2003

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcie na okładce: © Agencja BE&W

Projekt graficzny okładki i serii: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8125-626-1

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |

[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)



# Rozdział 1

---

**P**rzyszło pocztą, zwykłym listem, ponieważ dobiegający osiemdziesiątki Sędzia nie miał zaufania do współczesnych urządzeń łączności. Nie wysyłał wiadomości pocztą elektroniczną i nie korzystał z faksu. Nie włączał automatycznej sekretarki i nawet do telefonu odnosił się z rezerwą. Zasiadał przy swoim starym biurku stojącym pod wielkim portretem Nathana Bedforda Forresta, podnosił roletę z listewek i nisko pochylony nad walizkową maszyną do pisania Underwooda, z mozołem, litera po literze, dwoma palcami wskazującymi wystukiwał wszystkie pisma. Jego dziadek walczył u boku generała Forresta pod Shiloh i później przedzierał się z nim na południe, toteż Sędzia darzył konfederackiego przywódcę najwyższym szacunkiem. Przez trzydzieści dwa lata uparcie odmawiał prowadzenia rozpraw trzynastego lipca, w dniu urodzin Forresta.

Razem z jeszcze jednym listem, prenumerowanym czasopismem i dwoma rachunkami znalazło się w skrytce pocztowej profesora Raya Atlee na wydziale prawa. Od razu rozpoznał charakterystyczną kopertę – listy od ojca, którego nigdy nie nazywał inaczej niż Sędzią, stanowiły nieodłączny element jego życia.

Profesor Atlee patrzył na nią przez chwilę, nie mogąc się zdecydować, czy powinien natychmiast otworzyć kopertę, czy na razie się z tym wstrzymać. Nigdy nie wiedział, czego spodziewać się po ojcu, ale oczekiwał raczej złych wiadomości, bo Sędzia był umierający. W cienkiej kopercie musiała się znajdować pojedyncza kartka. W tym też nie było nic niezwykłego,



ponieważ staruszek oszczędnie przelewał słowa na papier, chociaż przed laty słynął z długich i kwiecistych mów w sali rozpraw.

Na pewno chodziło o jakieś sprawy urzędowe. Sędzia brzydził się plotkami, nie znosił towarzyskich konwersacji i mówienia o niczym, zarówno w mowie, jak i na piśmie. Wypicie mrożonej herbaty na werandzie w jego towarzystwie musiało niechybnie oznaczać dyskusję na temat wojny domowej, a zwłaszcza klęski pod Shiloh, za którą winił wyłącznie generała Pierre'a G.T. Beauregarda, człowieka w wypolerowanych do połysku, nietkniętych drobiną kurzu butach. Zapewne nienawidziłby go nawet w niebie, gdyby mieli okazję się tam spotkać.

Był już bliski śmierci. Skończył siedemdziesiąt dziewięć lat i cierpiał na raka żołądka. Nałogowo palił fajkę, przeszedł trzy zawały, miał nadwagę, cukrzycę oraz całą masę dokuczających mu od dwudziestu lat drobniejszych dolegliwości, które obecnie jednoczyły siły do zadania ostatecznego ciosu. Bez przerwy uskarżał się na ból. W czasie ostatniej rozmowy telefonicznej przed trzema tygodniami – kiedy jak zwykle zadzwonił Ray, bo dla jego ojca połączenia międzymiastowe były zbędnym wydatkiem – Sędzia mówił z wysiłkiem i sprawiał wrażenie osłabionego. Rozmawiali niecałe dwie minuty.

Adres zwrotny na kopercie był wytłoczony złotymi literami: *Przewodniczący Reuben V. Atlee. XXV okręg sądowy, Sąd Kanclerski<sup>1</sup> w Clanton, hrabstwo Ford w stanie Missisipi.* Ray wsunął ją do czasopisma i poszedł dalej. Sędzia nie był już przewodniczącym sądu kanclerskiego; przed dziewięcioma laty przegrał wybory, co odebrał jako dotkliwy cios, po którym do dziś nie mógł się pozbierać. Po tym, jak przez trzydzieści dwa lata poświęcał się służbie publicznej, wybrano na jego miejsce kogoś młodszego, kto reklamował się w radiu i telewizji. Zrezygnował nawet z kampanii wyborczej, twierdząc, że ma dużo pracy, a jest powszechnie znany, więc ludzie i tak go wybiorą, jeśli będą tego chcieli. Współpracownicy uznali jego podejście za zbyt aroganckie. I zwyciężył tylko w macierzystym

hrabstwie, w pozostałych pięciu należących do okręgu wybrano innego kandydata.

Musiały minąć jeszcze trzy lata, zanim ostatecznie pożegnał się z sądem. Jego gabinet na pierwszym piętrze przetrwał pożar budynku i uniknął dwóch generalnych remontów. Sędzia nie pozwolił tam niczego tknąć ani położyć choćby jednej warstwy świeżej farby. Kiedy władzom stanowym udało się go w końcu przekonać, żeby przeszedł na emeryturę, bo inaczej zostanie usunięty siłą, spakował do kartonowych pudeł bezwartościowe akta, stosy notatek i pokryte kurzem książki gromadzone przez trzydzieści lat, zaczął je kolejno transportować do domu i ustawiać w sterty w gabinecie, a gdy zabrakło w nim miejsca, pod ścianą w korytarzu aż do drzwi jadalni, wreszcie w kątach holu wejściowego.

Ray skinął głową studentowi siedzącemu na ławce przed jego gabinetem, po czym zamienił parę słów z kolegą, wreszcie wszedł do środka, zamknął drzwi i położył pocztę na środku biurka. Zdjął marynarkę, powiesił ją na haczyku na drzwiach i przestąpił stertę opasłych kodeksów prawa, nad którą przechodził od pół roku, za każdym razem nakazując sobie zrobić porządek.

Zajmował pokój o wymiarach cztery na pięć metrów, z niewielkim biurkiem i jeszcze mniejszą kanapą, przy czym jedno i drugie było zavalone papierami, tak że goście mogli odnieść wrażenie, że gospodarz jest nadzwyczaj zajęтым człowiekiem. Prawda wyglądała inaczej. W semestrze wiosennym prowadził zajęcia tylko z prawa antytrustowego, resztę czasu powinien poświęcać na pisanie książki – kolejnej rozwlekłej i nudnej rozprawy na temat monopoli, która nikogo nie zainteresuje, za to wydatnie powiększy jego dorobek naukowy. Co prawda, miał stały etat, ale jak całe akademickie grono pedagogiczne, musiał się poddać niepisanej uczelnianej regule: „publikuj albo znikaj”.

Usiadł przy biurku i zrobił trochę miejsca między papierami.

List był zaadresowany: *Profesor N. Ray Atlee, Wydział Prawa Uniwersytetu Wirginii, Charlottesville, Wirginia*. Wewnętrzne części liter „a”, „e”, „o” tworzyły ciemne plamy. Taśmę w maszynie do pisania należało wymienić już z dziesięć lat temu. Poza tym Sędzia nie wierzył także w celowość umieszczania kodu pocztowego.

N. było skrótem od Nathana, imienia, które Ray dostał po generale, choć ledwie parę osób o tym wiedziało. Przed laty wywiązała się zacięta kłótnia, kiedy postanowił całkiem z niego zrezygnować i zostać zwykłym Rayem.

Sędzia zawsze przysyłał listy na wydział, nigdy nie na domowy adres syna w Charlottesville. Uwielbiał tytuły i dumnie brzmiące nazwy; bardzo mu zależało, aby wszyscy w Clanton, nawet pracownicy poczty, wiedzieli, że jego syn jest wykładowcą prawa, chociaż było to całkowicie zbędne. Ray pracował na wydziale i pisywał publikacje od trzynastu lat, zatem wszyscy z hrabstwa Ford, których to interesowało, wiedzieli o tym od dawna.

Rozerwał kopertę i rozłożył kartkę. W nagłówku także był wytłoczony złotymi literami dawny tytuł i nazwisko nadawcy oraz adres, również bez kodu pocztowego. Sędzia najwyraźniej dysponował olbrzymim zapasem firmowego papieru listowego i kopert.

Pismo było zaadresowane do Raya i jego młodszego brata, Forresta – jedynych owoców nieudanego małżeństwa, które zakończyło się w 1969 roku śmiercią ich matki. Jak zwykle wiadomość była lakoniczna:

Proszę, postarajcie się stawić w moim gabinecie w niedzielę, 7 maja, o godzinie 17.00, w celu omówienia spraw dotyczących zarządzania moim majątkiem.

Z poważaniem  
Reuben V. Atlee

Zwykle zamaszty podpis tym razem był dziwnie skurczony i chwiejny. Przez lata uświetniał rozmaite nakazy i wyroki, które odmieniły życie wielu ludzi. Postanowienia o rozwodzie, przyznawanie praw do opieki nad dziećmi, odbieranie praw rodzicielskich czy uznanie adopcji; decyzje rozstrzygające spory o podział spadku, wynik wyborów, granice posiadłości ziemskich albo przejęcia aktywów. Dobrze znany podpis reprezentujący autorytet był teraz ledwie rozpoznawalnym bohodem schorowanego starego człowieka.

Niemniej Ray wiedział, że musi się stawić w gabinecie ojca w wyznaczonym terminie. Jeśli nawet poczuł się zirytowany tak stanowczym wezwaniem, nie miał żadnych wątpliwości, że razem z Forrestem stanie przed majestatem Wysokiego Sądu, by wysłuchać jeszcze jednego kazania. Ojciec, jak zawsze, wybrał termin dogodny dla niego, nie troszcząc się wcale, czy odpowiada on innym.

Leżało to w naturze Sędziego, jak też, ściślej rzecz biorąc, w naturze wszystkich sędziów, wyznaczających daty przesłuchań i rozpraw bez oglądania się na cokolwiek. Takie bezkompromisowe podejście jest wskazane, a nawet konieczne w sądzie, przy zapełnionej wokandzie, wobec ociągających się pozwanych albo leniwych czy też wiecznie zabieganych adwokatów. Tyle że Sędzia tak samo traktował rodzinę i w domu rządził podobnie jak w sali rozpraw, co stało się główną przyczyną, dla której Ray wykładał prawo w Wirginii, a nie w Missisipi.

Ray jeszcze raz przeczytał lakoniczne wezwanie, po czym odłożył je na stertę dokumentów związanych z bieżącymi sprawami. Podeszedł do okna i wyjrzał na pełen zieleni i kwiatów teren kampusu. Nie czuł złości ani rozgoryczenia, był jednak rozdrażniony tym, że ojciec znów odnosi się do niego jak dyktator. Tłumaczył sobie w duchu, że jest umierający i trzeba mu to wybaczyć. Prawdopodobnie miała to być już ostatnia wyprawa do rodzinnego domu.

Majątek Sędziego otaczała mgła tajemnicy. Jego zasadniczą częścią był dom, a raczej duży dworek odziedziczony po tym dziadku, który walczył z generałem Forrestem. Gdyby stał pośród starych drzew na przedmieściach Atlanty, byłby wart ponad milion dolarów. Ale otoczony dwoma hektarami ugorów, stał na skraju Clanton, zaledwie trzysta metrów od rynku. Podłogi się zapadały, dach przeciekał, a ściany nie widziały świeżej farby od narodzin Raya. On i brat mogli za niego dostać najwyżej sto tysięcy, a nabywca musiałby wyłożyć jeszcze ze dwa razy tyle, by móc się tam wprowadzić. Bo żaden z braci na pewno nie chciałby tam mieszkać. Prawdę powiedziawszy, Forrest od wielu lat nie widział rodzinnego domu na oczy.

Nosił szumną nazwę Klonowy Zdrój, jakby faktycznie był posiadłością, gdzie zatrudniano liczną służbę i regularnie wydawano przyjęcia. Tymczasem jedyną pracującą tam kiedykolwiek osobą była stara pokojówka o imieniu Irene, która zmarła przed czterema laty, i od tamtego czasu nikt nawet nie zamiatał podłóg i nie ścierał kurzu z mebli. Sędzia płacił jakiemuś chłopakowi z sąsiedztwa dwadzieścia dolarów tygodniowo za koszenie trawy, a i tak robił to z oporami, uważając, że wydatek osiemdziesiąt dolarów miesięcznie to zdzierstwo.

Kiedy Ray był mały, matka nie nazywała majątku inaczej niż Klonowym Zdrojem. Na obiad wracali nie do domu, ale do Klonowego Zdroju. Listy adresowało się nie do państwa Atlee przy Czwartej Ulicy, lecz do Klonowego Zdroju przy Czwartej Ulicy. Tylko nieliczne posiadłości w Clanton miały swoje indywidualne nazwy.

Gdy matka zmarła z powodu tętniaka, jej zwłoki wystawiono na stole we frontowym salonie. Przez dwa dni mieszkańcy miasteczka paradowali przez werandę, główny hol i salon, by złożyć jej ostatni hołd, a następnie w jadalni ugościć się ponczem i ciastem. Ray z Forrestem, ukryci na poddaszu, przeklinali ojca za tolerowanie tego żalosego widowiska. Przecież w otwartej



trumnie, wystawiona na widok publiczny, leżała blada i sztywna ich matka, jeszcze młoda i piękna kobieta.

Forrest nie nazywał domu inaczej niż Klonową Ruderą. Żłotoczerwone klony, które niegdyś stały wzdłuż bocznej uliczki, pousychały od nieznanej zarazy, a spróchniałych pni nie wycięto. Frontowy trawnik ocieniały cztery rozłożyste dęby. Jesienią liście opadały z nich tonami, nie można było nadążyć z ich zagrabianiem i wywożeniem. Do tego co najmniej dwa razy do roku w którymś z drzew pękał gruby konar, spadał na dach i nie zawsze był od razu usuwany. Ale dom jakimś cudem dzielnie znosił przez lata wszystkie ciosy, stał mocno na fundamentach i nie zamierzał się walić.

Nadal był piękny i okazały, w stylu króla Jerzego, z rzeźbioną kolumnadą frontowej werandy. Tyle że z prawdziwego dzieła sztuki architektonicznej stał się istnym reliktem wymierającego rodu. Ray nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Dla niego stary dom był pełen nieprzyjemnych wspomnień i po każdej wizycie wracał przygnębiony. A już na pewno nie stać go było na to, by topić pieniądze w bezdennej studni zaniedbanego dworku, który należało raczej zrównać z ziemią. Gdyby odziedziczył go Forrest, ten pewnie od razu podłożyłby ogień, jeszcze przed podpisaniem wszystkich papierów.

Jednakże stary sędzia życzył sobie, aby to Ray przejął rodzinną posiadłość i zatroszczył się o nią. Już od kilku lat wracał do tego tematu, choć na razie tylko ogólnikowo. Ray zaś nigdy nie zdobył się na odwagę, by zapytać: „O jaką rodzinę chodzi?”. Nie miał dzieci, z byłą żoną nie utrzymywał kontaktów i na razie nie zamierzał się drugi raz żenić. Podobnie Forrest, który mógł się pochwalić wyłącznie dość odpychającą kolekcją byłych narzeczonych, a obecnie mieszkał z Ellie, ważącą sto pięćdziesiąt kilo malarką i garncarką, starszą od niego o dwanaście lat. Można było uznać za wybryk biologii to, że Forrest nie spłodził dotąd dzieci, w każdym razie nic na ten temat nie wiedział.

Tak więc ród Atlee zmierzał do nieuchronnego smutnego końca, czym zresztą Ray wcale się nie przejmował. Żył na własny

rachunek, a nie dla dobra ojca czy wspaniałej rodzinnej przeszłości. Przyjeżdżał do Clanton jedynie na pogrzeby.

Nigdy nie rozmawiali o pozostałym majątku Sędziego, a rodzina Atlee niegdyś, jeszcze przed narodzinami Raya, należała do bardzo bogatych. Posiadała plantacje bawełny, na których pracowali niewolnicy, udziały w lokalnych liniach kolejowych i kilku bankach oraz uczestniczyła w życiu politycznym. Niestety, do połowy dwudziestego wieku tego typu konfederackie majątki niemal całkiem podupadły. Po dawnej świetności rodu Atlee pozostał jedynie status bogatej rodziny z Południa.

Kiedy Ray skończył dziesięć lat, zaczął mieć tego świadomość. Uzmysłowił sobie, że ojciec jest przewodniczącym sądu okręgowego i mieszka w rezydencji noszącej własną nazwę, a w rolniczych rejonach Missisipi oznaczało to, że był dzieckiem z bogatego domu. Matka przed śmiercią robiła wszystko, aby przekonać obu synów, że jako prezbiterianie żyjący w okazałej rezydencji są lepsi od rówieśników z sąsiedztwa. Co trzy lata wysyłała ich na wakacje na Florydę, a od czasu do czasu zabierała na obiad do restauracji hotelu Peabody w Memphis. Zawsze byli lepiej ubrani od kolegów ze szkoły.

Później, gdy Ray dostał się na Uniwersytet Stanforda, ojciec oznajmił krótko:

- Nie stać mnie na opłacenie twoich studiów.
- Co to znaczy? – zapytał Ray ostro, rozjątrzony do żywego.
- Dokładnie to, co powiedziałem. Nie stać mnie na twoją naukę na uniwersytecie.
- Nie rozumiem.
- W takim razie wytłumaczę ci dokładniej. Możesz iść do takiego college'u, do jakiego sobie życzysz, ale opłacę twoją naukę tylko w Sewanee.

I Ray, zmuszony nagle do zmiany poglądów w kwestii rodzinnego bogactwa, zaczął studia w Sewanee. Pieniądzy od ojca starczało zaledwie na opłatę czesnego, zakup podręczników i niezbędne studenckie wydatki. Potem przeniósł się na wydział



prawa Uniwersytetu Tulane'a w Nowym Orleanie i zdołał ukończyć studia tylko dzięki temu, że wieczorami zmywał talerze i stoliki w barze ostrygowym w Dzielnicy Francuskiej.

Przez trzydzieści dwa lata ojciec zadowolony był pensją przewodniczącego sądu kanclerskiego, jedną z najniższych w całym kraju. Podczas studiów na Tulane Ray zetknął się z raportem na temat sędziowskich wynagrodzeń i ze smutkiem przeczytał w nim, że sędziowie w Missisipi zarabiają średnio pięćdziesiąt dwa tysiące rocznie, gdy tymczasem przeciętna krajowa wynosi dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Stary Atlee mieszkał sam, niewiele wydawał na życie i nie miał kosztownych nałogów, nie licząc palenia fajki, do której zresztą kupował najtańszy tytoń. Jeździł zardzewiałym lincolnem, odżywiał się byle jak, chociaż do syta, i nosił czarne garnitury pochodzące jeszcze z lat pięćdziesiątych. Nie stronił jednak od działalności dobroczynnej, lubił rozdawać ciężko zaoszczędzone pieniądze. Nikt nie wiedział, ile w sumie na to przeznaczają. Dziesięć procent jego dochodów szło automatycznie na potrzeby Kościoła presbiteriańskiego. Uczelnia w Sewanee dostawała dwa tysiące dolarów rocznie, podobnie jak Zrzeszenie Synów Konfederackich Weteranów. Te trzy datki były niepodważalne, ale na nich się nie kończyło.

Sędzia Atlee gotów był dać pieniądze każdemu, kto o nie poprosi – kalekiemu dziecku na kule, drużynie oldbojów organizującej turniej stanowy, wolontariuszce z Klubu Rotariańskiego zbierającej na głodujące niemowlęta z Konga, kierownicze schroniska dla bezdomnych psów i kotów, kustoszowi jedyne muzeum w Clanton na nowe pokrycie dachu.

Lista nie miała końca, tym bardziej że wystarczyło przysłać krótki list z prośbą, a w odpowiedzi dostawało się czek. Od czasu, kiedy obaj synowie wyprowadzili się z domu, sędzia lekką ręką rozdawał w ten sposób pieniądze. Ray niemal widział oczami wyobraźni, jak ojciec zasiada wśród starych papierzyk, podnosi zakurzoną listewkową żaluzję biurka, wystukuje na swoim

underwoodzie lakoniczne pisma, po czym wsuwa je do kopert z wytłoczonym złotym nadrukiem i dołącza ledwie czytelnie wypisany czek z banku First National w Clanton – ten na pięćdziesiąt dolarów, ten na sto, po trochu dla każdego, dopóki zostało jeszcze parę groszy z emerytury.

Sprawy majątku powinny być bardzo proste, ponieważ niewiele obejmował: archaiczne kodeksy i podręczniki prawa, podniszczone meble, pamiątki i zdjęcia rodzinne przywołujące bolesne wspomnienia, zdezaktualizowane dokumenty – krótko mówiąc, wielką stertę rupieci, z których należało rozpalić imponujące ognisko. A potem Ray do spółki z Forrestem powinni sprzedać stary dom za taką sumę, jaką zdołają uzyskać, i cieszyć się, że cokolwiek odziedziczyli z osławionej rodzinnej fortuny.

Przyszło mu do głowy, że warto by zadzwonić do brata, ale i tym razem odłożył to na później. Forrest reprezentował sobą odrębny zestaw kłopotów i problemów, o wiele bardziej skomplikowanych niż te, które wiązały się z umierającym, wiodącym pustelniczy żywot i rozdającym swoją emeryturę ojcem. Trzydziestosześcioletni, przypominał żywą, chodzącą katastrofę, z umysłem dokumentnie zatrutym wszelkimi dostępnymi – zarówno legalnymi, jak i nielegalnymi – substancjami otumaniającymi.

– Cudowna rodzinka – mruknął Ray pod nosem.

Wypisał zawiadomienie o odwołaniu najbliższych zajęć swojej grupy i wyruszył na swoją „terapię”.

## Rozdział 2

---

**W**iosna w Piedmoncie to czyste błękitne niebo, zieleniejące z dnia na dzień łagodne zbocza wzgórz i ciągle zmieniający się wygląd doliny Shenandoah, w miarę jak rolnicy wykonują kolejne prace na polu. Co prawda na jutro zapowiadano deszcz, ale w środkowej Wirginii nie można ufać prognozom pogody.

Ray miał wylatane już prawie trzysta godzin i każdego ranka, wychodząc na swoją ośmiokilometrową trasę joggingu, uważnie obserwował niebo. Biegać mógł niemal przy każdej pogodzie, ale latać już nie. Na samym początku obiecał sobie (jak również firmie ubezpieczeniowej), że nigdy nie będzie latał po zmierzchu ani zapuszczał się w chmury, bo do dziewięćdziesięciu pięciu procent wypadków małych turystycznych samolotów dochodzi albo z powodu ciemności, albo złej pogody. Brał lekcje pilotażu prawie od trzech lat, a wciąż przyznawał się otwarcie do tchórzostwa. Święcie wierzył w trafność powiedzenia, że „są starzy piloci i brawurowi piloci, ale nie ma pilotów i starych, i brawurowych”.

A poza tym uważał centralną Wirginię za zbyt piękną, by latać nad nią w chmurach. Dlatego wyczekiwał na idealną pogodę – bez wiatru, który by komplikował lądowanie, mgły zacierającej linię horyzontu, wysokiej wilgotności czy chmur zwiastujących opady. Wiedział z doświadczenia, że idealnie czyste niebo w porze joggingu zwiastuje dobrą pogodę na resztę dnia. A bez trudu mógł przesunąć lunch czy nawet odwołać zajęcia i odłożyć pracę na mniej sprzyjającą porę. Jeśli do tego prognoza była obiecująca, prosto z domu jeździł na lotnisko.

Lotnisko mieściło się na północ od miasta, piętnaście minut jazdy od wydziału prawa. W Szkole Pilotażu Dockera był już po przyjacielsku witany przez Dicka Dockera, Charliego Yatesa i Foga Newtona, trzech byłych pilotów marynarki wojennej, którzy prowadzili lekcje i wyszkolili większość amatorów z okolicy. Codziennie czekali na swoich uczniów w Kokpicie, głównej sali szkoły pilotażu, z rzędem starych drewnianych składanych krzeseł, gdzie litrami popijali kawę i snuli wyssane z palca lotnicze opowieści, które z każdym dniem były coraz bardziej dramatyczne. Poza tym wszystkich kursantów i klientów traktowali z taką samą – niekiedy nawet obraźliwą – arogancją, jakby w ogóle im na nich nie zależało, ponieważ dostawali z wojska niezłe emerytury.

Na widok Raya zaczęli się prześcigać w opowiadaniu starych dowcipów o prawnikach, z których żaden nie był szczególnie zabawny, a mimo to kwitowali je gromkimi wybuchami śmiechu.

– Nic dziwnego, że nie macie żadnych uczniów – zauważył cierpko Ray, wypisując dokumenty.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał ostro Docker.

– Wybić parę dziur w niebie.

– W takim razie ostrzeżemy wieżę kontrolną.

– A nie jesteście zbyt zajęci, żeby zawracać sobie tym głowę?

Po dziesięciu minutach takiej wymiany zdań mógł wreszcie startować. Osiemdziesiąt dolarów za godzinę kosztowało go wynajęcie cessny pozwalającej wzbić się dwa kilometry nad ziemię i uciec od ludzi, telefonów, zakorkowanych ulic, studentów, pracy naukowej, a tego dnia także od umierającego ojca, szurniętego brata i masy kłopotów, z jakimi wiązała się podróż do rodzinnego miasteczka.

Z trzydziestu samolotów, które były tu do dyspozycji, większość stanowiły górnopłatowe małe cessny ze stałym podwoziem, cieszące się sławą najbezpieczniejszych maszyn, jakie dotąd skonstruowano. Na chętnych czekały też bardziej luksusowe samoloty. Tuż obok wyznaczonej Royowi awionetki stała beech bonanza, jednosilnikowe, dwustukonne cacko, które

przy niewielkiej pomocy instruktora nauczyłyby się pilotować najwyżej w ciągu miesiąca. Rozwijała prędkość o dobre sto dwadzieścia kilometrów na godzinę większą od cessny i była wyposażona w tyle gadżetów, że mogła wywołać zachwyt każdego pilota. Co gorsza, właśnie ta bonanza była na sprzedaż. Rzecz jasna, okazjnie, tylko za czterysta pięćdziesiąt tysięcy, co oczywiście nie było żadną specjalną okazją, bo według plotek krążących w Kokpicie jej dotychczasowy właściciel, budujący duże centra handlowe biznesmen, postanowił ją wymienić na jeszcze bardziej luksusowego king aira.

Ray oderwał wzrok od bonanzy i skupił się na sąsiedniej maszynie. Jak każdy świeżo upieczony pilot, bardzo dokładnie sprawdził stan cessny. Jego instruktor, Fog Newton, zaczynał każdą lekcję od przerażającej opowieści o pożarze bądź katastrofie maszyny, której zbyt leniwy albo działający w pośpiechu pilot nie skontrolował należycie przed startem.

Kiedy upewnił się, że wszystkie części zewnętrzne i ruchome elementy usterzenia są w należyтым porządku, otworzył drzwi, usiadł za sterami i zapiął pasy. Silnik zaskoczył od razu, łączność radiowa była bez zastrzeżeń. Wykonawszy procedurę przedstartową, połączył się z wieżą. Musiał chwilę poczekać, aż odleci wycarterowany samolot pasażerski, ale już dziesięć minut po wejściu do maszyny otrzymał pozwolenie na start. Łagodnie wzbił się w powietrze, po czym skręcił na zachód, w stronę doliny Shenandoah.

Na wysokości tysiąca trzystu metrów przeskoczył leżące niewiele pod nim szczyty pasma górskiego Afton. Przez kilka sekund walczył z cessną podskakującą od turbulencji, które w tym rejonie nie były niczym niezwykłym. Następnie minął hełmiaste przedgórze i znalazł się w spokojnym powietrzu nad terenami rolniczymi. Według komunikatu meteo, widzialność sięgała trzydziestu kilometrów, on jednak z tego pułapu mógł sięgnąć wzrokiem jeszcze dalej. Wokoło na niebie nie było ani jednej chmurki. Kiedy nad horyzontem wyrosły poszarpane szczyty Wirginii Zachodniej, wzniósł maszynę na wysokość

tysiąca sześciuset metrów. Uważnie sprawdził wskazania przyrządów pokładowych, dostosował parametry do wysokości przelotowej i rozluźnił się po raz pierwszy od chwili, gdy zaczął kołować na koniec pasa startowego.

W słuchawkach zapadła cisza. Wiedział, że znów zacznie słyszeć meldunki radiowe, gdy wejdzie w zasięg wieży kontrolnej w leżącym sześćdziesiąt kilometrów na południe Roanoke. Ale po krótkim namyśle postanowił trzymać się z dala od lotniska i pozostać w niekontrolowanej przestrzeni powietrznej.

Wiedział z własnego doświadczenia, że psychoanalitycy w rejonie Charlottesville biorą po dwieście dolarów za godzinę. Latanie było o wiele tańsze i znacznie skuteczniejsze, choć to właśnie znany psychiatra doradził mu, aby znalazł sobie nowe hobby, i to szybko. Ray zgłosił się do niego na wizytę tylko dlatego, że musiał z kimś porozmawiać. Dokładnie miesiąc po tym, jak była pani Atlee wystąpiła o rozwód, złożyła wymówienie w pracy i błyskawicznie, bo zaledwie w ciągu sześciu godzin, spakowała swoje ubrania oraz biżuterię i wyprowadziła się z domu, po raz ostatni spotkał się z psychiatrą i prosto od niego pojechał na lotnisko, wszedł do Kokpitu i po raz pierwszy odebrał należną mu porcję zniewag od któregoś z instruktorów, już nie pamiętał – od Dicka Dockera czy Foga Newtona.

Dziwnym sposobem te zniewagi podziały na niego kojąco, uzmysłowiły mu bowiem, że ktoś jeszcze się nim przejmuje. A kolejne przyniosły jeszcze bardziej dobroczynny skutek, bo choć czuł się zraniony i upokorzony, miał wrażenie, że znalazł drugi dom. Od tamtej pory już trzy lata krążył samotnie po bezchmurnym niebie ponad górami Blue Ridge i doliną Shenandoah, to kojąc złość, to znów rozczulając się nad swym losem, opowiadając o swoim życiu pustemu fotelowi drugiego pilota, który zdawał się powtarzać: „Odeszła i musisz się z tym pogodzić”.

Niektóre kobiety odchodzą na jakiś czas i potem wracają. Inne nie wracają, ale do końca żałują tego, co zrobiły. Są jednak i takie, które nagle podejmują decyzję i nigdy nie oglądają się za



siebie. Odejście Vicki zostało tak dokładnie zaplanowane i precyzyjnie przeprowadzone, że na wieść o pozwie rozwodowym jego adwokat rzucił krótko:

– Zapomnij o niej, chłopie.

Znalazła sobie lepszy układ, jak zawodnik, który przechodzi do innej drużyny, skuszony korzystniejszymi warunkami – zmienia się koszulkę i znów tak samo uśmiecha do kamery, w jednej chwili puszczając w niepamięć stare śmieci. Któregoś ranka, gdy Ray wyszedł do pracy, po prostu odjechała podstawioną limuzyną, za którą podążyła furgonetka z jej rzeczami. Dwadzieścia minut później już wkraczała do swego nowego domu, eleganckiej rezydencji na farmie z hodowlą koni, na wschód od miasta, gdzie Lew Likwidator już na nią czekał z otwartymi ramionami i gotową do podpisania intercyzą. Był typowym sępem świata wielkiej finansjery i według pobieżnych ocen Raya, zdołał zebrać jakieś pół miliarda, po czym w wieku sześćdziesięciu czterech lat spieniężył wszystkie aktywa, wycofał się z Wall Street i z niewiadomych przyczyn postanowił uwić sobie nowe gniazdko właśnie w Charlottesville.

W trakcie przeprowadzki natknął się na Vicki, złożył jej swoją ofertę, a gdy zaszła w ciążę, zdecydował się uwolnić Raya od ciężaru ojcostwa, żeby z własną rodziną, u boku zdobyczej żony, łatwiej zyskać w tutejszej społeczności status grubej ryby.

– Dość tych wspomnień – odezwał się na głos Ray. Na tym pułapie mógł śmiało gadać do siebie.

Szczerze liczył na to, że Forrest jest trzeźwy i czysty, choć tego typu założenia okazywały się zwykle bezpodstawne, a nadzieje płonne. Było wielce wątpliwe, by po dwudziestu latach ciągłych kuracji odwykowych i kolejnych uzależnień brat na dobre uwolnił się od nałogów. Raczej należało zakładać, że popadnie w następne załamanie nerwowe, co znacznie bardziej pasowało do jego zwyczajów. A w takim stanie będzie zapewne potrzebował pieniędzy, każdego grosza, jaki da się wycisnąć z ojcowskiego majątku.



Tymczasem wszystko, czego ojciec nie rozdał organizacjom społecznym i kalekim dzieciom, topił w czarnej dziurze detoksykacji Forresta. Przez lata zmarnował na ten cel tyle pieniędzy, że wreszcie, zniechęcony, niemal wyklął syna i zerwał z nim wszelkie stosunki. Przez trzydzieści dwa lata przesądzał o rozpadach małżeństw, jedno dziecko odbierał rodzicom, inne kierował do domów opieki, skazywał chorych psychicznie na wieczną izolację, a brutalnych ojców wysyłał do więzienia – podejmował drastyczne i dalekosiężne decyzje, które wchodziły w życie jedynie na podstawie jego podpisu złożonego pod orzeczeniem. Na początku kariery sędziowskiej za jego autorytet ręczyły władze stanu Missisipi, ale w późniejszych latach stało się to wyłącznie ferowaniem boskich wyroków.

Więc jeśli ktokolwiek mógł wykluczyć syna z grona rodziny, to tylko sędzia Reuben V. Atlee.

Na Forreście nie zrobiło to większego wrażenia. Uważał się za istotę obdarzoną wolnym duchem, toteż oznajmił, że jego noga nigdy więcej nie postanie w Klonowym Źroju. Tak też było przez dziewięć lat, do czasu, aż odwiedził w szpitalu ojca powalonego zawałem serca, kiedy lekarze wezwali całą najbliższą rodzinę. Wyjątkowo był wtedy całkiem trzeźwy.

– Pięćdziesiąt dwa dni, braciszku – szepnął z dumą do Raya, gdy spotkali się w szpitalnym korytarzu. W takich okresach był jak chodząca tablica świetlna z aktualnym wynikiem meczu.

Jeśli teraz Sędzia planował uwzględnić go przy podziale majątku, nikt nie byłby tym bardziej zdziwiony od samego Forresta, lecz z pewnością kręciłby się w pobliżu, czekając na resztki z pańskiego stołu.

Nad wąwozem New River Gorge w pobliżu Beckley w Wirginii Zachodniej Ray zawrócił. Ta swoista kuracja kosztowała go mniej niż psychoanalitik, ale i tak nie była tania. Licznik bił bez przerwy. Gdyby wygrał na loterii, kupiłby bonanzę i latał, dokąd dusza zapragnie. Za kilka lat będzie mógł wziąć dłuższy urlop. Najpierw jednak powinien skończyć ośmiusetstronicową cegłę na temat monopoli, istniał zresztą cień szansy, że mu się to uda.

Niemniej coraz częściej marzył o tym, by wynająć bonanzę i zniknąć w przestworzach.

Dwadzieścia kilometrów od lotniska wywołał wieżę kontrolną i odebrał instrukcje. Wiał lekki zmienny wiatr, z lądowaniem nie powinno być żadnych kłopotów. Kiedy był już na wysokości pięciuset metrów, podchodził do odległego o dwa kilometry pasa i prowadził cessną idealnie po torze schodzenia, wieżę wywołał inny pilot. Zgłosił się jako „challenger dwa-cztery-cztery-Delta-Mike”, był w odległości dwudziestu pięciu kilometrów i nadlatywał z północy. Kontroler pozwolił mu lądować zaraz za cessną.

Ray odpędził od siebie marzenia o lepszej maszynie tylko na tak długo, by idealnie posadzić samolot na pasie, wyhamować i skręcić w drogę dojazdową. Ale kołując w stronę rampy, myślał już o challengerze, niewielkim, budowanym w Kanadzie odrzutowcu, mieszczącym od ośmiu do piętnastu osób w zależności od konfiguracji wnętrza. Śmiało można nim było wyruszyć w lot z Nowego Jorku do Paryża, podczas którego steward serwowałaby pasażerom przekąski i drinki. Nowa maszyna kosztowała około dwudziestu pięciu milionów dolarów, chociaż cena zależała od dodatkowego wyposażenia.

A challenger o numerze rejestracyjnym 244DM należał do Likwidatora, stanowił trofeum po którejś z najechanych przez niego, a następnie zostawionych na pastwę losu firm. Ray przyglądał się, jak ląduje za nim, w głębi duszy mając nadzieję, że się rozbije i stanie w płomieniach na skraju pasa, tworząc spektakularne widowisko. Ale tak się nie stało. Odrzutowiec wylądował bezpiecznie i pokołował w kierunku prywatnego terminalu. Rayowi nagle serce ścisnęło się w piersi.

Od czasu rozwodu dwukrotnie widział z daleka Vicki, ale nie chciał jej zobaczyć po raz trzeci, siedząc w kabinie dwudziestoletniej cessny, kiedy ona będzie zbiegała po schodkach z ociekającego złotem odrzutowca. Myślał z nadzieją, że nie ma jej na pokładzie, a Lew Rodowski wraca sam z kolejnej zbójckiej wyprawy.

Odciał dopływ paliwa i zgasił silnik, a gdy challenger zbliżył się do awionetki, osunął się na fotelu, zerkając tuż ponad krawędzią okna.

Odrzutowiec zatrzymał się nie dalej niż trzydzieści metrów od cessny i natychmiast podjechała do niego duża czarna limuzyna z zapalonymi światłami, jakby do Charlottesville przybyła z wizytą para królewska. Z auta energicznie wyskoczyło dwóch osiłków w zielonych letnich koszulach i spodniach khaki, gotowych służyć pomocą swemu mocodawcy i każdemu, kto zjawiał się razem z nim. Otworzyły się drzwi challenger'a i steward opuścił składane schodki. Ray osunął się jeszcze niżej i zerknął ostrożnie znad krawędzi tablicy przyrządów. Na schodkach pojawił się pilot niosący dwie duże torby z zakupami.

Tuż za nim wyłoniła się Vicki z dwuletnimi bliźniakami, Simmonssem i Ripleyem – biedactwami, które zamiast imion dostały na chrzcie słynne nazwiska, gdyż ich matka była kompletną idiotką, a ojca, który wcześniej spłodził dziewięcioro dzieci, ani trochę nie obchodziło, jak się będą nazywali. Ray miałby nawet wątpliwości, czy to chłopcy, gdyby nie czytał notatek w rubryce towarzyskiej lokalnej gazety. Przyszli na świat w szpitalu Marthy Jefferson dokładnie siedem tygodni i trzy dni po ogłoszeniu rozvodu państwa Atlee oraz siedem tygodni i dwa dni po tym, jak Vicki w bardzo widocznej już ciąży poślubiła Rodowskiego, dla którego była to już czwarta pielgrzymka do ołtarza, czy jak też to nazywano na farmie z hodowlą koni.

Trzymając dzieci za rączki, Vicki zaczęła ostrożnie schodzić na ziemię. Widać było, że jest warta pół miliarda, choćby po designerskich obcisłych dzinsach podkreślających jej zgrabne biodra, wyraźnie szczuplejsze od czasu, gdy dołączyła do grona ludzi podróżujących prywatnymi odrzutowcami. Szczerze mówiąc, wyglądała jak zagłodzona – chude ramiona, mała, płaska pupa i zapadnięte policzki. Trudno było cokolwiek powiedzieć o jej oczach, ukrytych za wielkimi ciemnymi okularami, z pewnością będącymi ostatnim krzykiem mody w Hollywood albo Paryżu.

Lew Likwidator natomiast na pewno nie głodował. Dreptał niecierpliwie za swą obecną żoną i najnowszym przychówkiem. Powtarzał w wywiadach, że uczestniczy w biegach maratońskich, ale była to raczej bujda, podobnie jak większość tego, co opowiadał dziennikarzom. W każdym razie był zwałisty i miał wielkie brzuszysko. Stracił już co najmniej połowę włosów, a te, które zostały, były całkiem siwe. Ona miała czterdzieści jeden lat i wyglądała na trzydzieści, on skończył sześćdziesiąt cztery, a wyglądał jak po siedemdziesiątce, przynajmniej w oczach Raya odczuwającego z tego powodu wielką satysfakcję.

Po załadowaniu wielkich toreb ze znakami Saksa i Bergdorfa cała rodzinka wraz z pilotem, stewardem i dwoma gorylami zapakowała się do limuzyny. Najwyraźniej wrócili z drobnych zakupów na Manhattanie, dokąd challengerem leciało się najwyżej trzy kwadransy.

Auto odjechało, przedstawienie dobiegło końca. Ray wyprostował się w fotelu pilota.

Gdyby nie czuł do byłej żony tak głębokiej nienawiści, pewnie długo by jeszcze siedział w kabinie, wspominając swoje małżeństwo.

Nie było żadnych znaków ostrzegawczych, żadnych awantur ani ochłodzenia ich wzajemnych stosunków. Vicki po prostu wybrała ciekawszą ofertę.

Otworzył drzwi, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, i dopiero wtedy uświadomił sobie, że cały kołnierzyk koszuli ma mokry od potu. Otarł grube krople z brwi i zeskoczył na ziemię.

Po raz pierwszy w krótkiej karierze pilota głęboko żałował, że tego dnia w ogóle przyjechał na lotnisko.

## Rozdział 3

---

**W**ydział prawa sąsiadował z wydziałem ekonomii; oba budynki znajdowały się na północnym końcu kampusu, który znacznie się rozrósł od czasu, gdy Thomas Jefferson zaprojektował i ustanowił tu miasteczko akademickie.

Uniwersytet szczycił się architekturą swego założyciela, lecz nowoczesny gmach wydziału prawa był po prostu brzydki, klockowaty, o płaskim frontonie z cegły i szkła, tak samo nijaki i pozbawiony wyrazu, jak większość budowli z lat siedemdziesiątych. Ostatnio jednak został odnowiony i przynajmniej pasował do otoczenia. Za to mieszczący się w nim wydział plasował się w pierwszej dziesiątce najlepszych uczelni prawniczych kraju, co było powodem dumy zarówno wykładowców, jak i studentów. Wyprzedzało go tylko parę uczelni z Ivy League, nie było jednak lepszego wydziału prawa na uniwersytetach państwowych. Dzięki temu przyciągał tysiące najzdolniejszych studentów i najlepszą kadrę.

Ray był całkiem zadowolony ze stanowiska wykładowcy prawa korporacyjnego na Uniwersytecie Północno-Wschodnim w Bostonie. To jego artykuły przyciągnęły uwagę tutejszej komisji uczelnianej i po kilku rundach spotkań otrzymał atrakcyjną propozycję przeniesienia się na Południe i uzyskania posady na renomowanym wydziale. Vicki pochodziła z Florydy i choć przywykła do życia w metropolii, źle znosiła bostońskie zimy. Dlatego też oboje szybko dostosowali się do spokojniejszego trybu życia w Charlottesville. Po pewnym czasie on zdobył stały etat, ona obroniła doktorat z romanistyki.

Zaczynali już myśleć o dzieciach, gdy niespodziewanie na scenie pojawił się Likwidator.

Kiedy jakiś mężczyzna uwodzi człowiekowi żonę, która zachodzi z nim w ciążę, chciałoby się zadać mu kilka pytań. Jej zresztą także. Zaraz po tym, jak Vicki się wyprowadziła, Ray, dręczony owymi pytaniami, nie mógł spać. Ale z czasem uzmysłowił sobie, że nigdy nie będzie miał okazji ich zadać, toteż puścił je w niepamięć. Widok byłej żony na lotnisku sprawił, że odżyły teraz ze zdwojoną siłą. I nawet gdy zaparkował już samochód i szedł do swego gabinetu, w myślach zadawał je swojej eks.

Popołudniami zawsze zostawiał otwarte drzwi, bo nie wymagał od studentów, by wcześniej umawiali się na wizyty. Każdy mógł w dowolnej chwili przyjść na rozmowę. Ale teraz, w maju, gdy zrobiło się ciepło, studenci rzadko tu zaglądali. Jeszcze raz przeczytał list od ojca i ponownie ogarnęła go złość na tak stanowcze, kategoryczne wezwanie.

O siedemnastej zamknął gabinet, wyszedł z budynku i ruszył w stronę uczelnianego kompleksu sportowego, gdzie na boisku do softballu toczył się drugi z trzech meczów kadry z reprezentacją studentów. Pierwszy zakończył się wysokim zwycięstwem studentów. Na dobrą sprawę nie trzeba już było rozgrywać następnych dwóch, by się przekonać, która drużyna jest lepsza.

Wietrzący krew studenci dwóch młodszych roczników zapełniali trybuny i tłoczyli się przy ogrodzeniu od strony pierwszej bazy, przy której naradzała się reprezentacja kadry. W przeciwległym końcu boiska gromadka pierwszoroczników o podejrzanej reputacji otaczała dwie blaszane beczki, z których bez ograniczeń rozlewano piwo.

O tej porze roku nigdzie nie jest tak przyjemnie jak na kampusie, pomyślał Ray, idąc w kierunku boiska i wypatrując dogodnego miejsca do śledzenia przebiegu gry – dziewczęta w szortach, napoje chłodzące zawsze pod ręką, radosne nastroje, zakochane pary, w powietrzu czuć zbliżające się lato. Miał



czterdzieści trzy lata, był samotny i zaczynał marzyć o tym, aby znów zostać studentem. Jak mawiano, zawód nauczyciela pozwala człowiekowi dłużej zachować młodość, energię i ostrość umysłu, ale Ray marzył o tym, by naprawdę zasiąść na trybunie przy stoisku z piwem, żartować z kolegami i podrywać dziewczyny.

Niezbyt liczna gromadka jego kolegów stała w pobliżu ławki drużyny kadry, próbując uśmiechami zachęcać leniwie wychodzących na boisko zawodników. Część z nich wyraźnie kulała, kilku miało zabandażowane kolana. W grupie kibiców dostrzegł Carla Mirka, wicedziekana wydziału i swego najlepszego przyjaciela, który z poluzowanym krawatem i marynarką przerzuconą przez ramię stał oparty o płotek.

– Trochę mizernie wygląda ta reprezentacja – powiedział Ray, stając obok niego.

– Poczekaj, aż się przekonasz, jak gra – odparł Mirk. Pochodził z niewielkiego miasteczka w Ohio i był synem sędziego okręgowego, lokalnego pana i władcy, który ojcował całej tamtejszej społeczności. Carl, tak jak on, po prostu uciekł stamtąd i poprzysiągł nigdy nie wracać.

– Spóźniłem się na pierwszą rundę – powiedział.

– Nie masz czego żałować. Siedemnaście do zera.

Pałkarz zespołu studentów wprawnie posłał pierwszą piłkę w lewe zapole, w jej kierunku rzucili się lewy i środkowy zapolowy. Zderzyli się i przewrócili, a zanim po krótkiej szamotaninie i kilku nieudolnych próbach złapania jej w powietrzu jeden z nich zdołał ją w końcu odrzucić w stronę środka pola, pałkarz zdążył bez pośpiechu obieć wszystkie bazy i studenci zdobyli punkt. Na trybunach po lewej podniosła się dzika wrzawa, studenci zaczęli domagać się kolejnych punktów.

– Będzie jeszcze gorzej – mruknął Mirk.

Nie pomylił się. Po kilku dalszych boiskowych katastrofach Ray doszedł do wniosku, że dość się już napatrzył.

– Początek przyszłego tygodnia muszę spędzić poza miastem – powiedział w przerwie na zmianę pałkarza. – Dostałem



wezwanie do domu.

– Widzę, że jesteś tym strasznie podniecony – odparł Carl. –  
Następny pogrzeb?

– Jeszcze nie. Ojciec organizuje rodzinną naradę w sprawie  
swojego majątku.

– Współczuję.

– Nie ma czego. W zasadzie nie istnieje żaden majątek, nie  
będzie więc czego dzielić ani o co się kłócić. Zapowiada się  
krótkie spotkanie w napiętej atmosferze.

– Z powodu twojego brata?

– Właśnie. Sam nie wiem, kto sprawia więcej kłopotów, on czy  
ojciec.

– Będę trzymał kciuki.

– Dzięki. Powiadomię studentów i zadam im pracę, żeby się  
nie nudzili.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– W sobotę. Powinienem wrócić we wtorek lub środę, ale to  
nic pewnego.

– Tu raczej nic się nie stanie – odparł Mirk. – A mam nadzieję,  
że do tego czasu będzie po rozgrywkach.

Miękko rzucona piłka przetoczyła się powoli między nogami  
zaskoczonych łapacza.

– Wygląda na to, że już jest po wszystkim – mruknął Ray.

\* \* \*

Nic nie działało na niego tak przygnębiająco jak myśl  
o podróży do domu. Od ostatniej wizyty minął ponad rok i wcale  
by się nie zmartwił, gdyby miał już nigdy nie wracać do Clanton.

W barze z meksykańskim jedzeniem na wynos kupił sobie  
burrito i usiadł przy stoliku w ogródku kawiarni niedaleko  
sztucznego lodowiska, gdzie zwykle zbierała się miejscowa  
banda czarnowłosych gotów, żeby podziać na nerwy  
normalnym obywatelom. Dawna Main Street została  
przekształcona w ładną promenadę, pełną kafejek, sklepów

z antykami oraz księgarni, i jeśli tylko pogoda na to pozwalała – a dopisywała prawie zawsze – przed restauracjami rozstawiano stoliki pod parasolami.

Zaraz po rozwodzie przeprowadził się z ładnego domu na peryferiach do śródmieścia, gdzie większość starych kamienic była po renowacji. Wynajął elegancko urządzone sześciopokojowe mieszkanie nad sklepem z perskimi dywanami. Mały balkon wychodził właśnie na promenadę i co najmniej raz w miesiącu Ray zapraszał swoich studentów na wino i lasagne.

Było już ciemno, gdy skręcił w zaułek, otworzył kluczem boczne drzwi kamienicy i wszedł po skrzypiących drewnianych schodach na piętro. Czuł się bardzo osamotniony, nie miał nikogo bliskiego, psa, kota ani nawet rybki w akwarium. W ostatnich latach poznał dwie atrakcyjne kobiety, lecz z żadną nie umówił się na randkę. Bał się nawiązać romans. Wyraźnie nadskakiwała mu też ponętna studentka z trzeciego roku, o imieniu Kaley, ale zdecydowanie jej unikał. Stał się do tego stopnia oziębły seksualnie, że rozważał wizytę u lekarza bądź kupno cudownych tabletek.

Zapalił światło i spojrzał na automatyczną sekretarkę.

Dzwonił Forrest, co zdarzało się niezwykle rzadko, choć w tych okolicznościach było zrozumiałe. Jak to on, powiedział jedynie, że dzwonił i nie zostawił swojego numeru telefonu. Ray przygotował sobie kubek herbaty bezkofeinowej i nastawił cicho muzykę jazzową, żeby przygotować się na rozmowę z bratem. Uważał to za dziwne, że musi się specjalnie zbierać, aby zamienić kilka słów z bratem, lecz rozmowy z Forrestem działały na niego przygnębiająco. Obaj nie mieli własnych rodzin, nie łączyło ich nic poza wspólnym nazwiskiem i ojcem.

Z ociąganiem wybrał numer Ellie w Memphis. Telefon dzwonił bardzo długo, zanim wreszcie podniosła słuchawkę.

– Cześć, Ellie. Tu Ray Atlee – odezwał się przymilnie.

– Aha – mruknęła, jakby wcześniej telefonował już z osiemnastu razy. – Nie ma go.

U mnie wszystko w porządku. A u was? Dzięki, że pytasz. Naprawdę miło cię słyszeć. A jak tam u was z pogodą?

– Oddzwaniam, bo Forrest wgrał mi się na sekretarkę – powiedział głośno Ray.

– Już ci mówiłam, że go nie ma.

– Masz może jakiś inny numer?

– Do kogo?

– No, do Forresta. Czy pod tym numerem można go jeszcze złapać?

– Tak mi się wydaje. Siedzi tu niemal na okrągło.

– Przekaż mu, proszę, że dzwoniłem.

Poznali się na odwykowie, ona wychodziła z alkoholizmu, on z uzależnienia od prochów. Ellie ważyła wtedy zaledwie czterdzieści pięć kilo i utrzymywała, że prawie przez całe dorosłe życie ciągnęła wyłącznie na wódce. Uwolniła się od nałogu, wyszła czysta, potroiła wagę ciała i jakimś cudem związała się z Forrestem. Bardziej niż dziewczyną była dla niego matką; urządziła mu skromny pokój w piwnicy odziedziczonego starego, ponurego wiktoriańskiego domu w centrum Memphis.

Ray trzymał jeszcze w ręku słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił.

– Cześć, braciszku! – wykrzyknął radośnie Forrest. – Szukałeś mnie?

– Tak, w odpowiedzi na twój telefon. Co u ciebie słyhać?

– No cóż, wszystko układało się świetnie, dopóki nie przyszedł list od starego. Ty też dostałeś?

– Dziś rano.

– Wydaje mu się, że wciąż jest sędzią, a my dwoma lekkoduchami ociągającymi się z płaceniem alimentów.

– Do końca życia pozostanie sędzią. Rozmawiałeś z nim ostatnio? – spytał Ray i usłyszał pogardliwe prychnięcie, po którym nastąpiła dłuższa cisza.

– Nie dzwoniliśmy do siebie od dwóch lat i nie pamiętam, kiedy po raz ostatni postawiłem stopę w rodzinnym domu –

odparł w końcu Forrest. – I nie jestem pewien, czy przyjadę w niedzielę.

– Przyjedziesz.

– A ty z nim rozmawiałeś?

– Trzy tygodnie temu. Sam do niego zadzwoniłem. Odniosłem wrażenie, że bardzo źle się czuje. Moim zdaniem, nie pociągnie już długo. Więc chyba powinieneś się poważnie zastanowić, czy nie przyjechać.

– Tylko nie zaczynaj, Ray. Nie mam ochoty wysłuchiwać kazania.

Zapadło niezręczne milczenie, obaj równocześnie ciężko westchnęli. Jako ćpun pochodzący z prominentnej rodziny, Forrest od niepamiętnych czasów musiał słuchać kazań i dobrych rad.

– Przepraszam – bąknął Ray. – W każdym razie ja przyjadę. A ty?

– Chyba też.

– Jesteś czysty? – To dotyczące sprawy osobistej pytanie Ray zadał tak, jakby pytał o pogodę. Na szczęście Forrest zawsze odpowiadał szczerze, zgodnie z prawdą.

– Od stu trzydziestu dziewięciu dni, braciszku.

– To wspaniale.

Wcale nie było to takie oczywiste. Trzeźwość brata z jednej strony napawała Raya optymizmem, ale z drugiej świadomość, że może tak liczyć dni przez kolejne dwadzieścia lat, była przygnębiająca.

– Poza tym mam pracę – dodał dumnie Forrest.

– Jeszcze lepiej. Co to za praca?

– Zdobywam klientów dla prawników zajmujących się odszkodowaniami za wypadki. Faceci reklamują się w miejscowej telewizji i grasują w szpitalnych korytarzach. Dostają prowizję od każdego narajonego klienta.

Trudno było pochwalać tego typu zajęcie, ale w wypadku Forresta każdą wiadomość o stałej pracy należało uznać za dobrą nowinę. Był już poręczycielem sądowych kaucji, doręczycielem

pozwów, inkasentem, agentem ochrony i wywiadowcą. Wykonywał niemal wszystkie zajęcia bardziej lub mniej luźno związane z prawem.

– Nieźle – rzucił Ray.

Brat z przejęciem zaczął opowiadać o jakiejś przepychance, do której w ramach walki o klienta doszło w szpitalnej izbie przyjęć, on jednak go nie słuchał. Przypomniawszy sobie, że Forrest zatrudnił się również jako wykidajło w nocnym barze ze striptizem, ale już pierwszego wieczoru został dwukrotnie ciężko pobity i zrezygnował. Potem przez cały rok jeździł po Meksyku nowiutkim harleyem davidsonem i Ray do dziś nie wiedział, skąd wziął na to pieniądze. Forrest próbował także sił w roli egzekutora długów u pewnego lichwiarza z Memphis, ale kiedy po raz pierwszy musiał połamać komuś nogi, uznał, że to nie jest zajęcie dla niego.

Uczciwa praca nigdy go nie pociągała, choć prawdę powiedziawszy, z powodu swojej kryminalnej przeszłości i tak nie miał na nią szans. Dwa razy, jeszcze przed ukończeniem dwudziestki, był karany za rozboje, w obu wypadkach związane z narkotykami.

– Nie zamierzasz wcześniej zadzwonić do starego? – zapytał w końcu Forrest.

– Po co? Przecież zobaczymy się w niedzielę – odparł Ray.

– O której przyjedziesz do Clanton?

– Nie wiem dokładnie. Pewnie krótko przed piątą. A ty?

– Bóg rozkazał stawić się na piątą, no nie?

– To prawda.

– Będę po piątej – powiedział Forrest. – A więc do zobaczenia, braciszku.

Jeszcze przez godzinę Ray krążył wokół telefonu, nie mogąc się zdecydować, czy zadzwonić do ojca, choćby tylko po to, żeby go usłyszeć. Postanowił jednak, że wystarczy, jeśli porozmawia z nim w niedzielę. Sędzia nie cierpiał telefonów, zwłaszcza kiedy ktoś wieczorem przerywał jego samotność. Bardzo często po prostu nie podnosił słuchawki, a jeśli już to robił, był tak

małomówny i opryskliwy, że rozmówca natychmiast zaczął żałować, że zadzwonił.

Ray pomyślał, że ojciec zapewne przywita ich w czarnych spodniach i białej koszuli z małymi dziurkami wypalonymi przez żarzący się tytoń z fajki, ale wykrochmalonej, bo zawsze takie nosił. Białe koszule starczały mu na dziesięć lat – niezależnie od tego, ile miały dziurek i plam. Uważał, że wystarczy raz w tygodniu oddać je do prania i krochmalenia w pralni Mabe przy rynku w Clanton. Do tego pewnie włoży krawat równie stary jak koszula, wyblakły i poszarzały, z ledwie rozpoznawalnym wzorkiem. A do spodni, jak zawsze, granatowe szelki.

I z pewnością nie będzie czekał na synów na tarasie, lecz zasiądzie przy biurku w gabinecie, pod wielkim portretem generała Forresta. Będzie chciał sprawiać wrażenie zajętego pracą, nawet w niedzielne popołudnie, jakby ich przyjazd do domu wcale nie był taki ważny.

## Rozdział 4

---

**P**odróż samochodem do Clanton zajmowała około piętnastu godzin, a jeśli śmigало się między ciężarówkami na czteropasowej autostradzie i korzystało się z obwodnic miast, można było pokonać całą drogę w ciągu jednego dnia. Ale Rayowi się nie śpieszyło.

Spakował niewielką torbę podróżną, załadował ją do bagażnika sportowego audi TT, którym jeździł dopiero od tygodnia – dwumiejscowego, ze składanym dachem – nie pożegnał się z nikim, gdyż nikogo w Charlottesville nie obchodził jego wyjazd, i ruszył w drogę. Postanowił nie przekraczać dozwolonych prędkości i tam, gdzie tylko to możliwe, trzymać się z dala od autostrad. Potraktował to jak swoiste wyzwanie. Na obitym skórą siedzeniu pasażera przygotował sobie komplet map samochodowych, termos z mocną kawą, trzy kubańskie cygara i butelkę wody.

Kilka minut po tym, jak jadąc na zachód, opuścił miasto, skręcił w lewo w Blue Ridge Parkway i skierował się na południe krętą drogą prowadzącą między szczytami wzgórz. Audi było modelem 2000 produkowanym od niespełna dwóch lat. Półtora roku temu zobaczył jego reklamówkę w czasopiśmie motoryzacyjnym i od razu poszedł do salonu, by złożyć zamówienie na pierwszy wóz sprowadzony do Charlottesville. Chociaż właściciel salonu zapewniał, że te modele szybko staną się popularne, do tej pory nie widział jeszcze drugiego takiego.

Zatrzymał się przy punkcie widokowym. Złożył dach, zapalił cygaro, wypił parę łyków gorącej kawy i pojechał dalej. Wciąż starał się nie przekraczać dozwolonych siedemdziesięciu pięciu



kilometrów na godzinę. Nawet przy tej szybkości Clanton zbliżało się nieubłagane.

Cztery godziny później zjechał z trasy w poszukiwaniu stacji benzynowej i zatrzymał się na światłach na głównej ulicy jakiejś miejsciny w Karolinie Północnej. Przez ulicę przeszli trzech prawnicy, rozmawiając ze sobą z ożywieniem; rozpoznał ich po zniszczonych skórzanych teczkach i równie znoszonych butach. Po lewej stronie ulicy znajdował się gmach sądu. Popatrzył w prawo i zauważył, że wchodzi do baru. I nagle poczuł głód, stęsknił się także za gwarem rozmów.

Zajęli stolik w boksie przy frontowym oknie i sącząc kawę, zawzięcie dyskutowali. Ray usiadł w sąsiednim i zamówił u niemłodej już kelnerki, która pewnie obsługiwała tych prawników od dziesięcioleci, kanapkę z wędzonym indykiem. Uważnie zapisała w notesie zamówienie: jedna szklanka mrożonej herbaty i jedna kanapka z indykiem. Szef kuchni był pewnie starszy od niej.

Usłyszał, że siedzący obok mężczyźni przedpołudnie spędzili w sądzie, tocząc spór o jakiś kawałek ziemi w górach, którego sprzedaż doprowadziła do złożenia pozwu. Trzej prawnicy mówili o powoływaniu świadków, o precedensach przedstawianych sędziemu, o podważaniu argumentów i zeznań świadków strony przeciwnej, krótko mówiąc, atmosfera w sali sądowej tak się rozgrzała, że trzeba było ogłosić przerwę w rozprawie.

Ojciec widział mnie właśnie w podobnej roli, pomyślał Ray i niemal powiedział to głośno. Ukrywał twarz za rozpostartą gazetą, udając pogrążonego w lekturze, ale cały czas nastawiał ucha.

Sędzia Reuben Atlee marzył o tym, by obaj jego synowie z dyplomami prawników w kieszeni wrócili do Clanton. Mógłby wtedy spokojnie przejść na emeryturę i dopomóc im w założeniu prywatnej kancelarii przy rynku, w której piastowałyby zaszczytne honorowe stanowisko, szkoląc ich, jak być dobrym

adwokatem, adwokatem-dżentelmenem z prowincjonalnego miasteczka.

Adwokatem ledwie wiążącym koniec z końcem. Bo w Clanton, podobnie jak we wszystkich miasteczkach Południa, prawników było na pęczki. Tłoczyli się w biurach przy rynku, naprzeciwko sądu. Prowadzili sprawy polityków i bankierów, klubów towarzyskich i szkolnych rad nadzorczych, a nawet parafii i miejscowej Małej Ligi. Więc gdzie przy tym rynku miałyby się znaleźć miejsce na jeszcze jedną kancelarię adwokacką?

Podczas wakacji w college'u i na studiach prawniczych Ray pomagał ojcu w zajęciach biurowych – oczywiście, bez żadnego wynagrodzenia. Miał zatem okazję poznać prawników z Clanton, w większości porządnych ludzi. Tyle że było ich zbyt wielu.

Forrest dość wcześnie zaczął się staczać, przez co Ray poczuł się jeszcze bardziej zobligowany do pójścia w ślady ojca i prowadzenia skromnego, nobliwego życia. Oparł się jednak naciskom i już na pierwszym roku studiów poprzysiął sobie, że nie wróci do Clanton. Przez rok zbierał się na odwagę, by powiadomić o tym ojca, a kiedy wreszcie to zrobił, Sędzia przez osiem miesięcy się do niego nie odzywał. Gdy Ray odbierał dyplom, Forrest siedział w więzieniu. Ojciec spóźnił się na uroczystość, usiadł w ostatnim rzędzie i wyszedł wcześniej, nie zamieniwszy z Rayem ani słowa. Dopiero po pierwszym zawale serca ich stosunki na nowo się ociepliły.

To nie pieniądze były jednak głównym powodem, dla którego Ray nie chciał wracać w rodzinne strony. Kancelaria Atlee & Atlee nigdy nie powstała, ponieważ młodszy wspólnik chciał za wszelką cenę wyjść z cienia starszego.

W prowincjonalnym miasteczku bowiem sędzia Atlee był naprawdę kimś.

Ray znalazł stację benzynową przy wyjeździe z miasta, szybko wrócił na szosę wijącą się między wzgórzami i jechał dalej, wciąż nie przekraczając siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Nieraz nawet zwalniał do sześćdziesiątki i od czasu do czasu zatrzymywał się, by podziwiać widoki. Regularnie

sprawdzał trasę na mapie, żeby omijać większe miasta, bo każda droga i tak doprowadziłaby go do Missisipi.

W pobliżu granicy Karoliny Północnej znalazł stary motel, który na tablicy reklamowej zachwalał czyste pokoje za jedyne dwadzieścia dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów, z klimatyzacją i telewizją kablową, choć sama tablica była powyginana i przerdzewiała. Najwyraźniej razem z kablówką dotarła tu inflacja, gdyż teraz nocleg kosztował czterdzieści dolarów. Za to po sąsiedzku znajdowała się czynna cała doba kafejka, gdzie z wielkim apetytem zjadł kilka racuchów, ich nocną specjalność. Po kolacji usiadł na ławce przed motelem, zapalił drugie cygaro i wodził wzrokiem za przejeżdżającymi z rzadka samochodami.

Jakieś sto metrów dalej po drugiej stronie szosy znajdowało się nieczynne zrujnowane kino dla zmotoryzowanych. Porośnięte winoroślą zadaszenie leżało na ziemi wśród bujnych chwastów, a wielki ekran i płotek wokół placu od lat chyliły się na wszystkie strony.

W Clanton też kiedyś było takie kino, tuż przy zjeździe z autostrady. Należało do właścicieli całej sieci kin z Północy i zapewniało mieszkańcom tanią rozrywkę w postaci plażowych romansideł, tandetnych horrorów czy bijatyk kung-fu, które przyciągały głównie młodzież, a zarazem dostarczały kaznodziejom tematów do rzucania gromów z ambony. W latach siedemdziesiątych Północ po raz drugi zaatakowała Południe, zalewając je falą filmów pornograficznych.

Jak większość rzeczy, zarówno dobrych, jak i złych, również pornografia dotarła do Missisipi z opóźnieniem. Kiedy na plakatach zapowiedziano film *Cheerleaderki*, nikt nie zwrócił na to większej uwagi. Ale gdy nazajutrz pojawiły się na nich naklejki z oznaczeniem XXX, na drodze zaczęły się robić korki, a w kafejkach przy rynku zapanowała gorąca atmosfera. W poniedziałek wieczorem w kinie zebrał się niezbyt liczny, podniecony tłumek ciekawskich. Następnego ranka zaczęły krążyć po szkole podawane z ust do ust entuzjastyczne recenzje,

a po zmroku kryjące się w krzakach i uzbrojone w lornetki gromadki uczniów spoglądały na ekran z rozdziawionymi ustami. I już po środowym wieczornym nabożeństwie księży i pastory zjednoczyli się, aby przypuścić zmasowany, choć mało przemyślany kontratak.

Idąc za przykładem obrońców praw obywatelskich – ludzi, za którymi bynajmniej nie przepadali – poprowadzili swoje owieczki uzbrojone w transparenty i tablice na wiec przed wjazdem do kina, gdzie oprócz modlitw i śpiewania psalmów odbywało się pośpieszne spisywanie numerów rejestracyjnych aut wjeżdżających na plac.

Zainteresowanie filmem wygasło jak nożem uciał. Przedstawiciele dystrybutora kinowego z Północy natychmiast złożyli pozew, w którym domagali się odszkodowania. W odpowiedzi duchowni wystąpili z własnym pozwem i jak należało oczekiwać, oba jednocześnie trafiły na wokandę czcigodnego Reubena Atlee, wieloletniego członka parafii Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego, człowieka, którego przodkowie zbudowali tam pierwszą świątynię, wygłaszającego od trzydziestu lat prelekcje dla gromadki starych capów zbierających się w kuchni w kościelnej piwnicy.

Przesłuchania ciągnęły się trzy dni. Żaden z miejscowych prawników nie chciał występować w obronie *Cheerleaderek*, toteż właściciele kina zaangażowali dużą firmę z Jackson. Punkt widzenia kościoła przedstawiło kilkunastu mieszkańców miasta.

Dziesięć lat później, już w trakcie studiów prawniczych na Tulane, Ray uważnie zapoznał się z orzeczeniem ojca. W zgodzie z orzeczeniami sądu federalnego w kilku podobnych sprawach Reuben Atlee uszanował prawo do protestu przeciwko wyświetlaniu filmu, z pewnymi jednak ograniczeniami. Po czym, powoławszy się na opinię Sądu Najwyższego w kwestii obsceniczności, zezwolił na wyświetlanie *Cheerleaderek*.

Pod względem czysto prawnym orzeczenie było doskonałe, ale od strony politycznej okazało się najgorsze z możliwych, bo nie zadowalało żadnej ze stron. Po nocach dzwoniło do

Sędziego z anonimowymi pogrózkami. Duchowni okrzyknęli go zdrajcą. „Zaczekaj do najbliższych wyborów!” – wykrzykiwali w kazaniach.

Do redakcji „Clanton Chronicle” i „The Ford County Times” napływały setki listów, w których oskarżano sędziego Atlee o to, że za jego sprawą bogobojna społeczność będzie teraz tonąć w brudzie. W końcu sprzykrzyła mu się ta fala krytyki i postanowił publicznie odpowiedzieć na zarzuty. Zrobił to w niedzielę wieczorem w swoim Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim. Wieść, że Sędzia przemówi, lotem błyskawicy – jak to w Clanton – rozeszła się po mieście i zgromadził się spory tłum. Atlee z dumnie uniesionym czołem podszedł po czerwonym dywanie do mównicy. Miał prawie dwa metry wzrostu i był potężnie zbudowany, toteż w eleganckim czarnym garniturze roztaczał wokół siebie aurę przywódcy.

– Sędzia, który liczy głosy wyborców przed rozpoczęciem procesu, powinien cisnąć togę do ognia i wynosić się ze swego urzędu – zaczął pewnym siebie tonem.

Ray i Forrest siedzieli wtedy najdalej, jak tylko można, w samym rogu balkonu, i obaj byli bliscy łez. Błagali ojca, żeby pozwolił im tego dnia nie iść do kościoła, ale w rodzinie Atlee opuszczenie nabożeństwa było nie do pomyślenia w żadnych okolicznościach.

Wyjaśnił słabiej obeznanym, że sędziowie muszą się stosować do prawnych precedensów, niezależnie od osobistych poglądów i opinii, że dobrzy sędziowie ściśle trzymają się przepisów prawa, a tylko słabi idą za głosem ludu, bez przerwy myślą o zjednywaniu sobie wyborców i przeżywają gorzkie chwile wstydu, kiedy ich podszyte tchórzostwem wyroki są później kwestionowane w sądach apelacyjnych.

– Możecie mnie nazywać, jak sobie chcecie – oznajmił milczącym ludziom – ale na pewno nie jestem tchórzem.

Ray do dzisiaj miał w uszach te słowa, a w oczach – ojca stojącego w odległym końcu kościoła, górującego nad mównicą niczym gigant.

Mniej więcej tydzień po procesie protesty ustały i *Cheerleaderki* wróciły do kina. Nadal wyświetlano też filmy z kung-fu. I wszyscy się cieszyli. A dwa lata później sędzia Atlee uzyskał w wyborach – jak poprzednio – osiemdziesiąt procent głosów z całego hrabstwa Ford.

Ray pstryknięciem posłał niedopałek cygara w krzaki i poszedł do swojego pokoju. Wieczorne powietrze niosło rześką ochłodę, otworzył więc szeroko okno i leżąc w łóżku, słyszał warkot samochodów wyjeżdżających z miasta i ruszających krętą szosą między wzgórz.



## Rozdział 5

---

**K**ażda ulica ma swoją historię, każdy budynek wiąże się ze wspomnieniami. Ci, których spotkało błogosławieństwo szczęśliwego dzieciństwa, mogą z uśmiechem przemierzać rodzinne miasta i z radością witać echo minionych lat. Pozostali wracają do domów jedynie z obowiązku i wyjeżdżają najszybciej, jak to możliwe. Już kwadrans po wjeździe do Clanton Ray zaczął tęsknić za chwilą, kiedy będzie mógł się stąd wynieść.

Pod pewnymi względami wiele się tu zmieniło, pod innymi wszystko było po staremu. Na obrzeżu miasta, przy zjeździe z autostrady, pojawiły się obskurne blaszane baraki i przyczepy mieszkalne, stojące przy samej drodze. W hrabstwie Ford nie istniała planowa gospodarka przestrzenna. Każdy właściciel terenu mógł na nim stawiać, co mu się żywnie podoba, nie pytając o zdanie sąsiadów. Jedynie budowa fermy tuczników oraz reaktora atomowego wymagała pewnych zezwoleń. W efekcie powstawały skupiska ruder, z roku na rok coraz brzydszych.

Za to w starszej części miasta, bliżej rynku, nic się nie zmieniło. Długie, ocienione wiekowymi drzewami uliczki były tak samo czyste i zadbane jak za czasów, kiedy Ray jeździł nimi na rowerze. W większości domów nadal mieszkali ludzie, których pamiętał z dzieciństwa, a jeśli pojawiali się nowi właściciele, ci, podobnie jak ich poprzednicy, dbali o to, by trawa była zawsze przystrzyżona, a okiennice pomalowane. Niewiele domów popadało w ruinę i zaledwie kilka zostało opuszczonych.

Tutaj, w samym sercu Pasa Biblijnego<sup>2</sup>, wciąż panowało niepisane prawo, że w niedziele nie wykonuje się żadnych prac, chodzi się tylko do kościoła, przesiaduje na werandach, spotyka z sąsiadami i wypoczywa, jak Pan Bóg przykazał.

Dzień był pochmurny i dość chłodny jak na maj, więc krążąc po starych śmieciach, aby zabić czas do wyznaczonego spotkania, Ray starał się przywołać przyjemne wspomnienia związane z Clanton.

Park Dizzy Dean, gdzie z drużyną Piratów brał udział w rozgrywkach Małej Ligi. Odkryty basen, w którym pływał każdego lata – oprócz roku 1969, kiedy to władze miejskie wolały go zamknąć, niż wpuścić tam czarne dzieci. Stojące przy skrzyżowaniu Drugiej i Elm Street trzy kościoły, baptystów, metodystów i prezbiterian, konkurujące między sobą wysokością wież, wyglądające jak trzej czuwający strażnicy. O tej porze nie było wokół nich żywej duszy, ale już za godzinę najbardziej pobożni obywatele powinni zacząć się schodzić na wieczorne nabożeństwa.

Rynek świecił pustkami tak samo jak prowadzące do niego uliczki. Ośmiotysięczne Clanton było już na tyle dużym miastem, aby przyciągnąć tanie supermarkety, które w podobnych miasteczkach eliminowały drobny handel. Tu jednak ludzie byli do tego stopnia przywiązani do tradycji i zaufanych sprzedawców, że przy rynku nie zniknął ani jeden sklep detaliczny, jakby w ogóle nie dotarły tu przemiany. Sklepy, banki, kancelarie prawnicze i kawiarnie – w niedzielę wszystkie zamknięte.

Ray odwiedził też cmentarz, gdzie w starszej części, z większymi i okazalszymi pomnikami, znajdowały się groby rodziny Atlee. Niektórzy jego przodkowie stawiali swoim zmarłym prawdziwe monumenty. W młodości podejrzewał, że legendarne rodzinne skarby, o których tyle się nasłuchiwał, muszą być ukryte pod jednym z tych pomników. Zatrzymał się przy grobie matki. Nie odwiedzał go od lat. Została pochowana wśród

innych członków rodu Atlee, lecz na samym końcu kwatery, ponieważ tak naprawdę nigdy nie weszła do tej rodziny.

Już niedługo, za niespełna godzinę, miał zasiąść w gabinecie Sędziego, aby przy wstrętnej herbacie instant odebrać precyzyjne i szczegółowe dyspozycje dotyczące ostatniej woli ojca. Spodziewał się długiej litanii rozkazów i zaleceń, Sędzia bowiem uważał się za znaczącą postać i bardzo się troszczył o to, jak ludzie go zapamiętają.

Jadąc w stronę domu, minął wieżę ciśnień, na którą dwukrotnie udało mu się wdrapać, przy czym za drugim razem na dole czekała już na niego policja. Skrzywił się na widok swojego liceum, w którym od matury nie był ani razu. Tuż za nim znajdowało się boisko piłkarskie, na którym Forrest bez trudu radził sobie z przeciwnikami i pewnie zostałby gwiazdą footballu, gdyby nie usunięto go karnie z drużyny.

Za dwadzieścia piąta, niedziela siódmego maja. Czas na rodzinne spotkanie.

\* \* \*

Wokół Klonowego Zdroju nie było śladów życia. Frontowy trawnik najwyraźniej przystrzyżono w ubiegłym tygodniu, stary czarny lincoln Sędziego stał na tyłach domu, ale poza tymi dwoma elementami reszta sprawiała takie wrażenie, jakby nikt tu nie mieszkał od wielu lat.

W części frontowej budynku wyróżniały się cztery smukłe okrągłe kolumny podtrzymujące portyk. W młodości Raya były pomalowane na biało, teraz jednak dominowała zieleń porastającego je bluszczu i dzikiego wina. Wybijała glicynia całkowicie zasłaniała szczyty kolumn i krawędź dachu. Dawne rabaty kwiatowe, żywopłoty i ścieżki ginęły w morzu chwastów.

Ilekroć parkował na podjeździe tego domu, opadały go natrętne wspomnienia i z żalem spoglądał na opłakany stan niegdyś wspaniałego domu. Teraz też to czuł. I jak zawsze ogarnęło go poczucie winy. Powinien był tu zostać, żeby spełnić

marzenia ojca i wydać na świat ósme pokolenie rodu Atlee; powinien ożenić się z jakąś miejscową dziewczyną i spłodzić co najmniej kilku potomków, którzy zapełniliby Klonowy Zdrój życiem i odnosząc się z szacunkiem do Sędziego, uszczęśliwiliby go na stare lata.

Trzasnął drzwiami samochodu tak głośno, jak tylko mógł, mając nadzieję, że w ten sposób oznajmi swoje przybycie, ale ten odgłos zabrzmiał dziwnie cicho. W posesji sąsiadującej z Klonowym Zdrojem od wschodu, w domu będącym jego dokładną repliką, mieszkało kilka sióstr, starych panien wymierających stopniowo od dziesięcioleci. Ich kolumny nie były jednak porośnięte winem, ogród kwiatowy nie zarósł zielskiem, a front ocieniało pięć rozłożystych dębów, najstarszych drzew w Clanton.

Schody i weranda rodzinnego domu Raya zostały niedawno zamiecione, przy uchylonych drzwiach stała jeszcze miotła. Sędzia nie miał zwyczaju zamykać drzwi wejściowych nawet na noc, a ponieważ wzbraniał się także przed zainstalowaniem klimatyzacji, to w dzień i w nocy zostawiał szeroko pootwierane okna.

Ray wziął głęboki oddech i pchnął drzwi, aż odbiły się od ogranicznika. Wszedł do holu i pociągnął nosem, obawiając się, że i tym razem poczuje nieprzyjemny smród, choć nie wiedział czego. Sędzia przez lata trzymał starego kocura, który miał paskudne zwyczaje, czego skutkiem były nieprzyjemne zapachy wypełniające dom. Kot zdechł już jakiś czas temu i na szczęście smród zniknął, choć było duszno, a w silnie nasyconym zapachem fajkowego tytoniu powietrzu czuło się kurz. Na szczęście nic więcej.

– Czy ktoś jest w domu? – zapytał niezbyt głośno Ray.

Nie było odpowiedzi.

W holu, podobnie jak wszędzie, leżały pod ścianą kartonowe teczki i pudła ze starymi papierzyskami, do których Sędzia był przywiązany, jakby miały dla niego jakieś znaczenie. Leżały tak od czasu, gdy przechodząc na emeryturę, musiał opróżnić swój

gabinet w sądzie. Ray popatrzył w prawo i zajrzał przez otwarte drzwi do jadalni, gdzie także nic się nie zmieniło od czterdziestu lat, po czym ruszył korytarzem również zawałonym teczkami i pudłami. Chwilę później stanął przed drzwiami gabinetu ojca.

Sędzia drzemał na kanapie.

Ray wycofał się szybko i wszedł do kuchni, gdzie ku jego zaskoczeniu nie było sterty brudnych naczyń w zlewie, a blaty wydawały się czyste. Zwykle panował tu straszny bałagan, ale nie dzisiaj. W lodówce znalazł puszkę dietetycznej coca-coli. Usiadł z nią przy stole, usiłując podjąć decyzję, czy powinien obudzić ojca, czy też maksymalnie odwlec to, co nieuniknione. Schorowany Sędzia na pewno potrzebował odpoczynku, toteż Ray, sącząc powoli colę, przyglądał się obojętnie, jak wskazówki zegara wiszącego nad kuchenką zmiernie nieuchronnie ku godzinie siedemnastej.

Był pewien, że brat się pojawi. Czekala ich zbyt ważna rozmowa, aby ją zlekceważyć. Tyle że punktualność nie należała do zalet Forresta. Nigdy nie nosił zegarka i często powtarzał, że nie wie nawet, jaki dziś dzień, i ludzie zwykle w to wierzyli.

Punktualnie o piątej Ray uznał, że nie będzie dłużej czekać. Przebył szmat drogi na wezwanie ojca, wolał więc jak najszybciej załatwić sprawy. Wrócił do gabinetu, podszedł do kanapy i stanął, targany sprzecznymi uczuciami. Nie chciał budzić staruszka, ale jednocześnie czuł się jak intruz.

Sędzia miał na sobie takie same czarne spodnie i białą nakrochmaloną koszulę, jakie Ray pamiętał sprzed lat. Był bez krawata; miał granatowe szelki, czarne skarpetki i czarne miękkie kapcie. Musiał sporo stracić na wadze, bo ubranie na nim wisiało. Jego wychudła twarz była bardzo blada, mocno przerzedzone włosy zaczesał do tyłu. Dłonie splecione na brzuchu wydawały się niemal tak samo białe jak koszula.

Pod prawą ręką miał niewielki plastikowy pojemnik przymocowany do paska spodni. Zaciekawiony Ray zbliżył się o krok i pochylił. W pojemniku była morfina.

Zamknął oczy, ale zaraz je otworzył i rozejrzał się po gabinecie. Stare biurko żaluzjowe stojące pod olejnym portretem generała Forresta wyglądało tak samo jak w czasach jego dzieciństwa. Pośrodku nadal stała wysłużona walizkowa maszyna do pisania, obok leżała sterta papierów. Metr dalej stało drugie biurko, większe, mahoniowe, należące do tego Atlee, który walczył pod wodzą Forresta.

Stojąc na środku gabinetu, pod surowym spojrzeniem generała Nathana Bedforda, Ray zdał sobie sprawę, że ojciec nie oddycha. Zastanawiał się przez chwilę. Kaszlnął, lecz Sędzia się nie poruszył. Ray pochylił się i ujął jego lewy nadgarstek. Nie wyczuł pulsu.

Sędzia Reuben V. Atlee był martwy.



## Rozdział 6

---

**W** gabinecie stał stary fotel na biegunach z wytartą poduszką i wystrzępionym pledem zakrywającym oparcie. Nikt z niego nigdy nie korzystał oprócz kota. Ray usiadł tam, bo bujak był najbliżej. Siedział tak przez dłuższy czas, spoglądając na kanapę, jakby miał nadzieję, że ojciec lada chwila zacznie oddychać, ocknie się, usiądzie, po czym przejmie sprawy w swoje ręce i zapyta: „A gdzie Forrest?”.

Sędzia leżał jednak bez ruchu. Jedynym odgłosem w całym Klonowym Zdroju był cichy szmer przyśpieszonego oddechu Raya, który ze wszystkich sił usiłował się opanować. Otaczała go martwa cisza, a stojące powietrze wydawało się jeszcze cięższe. Wpatrywał się w pobielale palce ojca, oczekując, że uniosą się odrobinę, gdy powietrze wypełni płuca, i nabiorą choć trochę koloru, kiedy zacznie w nich krążyć krew. Nic się jednak nie działo. Ojciec wciąż leżał zeszywniały, ze złączonymi nogami, rękami przylegającymi do boków i brodą spuszczoną na piersi, jakby kładąc się na kanapie, wiedział już, że będzie to jego ostatnia drzemka. Usta miał zamknięte i lekko wygięte w tajemniczym uśmiechu. Widocznie morfina uśmierzyła przedśmiertny ból.

Minął pierwszy szok i do głowy zaczęły się cisnąć pytania. Od jak dawna Sędzia nie żył? Czy to rak go pokonał, czy może śmierć nastąpiła na skutek przedawkowania morfiny? Zresztą, cóż to za różnica? Co ta śmierć mogła oznaczać dla jego synów? Gdzie się podziewał Forrest, do cholery? Ale i on nie mógł nic poradzić w tej sytuacji.

Będąc po raz ostatni sam na sam z ojcem, Ray powstrzymał cisnące się łzy, usiłując odepchnąć od siebie wyrzuty sumienia. Przecież mógł przyjechać wcześniej, mógł częściej odwiedzać sędziego, pisać do niego i telefonować. Lista tego rodzaju zarzutów zdawała się nie mieć końca.

Wreszcie wstał z fotela, uklęknął przy kanapie, położył głowę na piersi zmarłego i szepnął:

– Kocham cię, tato.

Odmówił krótką modlitwę, a gdy wstał, oczy miał pełne łez. Nie chciał tego. Lada chwila mógł przyjechać młodszy brat, a Rayowi bardzo zależało, by spokojnie, bez emocji zapanować nad sytuacją.

Na mahoniowym biurku stała popielniczka, leżały w niej dwie fajki. Jedna była pusta, główkę drugiej wypełniał ubity, na wpół spalony tytoń. Jeszcze lekko ciepły. Tak mu się przynajmniej zdawało. Ale nie był pewien, choć widział w wyobraźni, jak Sędzia pali fajkę, porządkując papiery na biurku, bo nie chce przyjmować synów w bałaganie, a kiedy ból daje mu się we znaki, wyciąga się na kanapie, aplikuje sobie dawkę morfiny, zamyka oczy i umiera.

Obok maszyny do pisania leżała jedna z kopert Sędziego, podpisana: *Testament i ostatnia wola Reubena V. Atlee*. Poniżej widniała wczorajsza data: *6 maja 2000 roku*. Ray wziął ją i poszedł do kuchni. Wyjął z lodówki następną puszkę dietetycznej coca-coli i usiadł na ławce zawieszanej na łańcuchach na werandzie, żeby tu zaczekać na Forresta.

Przez jakiś czas zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić do zakładu pogrzebowego i poprosić o zabranie zwłok ojca przed przybyciem brata, ale w końcu otworzył kopertę i zaczął czytać testament. Krótki jednostronicowy dokument nie zawierał żadnych niespodzianek.

Postanowił zaczekać do osiemnastej, a jeśli Forrest się nie pojawi, dopiero wtedy powiadomić zakład pogrzebowy.

Kiedy wrócił do gabinetu, Sędzia nadal spoczywał bez ruchu, co także ani trochę go nie zaskoczyło. Położył testament

w kopercie przy maszynie do pisania i zaczął przeglądać pozostałe dokumenty. W pierwszej chwili poczuł się nieswojo, ale wiedział już, że ojciec wyznaczył go na wykonawcę ostatniej woli, więc i tak porządkowanie papierów musiało spaść na niego. Ponadto czekała go inwentaryzacja majątku, uregulowanie wszelkich rachunków oraz zatwierdzenie testamentu w sądzie. Ojciec wszystko dzielił równo między obu synów, a więc nie powinno być żadnych komplikacji.

Nie mogąc się doczekać przyjazdu brata, Ray wrócił do gabinetu i zaczął nerwowo krążyć pod czujnym spojrzeniem generała Forresta z portretu. Zachowywał się cicho, żeby nie zakłócać spokoju zmarłego. Zajrzał do szuflad biurka wypełnionych firmowym papierem oraz kopertami z nadrukiem. Przejrzał stosik ostatniej korespondencji leżący na mahoniowym biurku.

Duży regał za kanapą był zastawiony grubymi podręcznikami prawa i kodeksami, po które najwyraźniej nikt od lat nie sięgał. Według rodzinnej legendy, ten mebel z litego orzechowego drewna został zrobiony w prezencie przez pewnego mordercę niewinnionego pod koniec ubiegłego wieku przez innego sędziego Atlee, pradziadka Raya. Nikt poza Forrestem nie podawał tej opowieści w wątpliwość. Masywne półki na książki zostały dorobione do długiej komody mającej niespełna metr wysokości, podzielonej na sześć segmentów z drzwiczkami. Ray nigdy do niej nie zaglądał, tym bardziej że za kanapą była prawie niewidoczna.

Ale teraz jedne drzwi były uchylone i przez szparę dostrzegł poustawiane równo obok siebie ciemnozielone kartonowe pudła z drukarni Blake & Son, jakie widywał w domu od wczesnej młodości. Ta najstarsza firma drukarska z Memphis od niepamiętnych czasów zaopatrywała w firmowe druki i koperty chyba wszystkich adwokatów i sędziów z Missisipi. Ray wcisnął się za oparcie kanapy i pochylił w bok, żeby lepiej widzieć, ale niewiele było widać.

Mimo to zauważył, że pierwsze z brzegu pudło na najniższej półce, tuż nad podłogą, jest bez pokrywy. Zamiast kopert były w nim ciasno poukładane banknoty studolarowe. W pudełku o szerokości trzydziestu i długości czterdziestu pięciu centymetrów, wysokim na jakieś dwanaście centymetrów, musiały ich być setki. Szybko wyciągnął pudełko i zważył w dłoniach. Było ciężkie. A w głębi komody stał drugi rząd takich samych pudeł.

Wyjął drugie i zajrzał pod wieko. To również było wypełnione studolarówkami. Podobnie trzecie. Banknoty w czwartym były oklejone żółtymi banderolami z nadrukiem: \$2,000. Pośpiesznie policzył pliki: pięćdziesiąt trzy.

Sto sześć tysięcy dolarów.

Na czworakach wcisnął się za kanapę i uważając, żeby niczego nie poruszyć, zajrzał do pozostałych pięciu segmentów komody. Zobaczył około dwudziestu identycznych zielonych pudeł z drukarni Blake & Son.

Szybko wstał i wyjrzał na korytarz, po czym wyszedł na werandę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. W głowie mu się kręciło. Kiedy usiadł na najwyższym stopniu schodów, kropla potu skapnęła mu z czubka nosa na spodnie.

\* \* \*

Nie potrafił myśleć klarownie i logicznie, ale liczby przemawiały same za siebie. Jeśli założyć, że w gabinecie było dwadzieścia pudeł, a każde zawierało około stu tysięcy dolarów, to ta gotówka znacznie przekraczała wszystkie dochody sędziego z trzydziestodwuletniego okresu służby publicznej. Ojciec pracował na pełnym etacie, nigdy nie brał żadnych dodatkowych prac zleconych i z pewnością w ciągu ostatnich dziewięciu lat życia niewiele mógł dorobić do emerytury.

Nie uprawiał hazardu i z tego, co Ray wiedział, nigdy nie kupił ani jednej akcji na giełdzie.

Na ulicy pojawił się jakiś samochód. Naszły go obawy, że przyjechał Forrest. Auto minęło jednak dom i gdy tylko się oddaliło, Ray poderwał się na nogi i pobiegł z powrotem do gabinetu. Z wysiłkiem uniósł jeden koniec kanapy i odsunął go trochę od komody. To samo zrobił z drugiej strony. Znow wczółgał się na czworakach między kanapę a komodę i zaczął wyciągać kartonowe pudełka po firmowym papierze. Ustawił pięć, jedno na drugim, dźwignął z podłogi i przeniósł do kuchni. Otworzył drzwi schowka pokojówki, w którym szczotki i mopy stały tak, jak przed śmiercią poustawiała je Irene. Najwyraźniej nikt ich od tamtej pory nie ruszał. Ray pośpiesznie zgarnął z kąta pajęczyny i postawił stos pudełek na podłodze.

W schowku nie było okna, nie dało się do niego zajrzeć z kuchni.

Wybiegł do jadalni i wyjrzał przez frontowe okno na podjazd, na którym stało tylko audi. Pognał z powrotem do gabinetu; tym razem ustawił jedno na drugim siedem pudeł i z mozołem przetaszczył je przez kuchnię do schowka. Znow podbiegł do okna i nie zauważywszy nikogo, wrócił do gabinetu, gdzie wyciągnięte na kanapie zwłoki ojca stygły z minuty na minutę. Musiał jeszcze zrobić dwa kursy. W sumie było dwadzieścia siedem pudeł. W kącie schowka zakrył je ścierką, aby nie rzucały się w oczy.

Dochodziła już szósta, kiedy z bagażnika swojego samochodu wyjął torbę podróżną. Musiał włożyć świeżą koszulę i oczyścić spodnie. W domu we wszystkich kątach grubo zalegał kurz, który zostawił szare smugi na ubraniu. Ray umył się w jedynej łazience na parterze, otrzepał ręcznikiem nogawki spodni i wrócił do gabinetu, żeby zrobić tam porządek. Ustawił kanapę na miejscu, po czym zaczął zaglądać do innych pokoi, szukając dalszych kryjówek.

Właśnie sprawdzał zawartość szafy w sypialni ojca na piętrze, gdy przez otwarte na oścież okno usłyszał warkot samochodu skręcającego z ulicy. Pognał schodami na dół i zdążył usiąść na

huśtawce na werandzie, zanim Forrest zaparkował obok audi i wysiadł. Ray odetchnął głęboko, żeby rozluźnić napięte nerwy.

Odnalezienie martwego ojca było wystarczająco silnym szokiem jak na jeden dzień, a po odkryciu pieniędzy w pudłach był kompletnie roztrzęsiony.

Forrest, z rękami w kieszeniach białych płóciennych spodni, wcale się nie śpiesząc, zbliżył się do stopni werandy. Na nogach miał wypolerowane do połysku czarne ciężkie buty traperskie z jaskrawozielonymi sznurówkami. Zawsze musiał się czymś wyróżniać.

– Witaj, Forrest – odezwał się cicho Ray.

– Cześć, braciszku.

– On nie żyje.

Forrest znieruchomiał, przez chwilę patrzył mu prosto w oczy, wreszcie odwrócił głowę i spojrzał w głąb ulicy. Był w starej brązowej marynarce i czerwonym T-shircie – na taki zestaw nie wpadłby nikt poza nim. I nikogo poza nim nie tolerowano by w takim stroju. Jako pierwszy wolny duch w Clanton – którym sam się ogłosił – zawsze starał się robić wrażenie oryginalnego, ekstrawaganckiego cudaka.

Przytył trochę, ale dobrze mu to zrobiło. Długie włosy o barwie piasku były znacznie bardziej poprzetykane siwizną niż u Raya. Pewnie dlatego nosił na głowie podniszczoną granatową czapkę baseballową z logo drużyny Cubs.

– Gdzie on jest? – zapytał.

– U siebie.

Pchnął siatkowe drzwi i wszedł do domu. Ray podążył za nim. Forrest zatrzymał się tuż za progiem gabinetu, nie mając pewności, jak powinien się zachować. Spoglądając na leżącego nieruchomo Sędziego, wyraźnie pochylił głowę na bok, aż Ray nabrał obaw, że brat za chwilę się załamie. Forrest wcale nie był tak twardy, jakiego udawał.

– Mój Boże – wymamrotał, po czym podszedł do fotela na biegunach, usiadł w nim i jeszcze raz spojrzał z niedowierzaniem na ojca. – On naprawdę nie żyje? – wyjąkał przez zaciśnięte zęby.



– Tak.

Forrest przełknął ślinę, powstrzymując łzy cisnące się do oczu.

– O której przyjechałeś? – spytał.

Ray odsunął taboret od biurka i usiadł naprzeciwko brata.

– Koło piątej. Kiedy tu wszedłem, pomyślałem, że zapadł w drzemkę. Dopiero później zrozumiałem, że nie żyje.

– Przykro mi, że to ty go znalazłeś – mruknął Forrest, ocierając palcem kąciuki oczu.

– Na kogoś musiało paść.

– I co teraz zrobimy?

– Zadzwonimy do domu pogrzebowego.

Forrest w zamyśleniu pokiwał głową, jakby wyrażał aprobatę dla tego pomysłu. Wstał powoli, na miękkich nogach podszedł do kanapy i położył rękę na dłoniach ojca.

– Od jak dawna nie żyje? – spytał gardłowym, łamiącym się głosem.

– Nie mam pojęcia. Od kilku godzin.

– A co to jest? – Wskazał plastikowy pojemniczek.

– Morfina – odparł Ray.

– Sądzisz, że mógł przedawkować?

– Mam nadzieję, że tak było.

– Powinniśmy przy nim być.

– Daj spokój.

Forrest rozejrzał się po gabinecie, jakby znalazł się tu po raz pierwszy. Podszedł do biurka i obrzucił wzrokiem maszynę do pisania.

– Nie będzie mu już potrzebna nowa taśma do underwooda – powiedział.

– To prawda. – Wykorzystując okazję, Ray zerknął na komodę za kanapą. – Przy maszynie leży jego testament. Możesz przeczytać, jeśli chcesz. Podpisał go wczoraj.

– Jak zdecydował?

– Zapisał nam majątek po połowie. Mnie wyznaczył na wykonawcę.

– To oczywiste. – Forrest podszedł do mahoniowego biurka i zerknął na leżące na nim papiery i listy. – Minęło dziewięć lat, odkąd byłem ostatnio w tym domu. Aż trudno w to uwierzyć, nie?

– Owszem.

– Wpadłem kilka dni po wyborach, żeby mu powiedzieć, jak mi przykro, że nie został wybrany na kolejną kadencję. A potem poprosiłem go o pieniądze. Pokłóciliśmy się.

– Przestań. To kiepski moment.

Opowieści o kłótniach brata z ojcem można było ciągnąć bez końca.

– Nie dał mi ani centa – mruknął Forrest, wysuwając szufladę biurka. – Chyba będziemy musieli to wszystko przejrzeć.

– Ale nie teraz.

– To twoja decyzja, Ray. W końcu jesteś wykonawcą testamentu. Na ciebie spadnie cała brudna robota.

– Najpierw trzeba zadzwonić do domu pogrzebowego.

– Muszę się napić.

– Proszę, Forrest. Tylko nie to.

– Odczep się, dobra? Mogę pić, kiedy przyjdzie mi na to ochota.

– Dowodziłeś tego tysiące razy. Lepiej chodź ze mną. Zadzwonimy do domu pogrzebowego i razem zaczekamy na werandzie na przyjazd karawanu.

\* \* \*

Jako pierwszy zjawił się młody policjant z głową ogoloną do gołej skóry, sprawiający wrażenie rozwścieczonego, że przerwano mu niedzielną drzemkę i powierzono nieprzyjemne zadanie. Na werandzie zadał kilka pytań, później poszedł obejrzeć zwłoki. Zanim wrócili przed dom, żeby spisać protokół, Ray przygotował dzbanek mocno osłodzonej herbaty instant.

– Przyczyna śmierci? – zapytał gliniarz.

– Rak, niewydolność serca, cukrzyca, starość. – Ray siedział z bratem na kołyszącej się lekko huśtawce.

– Wystarczy? – wtrącił Forrest jak przemądrzały smarkacz. Już dawno temu stracił resztki szacunku dla policjantów.

– Chcecie sekcji zwłok?

– Nie – odpowiedzieli równocześnie.

Wreszcie skończył wypełniać ostatni formularz, kazał im je podpisać i odjechał.

– Teraz wiadomość obiegnie Clanton lotem błyskawicy – zauważył Ray.

– Jak zwykle w naszym ukochanym miasteczku.

– W to też trudno uwierzyć, prawda? Ludzie tu nadal plotkują jak kiedyś.

– Przysparzałem im wciąż nowych tematów przez dwadzieścia lat.

– O tak, na pewno.

Siedzieli ramię przy ramieniu, trzymając w rękach puste szklanki.

– Jaki jest ten majątek do podziału? – zapytał w końcu Forrest.

– Chcesz zobaczyć testament?

– Nie. Wystarczy, że mi powiesz.

– Wymienił w nim wszystko, dom, meble, samochód, książki, sześć tysięcy dolarów na koncie.

– Nic więcej?

– O niczym innym nie wspomniał – odparł Ray, chcąc uniknąć kłamstwa.

– Na pewno jest jeszcze jakaś forsa – mruknął Forrest, jakby chciał natychmiast przystąpić do przeszukiwania pokojów.

– Obawiam się, że wszystko rozdał potrzebującym – odparł spokojnie Ray.

– A co z funduszem emerytalnym?

– Skasował całość po tym, jak przegrał wybory. Stracił na tym dziesiątki dolarów, a to, co wtedy dostał, pewnie rozdał.

– Chyba nie zamierzasz mnie wykiwać, co?

– Daj spokój, Forrest. Naprawdę nie ma się o co spierać.

- Nie zostawił długów?
- Napisał w testamencie, że nie ma żadnych.
- I nic poza tym? – dociekał Forrest.
- Możesz sam przeczytać.
- Nie teraz.
- Podpisał go dopiero wczoraj.
- Myślisz, że on to wszystko zaplanował? No wiesz... nasz przyjazd...

– Na to wygląda.

Na ulicy pojawił się czarny karawan z domu pogrzebowego Magargela. Zwolnił przed Klonowym Zdrojem, zatrzymał się i powoli wjechał tyłem na podjazd.

Forrest spuścił głowę, oparł łokcie na kolanach, ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać.

## Rozdział 7

---

Tuż za karawanem na podjazd skręcił Thurber Foreman, koroner hrabstwa, jeżdżący wciąż tym samym czerwonym pick-upem Dodge'em co przed laty, a zaraz za nim wielebny Silas Palmer z Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego, drobny Szkot o trudnym do określenia wieku, który chrzczył obu braci. Forrest pośpiesznie wstał i wymknął się na tyły domu. Ray sam powitał przybyłych na werandzie i odebrał kondolencje. Zarówno Magargelowi, właścicielowi firmy pogrzebowej, jak i wielebnemu Palmerowi zakręciły się łzy w oczach. Thurber w pracy zawodowej miał do czynienia z wieloma zwłokami, poza tym nie był finansowo zainteresowany tym przypadkiem, toteż – przynajmniej w tym momencie – sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego.

Ray poprowadził całą grupę do gabinetu ojca, gdzie oględziny zwłok trwały na tyle długo, by Thurber oficjalnie stwierdził, że sędzia Atlee nie żyje. W pełnym szacunku milczeniu z posępną miną skinął głową Magargelowi, jakby mówił: „Tak, jest martwy. Możesz go zabrać”. Ten odpowiedział takim samym skinieniem głowy i przystąpił do procedury, którą wspólnie wykonywali wielokrotnie.

Thurber wyjął z teczki formularz i zadał kilka podstawowych pytań. Zapisał nazwisko oraz imiona sędziego, datę i miejsce urodzenia, dane personalne najbliższych krewnych. Po raz drugi Ray musiał zadeklarować, że sekcja zwłok nie będzie konieczna.

Później przeszedł z wielebnym Palmerem do jadalni i usiedli przy stole. Pastor odbierał śmierć Sędziego nawet bardziej

emocjonalnie niż on. Powiedział, że szczerze podziwiał zmarłego, z którym łączyła go serdeczna przyjaźń.

Pogrzeb tak wybitnego człowieka jak sędziego Atlee musiał zgromadzić wielu jego znajomych i zwolenników, toteż należało wszystko dokładnie zaplanować.

– Omawialiśmy to z Reubenem nie tak dawno temu – oznajmił Palmer gardłowym, lekko chrapliwym głosem, jakby coś ścisnęło go za gardło.

– To dobrze.

– Sam wybrał kazanie i psalmy, wytypował też przyjaciół, którzy poniosą trumnę.

Ray w ogóle nie myślał dotąd o takich szczegółach. Pewnie by to zrobił, gdyby nie to, że znalazł w domu parę milionów dolarów w gotówce. Z jednej strony słuchał Palmera, jego mózg rejestrował padające słowa, ale z drugiej wyobraźnia ciągle podsuwała widok wypełnionych banknotami zielonych pudeł stojących w schowku na szczotki. Nagle zaczął się denerwować, że zostawił Thurbera i Magargela samych przy zwłokach ojca w gabinecie. Uspokój się! – powtarzał sobie w duchu.

– Dziękuję – odparł, naprawdę wdzięczny za to, że ktoś inny zajął się szczegółami związanymi z pogrzebem. Odprowadził wzrokiem pomocnika Magargela, który przetoczył wózek do transportu zwłok z holu i usiłował w zawałonym papierami korytarzu wjechać nim w otwarte drzwi gabinetu.

– Poza tym pański ojciec życzył sobie, żeby zorganizować czuwanie przy zwłokach – odezwał się pastor.

Chodziło o tradycyjne wystawienie zwłok na widok publiczny, zwłaszcza wśród ludzi starszych rozpowszechnione jako element konieczny przed samym pochówkiem.

Ray pokiwał głową.

– Tutaj, w jego domu – dodał wielebny.

– Nie – odparł szybko Ray. – To wykluczone.

Zamierzał, gdy tylko zostanie sam, nadal szukać skarbów. I ani na chwilę nie mógł zapomnieć o pieniądzach ukrytych w schowku. Ile w sumie było tam gotówki? Ile czasu musiało



zając jej przeliczanie? Czy nie były to przypadkiem fałszywe pieniądze? Skąd pochodziły? Co powinien z nimi zrobić? Dokąd je zabrać? Kogo wtajemniczyć? Musiał to wszystko dobrze przemyśleć, rozważyć różne wyjścia i ułożyć jakiś plan działania.

– Twój ojciec był w tej sprawie bardzo stanowczy – powiedział Palmer.

– Przykro mi, wielebny. Zorganizujemy czuwanie przy zwłokach, ale nie tutaj.

– Mogę zapytać dlaczego?

– Z powodu mojej matki.

Pastor uśmiechnął się i wyrozumiale pokiwał głową.

– Dobrze pamiętam waszą matkę.

– Leżała w otwartej trumnie na stole w saloniku od frontu i przez dwa dni przewijało się tamtędy całe Clanton. A my z bratem siedzieliśmy w pokoju na piętrze i przeklinaliśmy ojca, że zezwolił na to przedstawienie. – Ray mówił pewnym głosem, oczy mu błyszczały. – Dlatego nie chcę urządzić drugiego takiego przedstawienia w tym domu, wielebny.

Był całkowicie szczery, lecz jednocześnie zależało mu na bezpieczeństwie rzeczy pozostawionych przez ojca. Gdyby zgodził się na organizację czuwania, musiałby tu ściągnąć mnóstwo osób: sprzątaczkę, ludzi z firmy cateringowej i kwiaciarni. Od samego rana kręciłyby się tu tłumy.

– Rozumiem – odezwał się pastor.

Jako pierwszy z gabinetu wyszedł pomocnik z firmy pogrzebowej pchający przed sobą wózek, tuż za nim Magargel. Zwłoki były całkowicie zakryte dużym śnieżnobiałym prześcieradłem z końcami starannie powtykanymi pod ciało. Chwilę później pojawił się także Thurber, który pomógł znieść wózek po schodach z werandy. W ten sposób opuścił dom ostatni z rodu Atlee mieszkający w Klonowym Zdroju.

\* \* \*

Pół godziny później Forrest zmaterializował się z powrotem przy huśtawce. W ręce trzymał wysoką szklanę od piwa z podejrzanie wyglądającym bursztynowym płynem. Na pewno nie była to mrożona herbata.

– Odjechali? – zapytał, zerkając na podjazd.

– Tak. – Ray siedział na schodach i palił cygaro. Za ledwie brat usiadł obok niego, poczuł charakterystyczny zapach whiskey.

– Gdzie to znalazłeś? – spytał.

– W kryjówce ojca w łazience. Chcesz trochę?

– Nie. Kiedy się dowiedziałeś o tej kryjówce?

– Trzydzieści lat temu.

Przez głowę Raya przemknęły dziesiątki morałów, ugryzł się jednak w język. Prawił je wielokrotnie, ale, jak widać, nie odnosiły żadnego skutku, skoro po stu czterdziestu jeden dniach trzeźwości Forrest znów raczył się teraz whiskey.

– Jak ci się układa z Ellie? – zapytał, wydmuchawszy dym z cygara.

– Wariatka, i tyle.

– Przyjedzie na pogrzeb?

– Nie. Znowu waży ponad sto czterdzieści kilogramów, a wyznaczyła sobie limit na siedemdziesiąt. Więc jeśli waży mniej albo więcej niż siedemdziesiąt, nie wychyla nosa z domu.

– A kiedykolwiek ważyła poniżej siedemdziesięciu?

– Trzy albo cztery lata temu. Znalazła jakiegoś cudownego doktora, który przepisał jej specjalne leki. Schudła na nich aż do pięćdziesięciu kilogramów. Ale doktor wyłudował w kiciu, a ona błyskawicznie utyła do stu czterdziestu. Jeszcze nigdy tyle nie ważyła. Codziennie rano staje na wadze i dostaje szau, bo wskazówka ciągle pokazuje to samo.

– Powiedziałem wielebnemu Palmerowi, że zgodzimy się na czuwanie przy zwłokach, pod warunkiem że zostanie zorganizowane gdzie indziej, nie w domu.

– Cóż, ty jesteś wykonawcą testamentu.

– A więc zgadzasz się na to?

– Jasne.

Forrest upił spory łyk wisheya, a Ray głęboko zaciągnął się cygarem.

– A co z tą zdziwą, która wystawiła cię do wiatru? Jak ona się nazywała?

– Vicki.

– O, właśnie, Vicki. Nie lubiłem suki już od dnia waszego ślubu.

– Szkoda, że nie odczuwałem tego samego.

– Widujesz ją jeszcze?

– Owszem. Widziałem ją w ubiegłym tygodniu na lotnisku, jak wysiadała z prywatnego odrzutowca.

– To znaczy, że wyszła za tego starego capa, tego oszusta z Wall Street?

– Może zmienimy temat, dobrze?

– Sam zacząłeś o kobietach.

– No tak, mój błąd.

Forrest pociągnął kolejny łyk ze szklanki.

– W takim razie pogadajmy o pieniądzach – powiedział. – Co się z nimi stało?

Ray skrzywił się odruchowo, serce podeszło mu do gardła. Brat wodził jednak spojrzeniem po trawniku przed domem i chyba niczego nie zauważył. O jaką forszę ci chodzi, braciszku? – przemknęło Rayowi przez głowę.

– Porozdawał je.

– Dlaczego?

– Bo to były jego pieniądze, a nie nasze.

– Nie mógł zostawić choć trochę dla nas?

Nie tak dawno Sędzia wyznał Rayowi w zaufaniu, że w ciągu ostatnich piętnastu lat musiał wydać ponad dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów na adwokatów, kaucje i leczenie odwykowe Forresta. Gdyby całej reszty nie przeznaczył na pomoc kalekim dzieciom i głodującym rodzinom, lecz dał młodszemu synowi, ten dalej by pił i ćpał. Rayowi, który miał dobrze płatną posadę, nie musiał pomagać finansowo.

– Zostawił nam dom.

- Co z nim zrobimy?
- Sprzedamy, jeśli tego chcesz. Spieniężymy wszystko, co tylko się da. Połowę z tego trzeba będzie przeznaczyć na podatki. Załatwienie formalności spadkowych zajmie co najmniej rok.
- Ile da się z tego wyciągnąć?
- W najlepszym razie za rok dostaniemy pięćdziesiąt tysięcy do podziału.

Na razie Ray wolał nie wspominać o pozostałych elementach spadku, a przede wszystkim o gotówce ukrytej w schowku na szczołki. Musiał wszystko dobrze przemyśleć. Prawdopodobnie były to brudne pieniądze. Można by je oficjalnie zaliczyć do odziedziczonego majątku, ale spowodowałyby to masę komplikacji. Najpierw trzeba wyjaśnić ich pochodzenie. Poza tym i tak połowę pochłonęłyby podatki. No, a gdyby brat odjechał stąd z kieszeniami wypchanymi forszą, pewnie szybko z jej pomocą przeniósłby się na tamten świat.

– A więc mogę liczyć na dwadzieścia pięć tysięcy za rok? – spytał Forrest.

Ray nie potrafił ocenić, czy brat jest bardziej wściekły, czy smutny.

- Mniej więcej – odparł.
- Nie chcesz zatrzymać domu?
- Nie. A ty?
- W żadnym wypadku. Nie zamierzam tu nigdy więcej wracać.

– Nie wygłupiaj się.

– Mówię poważnie. Chyba wiesz, że stary wyrzucił mnie na zbity pysk. Powiedział, że już wystarczająco splamiłem dobre imię rodziny, i przykazał, by więcej moja noga tu nie powstała.

– Ale później cię przeprosił – przypomniał bratu Ray.

Forrest pociągnął łyk whiskey.

– To prawda, ale i tak źle się tu czuję. Ty jesteś wykonawcą testamentu, więc załatw wszystko. Po prostu jak się uporasz z formalnościami, przyślesz mi czek.

– Moglibyśmy przynajmniej razem przejrzeć jego rzeczy.

– Nie zamierzam ich tknąć palcem. – Forrest wstał szybko ze schodów werandy. – Mam ochotę na piwo. Nie piłem od pięciu miesięcy i teraz mam cholerną ochotę na piwo. – Ruszył w stronę swojego samochodu, po czym rzucił przez ramię: – A ty nie chcesz piwa?

– Nie.

– Nie pojedziesz ze mną?

Rayowi przyszło mu na myśl, że powinien pojechać i go przypilnować, ale bardziej zależało mu na tym, żeby dopilnować rodzinnego majątku. Sędzia nigdy nie zamykał domu, nie wiadomo było nawet, gdzie są klucze.

– Nie. Zaczekam tutaj.

– Jak sobie życzysz.

\* \* \*

Następny gość ani trochę go nie zaskoczył. Ray zaglądał właśnie do szuflad w kuchni, szukając kluczy, kiedy przed werandą ktoś zawołał donośnym, tubalnym głosem. Nie słyszał go od lat, lecz od razu rozpoznał Harry’ego Rexa Vonnera.

Wyszedł, nieśmiało wyciągając rękę na powitanie, ale Harry Rex uściskał go serdecznie.

– Strasznie mi przykro. Strasznie – powtórzył kilka razy. Był wysoki, potężnie zbudowany, z wydatnym brzuchem. Przypominał wielkiego groźnego niedźwiedzia.

Darzył uwielbieniem sędziego Atlee, więc będzie gotów zrobić wszystko dla jego synów. Był doskonałym adwokatem, którego los rzucił do niewielkiego miasteczka. To właśnie do niego ojciec zawsze zwracał się o pomoc, ilekroć Forrest znajdował się w konflikcie z prawem.

– Kiedy przyjechałeś? – zapytał.

– Koło piątej. Znalazłem go w gabinecie.

– Pracuję teraz przy pewnym procesie, nie widziałem się z nim od dwóch tygodni. A gdzie Forrest?

– Pojechał na piwo.

Przez chwilę obaj w milczeniu trawili znaczenie tego faktu. Usiedli na krzesłach przy huśtawce na werandzie.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, Ray.

– Ja też się cieszę z naszego spotkania.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. – Harry Rex otarł oczy mankietem koszuli i bąknął po raz kolejny: – Strasznie mi przykro. Naprawdę nie mogę w to uwierzyć. Widzieliśmy się jakieś dwa tygodnie temu. Był pełen życia i energii, miał sprawny umysł i żartował jak zwykle. Ból stale mu dokuczał, ale się nie skarżył.

– Lekarze przed rokiem dawali mu najwyżej rok. Mimo to miałem nadzieję, że pożyje dłużej.

– Ja też. Naprawdę świetnie się trzymał.

– Napijesz się herbaty?

– Z przyjemnością.

Ray poszedł do kuchni, przygotował dwie szklanki mrożonej herbaty instant i wyniósł je na werandę.

– Przepraszam, nie jest w najlepszym gatunku – powiedział.

Harry Rex ostrożnie upił parę łyków.

– Dobrze, że zimna.

– Musimy zorganizować czuwanie przy zwłokach, ale nie zgodziłem się urządzić tego w domu. Masz jakiś pomysł? – spytał Ray.

Adwokat zastanawiał się kilka sekund, po czym odchylił się na oparcie krzesła i uśmiechnął szeroko.

– Wystawimy zwłoki w sądzie, pośrodku rotundy na parterze. Będzie tam spoczywał prawie jak król.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście. Jemu by się ten pomysł spodobał. Całe miasto będzie mogło przedefilować i oddać mu cześć.

– Brzmi nieźle.

– Wypadnie wspaniale, możesz mi wierzyć. Porozmawiam z szeryfem i wyciągnę od niego zgodę. Wszystkim się to spodoba. Kiedy pogrzeb?

– We wtorek.

– W takim razie trzeba wystawić zwłoki jutro po południu. Chcesz, żebym wygłosił krótką mowę?

– Jasne. Może byś się zajął organizacją całego czuwania?

– Załatwione. Wybraliście już trumnę?

– Mamy to zrobić z samego rana.

– Weźcie dębową, nie dajcie się skusić na ten nowoczesny chłam obity brązem lub miedzią. Rok temu chowaliśmy mamę w dębowej trumnie. Takiej ładnej jeszcze nigdy nie widziałem. Magargel ściągnie ci ją z Tupelo w ciągu dwóch godzin. I darujcie sobie też murowany grobowiec. To zwykle wyrzucanie pieniędzy. Skoro i tak mamy się w proch obrócić, to lepiej, żeby ciało zgniło w ziemi, zgodnie z naturą. Jeśli o to chodzi, to Kościół episkopalny ma rację.

Ray, chociaż trochę zmieszany tymi radami, i tak był mu wdzięczny za pomoc. Sędzia w ostatniej woli w ogóle nie wspominał o trumnie, życzył sobie jednak, aby go pochować w murowanym grobowcu. Ponadto chciał mieć ładny pomnik. W końcu należał do rodu Atlee i miał spocząć wśród najświetniejszych jego przedstawicieli.

Jeśli ktokolwiek był wtajemniczony w interesy Sędziego, to tylko Harry Rex. Dlatego też, obserwując coraz dłuższe cienie kładące się na frontowym trawniku przed domem, Ray odezwał się na tyle obojętnym tonem, na ile było go stać:

– Wygląda na to, że rozdał wszystkie swoje pieniądze.

– Wcale mnie to nie dziwi. A ciebie?

– Też nie.

– Na jego pogrzebie zjawią się setki osób, którym pomógł finansowo. Kalekie dzieci, ludzie z przewlekłymi schorzeniami niemający ubezpieczenia, czarne nastolatki dzięki niemu uczące się w college'ach, cała ochotnicza straż pożarna, klub obywatelski, piłkarska drużyna oldbojów, licealiści, którym zafundował wycieczkę do Europy. Kiedy nasz kościół postanowił sfinansować zespół lekarzy wyjeżdżających na Haiti, Sędzia natychmiast wyłożył na ten cel tysiąc dolarów.

– Kiedy zacząłeś chodzić do kościoła? – spytał Ray.



- Dwa lata temu.
  - Z jakiego powodu?
  - Bo się ożeniłem.
  - Który to już raz?
  - Czwarty – odparł Harry Rex. – Ale teraz będzie inaczej.
  - Szczęściara.
  - Jasne.
  - Podoba mi się pomysł wystawienia zwłok w sądzie. Ci wszyscy, o których wspomniałeś, będą mieli możliwość złożyć mu ostatni hołd. Jest duży parking i w holu będzie gdzie rozstawić krzesła.
  - Prawda, że nieźle to wymyśliłem?
- Forrest skręcił z ulicy na podjazd i zahamował gwałtownie, zatrzymując samochód zaledwie parę centymetrów od cadillaca Harry’ego Rexa. Wygramolił się zza kierownicy i w zapadającym zmroku ruszył chwiejnym krokiem w ich stronę, taszcząc karton piwa.

## Rozdział 8

---

**K**iedy Ray w końcu został sam, usiadł w fotelu na biegunach stojącym naprzeciwko kanapy w gabinecie i w myślach próbował się przekonywać, iż jego życie bez ojca nie będzie się specjalnie różniło od życia z dala od niego. Wiedział przecież, że ten dzień nadejdzie, powtarzał więc sobie, że nie powinien pogrążyć się w rozpacz. Musi uporać się z tym jak najszybciej, załatwić niezbędne sprawy w Missisipi i wracać do Wirginii.

W gabinecie oświetlonym tylko niezbyt mocną żarówką w lepiącej się od brudu lampce na szczycie żaluzjowej szafki biurka rysowały się długie cienie. Ray powinien usiąść przy biurku i przejrzeć wszystkie leżące na nim papiery, ale odłożył to na jutro.

Dzisiaj należało się przede wszystkim zastanowić.

Harry Rex zabrał dokądś Forresta; obaj byli już nieźle wstawieni. Jak zawsze po alkoholu Forrest popadł w ponury nastrój i chciał wracać do Memphis. Ray zaproponował, żeby został na noc.

– Jeśli nie masz ochoty spać w domu, możesz się przespać na werandzie – dodał, nie chcąc nalegać, bo wiedział, że to doprowadziłoby do kłótni.

Harry Rex powiedział, że w normalnych okolicznościach zaprosiłby go do siebie, ale jego nowa żona ma żelazne zasady i pewnie nie zniosłaby obecności dwóch wstawionych facetów w domu.

– Lepiej zostań tutaj – poradził.

Ale Forrest ani myślał ich słuchać. Nawet na trzeźwo był wyjątkowo uparty, a po kilku kieliszkach stawał się nie do zniesienia. Ray wielokrotnie odczuwał skutki tego na własnej skórze, więc w ogóle się nie odzywał.

Na szczęście nie doszło do kłótni. Forrest postanowił spędzić noc w motelu Deep Rock na północnym skraju miasta.

– Znam ten motel, bo piętnaście lat temu spotykałem się tam z żoną burmistrza – oznajmił.

– To zapluskwiona nora – rzucił Harry Rex.

– I tak za nią tęsknię.

– Za żoną burmistrza? – zaciekawiał się Ray.

– Chyba lepiej, żebyśmy nie znali szczegółów – powiedział adwokat.

Odjechali kilka minut po jedenastej i w domu zapadła przytłaczająca cisza.

W drzwiach frontowych była zasuwka, a w tych wychodzących na patio – rygiel. Tylko drzwi kuchenne prowadzące na tylne podwórko wyposażono w zamek z gałką i blokującą zapadką, ale ta nie działała. Sędzia chyba w ogóle nie umiał się posługiwać śrubokrętem i Ray odziedziczył po nim całkowity brak zdolności technicznych. Starannie pozamykał wszystkie okna, utwierdzając się w przekonaniu, że Klonowy Zdrój jeszcze nigdy nie był tak dobrze zabezpieczony przed złodziejami. Zastanawiał się nawet, czy nie spędzić tej nocy w kuchni, żeby czuwać nad ukrytym skarbem.

Starął się nie myśleć o pieniądzach. Siedząc w sanktuarium ojca, próbował się skupić na tekście nekrologu, na swój własny użytek.

Sędzia Atlee został wybrany na swój urząd w XXV okręgu sądowym w roku 1959 i aż do roku 1991 co cztery lata był wybierany na kolejną kadencję. Przez trzydzieści dwa lata nienagannie sprawował swoją funkcję. Zostawił imponujący dorobek jurystyczny. Tylko w wyjątkowych wypadkach sąd apelacyjny uchylał jego wyroki. Koledzy z sąsiednich okręgów często prosili go o prywatną opinię w zawikłanych sprawach.

Prowadził cykle wykładów na wydziale prawa uniwersytetu stanowego, zwanego potocznie Ole Miss. Był autorem dziesiątek artykułów na temat praktyki, procedury i zwyczajów w sądownictwie. Dwukrotnie odrzucał propozycję objęcia urzędu w Sądzie Najwyższym stanu Missisipi tylko dlatego, że nie chciał rezygnować z przewodniczenia w procesach w miejscowym sądzie.

A gdy tylko zdejmował togę, natychmiast kładł rękę na pulsie lokalnych spraw. Należał do wielu organizacji społecznych, szkolnych i kościelnych. Niewiele rzeczy w hrabstwie Ford działo się bez jego aprobaty; projekty, którym był przeciwny, rzadko kiedy były realizowane. W różnych okresach zasiadał w prezydiach niemal każdego lokalnego komitetu, rady, zgromadzenia bądź komisji. Dobierał kandydatów na urzędnicze stanowiska i przyczyniał się do porażki tych, którzy nie mieli jego poparcia, ale nie robił tego ostentacyjnie.

W wolnym czasie, którego zawsze mu brakowało, studiował historię i Biblię oraz pisał artykuły prawnicze. Ani razu nie zagrał z synami w baseball, ani razu nie wybrał się z nimi na ryby.

Przeżył śmierć żony, Margaret, która w 1969 roku zmarła nagle z powodu pęknięcia tętniaka. Zostawił po sobie dwóch synów.

I po drodze zdołał nielegalnie wejść w posiadanie ogromnej fortuny w gotówce.

Prawdopodobnie tajemnica jej pochodzenia kryła się w papierach leżących na biurku i poutykanych w szufladach. Sędzia musiał gdzieś zostawić przynajmniej jakiś klucz do rozwiązania zagadki, jeśli już nie wyjaśnienie. Musiało chodzić o jakiś proces. Tylko że Ray nie znał ani jednej osoby z hrabstwa Ford, której interes byłby wart dwa miliony dolarów, toteż zgromadzenie takiego majątku w gotówce było wprost nie do pomyślenia.

Koniecznym było przeliczyć pieniądze. Dwukrotnie tego wieczoru zaglądał do schowka i za każdym razem widok

dwudziestu siedmiu zielonych pudełek wzmagał to pragnienie. Wolał jednak zaczekać z tym do wczesnego ranka, kiedy już będzie widno, ale zanim zrobi się ruch w mieście. Mógł zasłonić okno w kuchni i przynosić tu ze schowka po jednym pudełku.

Tuż przed północą z sypialni na parterze przeciągnął do jadalni materac i ułożył go na podłodze, nie dalej niż pięć metrów od schowka, w miejscu, z którego mógł obserwować przez okno podjazd oraz sąsiedni dom. W szufladzie szafki nocnej w sypialni na piętrze znalazł należący do Sędziego rewolwer, Smith & Wesson kalibru .38. Zniósł też śmierdzące pleśnią poduszkę i wełniany koc i przez dłuższy czas bezskutecznie próbował zasnąć.

\* \* \*

Obudziło go stukanie w okno od strony tylnego podwórka. Minęła jednak dobra minuta, zanim się ocknął, pozbierał myśli i uprzytomnił sobie, gdzie jest i co słyszy. Stukanie było dość natarczywe, po nim rozległy się odgłosy szarpania za klamkę, wreszcie zapadła cisza. Minęła kolejna minuta, nim powoli usiadł w posłaniu i zacisnął palce na rękojeści rewolweru. W domu zalegały ciemności, ponieważ niewiele zostało dobrych żarówek, a Sędzia zanadto skąpił, żeby odnowić ich zapas.

Skąpił, mając w komodzie dwadzieścia siedem pudeł wypchanych banknotami!

Ray postanowił z samego rana kupić żarówki.

Znów rozległo się stukanie, za szybkie i zbyt gwałtowne, by jego przyczyną mogły być poruszane wiatrem gałęzie drzewa. Łup, łup, łup. A potem znów głośny szelest i szum, jakby ktoś próbował otworzyć drzwi.

Na podjeździe stały dwa samochody, jego i Forresta. Każdy głupi musiał zauważyć, że w domu ktoś jest, ale widocznie był aż tak głupi, żeby się tym nie przejmować. Zatem prawdopodobnie ten ktoś miał broń i pewnie umiał się nią posługiwać lepiej od niego.

Ray wyslizgnął się spod koca i rozplaszczony na podłodze zaczął się czołgać w stronę drzwi. Poruszał się niemrawo jak krab, ale dysząc jak sprinter. Wyrzwał do ciemnego korytarza i zaczął uważnie nasłuchiwać. Panowała błoga cisza. Lepiej odejść w spokoju, nakazał w myślach. Proszę, idź sobie.

Łup, łup, łup. Ostrożnie poczołgał się w kierunku sypialni, oburącz ściskając przed sobą rewolwer. Dopiero teraz, o wiele za późno, uzmysłowił sobie, że nie ma pojęcia, czy jest naładowany. Coraz głośniejsze stukanie dolatywało właśnie z sypialni, niegdyś gościnnej, ale od dawna już pełniącej funkcję rupieciarni. Mierząc przed siebie z broni, Ray ostrożnie pchnął głową drzwi. Nie zauważył niczego poza niewyraźnymi zarysami kartonowych pudeł. Drzwi trąciły jednak podstawę wysokiej lampy stojącej, która przechyliła się i z trzaskiem przewróciła na podłogę pod pierwszym z trzech czarnych okien.

Ray ledwie opanował chęć naciśnięcia spustu. Postanowił jednak oszczędzać amunicję i nerwy. Wydawało mu się, że bez końca leży nieruchomo w całkowitej ciszy na wyslizganej drewnianej podłodze, nasłuchując, zalewając się potem i odganiając pająki. Cienie to gęstniały, to znów rozpląwały się, lekki wiatr kołysał gałęziami drzew za domem. Dlatego też doszedł w końcu do wniosku, że źródłem hałasów musiał być jakiś konar uderzający w okap dachu ponad oknami.

To tylko wiatr, pomyślał Ray. Albo duchy zamieszkujące Klonowy Zdrój, bo – jak twierdziła matka – po tym wiekowym domu, w którym umarło wielu ludzi, kręciło się nocami mnóstwo duchów. Podobno w piwnicy grzebano zwłoki niewolników, a ich nieznanające ukojenia dusze nie dawały żywym spokoju.

Sędzia nie znosił takich opowieści i zawsze z nich drwił.

Ray usiadł wreszcie, czując, że zdrętwiały mu ręce i nogi. Potem wstał, oparł się plecami o framugę i jeszcze przez jakiś czas wbijał wzrok w ciemność za oknami sypialni, mierząc do niej z rewolweru. Jeżeli do drzwi dobijał się jakiś intruz, dobiegające ze środka hałasy musiały go wystraszyć. Ale w miarę

upływu czasu Ray przekonywał się coraz bardziej, że stukanie było wyłącznie efektem działania wiatru.

Forrest miał jednak lepszy pomysł. Jeśli nawet Deep Rock był zapluskwioną norą, to pewnie i tak lepiej się tam spało niż tutaj.

Łup, łup, łup. Ray błyskawicznie wyciągnął się znów na podłodze, jeszcze bardziej przerażony, ponieważ tym razem hałasy dobiegały z kuchni. Zmienił taktykę – zamiast się czołgać, poruszał się na czworakach. Ale zanim dotarł do frontowego holu, miał już poobcierane kolana. Zatrzymał się przy podwójnych drzwiach jadalni i zaczął nasłuchiwać. Ciemność w pokoju rozcinały wąskie smugi bladego światła palącej się na werandzie lampy, które przesączało się przez szczeliny w okiennicach i kładło na ścianach, meblach i podłodze.

Nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, co właściwie on, wykładowca prawa z prestiżowej uczelni, robi tu, w ciemności, kryjąc się pod ścianami rodzinnego domu, z rewolwerem w ręce, niemal sparaliżowany strachem, zlany potem, powodowany tylko jedną myślą, desperackim pragnieniem uratowania tajemniczych pieniędzy niewiadomego pochodzenia, na które natknął się przypadkiem.

– Kto to wie? – odpowiedział sobie pod nosem na to pytanie.

Za wyjściem kuchennym znajdował się niewielki drewniany podest. Ktoś najwyraźniej się tam kręcił, tuż za drzwiami. Słysząc było stłumiony odgłos kroków. Nagle gałka się obróciła, a blokada zamka była przecież popsuta. Widocznie intruz zmienił zdanie, zrezygnował z dalszych prób wślizgnięcia się przez okno i postanowił wejść kuchennymi drzwiami.

Ale Ray nosił nazwisko Atlee, był w rodzinnym domu. Poza tym w Missisipi ludzie mieli broń właśnie po to, aby chronić swoje mienie. Żaden sąd w tym stanie nie skazałby go za zabójstwo w takich okolicznościach. Dlatego kucnął za stołem w jadalni i mierząc na oślep dość wysoko, w czarny prostokąt okna nad zlewem, zaczął powoli naciskać spust. Strzał z wnętrza domu, którego huk wraz z brzękiem tłuczonej szyby rozejdzie się



daleko pośród nocy, musi przestraszyć i spłoszyć potencjalnego włamywacza.

Kiedy drzwi znowu stuknęły, gwałtownie pociągnął za spust. Coś w rewolwerze kliknęło, ale poza tym nic się nie wydarzyło. Broń nie była naładowana. Pośpiesznie nacisnął spust po raz drugi, lecz znów bez rezultatu. W panice złapał stojący na brzegu szafki dzbanek po herbacie i cisnął nim w drzwi. Odebrał z ulgą donośny brzęk tłuczonego szkła, chyba nawet głośniejszy od wystrzału. Pokonawszy strach, wstał, zapalił światło w jadalni i ściskając w dłoni bezużyteczną broń, podszedł do drzwi i krzyknął:

– Wynoś się stąd, do cholery!

Otworzył je gwałtownie i wyrztał na podwórze, ale nikogo tam nie było. Wypuścił długo wstrzymywane w płucach powietrze i po chwili zaczął normalnie oddychać.

Przez pół godziny usuwał okruchy rozbitego dzbanka, starając się robić przy tym jak najwięcej hałasu.

\* \* \*

Gliniarz miał na imię Andy i był bratankiem jego kolegi z liceum. Zgadali się co do tego minutę po tym, jak pojawił się w Klonowym Zdroju. Obchodząc teren wokół domu, rozmawiali o futbolu. Nie znaleźli żadnych śladów włamywacza, ani przy oknach, ani przed drzwiami kuchennymi, nie licząc okruchów szkła z rozbitego dzbanka. Weszli na górę i gdy Andy zaglądał do kolejnych pomieszczeń, Ray zaczął szukać naboju. Nigdzie ich jednak nie znalazł. Zaparzył więc kawy i wyszli razem na werandę. W prowadzonej półgłosem rozmowie pośród wstającej szarówki Ray dowiedział się, że o tej porze spokoju w Clanton pilnuje tylko Andy, a i to nie jest konieczne.

– Nic tu się nie dzieje w noc z niedzieli na poniedziałek – powiedział policjant. – Ludzie śpią albo szykują się do pracy.

Wypytywany, niechętnie przyznał, że najczęstszymi przestępstwami w hrabstwie są kradzieże pick-upów, burdy

w przydrożnych barach oraz handel narkotykami w Lowtown, murzyńskiej dzielnicy miasta. Ale z dumą w głosie zaznaczył, że od czterech lat nikogo tu nie zamordowano, a ostatni napad na bank zdarzył się dwa lata temu. Później nieśmiało poprosił o dolewkę kawy. Ray był gotów mu dolewać, a nawet parzyć nową aż do świtu. Czuł się bezpiecznie, gdy przed domem stał oznakowany wóz patrolowy.

Po tym, jak Andy odjechał o wpół do czwartej, Ray jeszcze przez godzinę przewracał się na materacu i wpatrywał w spękany sufit, ściskając w ręce niezaladowany rewolwer. Zwalczał senność, obmyślając nowe strategie ochrony znalezionych pieniędzy. Przyszło mu na myśl, że warto by je zainwestować, ale odłożył to na później. Przede wszystkim musiał je stąd zabrać, wynieść ze schowka na szczotki i przetransportować w jakieś bezpieczne miejsce. Bał się, że będzie zmuszony jechać z nimi aż do Wirginii, bo na pewno nie mógł ich zostawić nigdzie w Clanton. I nie miał pojęcia, kiedy je przeliczy.

W którymś momencie zmęczenie i napięcie wzięły nad nim górę i zapadł w sen. Stukanie znów się powtórzyło, ale już go nie słyszał. Kuchenne drzwi, które zablokował ustawionym skośnie krzesłem i przywiązał sznurkiem, stukwały i skrzypiały, lecz on o tym nie wiedział.

## Rozdział 9

---

O wpół do ósmej obudziło go słońce. Pudła z banknotami stały nietknięte w schowku. Nikt nie zdołał otworzyć drzwi i okien, przynajmniej wszystko na to wskazywało. Zaparzył dzbanek świeżej kawy i sącząc ją powoli przy kuchennym stole, podjął ważną decyzję. Jeżeli ktoś faktycznie chciał ukraść pieniądze, to Ray nie mógł ich zostawić w domu, nawet na chwilę.

Zdał sobie jednak sprawę, że nie zmieści dwudziestu siedmiu kartonowych pudełek w maleńkim bagażniku swego sportowego audi.

O ósmej zadzwonił telefon. Harry Rex poinformował Raya, że w nocy odstawił Forresta do motelu Deep Rock i że uzyskał już zgodę na zorganizowanie małej uroczystości w rotundzie budynku sądu. Rozpocznie się ona o szesnastej trzydzieści z udziałem sopranistki oraz straży honorowej. Właśnie się zabierał do pisania mowy na pożegnanie ukochanego przyjaciela.

– Co z trumną? – zapytał.

– Mamy się spotkać w zakładzie Magargela o dziesiątej – wyjaśnił Ray.

– Świetnie. Tylko nie zapomnij, żeby była dębowa. Sędziemu najbardziej by się podobała.

Przez kilka minut rozmawiali jeszcze o Forreście, wymieniając takie same uwagi jak od lat. A kiedy skończyli, Ray energicznie zabrał się do roboty. Pootwierał szeroko okna i okiennice, żeby zobaczyć oraz usłyszeć każdego, kto się zbliży do domu. Nie wątpił, że plotka o śmierci Sędziego lotem

błyskawicy obiegnęła już wszystkie bary i kafejki przy rynku, zatem w każdej chwili mógł się spodziewać gości.

Dom miał bardzo dużo drzwi i okien, a on przecież nie był w stanie strzec go przez okrągłą dobę. Ponadto żadnym sposobem nie mógłby powstrzymać człowieka pragnącego ukraść parę milionów dolarów. Dla takiej sumy złodziej bez wahania poczęstowałaby go kulą w łeb.

Koniecznien trzeba było zabrać stąd pieniądze.

Wyniósł pierwsze pudełko z ciasnego schowka i w korytarzu przesyłał gotówkę do plastikowego worka na śmieci. Zmieściła się do niego zawartość jeszcze ośmiu następnych pudełek. Zapełniwszy worek blisko milionem dolarów, podszedł do drzwi kuchennych i wyjrzał na zewnątrz. Następnie poustawiał puste pudełka w komodzie za kanapą. Tak samo zapełnił dwa następne worki. Potem wprowadził samochód tyłem na podwórko, najbliżej drzwi, i znów uważnie zlustrował okolicę. Nikt nie widział. W sąsiedztwie mieszkały jedynie siostry, stare panny, które chyba w ogóle nie odrywały wzroku od ekranu telewizora, a i ten widziały niezbyt wyraźnie. Pokonując biegiem krótką drogę od drzwi do samochodu, wpakował wszystkie worki do bagażnika, po czym zaczął je upychać, mając nadzieję, że jakoś zdoła na siłę zatrzasnąć klapę. Kiedy w końcu mu się to udało, przekręcił kluczyk w zamku i odetchnął z ulgą.

Nie wiedział, jak rozładuje ten łup w Wirginii, jak przeniesie worki zatłoczonym pasażem do swego mieszkania, ale uznał, że tym będzie się martwić później.

\* \* \*

W motelu Deep Rock była restauracja. Ray nigdy wcześniej tam nie zaglądał. Podejrzewał, że niezbyt czysty i zadymiony lokal będzie pełen hałaśliwych gości, ale mimo obaw uznał, że to najlepsze miejsce na zjedzenie śniadania. W kawiarniach przy rynku na pewno głównym tematem rozmów była śmierć Sędziego, więc wolał się tam nie pokazywać.

Forrest wyglądał nieźle, w każdym razie Ray widywał go w znacznie gorszej kondycji. Miał na sobie to samo ubranie co wczoraj i ewidentnie nie wziął prysznic, ale u niego nie było to niczym szczególnym. Oczy miał zaczerwienione, lecz nie zapuchnięte. Powiedział, że dobrze się wyspał i jest głodny jak wilk. Obaj zamówili jajka smażone na bekonie.

– Wyglądasz na zmęczonego – odezwał się Forrest, popijając gorzką kawę.

Ray rzeczywiście odczuwał trudy ostatniej nocy.

– Nic mi nie będzie. Wystarczy parę godzin odpoczynku, i dojdę do siebie. – Wyrzwał przez okno na audi, które zaparkował na wprost wejścia do restauracji. Był gotów nawet spać za kierownicą, gdyby zaszła taka potrzeba.

– To dziwne – rzucił jego brat. – Kiedy jestem czysty, śpiam jak niemowlę, po osiem, dziewięć godzin na dobę, kamiennym snem. Ale jak tylko coś wezmę, przesypiam najwyżej pięć godzin, i co chwila się budzę.

– Ciekawi mnie, czy gdy jesteś czysty, myślisz o tym, kiedy znowu dasz sobie w gaz?

– Bez przerwy. Z tym jest tak jak z seksem. Przez jakiś czas możesz się obyć bez seksu, ale żyjesz pod coraz silniejszą presją i wcześniej czy później musisz sobie ulżyć. To samo dotyczy alkoholu i narkotyków. W końcu trzeba zaspokoić pragnienie.

– Tym razem byłeś czysty przez sto czterdzieści dni.

– Sto czterdzieści jeden – sprostował Forrest.

– Jaki jest twój rekord?

– Czternaście miesięcy. Kilka lat temu, gdy wyszedłem z odwykówki w tym wspaniałym ośrodku, który stary mi zafundował, przez dłuższy czas trzymałem się dzielnie. Ale w końcu mnie zmogło.

– Dlaczego? Był jakiś powód?

– To samo, co zawsze. Gdy jesteś nałogowcem, może cię to dopaść w dowolnym momencie i dowolnym miejscu, z byle jakiego powodu. Nie wymyślili jeszcze niczego, co by mnie przed tym uchroniło. Jestem uzależniony, braciszku. To wszystko.

– Wciąż bierzesz narkotyki?

– Jasne. Wczoraj wieczorem zacząłem od whiskey i piwa, to samo będzie dzisiaj i jutro, ale już pod koniec tygodnia na pewno sięgnę po coś mocniejszego.

– Chcesz tego?

– Nie, ale wiem, jak to u mnie działa.

Kelnerka przyniosła im śniadanie. Forrest pośpiesznie rozsmarował masło na grzance i odgryzł duży kęs.

– Stary nie żyje, braciszku – powiedział, przełknąwszy jedzenie. – Możesz w to uwierzyć?

Ray również nie miał nic przeciwko zmianie tematu. Zdawał sobie sprawę, że jeśli dalej będą rozmawiać o problemach brata, może dojść do kłótni.

– Nie. Wydawało mi się, że jestem na to przygotowany, ale się pomyliłem.

– Kiedy widziałeś się z nim po raz ostatni?

– W listopadzie, jak miał operację prostaty. A ty?

Forrest zamyślił się, polewając jajecznicę sosem tabasco.

– Po jego zawale?

Sędzia tyle razy lądował w szpitalu z powodu niewydolności serca, że trudno było to spamiętać.

– Który? Miał trzy zawaly.

– Leżał wtedy w Memphis.

– Aha, drugi. Cztery lata temu.

– Mniej więcej by się zgadzało. No więc wtedy spędziłem z nim jakiś czas w szpitalu. Przejechałem kawał drogi, ale uważałem, że tyle mogę zrobić.

– O czym rozmawialiście?

– O wojnie secesyjnej. Uważałem, że ją wygraliśmy.

Ray się uśmiechnął. Przez parę minut jedli w milczeniu, które przerwało pojawienie się Harry'ego Rexa. Poczęstował się grzanką i zaczął z zapalem opowiadać o przygotowaniach do wspaniałej ceremonii na cześć Sędziego.

– Wszyscy woleliby oddawać cześć zwłokom wystawionym w domu – powiedział z pełnymi ustami.

- To nie wchodzi w rachubę.
- W kółko to powtarzam. A czy w ogóle chcecie przyjąć jakichś gości dziś wieczorem?
- Nie – mruknął Forrest.
- A powinniśmy? – zapytał Ray.
- Raczej tak by wypadało, jeśli nie u siebie, to przynajmniej w domu pogrzebowym. Ale skoro nie chcecie, to nic takiego się nie stanie. Na pewno z tego powodu ludzie się nie obrażą.
- Będzie uroczysta ceremonia w budynku sądu, a potem pogrzeb. To jeszcze mało? – spytał Ray.
- Moim zdaniem, wystarczy – odparł Harry Rex.
- Nie zamierzam siedzieć do późnej nocy w domu pogrzebowym i obściskować wszystkie staruszki, które od dwudziestu lat obgadują mnie przy każdej okazji – wtrącił Forrest. – Ty możesz – zwrócił się do brata. – Ale beze mnie.
- Więc odpuśćmy to sobie – odparł Ray.
- Ty jesteś wykonawcą testamentu, więc ty decydujesz – zauważył cierpko jego brat.
- Sędzia ustanowił cię wykonawcą? – zainteresował się Harry Rex.
- Tak. Znalazłem testament na jego biurku, napisał go w sobotę. Związły, jednostronicowy dokument, w którym ojciec zostawił wszystko nam dwóm, wyszczególnił cały swój majątek i wyznaczył mnie na wykonawcę ostatniej woli. Życzył sobie także, żebyś to ty pokierował sprawą zatwierdzenia testamentu w sądzie.
- Adwokat nagle zamarł. Nerwowo potarł mięsistym palcem nasadę nosa i rozejrzał się po sali.
- To dziwne – mruknął, najwyraźniej zaskoczony.
- Co jest dziwne?
- Miesiąc temu złożył u mnie szczegółowy i wyczerpujący testament.
- Przy stole na chwilę zapanowała martwa cisza. Ray i Forrest wymienili szybkie spojrzenia, z których wynikało tylko tyle, że żaden z nich nie ma pojęcia, o czym ten drugi teraz myśli.



- Wygląda na to, że zmienił zdanie – dodał Harry Rex.
- Co było w tamtym testamencie? – zapytał Ray.
- Tego nie mogę powiedzieć. Nie wolno mi zdradzać poufnych informacji klienta.
- Zaczynam się gubić, koledzy – wtrącił Forrest. – Wybaczcie, ale nie jestem prawnikiem.
- Ważny jest tylko ostatni testament – wyjaśnił Harry Rex. – Unieważnia wszelkie wcześniejsze, dlatego nie ma najmniejszego znaczenia, co Sędzia zapisał w tym, który złożył u mnie.
- Więc czemu nie możesz nam zdradzić, co w nim jest? – zdziwił się Forrest.
- Ponieważ zobowiązuje mnie do tego etyka adwokacka.
- Przecież tamten testament nie ma żadnej mocy, prawda?
- Owszem, ale i tak nie wolno mi o nim mówić.
- To kiepsko. – Forrest zerknął podejrzliwie na Harry'ego Rexa.

Wszyscy trzech równocześnie westchnęli i skupili się na jedzeniu. Ray natychmiast uświadomił sobie, że musi zobaczyć starszy testament, i to jak najszybciej. Bo jeśli była w nim wzmianka o gotówce schowanej w komodzie, wiedział o niej także Harry Rex, a w takim wypadku trzeba było wypakować z powrotem pieniądze z bagażnika, poukładać je w kartonowych pudełkach i odstawić na miejsce. Gdyby bowiem zostały uwzględnione w testamencie, oficjalnie wchodziłyby w zakres majątku do podziału.

- Ale w gabinecie ojca powinna być kopia tego starego testamentu? – odezwał się Forrest, zerkając z ukosa na adwokata.
- Nie – odparł Harry Rex.
- Jesteś pewien?
- Jeśli sporządza się nowy testament, to stary się niszczy. Bo ktoś mógłby znaleźć tamten i byłyby kłopoty z zatwierdzeniem tego nowego przed sądem. Są ludzie, którzy zmieniają testamenty co roku, i prawnicy doradzają im, żeby te dawne palili. A kto jak kto, ale Sędzia, który przez trzydzieści lat prowadził mnóstwo spraw spadkowych, wiedział o tym najlepiej.

Fakt, że przyjaciel rodziny znał tajemnicę ich zmarłego ojca i nie chciał się z nimi nią podzielić, sprawił, że przy stole zapanowała chłodna atmosfera. Ray uznał, że najlepiej będzie poczekać, aż zostanie z Harrym Rexem sam na sam, i wtedy spróbować się czegoś dowiedzieć.

- Magargel na nas czeka – zwrócił się do brata.
- Już nie mogę się doczekać – mruknął Forrest.

\* \* \*

Elegancka dębowa trumna przybrana czerwonym aksamitem została wtoczona do wschodniego skrzydła budynku sądu na wózku przez Magargela i jego pomocnika; ten pierwszy ciągnął wózek, a drugi pchał. Za trumną szedł Ray z Forrestem, a za nimi straż honorowa niosąca chorągiew – drużyna skautów w wyprasowanych mundurkach khaki.

Jako że Reuben Atlee walczył kiedyś za kraj, jego trumnę zakrywał gwiazdzisty sztandar, a umundurowani rezerwiści, którzy utworzyli szpaler, stanęli na baczność, gdy kapitan rezerwy Atlee znalazł się pośrodku rotundy. Harry Rex już czekał; w eleganckim czarnym garniturze stał przed dużym skupiskiem fachowo porozstawianych wiązanek i wieńców.

Na uroczystość przybyli bodaj wszyscy prawnicy z całego hrabstwa i za namową Harry’ego Rexa stanęli blisko trumny w zwartej grupie. Na krzesłach zasiedli przedstawiciele władz hrabstwa, pracownicy sądu, policjanci i radni miejscy. Kiedy Harry Rex wysunął się nieco do przodu, tłum wokół trumny się zacieśnił. W górze, na galeriach pierwszego i drugiego piętra, zebrało się sporo gapiów; opierając się o żelazne balustrady, z ciekawością spoglądali w dół.

Ray miał na sobie nowy granatowy garnitur, który kupił zaledwie trzy godziny temu u Pope’a, w jedynym w mieście sklepie z męską odzieżą. Kosztował trzysta dziesięć dolarów i był najdroższym garniturem na składzie, a właściciel sklepu uparł się, by ze względu na niecodzienne okoliczności udzielić Rayowi

dziesięcioprocentowego rabatu. Forrest natomiast był w ciemnoszarym garniturze, za który zapłacił Ray – dwieście osiemdziesiąt dolarów minus rabat. Forrest nie miał na sobie garnituru od dwudziestu lat i oświadczył stanowczo, że nie włoży go nawet na pogrzeb. Zgodził się wejść do sklepu Pope'a dopiero po dość ostrej interwencji Harry'ego Rexa.

Synowie zmarłego stanęli po jednej stronie trumny, adwokat po drugiej, a pośrodku wiekowy woźny sądowy Billy Boone ustawił na stelażu olejny portret Reubena Atlee. Dziesięć lat temu namalował go gratis miejscowy artysta i wszyscy dobrze wiedzieli, że Sędzia ani trochę nie był z niego dumny. Powiesił go wprawdzie w swoim gabinecie na tyłach sali rozpraw, ale za drzwiami, tak by nie rzucał się w oczy. A kiedy przeszedł na emeryturę, jego następca kazał umieścić portret nad stołem sędziowskim w sali rozpraw.

Przed ceremonią został nawet wydrukowany specjalny program zatytułowany *Pożegnanie sędziego Reubena Atlee*. Ray, nie chcąc patrzeć na ludzi, udawał, że go czyta. Oczy wszystkich zebranych były skierowane na niego i Forresta, kiedy wielebny Palmer wygłaszał podniosłą modlitwę. Ray nalegał, aby uroczystość maksymalnie skrócić, skoro nazajutrz miał się odbyć pogrzeb.

Później przed trumnę wystąpili skauci i pochyliwszy chorągiew ku ziemi, zaintonowali *Przysięgę wierności*. Po nich Oleda Shumpert ze Zgromadzenia Sióstr Jezusowych przy kościele pod wezwaniem Ducha Świętego odśpiewała żałobną wersję pieśni *Zbierzmy się nad rzeką – a cappella*, bo głos miała taki, że nie potrzebowała wsparcia. Słowa i piękna melodia sprawiły, że wielu osobom łzy zakręciły się w oczach, nie wyłączając Forresta, który z nisko spuszczoną głową stał tuż obok brata.

Właśnie wtedy, przy trumnie, słuchając powracającego echem dźwięcznego głosu śpiewaczki, Ray po raz pierwszy poczuł głęboki żal po stracie ojca. Zaczął rozmyślać o tym wszystkim, czego mogli razem dokonać w dorosłym życiu, oraz o tym, co

jego i Forresta ominęło w dzieciństwie. Ale on miał swoje życie, a Sędzia swoje, i taka sytuacja obu im odpowiadała.

Nie chciał zresztą pogrążyć się we wspomnieniach. Bez przerwy powtarzał sobie w duchu, żeby tego nie robić, żeby nie mieć wyrzutów sumienia. Z drugiej strony jednak, to naturalne, że po śmierci ojca wyrzucał sobie, że nie zrobił dla niego więcej. Ale prawda była taka, że to Sędzia nosił w sobie głęboką urazę do niego jeszcze przez wiele lat po wyjeździe Raya z Clanton. A co smutniejsze, po przejściu na emeryturę zaczął prowadzić pustelniczy tryb życia.

Ray odpędził od siebie te smutne myśli i wyprostował plecy. Przecież nie mógł mieć do siebie żalu za to, że wybrał inną drogę życiową niż ojciec.

Harry Rex przystąpił do wygłaszania mowy, która zgodnie z jego obietnicami powinna być dość krótka.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj, by pożegnać naszego wieloletniego przyjaciela – zaczął. – Wszyscy wiedzieliśmy, że ten dzień kiedyś nadejdzie, ale zarazem modliliśmy się, aby nie nadszedł nigdy.

Później omówił przebieg kariery Sędziego i krótko opowiedział o swoim pierwszym wystąpieniu przed nim, przed trzydziestoma laty, kiedy uzyskał dyplom i rozpoczął praktykę. Prowadził wtedy dość prostą sprawę rozwodową, którą dziwnym sposobem przegrał.

Każdy adwokat w mieście zapewne słyszał tę opowieść już setki razy, a mimo to wszyscy z życzliwym uśmiechem przyjęli jej puentę. Ray spoglądał na nich jak na zwartą, dość hermetyczną grupę, po raz kolejny zadając sobie pytanie, jak to możliwe, żeby w takim małym mieście było aż tylu prawników. Znał co najmniej połowę z nich. Wielu starszych, których poznał jeszcze w dzieciństwie lub podczas studiów, bądź zmarło, bądź przeszło na emeryturę. Ale dostrzegł też wielu młodych, których widział po raz pierwszy.

Za to oni znali go doskonale. Był przecież synem sędziego Atlee.

Zaczął sobie w końcu uświadamiać, że wkrótce będzie musiał wrócić do Clanton, żeby stanąć przed sądem, by złożyć oświadczenie w ramach wszczętego przez Harry'ego Rexa postępowania zatwierdzającego testament. Poza tym czekała go dokładna inwentaryzacja majątku i wiele innych obowiązków spoczywających na wykonawcy ostatniej woli. Wszystko to jednak były zadania proste, rutynowe, zajmujące łącznie najwyżej kilka dni i mało znaczące w porównaniu z wielotygodniowym, może nawet wielomiesięcznym trudem rozwikłania tajemnicy pieniędzy ukrytych w komodzie.

Czy któryś z tych prawników coś o nich wiedział? Musiały być chyba powiązane z jakąś sprawą prowadzoną przez Sędziego. Ojciec prawie w ogóle nie miał prywatnego życia. Ale nawet teraz, wodząc spojrzeniem po twarzach prawników, Ray nie potrafił sobie wyobrazić, by którykolwiek z nich miał coś wspólnego z fortuną zamkniętą obecnie w bagażniku audi. Ostatecznie patrzył na małomiasteczkowe papugi bez reszty pochłonięte koniecznością terminowego płacenia rachunków i wiecznym pragnieniem wygrania z konkurentem z sąsiedniej kancelarii. Oni w ogóle nie mieli do czynienia z większą forszą. Nawet Sullivan, właściciel największej kancelarii zatrudniającej ośmiu czy dziewięciu prawników i reprezentującej miejscowe banki oraz towarzystwa ubezpieczeniowe, zarabiał tylko tyle, żeby być członkiem klubu, do którego należeli głównie lekarze.

Nie było w tym hrabstwie ani jednego adwokata, który by dysponował znaczniejszym majątkiem. Choćby taki Irv Chamberlain, ten z grubymi okularami i tanim tupecikiem, posiadał tysiące hektarów gruntów przechodzących z pokolenia na pokolenie, ale nie był w stanie ich sprzedać, ponieważ nie mógł znaleźć kupca. Tymczasem krążyły plotki, że coraz więcej czasu spędza w nowych kasynach w Tunice.

Harry Rex ciągnął monotonnym głosem swoje wspomnienia, a Ray przyglądał się kolejnym prawnikom. Jeden z nich musiał znać sekret, wiedzieć coś na temat pieniędzy. Któryś z członków miejscowej palestry.

Oficjalna część ceremonii dobiegła wreszcie końca. Harry Rex podziękował wszystkim za przybycie i obwieścił, że zwłoki Sędziego będą wystawione w budynku sądu do godziny dwudziestej drugiej, po czym zaczął formować kolejkę ludzi ustawiających się przed Rayem i Forrestem. Już po chwili koniec wijącego się ogonka zniknął w korytarzu wschodniego skrzydła budynku.

Przez godzinę Ray z wymuszonym uśmiechem na twarzy ściskał dłonie i serdecznie dziękował za udział w ceremonii. Wraz z kondolencjami musiał wysłuchiwać dziesiątek krótkich opowieści o swoim ojcu i jego wpływie na życie mieszkańców hrabstwa. Udawał przy tym, że pamięta wszystkie nazwiska podchodzących do niego ludzi, i obściskiwał starsze panie, które po raz pierwszy widział na oczy. Procesja przesuwiała się dalej w kierunku Forresta i zamkniętej trumny. Każdy zatrzymywał się przed nią na krótko, obrzucał zasepionym spojrzeniem kiepski portret, po czym ruszał dalej, do zachodniego skrzydła, gdzie była wyłożona księga kondolencyjna. Harry Rex zwijał się jak w ukropie niczym polityk agitujący wyborców.

W pewnym momencie Forrest zniknął. Mruknął Harry'emu Rexowi na ucho, że musi wracać do domu, do Memphis, ponieważ jest śmiertelnie zmęczony.

– Kolejka ustawia się już przed sądem – poinformował Raya półgłosem Harry Rex. – Będziesz musiał odbierać kondolencje do późnej nocy.

– Wyprowadź mnie stąd jakoś – odparł szeptem Ray.

– Chcesz skorzystać z toalety? – zapytał Harry Rex na tyle głośno, by słyszeli go ludzie z czoła kolejki.

– Tak.

Ray pośpiesznie ruszył za adwokatem, szeptem wymieniając z nim uwagi. Skręcili w wąski korytarz i po kilku sekundach bocznymi drzwiami wyszli na tyły budynku.

Odjechali razem samochodem Raya, zrobiwszy rundę honorową wokół rynku, by nasycić oczy niezwykłą scenerią. Flaga przed głównym wejściem sądu była opuszczona do połowy

wysokości masztu. Spory tłum czekał cierpliwie przed drzwiami,  
aby oddać ostatni hołd Sędziemu.

## Rozdział 10

---

**R**ay spędził w Clanton zaledwie dobę, a już marzył tylko o tym, żeby stąd wyjechać. Po ucieczce z sądu zjadł kolację z Harrym Rexem w murzyńskiej restauracji Claude'a, znajdującej się po południowej stronie rynku; w poniedziałki specjalnością zakładu był duszony kurczak barbecue z fasolą w tak ostrym sosie, że podawano do tego dania mrożoną herbatę w dwulitrowych dzbankach. Harry Rex nie posiadał się z radości, że zorganizowana przez niego ceremonia odniosła tak wielki sukces, i aż palił się, by po posiłku natychmiast wrócić do sądu i nadzorować pozostałą część czuwania przy zwłokach.

Forrest najwyraźniej wyjechał z miasta na resztę wieczoru. Ray liczył na to, że wraca prosto do Memphis, do swojej Ellie, by utulić żal w jej objęciach, ale miał uzasadnione podejrzenia, że tak nie jest. Zastanawiał się, ile jeszcze dołków będzie musiał pokonać jego brat, nim zaćpa albo zapije się na śmierć. Nawet Harry Rex przyznał otwarcie, że – według niego – szansa pojawienia się Forresta na jutrzejszym pogrzebie wynosi najwyżej pięćdziesiąt procent.

Kiedy Ray został sam, bez żadnego konkretnego celu wyjechał z miasteczka w kierunku zachodnim. Sto dwadzieścia kilometrów od Clanton wybudowano wzdłuż rzeki Missisipi kasyna i za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżał, wysłuchiwał coraz więcej plotek na temat tego rozkwitającego, nowego tutaj przemysłu. Wcale go nie dziwiło, że władze stanu o najniższym dochodzie brutto na mieszkańca zdecydowały się w końcu na legalizację hazardu.



Półtorej godziny jazdy od Clanton zatrzymał się na stacji benzynowej i tankując, zauważył po drugiej stronie autostrady nowy motel. Jeszcze do niedawna wokoło ciągnęły się jedynie pola bawełny. Wszystko było tu nowe: szosy, motele, restauracje i bary szybkiej obsługi, stacje benzynowe i billboardy reklamujące kasyno znajdujące się dwa kilometry dalej.

Motel był piętrowy; do pokoi wchodziło się od strony parkingu. Wyglądało na to, że nie cieszy się zbyt dużym powodzeniem. Ray zapłacił trzydzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów za dwuosobowy pokój na parterze od tyłu, by odgrodzić się nieco od hałasu pojazdów przejeżdżających autostradą. Zaparkował audi jak najbliżej wejścia i szybko przeniósł trzy wypchane plastikowe worki do pokoju.

Gdy wysypał gotówkę na jedno łóżko, niemal całkowicie zniknęło pod plikami banknotów. Przyciągały jego wzrok, choć wiedział, że to brudne pieniądze, w dodatku znaczono albo nawet fałszywe. Zresztą i tak przecież do niego nie należały.

Były tam wyłącznie studolarówki, w większości nowiutkie, nieużywane, ale trafiały się też wygniecione. Nie zauważył bardzo zniszczonych. Nie uszło też jego uwagi, że nie ma banknotów emitowanych przed rokiem 1986 i po roku 1994. Mniej więcej połowa była w oklejonych banderolami paczkach po dwa tysiące dolarów. Od nich zaczął przeliczanie. Szybko się przekonał, że słupek banknotów o wartości stu tysięcy dolarów ma jakieś trzydzieści pięć centymetrów wysokości. Zaczął je ustawiać obok siebie na sąsiednim łóżku w precyzyjnie wyrównanych rzędach i kolumnach. Pracował powoli, bez pośpiechu, bo wreszcie nic go nie poganiało. W końcu sięgnął po banknoty luzem, pocierał je mocno między palcami, a nawet wachał, chcąc sprawdzić, czy nie są fałszywe. Nic na to nie wskazywało.

Ostatecznie zgromadził trzydzieści jeden słupeków z niewielką resztą – trzy miliony sto osiemnaście tysięcy dolarów. Skarb

znaleziony w chylącym się ku ruinie domu starego człowieka, który przez całe życie nie zarobiłby nawet połowy tej sumy.

Leżąca na łóżku fortuna robiła duże wrażenie. Ostatecznie ile razy w życiu można oglądać ponad trzy miliony dolarów w gotówce? Ile osób ma taką okazję? Ray usiadł na krześle, oparł brodę na dłoniach i zapatrzył się na słupki banknotów, zachodząc w głowę, skąd mogły się wziąć i co ma z nimi zrobić.

Z zamyślenia wyrwało go trzaśnięcie drzwi samochodu na parkingu. W takich miejscach jak to łatwo paść ofiarą rabunku. A jeśli podróżuje się, mając przy sobie taką gotówkę, w każdym nieznanym widzi się potencjalnego złodzieja.

Pośpiesznie zapakował banknoty z powrotem do plastikowych worków, upchnął je w bagażniku auta i pojechał do najbliższego kasyna.

\* \* \*

Jego doświadczenia z hazardem ograniczały się do jednej weekendowej wyprawy do Atlantic City z dwoma wykładowcami prawa, którzy po zapoznaniu się z książką na temat prawdopodobieństwa zdarzeń losowych doszli do wniosku, że są w stanie rozbić bank. Oczywiście przegrali. Ray rzadko grywał w karty. Wtedy przesiedział dwa dni przy stole do blackjacksa, z pięciodolarową stawką, i kiedy wreszcie – uboższy o sześćdziesiąt dolarów – uciekł od dokuczliwego hałasu w kasynie, poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie spróbuje szczęścia. Koledzy nie chcieli się przyznać, ile stracili, co utwierdziło go tylko w przekonaniu, że ci, którzy mówią, że wygrywają, pewnie kłamią.

W kasynie Santa Fe Club jak na poniedziałkowy wieczór było całkiem sporo gości. Mieściło się w byle jak wykończonym betonowym klocku wielkości boiska piłkarskiego. Przylegający do niego dziesięciopiętrowy hotel zapewniał nocleg klientom – głównie emerytom z Północy, którzy pewnie nigdy nie

odwiedziliby Missisipi, gdyby nie możliwość grania na automatach i darmowy gin w nieograniczonych ilościach.

Ray miał w kieszeni pięć banknotów wyciągniętych z różnych partii skarbu przeliczonego w motelu. Podszedł prosto do pustego stołu do blackjacka, przy którym znudzona krupierka zapadała w drzemkę.

– Wchodzę do gry – powiedział, kładąc banknot na stole.

– Stawka sto dolarów – rzuciła przez ramię, ale nikt nie zwrócił na to specjalnej uwagi.

Od niechcenia potarła banknot palcami i położyła go z powrotem na zielonym suknie.

Chyba jednak jest prawdziwy, pomyślał wyraźnie rozluźniony Ray. Ostatecznie krupierka nieustannie miała do czynienia z banknotami. Z wprawą przetasowała talię kart, rozdała je i kiedy dostała dwadzieścia cztery punkty, zabrała studolarówkę z ukrytego skarbu sędziego Atlee i na jej miejsce położyła dwa czarne żetony. Z całkowitym spokojem postawił oba na następne rozdanie. Krupierka znów rozdała karty. Mając tylko piętnaście punktów, dobrała dziewiątkę, więc przed Rayem pojawiły się cztery żetony. W ciągu niespełna minuty wygrał trzysta dolarów.

Grzechocząc plastikowymi krążkami w kieszeni, ruszył na obchód kasyna. Największym powodzeniem cieszyły się automaty. Siedzący przy nich starsi ludzie w milczeniu i napięciu graniczącym z letargiem pociągali dźwignie jednoręcznych bandytów i ze smutkiem wpatrywali się w ekrany. Przy stole do kości gra musiała się toczyć o wysoką stawkę, bo zgromadzeni wokół niego mężczyźni o zaczerwienionych twarzach i karkach wykrzykiwali coś, czego Ray zupełnie nie rozumiał. Obserwował przez chwilę grę, ale nie mógł się połapać, na jakich zasadach kości i żetony przechodzą z rąk do rąk.

Przy następnym pustym stole do blackjacka już znacznie pewniej wyciągnął drugą studolarówkę. Krupier podniósł ją do oczu i obejrzał dokładnie, sprawdził pod światło, potarł między palcami, wreszcie oddalił się z nią parę kroków do swego szefa. Ten, jakby nabrał podejrzeń, wyciągnął z kieszeni lupkę

jubilerską, przyłożył do lewego oka i niczym chirurg uważnie zlustrował banknot. W końcu wzruszył ramionami.

– W porządku.

Nie był nawet pewien, który to powiedział, krupier czy jego szef, bo już rozglądał się za uzbrojonymi ochroniarzami. Krupier szybko wrócił na swoje miejsce za stołem i położył banknot na suknie.

– No to grajmy.

Kilka sekund później ujrzał przed sobą królową kier i króla pik. Wygrał po raz trzeci z rzędu.

Postanowił wykorzystać podejrzliwość krupiera i skłonność jego szefa do wnikliwej kontroli banknotów, żeby raz na zawsze rozwiązać swoje wątpliwości. Wyciągnął z kieszeni pozostałe trzy banknoty studolarowe i położył je na stole. Krupier obejrzał je po kolei, po czym wzruszył ramionami i zapytał:

– Chce je pan rozmienić?

– Nie. Stawiam wszystkie.

– Trzysta dolarów w gotówce – oznajmił głośno krupier, a szef pośpiesznie stanął za jego plecami.

Ray dostał dziesiątkę i szóstkę i spasował. Krupier po dziesiątce i czwórce bez wahania odwrócił trzecią kartę: waleta karo. Czwarta wygrana z rzędu! Studolarówki zniknęły ze stołu, a na ich miejscu pojawiło się sześć czarnych żetonów. W sumie miał ich teraz dziesięć – tysiąc dolarów – ale co ważniejsze, miał pewność, że pozostałe trzydzieści tysięcy banknotów upchniętych w bagażniku audi też nie są fałszywe. Zostawił jeden żeton krupierowi i poszedł napić się piwa.

Bar znajdował się na podwyższeniu, żeby gościom łatwiej było obserwować, co dzieje się na parkiecie. Na dwunastu ekranach można też było oglądać retransmisje meczów baseballu, wyścigów NASCAR czy turnieje kręglarskie. Nie przyjmowano jednak zakładów sportowych, ponieważ na to prawo Missisipi jeszcze nie zezwalało.

Ray doskonale zdawał sobie sprawę, że przychodząc do kasyna, ryzykował. Wiedział już wprawdzie, że banknoty nie są

falszywe, ale nie miał pojęcia, czy nie są znaczone. Podejrzliwość okazana przez krupiera i jego szefa zapewne była wystarczającym powodem, by na zapleczu jeszcze dokładniej zbadać studolarówki. A przecież mieli jego zdjęcia na taśmie wideo, podobnie jak wszystkich pozostałych gości. W kasynach instalowano bardzo rozbudowane systemy zabezpieczeń, wiedział o tym od dwóch zapaleńców, którzy chcieli rozbić bank w Atlantic City.

Więc gdyby jego banknoty kogokolwiek zaalarmowały, bez trudu mogli go odnaleźć.

Ale gdzie indziej miałyby szansę sprawdzić studolarówki? Nie mógł przecież wejść z nimi do banku First National w Clanton, wsunąć kilka sztuk do okienka i poprosić: „Byłby pan uprzejmy, panie Dempsey, sprawdzić, czy te banknoty nie są fałszywe?”. Żaden kasjer w Clanton na pewno nie miał dotąd do czynienia z podrobionymi setkami, więc w czasie lunchu całe miasto już by wiedziało, że syn sędziego Atlee łązi po rynku z plikiem podejrzanych banknotów.

Zastanawiał się, czy nie zaczekać z ich sprawdzeniem do powrotu do Wirginii. Jego adwokat na pewno znał jakiegoś fachowca, który szybko i dyskretnie by je skontrolował. Ray nie chciał jednak tego odwlekać. Postanowił, że jeśli pieniądze są fałszywe, od razu je spali. Ale nie zdecydował, co z nimi zrobi, jeśli okażą się prawdziwe.

Powoli sączył piwo, dając ochronie kasyna czas na wysłanie do niego dwóch gości w czarnych garniturach, którzy podejść i powiedzą: „Możemy pana prosić na chwilę?”. Ustalenie, że banknoty są znaczone, zajmie im trochę czasu, a jeszcze więcej odnalezienie źródła ich pochodzenia.

Zastanawiał się, o co mógłby zostać oskarżony, gdyby ujawniono znakowanie studolarówek. W końcu wziął pieniądze z domu zmarłego ojca, który na mocy testamentu był teraz wspólną własnością jego i brata. A do tego był wykonawcą testamentu, więc to na nim spoczywała odpowiedzialność za zabezpieczenie majątku. I miał jeszcze wiele miesięcy na to, by

oficjalnie zatwierdzić w sądzie ostatnią wolę Sędziego i rozliczyć się z urzędem podatkowym. No, a jeśli ojciec nielegalnie wszedł w posiadanie tych pieniędzy, to przecież on nie był niczemu winien. Nie zrobił niczego niezgodnego z prawem, przynajmniej do tej pory.

Wrócił do pierwszego stołu do blackjacka i tym razem postawił pięć czarnych żetonów. Krupierka natychmiast przywołała swojego szefa, lecz ten szybko skinął głową, stanął za jej plecami i z ręką pod brodą, trącąc kciukiem koniuszek ucha, obserwował grę, jakby pięciusetdolarowe stawki w tym kasynie były na porządku dziennym. Kobieta rozdała karty. Przed Rayem wylądował as z królem, a chwilę później żetony o wartości siedmiuset pięćdziesięciu dolarów.

– Ma pan ochotę się czegoś napić? – zapytał stojący za krupierką mężczyzna, w szerokim uśmiechu odsłaniając poźółkłe nierówne zęby.

– Poproszę piwo Beck's.

Jak spod ziemi przy Rayu wyrosła kelnerka z tacą.

Postawił setkę na następne rozdanie i przegrał. Po krótkim namyśle przesunął po stole trzy żetony i tym razem wygrał. Poszcęściło mu się w ośmiu z dziesięciu kolejnych rozdaniach, które obstawiał przypadkowo dobieranymi stawkami od stu do pięciuset dolarów, jakby świetnie wiedział, co robi. Szef krupierki nie ruszał się ze swego miejsca za jej plecami. Myślał chyba, że mają do czynienia z zawodowym graczem, specjalistą od blackjacka, którego trzeba dokładnie obserwować i filmować, żeby później przestrzec przed nim zaprzyjaźnione kasyna.

Gdyby znali prawdę...

Po tym, jak przegrał dwa razy z rzędu po dwieście dolarów, postanowił zaryzykować i postawić tysiąc. Ostatecznie miał ponad trzy miliony w bagażniku samochodu. Mógł sobie pozwolić na taką stratę. I kiedy w następnym rozdaniu dostał dwie damy, zachował kamienną twarz, jakby takie wygrane nie były dla niego niczym nowym.

– Ma pan ochotę na obiad? – zapytał mężczyzna stojący za krupierką.

– Nie, dziękuję.

– Możemy czymś jeszcze służyć?

– Chętnie skorzystałbym z noclegu.

– Życzy pan sobie pokój jednoosobowy czy apartament?

Wiele osób na jego miejscu natychmiast wykrzyknęłyby: „Oczywiście, że apartament!”. Ale Ray się pohamował.

– Jednoosobowy mi wystarczy.

Nie miał ochoty tu nocować, ale po dwóch piwach wolał nie siadać za kierownicą. Mógłby go zatrzymać pierwszy lepszy gliniarz. A gdyby zajrzał do bagażnika...

– Jak pan sobie życzy – odparł mężczyzna. – Zaraz zrobię dla pana rezerwację.

Przez następną godzinę Ray grał ze zmiennym szczęściem. Kelnerka zatrzymywała się przy nim co pięć minut i podtykała tacę z przekąskami, jakby chciała go wyrwać ze skupienia, ale zadowolili się tylko jednym piwem. Podczas kolejnego tasowania kart szybko przeliczył żetony. Miał ich trzydzieści dziewięć.

Koło północy zaczął ziewać; dawała o sobie znać poprzednia nieprzespana noc. Klucze do pokoju miał już w kieszeni. Gdyby nie to, że przy tym stole limit wynosił tysiąc dolarów, postawiłby wszystkie swoje żetony i w glorii wycofał się z gry. Ograniczył się więc do tysiąca w najbliższym rozdaniu i przy aplauzie grupki ciekawskich dostał dwadzieścia jeden punktów. Postawił kolejnych dziesięć żetonów i znowu wygrał, bo krupierka miała furę – dwadzieścia dwa punkty. Zgarnął wygraną, zostawił kobiecie cztery żetony i poszedł do kasy. Spędził w kasynie trzy godziny.

Okno pokoju na czwartym piętrze wychodziło na parking. Widać było przez nie jego samochód. Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Dlatego przysunął sobie krzesło do okna i pogrążył się w rozmyślaniach.

A może Sędzia stał się bywalcem kasyn? Czy to możliwe, żeby ukryta fortuna, której istnienie zachował w ścisłej tajemnicy,

pochodziła właśnie z hazardu?

I im dłużej Ray przekonywał się w myślach, że to mało prawdopodobne, tym bardziej był przeświadczony, że odkrył źródło pieniędzy ojca. Z tego, co wiedział, Sędzia nigdy nie chciał choćby spróbować inwestowania na giełdzie, zresztą gdyby nawet się tym zajmował, jeśliby stał się drugim Warrenem Buffettem, to dlaczego miałby odbierać profity w gotówce i składować ją w komodzie pod regałem z książkami? Poza tym pozostałyby po tym jakieś dokumenty.

Nawet gdyby przyjąć, że wykorzystywał swoje stanowisko i prowadził podwójne życie, przyjmując łapówki, to w rolniczym regionie Missisipi nie byłyby one na tyle wysokie, by zebrać ponad trzy miliony dolarów. Zresztą czegoś takiego również nie dałoby się ukryć.

Zatem pieniądze musiały pochodzić z hazardu. Tylko kasyna obracały gotówką. Ray sam wygrał sześć tysięcy dolarów w ciągu jednego wieczoru. To jasne, że miał szczęście, no, ale ojcu też mogło dopisywać. Niewykluczone, że Sędzia na starość odkrył u siebie żyłkę do gry w karty albo kości. Albo po prostu trafiła mu się maksymalna wygrana w automacie do gry. W końcu żył samotnie i nie musiał się przed nikim z tego spowiadać.

Tak, zapewne wygrał te pieniądze.

Ale aż trzy miliony dolarów w ciągu siedmiu lat?

Czy kasyna nie prowadziły dokumentacji tak dużych wygranych? Czy ojciec nie musiałby składać zeznań podatkowych?

A przede wszystkim, dlaczego ukrył pieniądze? Czemu nie rozdał ich potrzebującym, jak to robił ze swoją emeryturą?

Parę minut po trzeciej Ray w końcu się poddał i wyszedł z pokoju. Resztę nocy przespał w samochodzie.



## Rozdział 11

---

**D**rzwi frontowe były lekko uchylone. Dziwne, zważywszy na to, że nikt tu nie mieszkał i była ósma rano. Ray przyglądał się im przez dobrą minutę, nie mogąc zdecydować, czy naprawdę chce tam wejść. Zrozumiał jednak, że nie ma wyboru. Wziął głębszy oddech, pchnął lekko drzwi i odruchowo zacisnął pięści, jakby mógł za nimi czyhać włamywacz. Cicho poskrzypując, uchyliły się szerzej. Kiedy światło dzienne padło na pudła stojące pod ścianą w holu, zauważył na podłodze błotniste ślady butów. Intruz musiał wejść od tyłu, gdzie na podwórku była wilgotna ziemia, i z jakiegoś powodu opuścił dom drzwiami wychodzącymi na werandę.

Ray powoli wyciągnął z kieszeni pistolet.

Dwadzieścia siedem zielonych pudełek z drukarni Blake & Son wałało się po całym gabinecie Sędziego. Kanapa leżała przewrócona. Drzwiczki komody pod regałem z książkami były szeroko otwarte. Biurko z żaluzjową osłoną najwyraźniej nie ucierpiało, ale wszystkie papiery z szuflad rozsypano po podłodze.

Widocznie włamywacz powyciągał pudełka, otworzył je i nie znalazłszy w środku pieniędzy, z wściekłością porozrzucał je po całym pokoju. Nie było go już w gabinecie, lecz pod Rayem, który niemal czuł jego gwałtowną reakcję, ugięły się nogi.

Przez te pieniądze mógł zginąć.

Kiedy odzyskał panowanie nad sobą, ustawił z powrotem kanapę i pozgarniał papiery. Zabierał się właśnie do wtykania zielonych pudełek do komody, gdy usłyszał czyjeś kroki na

schodach werandy. Zerknął przez okno. Starsza kobieta unosiła rękę, żeby zapukać do drzwi.

Nikt tak dobrze nie znał Sędziego jak Claudia Gates. Pełniła funkcję jego protokolantki, sekretarki i szofera, a jeśli wierzyć plotkom, które krążyły po Clanton jeszcze w dzieciństwie Raya, na tym się nie kończyło. Przez trzydzieści lat towarzyszyła Sędziemu we wszystkich podróżach po sześciu hrabstwach należących do XXV okręgu sądowego, w które często wyruszali przed siódmą rano, a wracali długo po zmroku. Kiedy nie byli w sali rozpraw, siedzieli razem w gabinecie, gdzie ona przepisywała na maszynie protokoły, a on zajmował się swoją pracą.

Jeden z adwokatów, niejaki Turley, podczas przerwy na lunch zastał ich kiedyś w kompromitującej sytuacji i popełnił niewybaczalny błąd, opowiadając o tym kolegom. Przez następny rok przegrywał każdą sprawę przed sądem i stracił wszystkich klientów. A trzy lata później sędzia Atlee doprowadził do usunięcia go z palestry.

– Cześć, Ray! – zawołała Claudia przez drucianą siatkę w drzwiach. – Mogę wejść?

– Oczywiście. – Otworzył przed nią drzwi.

Nigdy się nie lubili. Ray podświadomie traktował ją jak rywalkę zabierającą wszelkie uczucia Sędziego należne jemu i Forrestowi, ona zaś widziała w nim zagrożenie dla swego związku. Zresztą, jeśli chodziło o Sędziego, to w każdym widziała zagrożenie.

Niewielu miała przyjaciół, a jeszcze mniej adoratorów. Była szorstka i gruboskórna, pewnie dlatego, że całymi dniami przysłuchiwała się rozprawom w sądzie. Z powodu zażyłości z sędzią Atlee wszystkich traktowała z góry.

– Tak mi przykro – powiedziała.

– Mnie również.

Idąc z nią korytarzem, Ray pośpiesznie zamknął drzwi gabinetu.

– Lepiej tam nie wchodzić.

Claudia najwyraźniej nie zwróciła uwagi na ślady błota w holu.

– Przynajmniej teraz mógłbyś być dla mnie miły, Ray.

– Dlaczego?

Usiedli w kuchni. Zaparzył dzbanek kawy, postawił go na stole i zajął miejsce naprzeciwko niej.

– Mogę zapalić? – spytała.

– Mnie to nie przeszkadza.

Pał sobie, aż się udławisz, stara wiedźmo, pomyślał, wspominając, że garnitury ojca zawsze cuchnęły dymem jej papierosów. Pozwalał jej palić w samochodzie i w swoim gabinecie, a więc zapewne także w łóżku. Wszędzie, tylko nie w sali rozpraw.

Rezultatem jej zamiłowania do tytoniu był świszczący oddech, chrapliwy głos i niezliczone drobne zmarszczki na twarzy.

Oczy miała zaczerwienione od łez, co u niej należało do rzadkości. Kiedy pewnego lata Ray pomagał ojcu w sądzie, miał tego pecha, że musiał uczestniczyć w bulwersującej rozprawie o molestowanie dziecka. Zeznania świadków były tak dramatyczne i poruszające, że wszyscy, nie wyłączając Sędziego oraz reprezentantów obu stron, słuchali ich ze łzami w oczach. Jediną obojętną osobą w sali rozpraw była wtedy Claudia, jak zwykle przyjmująca wszystko z kamienną twarzą.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że on nie żyje – powiedziała, wydmuchując kłęb dymu w sufit.

– Umierał już od pięciu lat, Claudio. Nie powinnaś być zaskoczona.

– I tak strasznie mi smutno.

– Rozumiem cię. Ale on cierpiał, więc śmierć była dla niego tylko wybawieniem.

– W ogóle nie chciał się ze mną widywać.

– Nie wracajmy do starych dziejów, dobrze?

Owe stare dzieje, w zależności od tego, która wersja w danej chwili była bardziej wiarygodna, elektryzowały całe Clanton prawie przez dwa dziesięciolecia. Kilka lat po śmierci matki Raya

Claudia z niewyjaśnionych do końca powodów rozwiodła się z mężem. Połowa mieszkańców miasteczka utrzymywała, że Sędzia musiał jej obiecać małżeństwo. Natomiast druga – ta, która nigdy nie straciła wiary w uczciwość Sędziego – była zdania, że Reuben Atlee nigdy by się nie związał z taką prostytutką, a przyczyną rozvodu było to, że mąż przyłapał ją na cudzołóstwie z innym mężczyzną. Przez wiele lat ona i Sędzia korzystali z przywilejów, jakie niesie życie w małżeństwie, tyle że nie mieli ślubu i nie mieszkali pod jednym dachem. Potem jednak Claudia zaczęła go naciskać, żeby się z nią ożenił, on zaś ciągle odkładał decyzję na później. Widocznie i tak dostawał od niej to, na czym mu zależało.

W końcu postawiła mu ultimatum, co okazało się bardzo złą strategią. Sędzia Atlee był odporny na tego rodzaju naciski. I rok przed tym, jak musiał opuścić swoje stanowisko, Claudia wyszła za innego mężczyznę, młodszego od niej o dziewięć lat. Sędzia natychmiast ją zwolnił i przez dłuższy czas w kafejkach i klubach przy rynku nie mówiło się o niczym innym. Po kilku burzliwych latach drugi mąż Claudii zmarł. Znowu została sama. Ale wiodący pustelniczy tryb życia Sędzia nie potrafił jej już wybaczyć, że go zdradziła, powtórnie wychodząc za mąż.

– A gdzie Forrest? – spytała.

– Powinien niedługo przyjechać.

– Co u niego?

– Jak to u Forresta.

– Chcesz, żebym sobie poszła?

– To zależy tylko od ciebie.

– Chciałabym z tobą porozmawiać, Ray. Muszę z kimś pogadać.

– Nie masz żadnych przyjaciółek?

– Nie. Jedynym moim przyjacielem był Reuben.

Ciarki przeszły mu po karku, gdy nazwała Sędziego po imieniu. Wetknęła papierosa między grubo uszminowane wargi i zaciągnęła się głęboko. Chyba z powodu żałoby umalowała się bladą różową szminką, a nie jaskrawoczerwoną, z której niegdyś

słysnęła. Przekroczyła już siedemdziesiątkę, ale trzymała się świetnie. Była zgrabna i szczupła, mogła nosić sukienki, jakich żadna inna siedemdziesięciolatka w hrabstwie Ford nie odważyłaby się włożyć. W uszach miała kolczyki z brylantami, stanowiące komplet z pierścieniem na palcu, choć na pierwszy rzut oka trudno było ocenić, czy to prawdziwe brylanty. Poza tym nosiła delikatny złoty łańcuszek i dwie złote bransoletki na ręce.

Mimo swoich lat wciąż była atrakcyjną kobietą. Ray pomyślał, że warto się dowiedzieć od Harry'ego Rexa, z kim się ostatnio spotyka.

– O czym chciałabyś porozmawiać? – zapytał, dolewając jej kawy.

– O Reubenie.

– Ojciec nie żyje, a ja nie lubię wracać do przeszłości.

– Naprawdę nie możemy zostać przyjaciółmi?

– Nie. Nigdy za sobą nie przepadaliśmy. Nie będziemy się teraz ścisnąć i obcałowywać nad jego trumną. Czemu miałyby to służyć?

– Jestem już stara, Ray.

– Mieszkam w Wirginii. Jutro weźmiemy razem udział w pogrzebie i już nigdy więcej się nie zobaczymy. Odpowiada ci to?

Przypaliła następnego papierosa i znowu zaczęła płakać. Ray myślał wyłącznie o bałaganie w gabinecie; zastanawiał się, co powie Forrestowi, jeśli brat zjawi się właśnie teraz i zwróci uwagę na ślady butów i porozrzucone pudełka. Poza tym gdyby Forrest zobaczył Claudię przy kuchennym stole, mógłby się na nią rzucić z pięściami.

Nie znaleźli na to żadnych dowodów, ale w młodości obaj przeczuwali, że Sędzia płaci jej dużo więcej, niż wynosi obowiązująca stawka protokolantki. Musiał wyznaczać jej premie w zamian za dodatkowe usługi, jakie mu świadczyła. Właśnie z tego powodu obaj żywili do niej tak głęboką niechęć.

– Zależy mi na czymś, co będzie mi go przypominało. Nic więcej – mruknęła.

– I pomyślałaś o mnie, tak?

– Jesteś podobny do ojca jak dwie krople wody, Ray. Dlatego tu przyszłam.

– A nie liczyłaś na to, że dostaniesz jakieś pieniądze?

– Nie.

– Masz z czego żyć?

– Jakoś sobie radzę.

– W każdym razie nic dla ciebie nie mam.

– Zostawił testament?

– Owszem, ale nie uwzględnił cię w nim.

Znów zaczęła szlochać. Raya powoli ogarniała złość. Dwadzieścia lat temu wystarczało jej na dostatnie życie, podczas gdy on musiał szorować stoliki w barze i zadowalać się grzankami z masłem, odkładając każdy grosz w nadziei, że przetrwa jeszcze miesiąc studiów i nie zostanie wyrzucony z wynajmowanego nędznego mieszkanca. Claudia regularnie wymieniała stare cadillaki na nowe, podczas gdy on i Forrest jeździli zdezelowanymi gruchotami. Musieli żyć jak dalecy ubodzy krewni, tymczasem ona miała pod dostatkiem eleganckich strojów i biżuterii.

– Zawsze obiecywał, że będzie się o mnie troszczył – powiedziała.

– Ale zerwał znajomość z tobą przed wielu laty. Daj sobie spokój, Claudio.

– Nie potrafię. Za bardzo go kochałam.

– Łączył was tylko seks i pieniądze, a nie miłość. Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać.

– Dużo wam zostawił?

– Nic. Wszystko rozdał.

– Jak to?

– Po prostu. Na pewno wiesz, jak bardzo lubił wystawiać czeki. A po tym, jak się rozstaliście, robił to ze zdwojoną energią.

– Miał przecież fundusz emerytalny.

Nie musiała już udawać zrozpaczonej. Przybyła tu wyłącznie w interesach. Spoglądała na niego całkiem suchymi zielonymi oczami.

– Skasował go zaraz po przegranych wyborach. Popełnił olbrzymi błąd, ale zrobił to bez mojej wiedzy. Był straszliwie rozgoryczony. Część tych pieniędzy przeznaczył na życie, resztę oddał chłopięcej i dziewczęcej drużynie skautów, drużynie piłkarskiej, Stowarzyszeniu Synów Konfederacji, Komitetowi Ochrony Historycznych Pól Bitewnych i Bóg jeden wie, komu jeszcze.

Gdyby ojciec jeszcze w czasie urzędowania brał łapówki, w co Ray nie mógł uwierzyć, Claudia na pewno wiedziałaby o ukrytych w domu pieniądzach. Tymczasem nie miała o nich pojęcia. Nie było co do tego wątpliwości; w przeciwnym razie nie znalazłby w komodzie ani centa. Gdyby tylko się domyślała istnienia trzymilionowej fortuny, położyłaby łapę przynajmniej na jej części i wszyscy w miasteczku by o niej wiedzieli, bo nie należała do osób, które potrafią oszczędzać. Spoglądając na jej zatroskaną minę, Ray pomyślał, że chyba została bez grosza przy duszy.

– Wydawało mi się, że twój drugi mąż wcale nie był taki biedny – powiedział i zabrzmiało to trochę okrutniej, niż zamierzał.

– Mnie też się tak wydawało – odparła, siląc się na uśmiech. Była znana z bezpośredniości.

Roześmiał się. Ona też i nagle lody między nimi stopniały.

– Nic ci nie zostawił?

– Ani grosza. Był przystojny, o dziewięć lat ode mnie młodszy, więc chyba się domyślasz...

– Pamiętam, i to dobrze, ten skandal, o którym mówiło całe Clanton.

– Miał wtedy pięćdziesiąt jeden lat. Był wygadany, wciąż przebąkiwał, że zarobi wielkie pieniądze na ropie. Przez cztery lata jak szalony wiercił tu i tam, ale niczego nie znalazł.

Ray znowu zachichotał. Uświadomił sobie, że chyba jeszcze nigdy nie rozmawiał z siedemdziesięcioletnią kobietą o seksie i pieniądzach. A coś mu podpowiadało, że mógłby od niej wiele usłyszeć.

– Świetnie wyglądasz, Claudio. Możesz się jeszcze za kimś porozglądać.

– Jestem zmęczona, Ray. Stara i zmęczona życiem. Musiałabym wołami ciągnąć chłopca do ołtarza. Szkoda zachodu.

– Co się stało z twoim drugim mężem?

– Zawał. Nie zostało po nim nawet tysiąca dolarów.

– No to Sędzia był lepszy. Zostawił sześć.

– Tylko tyle? – zapytała z niedowierzaniem.

– Żadnych akcji ani obligacji, tylko ten stary dom i sześć tysięcy dolarów na koncie.

Spuściła wzrok i pokręciła głową. Nie wyglądała, jakby mu nie wierzyła. Co oznaczałoby, że nic nie wie o ukrytej gotówce.

– Co zamierzacie zrobić z domem?

– Forrest zaproponował, żeby podłożyć ogień i skasować ubezpieczenie.

– To wcale nie taki głupi pomysł.

– Sprzedamy go.

Zza okna doleciał odgłos czyichś kroków i po chwili rozległo się pukanie. Wielebny Palmer przyjechał, by omówić szczegóły nabożeństwa żałobnego, które miało się rozpocząć za dwie godziny. Ray uścisnął Claudię na pożegnanie, odprowadził ją do samochodu, a ona objęła go jeszcze raz i szepnęła:

– Wybacz, że zawsze byłam dla ciebie taka nieprzyjemna.

– Do widzenia, Claudio. Zobaczymy się w kościele.

– On mi nigdy nie wybaczył.

– Za to ja ci wybaczam.

– Naprawdę?

– Tak. Od tej pory jesteśmy przyjaciółmi.

– Bardzo dziękuję. – Uściskała go po raz kolejny, a w jej oczach zabłyśły łzy.



Ray przytrzymał drzwi cadillaca, czekając, aż usiądzie za kierownicą. Zanim jednak przekręciła kluczyk w stacyjce, obejrzała się na niego.

– A tobie kiedykolwiek wybaczył? – spytała.

– Chyba nie.

– Też mi się tak zdaje.

– Teraz to już nie ma żadnego znaczenia. Niech spoczywa w pokoju.

– Nawet jeśli był starym wrednym sukinsynem, prawda? – mruknęła przez łyżki.

Mimo woli zaśmiał się. Nie mógł uwierzyć, że siedemdziesięcioletnia była kochanka jego ojca bez wahania nazwała zmarłego sukinsynem.

– Masz rację – przyznał.

## Rozdział 12

---

**D**ębową trumnę ze zwłokami sędziego Atlee przetoczono na wózku główną nawą i ustawiono przed ołtarzem, tuż obok mównicy, przy której już czekał wielebny Palmer w czarnej sutannie. Trumna pozostała zamknięta, ku rozczarowaniu żałobników, w większości wiernych staremu obyczajowi amerykańskiego Południa, zgodnie z którym należało po raz ostatni spojrzeć na zmarłego, by nasilić rozpacz po jego stracie.

– W żadnym wypadku – odparł stanowczo Ray, gdy Magargel zaproponował otwarcie trumny w kościele.

Kiedy wszystko było już gotowe, Palmer powoli rozpostarł ramiona, po czym opuścił je i wierni zajęli miejsca w ławkach.

W pierwszym rzędzie z prawej zasiadła najbliższa rodzina, czyli obaj synowie. Ray, w nowym granatowym garniturze, wyglądał na zmęczonego. Forrest był w dżinsach i czarnej kurtce, ale sprawiał wrażenie trzeźwego. Za nimi siedział Harry Rex i pozostali mężczyźni, którzy mieli nieść trumnę. Dalsze miejsca zajmowało smętne zgromadzenie wiekowych sędziów, z których większość była już jedną nogą na tamtym świecie. W pierwszym rzędzie po lewej zebrali się najróżniejsi dygnitarze; był wśród nich poprzedni gubernator i kilku sędziów Sądu Najwyższego stanu Missisipi. Clanton chyba nigdy dotąd nie oglądało tak dostojnego towarzystwa.

W kościele zabrakło wolnych miejsc, ludzie stali pod ścianami w bocznych nawach pod witrażowymi oknami i tłoczyli się na balkonie, skąd mieli lepszy widok.

Ray był pod wrażeniem tak dużej liczby osób. Forrest niecierpliwie spoglądał na zegarek. Zjawił się kwadrans przed

rozpoczęciem nabożeństwa, za co usłyszał parę ostrych słów – nie od brata, lecz od Harry’ego Rexa. Tłumaczył się, że pobrudził nowy garnitur i uznał, że ta czarna kurtka, którą Ellie kupiła mu parę lat temu, będzie się nadawała na pogrzeb.

Ellie ważyła aktualnie sto czterdzieści kilogramów, więc w ogóle nie wychodzi z domu, za co Ray i Harry Rex byli jej bardzo wdzięczni. Jakimś cudem udało jej się powstrzymać Forresta przed piciem, pytanie tylko, na jak długo. Ray również dlatego marzył o jak najszybszym powrocie do Wirginii.

Wielebny odmówił krótką modlitwę dziękczynną za pełne blasków życie wielkiego człowieka. Następnie dał znak dyrygentowi chóru chłopięcego, który zdobył główną nagrodę w ogólnokrajowym konkursie w Nowym Jorku. Według Palmera, sędziego Atlee wyłożył trzy tysiące dolarów na ten wyjazd. Chór odśpiewał dwie wprawdzie nieznane Rayowi, ale piękne pieśni.

Do pierwszej mowy pochwalnej – zgodnie z życzeniem Raya, miały być tylko dwie, i to krótkie – wystąpił przygarbiony staruszek, który ledwie wszedł o własnych siłach na mównicę, ale jego tubalny głos rozszedł się donośnym echem po całym kościele. Jak się okazało, studiował razem z Sędzią, chyba przed stu laty. Zanim zdążył opowiedzieć dwie mało zabawne historyjki, głos zaczął mu wyraźnie słabnąć.

Pastor odczytał fragment z Biblii i wygłosił kilka słów pociechy po stracie szanowanego członka parafii, który żył w tej społeczności pełnią życia.

Drugą mowę wygłosił Nakita Poole, młody Murzyn będący w Clanton żywą legendą. Pochodził z szemranej rodziny mieszkającej w południowej części miasta i tylko nauczycielowi chemii ze szkoły średniej zawdzięczał to, że po skończeniu dziewiątej klasy nie rzucił nauki i nie dołączył do grona bezrobotnych obiboków. Sędzia poznał go podczas procesu związanego z jakąś rodzinną awanturą i zainteresował się chłopakiem. Poole miał wyjątkowe uzdolnienia do nauk ścisłych. Ukończył szkołę średnią z wyróżnieniem, złożył papiery do kilku renomowanych college’ów i do każdego z nich został przyjęty.

Atlee wystawił mu entuzjastyczne rekomendacje i wykorzystał wszystkie swoje znajomości, aby pomóc chłopakowi. Nakita zdecydował się na Yale i dzięki pieniądzom Sędziego zdołał ukończyć studia. Przez cztery lata regularnie co tydzień dostawał listy ze słowami zachęty oraz czeki na dwadzieścia pięć dolarów.

– Nie tylko ja dostawałem listy i czeki od Sędziego – mówił do skupionego tłumu. – Było nas więcej.

Teraz, mając w kieszeni dyplom lekarza, Nakita wybierał się na dwa lata wolontariatu w Afryce.

– Bardzo będzie mi brak listów od Sędziego – wyznał na koniec i wszystkie starsze panie w kościele uniosły chusteczki do oczu.

Potem przyszła kolej na koronera, Thurbera Foremana, który od wielu lat uczestniczył niemal we wszystkich pogrzebach w hrabstwie Ford. Sędzia w testamencie zażyczył sobie, aby zagrał na mandolinie i zaśpiewał *Ruszam w drogę do Ciebie, Panie*. Foreman zrobił to pięknie i po policzkach spływały mu łzy.

Nawet Forrest zaczął w końcu pociągać nosem. Tylko Ray spoglądał obojętnie na trumnę ojca, zachodząc w głowę, skąd się wzięły pieniądze ukryte w komodzie. Jakim sposobem Sędzia mógł zdobyć taką fortunę? I na co zamierzał ją przeznaczyć po swojej śmierci?

Kiedy wielebny skończył bardzo krótkie kazanie, wyznaczeni mężczyźni wynieśli trumnę sprzed ołtarza. Magargel poprowadził Raya i Forresta główną nawą do czarnej limuzyny czekającej przed kościołem tuż za karawanem. Za nimi ludzie zaczęli się tłumnie rozchodzić do swoich samochodów, by ruszyć w drogę na cmentarz.

Jak w większości małych miasteczek, także w Clanton pogrzeby cieszyły się olbrzymim zainteresowaniem. Ustał wszelki ruch. Ci, którzy nie jechali w kondukcje, przystawali na chodnikach i smutnym wzrokiem odprowadzali karawan oraz długi sznur podążających za nim samochodów. Zmobilizowano wszystkie rezerwy policji i umundurowani funkcjonariusze stali u wylotów każdej ulicy, alejki, a nawet parkingu.

Kondukt zrobił rundę honorową wokół gmachu sądu, przed którym sztandar był ciągle opuszczony do połowy masztu, a zgromadzeni na chodniku urzędnicy stali ze zwieszonymi głowami. Sklepiarze przy rynku wyszli na zewnątrz, aby pożegnać sędziego Atlee.

Trumnę złożono w rodzinnej kwaterze, obok grobu dawno zapomnianej żony, pośród szczątków licznych przodków darzonych przez Sędziego tak wielkim szacunkiem. Miał być ostatnim z rodu Atlee, którego prochy pozostaną w ziemi hrabstwa Ford, choć mieszkańcy miasteczka jeszcze o tym nie wiedzieli. Zresztą nie obchodziło ich to. Ray pragnął, aby jego popioły po kremacji zostały rozsypane nad szczytami gór Blue Ridge. Forrest powiedział, że na pewno umrze przed Rayem, ale nie podjął jeszcze decyzji w sprawie swego pogrzebu. Pewny był tylko tego, że nie chce spocząć na cmentarzu w Clanton. Ray próbował namawiać go na kremację, lecz Ellie była zwolenniczką grobowców, więc Forrest wolał na razie o niczym nie przesądzać.

Niewielu uczestników pogrzebu zmieściło się pod szkarłatnym baldachimem domu pogrzebowego Magargela, większość musiała zostać na zewnątrz. Przy wykopanym grobie starczyło miejsca tylko na cztery rzędy składanych krzeseł, gdy tymczasem przydałoby się ich dla tysiąca ludzi.

Obaj bracia usiedli, niemal dotykając kolanami trumny, żeby wysłuchać ostatniej modlitwy wielebnego Palmera. Z nurtującymi go myślami Ray czuł się nieswojo na niewygodnym twardym krześle, blisko krawędzi otwartego grobu. Bardzo chciał już wracać do domu. Tęsknił za swoją salą wykładową i studentami, za lekcjami pilotażu i piękną panoramą doliny Shenandoah z wysokości półtora kilometra. Był zmęczony, rozdrażniony i nie zamierzał przez następne dwie godziny tkwić na cmentarzu, by odbierać kondolencje od ludzi pamiętających jego narodziny.

Ostatni akcent należał do żony pastora zgromadzenia zielonoświątkowców, która zaintonowała *Cudowną łaskę* i na pięć minut czas jakby stanął w miejscu. Dźwięczny sopran

rozniósł się daleko z płaskiego pagórka cmentarza, niosąc słowa ukojenia dla duszy zmarłego i pociechy dla pozostałych przy życiu. Nawet ptaki na ten czas przestały latać nad cmentarzem.

Gdy jeden z rezerwistów odegrał na trąbce sygnał capstrzyku, wszyscy zalali się łzami. Złożono sztandar i przekazano go Forrestowi, który szlochał już otwarcie i zalewał się potem pod tą przekłętą czarną kurtką. Gdy ostatnie echo przebrzmiało wśród drzew, Harry Rex zaczął głośno szlochać. Ray pochylił się na krześle i położył dłoń na trumnie. W myślach pożegnał się z ojcem, po czym, z łokciami wspartymi na kolanach, ukrył twarz w dłoniach.

Była pora lunchu. Ludzie zaczęli się rozchodzić, a Ray doszedł do wniosku, że jeśli nadal będzie siedział i tępo wpatrywał się w trumnę, zostawią go w spokoju. Forrest objął go i przytuleni pozostali na miejscach, jakby zamierzali tak siedzieć aż do wieczora. Harry Rex, wcieliwszy się w rolę rzecznika rodziny, stanął przed grobem i w paru słowach podziękował przedstawicielom władz za przybycie, wielebnemu Palmerowi za piękną uroczystość i żonie pastora zielonoświątkowców za wspaniałą artystyczną oprawę pogrzebu. Potem szybko uwolnił ich od obecności Claudii, tłumacząc jej, że synowie Sędziego nie potrzebują jej towarzystwa i powinna już iść. Wsparci na łopatach grabarze czekali pod pobliskim drzewem.

Kiedy wszyscy się rozeszli, nie wyłączając Magargela i jego pracowników, Harry Rex usiadł na krześle obok Forresta i przez dłuższy czas tkwili bez ruchu, spoglądając w milczeniu na trumnę, jakby nie mogli się rozstać ze zmarłym. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszało się na cmentarzu, były dochodzące z oddali odgłosy pracującego silnika czekającej koparki. Ani Ray, ani Forrest nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Ostatecznie ile razy w życiu chowa się własnego ojca?

Zresztą grabarze nie mają się do czego śpieszyć.

– Wspaniały pogrzeb – odezwał się w końcu Harry Rex, prawdziwy ekspert od takich ceremonii.

– Jemu by się podobał – przyznał Forrest.

– Tak, uwielbiał uroczyste pogrzeby – dodał Ray. – Nie znosił tylko ślubów.

– Ja bardzo lubię śluby – powiedział Harry Rex.

– Ile ich brałeś? Cztery? Pięć? – zainteresował się Forrest.

– Cztery. Ale nigdy nic nie wiadomo.

Podszedł do nich jeden z grabarzy i zapytał półgłosem:

– Życzą sobie panowie, abyśmy już spuścili trumnę do grobu?

Ray i Forrest nie wiedzieli, co powiedzieć.

– Tak, prosimy – odparł Harry Rex bez wahania.

Grabarz zdjął pokrowiec z kołowrotu stojącego na krawędzi dołu i pchnął dźwignię blokady. Trumna powoli zaczęła się zsuwać z pochylni i znikać w wykopie. We trzech przyglądali się w skupieniu, aż spoczęła na czerwonej ziemi na dnie grobu.

Mężczyzna wyciągnął spod niej pasy, złożył pochylnię, zdemontował kołowrót i odszedł.

– To chyba już koniec – rzucił Forrest.

\* \* \*

Chcąc się trzymać jak najdalej od restauracji w mieście, gdzie na pewno zakłócano by im spokój uprzejmymi słowami o zmarłym, pojechali na przedmieście do baru z jedzeniem na wynos, kupili meksykańskie paszteciki *tamales* oraz napoje gazowane i usiedli przy dużym drewnianym stole na powietrzu, pod wielkim parasolem.

– Kiedy wyjeżdżacie? – zapytał Harry Rex.

– Jutro z samego rana – odparł Ray, spoglądając na przejeżdżające samochody.

– Mamy jeszcze trochę pracy.

– Tak, wiem. Zabierzmy się do niej dziś po południu.

– O jakiej pracy mówicie? – wtrącił Forrest.

– O przygotowaniach do zatwierdzenia testamentu – wyjaśnił Harry Rex. – W ciągu kilku tygodni trzeba będzie wystąpić z wnioskiem. Wszystko zależy od tego, kiedy Ray będzie mógł

przyjechać do Clanton. Musimy już teraz przejrzeć dokumenty Sędziego, żeby sprawdzić, co jest do zrobienia.

– To chyba zadanie dla wykonawcy testamentu.

– Mógłbyś nam pomóc – rzucił Harry Rex.

Ray jadł powoli, nie mogąc przestać myśleć o audi, które zaparkował przy ruchliwej ulicy niedaleko kościoła prezbiteriańskiego. Miał nadzieję, że jest tam bezpieczne.

– Wczoraj wieczorem pojechałem do kasyna – odezwał się nagle z pełnymi ustami.

– Którego? – zaciekał się adwokat.

– Santa Fe czy jakoś tak. Pierwszego, na które się natknąłem. Byłeś tam?

– Byłem we wszystkich – odparł z dumą Harry Rex, który w życiu musiał posmakować chyba wszystkiego, oprócz nielegalnych narkotyków.

– Ja też – dorzucił Forrest, który, jeśli chodzi o smakowanie życia, nie robił wyjątków. – Jak ci się powiodło?

– Wygrałem parę tysięcy w blackjacka i dostałem pokój w hotelu.

– Ja musiałem zapłacić – mruknął Harry Rex. – I to tyle, jakbym wynajmował całe piętro.

– Mnie najbardziej się podobały darmowe drinki – powiedział Forrest. – Gdzie indziej trzeba by za nie płacić po dwadzieścia dolców.

Ray z trudem przełknął ślinę, decydując się na blef.

– W biurku ojca znalazłem kilka pudełek zapalek z reklamą kasyna Santa Fe. On też tam zaglądał?

– Jasne – odparł Harry Rex. – Jeździliśmy razem średnio raz na miesiąc. Lubił grać w kości.

– Nasz stary? – zdziwił się Forrest. – Grał na forszę?

– Pewnie.

– No to już jasne, gdzie się podział majątek. Czego nie rozdał potrzebującym, przepuścił w kasynie.

– Szczerze powiedziawszy, dopisywało mu szczęście w grze – oznajmił Harry Rex.



Ray zrobił nie mniej zdumioną minę od Forresta, ale w głębi duszy odetchnął z ulgą, znalazłszy pierwszy, chociaż niepewny jeszcze trop. Ale wciąż nie mógł uwierzyć, że Sędzia zgromadził tak gigantyczną fortunę na grze w kości, nawet jeśli wybierał się do kasyna co tydzień.

Nie chciał jednak wypytywać teraz, przy Forreście.

## Rozdział 13

---

**U** schyłku życia Sędzia dokładnie porządkował wszystkie swoje sprawy. Ważne dokumenty trzymał w biurku posegregowane i starannie poukładane.

Najpierw przejrzeni zawartość mahoniowego biurka. Jedną szufladę zajmowały pochodzące z ostatnich dziesięciu lat, ułożone chronologicznie wyciągi bankowe. W drugiej znajdowały się zeznania podatkowe. Kilka grubych segregatorów zawierało pokwitowania wszelkich datków i darowizn. Największą szufladę zapełniało po brzegi kilkanaście cienkich skoroszytów. Były w nich zgromadzone potwierdzenia opłat podatków od nieruchomości, rachunki za leczenie, listy od lekarzy, skierowania na badania, rozliczenia wyjazdów służbowych i odcinki wypłat emerytury. Ray pośpiesznie przejrzał napisy na teczkach, nawet do nich nie zaglądając. Sprawdził jedynie zawartość skoroszytu zatytułowanego „Rachunki bieżące”. Znalazł tylko jeden nieuregulowany, z datą sprzed tygodnia, wystawiony w Zakładzie Naprawy Kosiarek Wayne’a na sumę trzynastu dolarów i osiemdziesięciu centów.

– Zawsze ciarki chodzą mi po plecach, kiedy przeglądam papiery człowieka, który niedawno zmarł – odezwał się Harry Rex. – Czuję się wtedy tak, jakbym kogoś podglądał.

– Ja raczej jak detektyw szukający klucza do rozwikłania prowadzonej sprawy – powiedział Ray.

Siedzieli przy biurku naprzeciwko siebie, bez krawatów, z podwiniętymi rękawami koszuli, rozdzieleni stosem wyciągniętych z szuflad papierów. Jak można się było spodziewać, z Forresta nie było żadnego pożytku. Po lunchu

kupił sobie na deser sześciopak piwa, błyskawicznie rozprawił się z połową i teraz drzemał na huśtawce na werandzie.

Był jednak z nimi, nie ulotnił się bez śladu, jak czynił to wielokrotnie w ciągu minionych lat. Nikt w Clanton nawet by się specjalnie nie zdziwił, gdyby nie przyjechał na pogrzeb ojca. Ale byłoby o czym plotkować.

W najniższej szufladzie natknęli się na masę różnych drobiazgów, długopisów, fajek, zdjęć przedstawiających Sędziego w towarzystwie kolegów na dorocznych zjazdach palestry, kilka pochodzących sprzed lat fotografii Raya i Forresta, jak również akt ślubu i akt zgonu ich matki. W poszarzałej ze starości kopercie tkwił wycięty z „Clanton Chronicle” nekrolog ze zdjęciem zmarłej, z datą dwunastego października 1969 roku. Ray przeczytał krótki tekst i pokazał go Harry’emu Rexowi.

– Pamiętasz ją? – zapytał.

– Owszem. Byłem na jej pogrzebie. – Adwokat zapatrzył się na zdjęcie. – Taka piękna kobieta, a miała tak niewielu przyjaciół.

– Dlaczego?

– Pochodziła z delty Missisipi, a tamtejsi ludzie przeważnie mają w żyłach sporą domieszkę błękitnej krwi. Sędzia chciał właśnie takiej żony, ale im się nie układało. Ona sądziła, że wychodzi bogato za mąż, ale twój ojciec marnie wtedy zarabiał, więc musiała się bardzo starać, żeby żyć na odpowiednim poziomie.

– Nie lubiłeś jej, prawda?

– Nie przepadaliśmy za sobą. Uważała mnie za prostaka.

– Nie mów!

– Byłem bardzo przywiązany do twojego ojca, ale uwierz mi, Ray, prawie nikt nie płakał na jej pogrzebie.

– Skupmy się teraz na tym dzisiejszym pogrzebie.

– Masz rację. Przepraszam.

– Co było w tym poprzednim testamencie?

Adwokat odłożył nekrolog na biurko, odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał na okno za plecami Raya.

– Chciał ustanowić fundusz powierniczy – odezwał się cichym głosem – w którego skład miały wejść pieniądze uzyskane ze sprzedaży rodzinnego majątku. Mnie wyznaczył na zarządcę funduszu, i to ja dzieliłbym pieniądze między ciebie i twojego brata. – Ruchem głowy wskazał taras. – Od tego, co przypadłoby Forrestowi, miałem odliczyć sto tysięcy, bo tyle, zdaniem sędziego, Forrest był mu winien.

– Strasznie!

– Próbowałem Reubenowi wyperswadować ten pomysł.

– Na szczęście w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– To prawda. Musiał zdawać sobie sprawę, że to nie najlepsze rozwiązanie, lecz chciał chronić Forresta przed nim samym.

– Wszyscy próbowaliśmy go chronić przez dwadzieścia lat.

– Sędzia rozważał też inne możliwości. Chciał zapisać wszystko tobie, a jego całkiem wydziedziczyć, ale to by wywołało między wami niesnaski. Potem, gdy dotarło do niego, że żaden z was nie zechce tu zamieszkać, wpadł w szal i poprosił mnie o spisanie testamentu, w którym przeznaczca cały majątek na rzecz kościoła. Nie podpisał go, więc kiedy Palmer go wkurzył podczas jakiejś dyskusji na temat kary śmierci, Sędzia postanowił, że po jego śmierci pieniądze ze sprzedaży domu pójdą na cele charytatywne. – Harry Rex uniósł łokcie i naprężył ramiona, aż strzyknęło mu w kręgosłupie. Przeszedł już dwie operacje kręgow szyjnych i nie mógł zbyt długo wytrzymać w pozycji siedzącej. – Podejrzewam, że wezwał was obu na wspólną naradę nad tym, co zrobić z domem.

– Więc dlaczego miałby w ostatniej chwili spisywać nowy testament?

– Tego już nigdy się nie dowiemy. Może ból zanadto dawał mu się we znaki. Podejrzewam, że stopniowo uzależniał się od morfiny, jak większość ludzi w jego stanie. Może zdawał sobie sprawę, że nadchodzą ostatnie chwile.

Ray spojrzał na portret generała Nathana Bedforda Forresta, który ze swego miejsca wysoko na ścianie już prawie od wieku mierzył gabinet surowym wzrokiem. Nie wątpił, że ojciec

specjalnie ułożył się przed nim na kanapie, by uwielbiany przez niego przywódca pomógł mu przekroczyć granicę zaświatów. I teraz tylko generał znał prawdę. Wiedział dokładnie, kiedy i jak sędzia wyzionął ducha. Wiedział, skąd się wzięła gotówka. Musiał też wiedzieć, kto włamał się tu ostatniej nocy i narobił bałaganu.

– Czy kiedykolwiek myślał o uwzględnieniu w testamencie Claudii? – zapytał Ray.

– Ani razu. Wiesz przecież, jak długo potrafił żywić urazę.

– Zajrzała tu dziś rano.

– Czego chciała?

– Chyba pieniędzy. Powiedziała, że ojciec zawsze obiecywał zatroszczyć się o jej los, dlatego była ciekawa dyspozycji w testamencie.

– Powiedziałeś jej prawdę?

– Z największą przyjemnością.

– Da sobie radę. Kobietami nigdy nie należy się zanadto przejmować. Pamiętasz starego Waltera Sturgisa z Karraway... taki chudy jak szczapa, wywoził z miasta gruz... – Harry Rex znał chyba wszystkich w hrabstwie Ford, w którym mieszkało trzydzieści tysięcy ludzi. Co do jednego, zarówno czarnych, białych, jak i przybywających ostatnio Latynosów.

– Nie kojarzę.

– Krążą plotki, że trzyma w domu pół miliona dolców w gotówce, więc Claudia zagięła na niego parol. Każe mu wkładać koszulki do gry w golfa i jadać w Country Clubie. A gość opowiada swoim kumplom, że musi codziennie brać viagrę.

– Jurny staruszek.

– Baba go wykończy.

Forrest chrapnął głośniejszym głosem na werandzie, zaskrzypiały łańcuchy huśtawki. Zamilkli, ale za oknem zapadła cisza. Harry Rex wyjął kartonową teczkę.

– Tu masz oficjalną wycenę domu – powiedział. – W ubiegłym roku Sędzia zlecił ją fachowcowi z Tupelo, chyba najlepszemu rzeczoznawcy w północnym Missisipi.

– Ile jest wart?

– Czterysta tysięcy.

– Za tyle sprzedałbym od ręki.

– Moim zdaniem, cena jest mocno zawyżona. Nic nie mówiłem, bo według Sędziego posiadłość jest warta co najmniej milion.

– Akurat! – prychnął Ray.

– Moim zdaniem, da się wyciągnąć najwyżej trzysta tysięcy.

– Nie dostaniemy nawet połowy tej sumy. Na czym ten rzeczoznawca oparł tę wycenę?

– Tu jest wszystko. Powierzchnia mieszkalna, areał działki, bieżące ceny. To co zwykle. Powołuje się też na ceny, za jakie zostały sprzedane inne domy.

– Na przykład?

Harry Rex przerzucił parę kartek.

– Już mam. Równie stary dom, podobnej wielkości, na dwunastohektarowej działce na skraju Holly Springs dwa lata temu został sprzedany za osiemset tysięcy.

– Nie jesteśmy w Holly Springs.

– Racja.

– Clanton ma długą historię, pełno tu równie starych domów – dodał Ray.

– Chcesz, żebym wytoczył proces temu rzeczoznawcy?

– Należałoby mu się. Ale powiedz szczerze: ile byś dał za ten dom?

– Ani centa. Napijesz się piwa?

– Nie, dziękuję.

Harry Rex wyszedł do kuchni i wrócił po chwili z wysoką puszką pabst blue ribbon.

– Dlaczego on kupuje tego sikacza – mruknął, po czym jednym haustem opróżnił ćwierć puszki.

– Zawsze je lubił.

Adwokat podszedł do okna i wyjrzał na werandę, ale zobaczył tylko stopy wyciągniętego na huśtawce Forresta.

– Chyba nieszczęśliwie przejmuję się losem rodzinnego majątku – zauważył.

– Pod tym względem jest podobny do Claudii. Zależy mu wyłącznie na czeku.

– Tylko że pieniądze go zabijają.

Ray cieszył się, że Harry Rex jest tego samego zdania co on. W milczeniu czekał, aż usiądzie z powrotem przy biurku, bo chciał widzieć jego oczy, kiedy powie to, co zamierzał.

Harry Rex przeciągnął się i poruszył głową w prawo i lewo, zanim usiadł.

– W ubiegłym roku Sędzia dostał niespełna dziewięć tysięcy dolarów emerytury – odezwał się Ray, zerkając na ostatnie zeznanie podatkowe.

– Był już bardzo schorowany. W zeszłym roku nie przewodniczył już w żadnych procesach.

– A wcześniej to robił? – spytał zaskoczony Ray. – Co to były za sprawy?

– Różne. Na przykład tego prawicowego gubernatora sprzed kilku lat, który okazał się faszystą.

– Coś sobie przypominam.

– W czasie kampanii na każdym wiecu odmawiał modlitwy, podawał się za strażnika wartości rodzinnych. Występował przeciwko wszystkiemu poza swobodnym dostępem do broni palnej. Był jednak kobieciarzem. Żona przyłapała go na gorącym uczynku i zrobiła się niezła afera. Żaden sędzia z Jackson, co rozumiałe, nie chciał mieć nic wspólnego z tą sprawą, więc poproszono twojego ojca o przewodniczenie procesowi.

– Doszło do procesu?

– Pewnie. I to naprawdę trudnego. Gubernator sądził, że sędzia będzie tańczył tak, jak on mu zagra, ale żona miała niezbite dowody. Twój ojciec zasądził na jej rzecz dom i większość wspólnego majątku. Jak słyszałem, gubernator mieszka teraz w przybudówce nad garażem brata, ale wciąż utrzymuje ochroniarzy.

– Widziałeś, żeby mój ojciec kiedykolwiek tańczył tak, jak ktoś mu zagrał?

– Nigdy. Ani razu przez trzydzieści lat.

Harry Rex uniósł puszkę piwa do ust, a Ray znowu popatrzył na następne zeznanie podatkowe. W ciszy usłyszał pochrapywanie Forresta.

– Znalazłem w domu gotówkę – powiedział.

Ze wzroku adwokata nie zdołał niczego odczytać. W oczach Harry’ego Rexa nie było ani podejrzliwości, ani zaskoczenia czy przebłysku ulgi. Wpatrywał się w Raya przez chwilę, wreszcie wzruszył ramionami i zapytał:

– Ile?

– Pełne pudło.

Ray potrafił sobie wyobrazić, jakie pytania cisną się adwokatowi do głowy.

Harry Rex teraz też odczekał parę sekund i znowu wzruszył ramionami.

– Gdzie były? – rzucił.

– Tutaj, w komodzie za kanapą, upchnięte w pudełku po kopertach. Ponad dziewięćdziesiąt tysięcy.

Jak dotąd Ray niewiele skłamał. Oczywiście nie powiedział całej prawdy, ale nie mógł też zarzucić sobie łgarstwa. Przynajmniej do tej pory.

– Dziewięćdziesiąt kawałków? – powtórzył zdumiony Harry Rex na tyle głośno, że Ray nerwowym ruchem głowy wskazał w kierunku werandy.

– W banknotach studolarowych – odparł cicho. – Nie masz pojęcia, skąd ojciec mógł je wziąć?

Adwokat przełknął łyk piwa i przez chwilę zmrużonymi oczami wpatrywał się w ścianę.

– Nie bardzo – odezwał się w końcu.

– Czyżby wygrał w kasynie? Sam mówiłeś, że nieźle mu szło.

Kolejny łyk piwa.

– Niewykluczone – przyznał Harry Rex. – Kasyna otwarto sześć czy siedem lat temu. Jeździliśmy tam razem w każdy



weekend, przynajmniej na początku.

– Później przestałeś?

– Niestety, nie. Mówiąc między nami, do dziś tam zaglądam. Hazard mnie wciągnął, ale wolałem, żeby sędzia o tym nie wiedział, więc kiedy graliśmy razem, obstawiałem bardzo ostrożnie. Dopiero następnego wieczoru wymykałem się po raz drugi, żeby sobie pofolgować.

– Ile straciłeś?

– Lepiej rozmawiajmy o twoim ojcu.

– Dobra. Więc on wygrywał, tak?

– Zazwyczaj. Jak miał dobry dzień, potrafił zebrać parę tysięcy.

– A kiedy szło mu gorzej?

– Tracił najwyżej pięćset dolców, taką wyznaczył sobie granicę. Zawsze umiał się wycofać, gdy szczęście mu nie dopisywało. To największa sztuka hazardzistów. Trzeba wiedzieć, kiedy zrezygnować z dalszej gry, i mieć tyle silnej woli, by odejść od stolika. On to potrafił. Ja nie.

– Bywał w kasynach bez ciebie?

– Tak. Raz go nawet w jednym spotkałem. Wymknąłem się z miasta któregoś wieczoru i specjalnie wybrałem nowo otwarte kasyno... Pomyśleć, że teraz jest ich już piętnaście. Kiedy grałem w blackjacka, moją uwagę zwróciła narastająca wrzawa przy stole do gry w kości. I zobaczyłem tam twojego ojca. Miał na głowie czapkę baseballową, żeby trudniej go było rozpoznać. Zawsze do kasyna ubierał się inaczej, ale niewiele to dawało. Po mieście krążyły różne plotki. Mnóstwo ludzi z Clanton jeździło do kasyn i go rozpoznawali.

– Jak często grywał?

– Kto to wie? Nikomu się nie zwierzał. Mój klient, jeden z braci Higginbothamów handlujący używanymi samochodami, powiedział mi kiedyś, że widział Sędziego o trzeciej nad ranem w Treasure Island, przy stole do gry w kości. Pomyślałem wtedy, że twój ojciec musi grać o najdziwniejszych porach, żeby nie spotkać nikogo znajomego.

Ray pośpiesznie przeliczył w głowie. Gdyby ojciec grywał regularnie trzy razy w tygodniu i przez pięć lat każdego wieczoru wygrywał średnio po dwa tysiące, zdołałby zgromadzić około półtora miliona dolarów.

– Czy to możliwe, żeby uzbierał z wygranych dziewięćdziesiąt tysięcy? – zapytał, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że mówi o jakiejś niewiarygodnie małej sumie.

– Pewnie tak. Tylko dlaczego miałyby ukrywać pieniądze w domu?

– Nie mam pojęcia.

Harry Rex zamyślił się; dopił piwo i zapalił cygaro. Obracający się leniwie wentylator rozrzucił kłęb dymu pod sufitem. Adwokat wydmuchnął w jego kierunku chmurę dymu i mruknął:

– Od wygranych trzeba zapłacić podatek, a ponieważ nie chciał, by ktokolwiek wiedział o jego zamiłowaniu do hazardu, mógł utrzymywać to w tajemnicy.

– A kasyna nie rejestrują większych wygranych? Chyba trzeba wtedy wypełniać jakieś formularze.

– Mnie się to nie zdarzyło.

– A gdybyś wygrał?

– Pewnie musiałbym coś podpisać. Miałem kiedyś klienta, który na pięciodolarowym jednoręki bandycie wygrał jedenaście tysięcy i potem musiał wypełnić formularz dziesięćdziewięćdziesiąt dziewięć, czyli zgłoszenie do urzędu skarbowego.

– Myślisz, że to samo dotyczy wygranych w kości?

– Każda jednorazowa wygrana przekraczająca dziesięć tysięcy musi być zarejestrowana – wyjaśnił Harry Rex. – Poniżej tej granicy nie trzeba niczego podpisywać, tak samo jak przy operacjach bankowych.

– Wątpię, żeby ojciec podpisywał jakieś formularze.

– Ja też.

– I na pewno nie wspomniał o żadnej gotówce, kiedy spisywaliście poprzedni testament?

– Ani słowem. Te pieniądze są dla mnie całkowitą tajemnicą, Ray. Nie mam pojęcia, skąd się wzięły. I nie wiem, dlaczego trzymał je w domu. Przecież musiał sobie zdawać sprawę, że zostaną znalezione.

– Masz rację. Ale co z tym fantem zrobić?

Harry Rex pokiwał głową i wetknął cygaro między zęby. Ray odchylił głowę i zapatrzył się na wentylator. Przez dłuższy czas obaj zastanawiali się w milczeniu, jakby żaden nie miał odwagi zasugerować, by istnienie gotówki utrzymać w tajemnicy. Adwokat zdecydował się na drugie piwo i tym razem Ray zgodził się wypić razem z nim. Mijał czas, a oni nie poruszali tematu ukrytych w domu pieniędzy i wyglądało na to, że do niego nie wrócą. W każdym razie nie dzisiaj. Za kilka tygodni, gdy po złożeniu w sądzie wniosku przystąpią do szczegółowej inwentaryzacji, może zaczną znowu rozmawiać o tej kłopotliwej kwestii. Ale i to nie było pewne.

Przez dwa dni Ray łamał sobie głowę, czy wtajemniczyć Harry'ego Rexa w sprawę gotówki, choć od początku nie zamierzał wyjawiać mu całej sumy. A teraz, kiedy to zrobił, nie uzyskał żadnych odpowiedzi. Było nawet jeszcze więcej pytań.

Nadal niewiele wiedział. Sędzia lubił wprowadzić hazardowo grywać w kości i sprzyjało mu przy tym szczęście, wciąż jednak było niewiarygodne, by w ciągu siedmiu lat zdołał zgromadzić ponad trzy miliony dolarów z wygranych, w dodatku nie podpisując żadnych dokumentów.

Wrócił do przeglądania zeznań podatkowych, Harry Rex natomiast zaczął się przekopywać przez stosy pokwitowań darowizn.

– Z usług którego biura rachunkowego skorzystamy? – spytał Ray po dłuższym milczeniu.

– Mamy kilka do wyboru.

– Nie chciałbym angażować tutejszych księgowych.

– Zgoda. Ja też wolę unikać miejscowych. W końcu to mała miejscina.

- Wygląda na to, że zeznania podatkowe są w porządku – powiedział Ray, wkładając teczkę do szuflady.
- Sprawa powinna być prosta, z wyjątkiem sprzedaży domu.
- Już teraz wystawmy go na sprzedaż. Im szybciej, tym lepiej.
- Jaką proponujesz cenę wywoławczą?
- Zaczniemy od trzystu tysięcy.
- Zamierzasz wyłożyć jakieś pieniądze, żeby przygotować go na sprzedaż?
- Sędzia nie zostawił żadnych pieniędzy.

\* \* \*

Wieczorem Forrest oświadczył, że znudziło mu się w Clanton, ma dosyć atmosfery śmierci i łażenia po przygnębiającym domu, którego nigdy nie lubił, ma również dosyć Harry'ego Rexa i Raya, więc rusza w drogę do Memphis, gdzie czekają na niego imprezy i napalone laski.

- Kiedy zamierzasz tu wrócić? – zapytał brata.
  - Za dwa albo trzy tygodnie – odparł Ray.
  - Na złożenie wniosku w sądzie?
  - Tak – odpowiedział Harry Rex. – Dobrze by było, gdybyś ty też się zjawił, ale twoja obecność nie będzie konieczna.
  - Nie cierpię sądów. Wystarczająco się po nich nałaziłem.
- Ray odprowadził brata do samochodu.
- Wszystko w porządku? – zapytał z czystego poczucia obowiązku.
  - Nic mi nie jest. Do zobaczenia, braciszku – odparł pośpiesznie Forrest, jakby się obawiał, że usłyszy od niego coś jeszcze. – Zadzwoń, jak wrócisz do siebie.

Uruchomił silnik i odjechał. Ray doskonale wiedział, że brat zatrzyma się gdzieś między Clanton a Memphis, zapewne w jakimś przydrożnym barze ze stołem bilardowym albo choćby przy nocnym sklepie, gdzie zaopatrzy się w piwo na dalszą podróż. Wyjątkowo dzielnie zniósł pogrzeb ojca, nie uległ

jednak wątpliwości, że jest pod coraz większą presją. Nieuchronnie zbliżał się moment kryzysu.

Harry Rex jak zwykle był głodny i zapytał Raya, czy nie ma ochoty na smażonego suma.

- Niespecjalnie.
- Nad jeziorem jest nowa knajpa.
- Jak się nazywa?
- Barak Jetera.
- Żartujesz?
- Skądże. Dają tam naprawdę świetne ryby.

Zjedli kolację na pustym pomoście wychodzącym na bagno przy odnodze jeziora. Harry Rex przyjeżdżał tu specjalnie na suma dwa razy w tygodniu, Ray nie miał w ustach tego specjału od pięciu lat. Kiedy tylko dostał swoją porcję suto polaną masłem i olejem arachidowym, pomyślał, że zapowiada się kolejna nieprzespana noc, i to nie tylko z powodu ciężko strawnego jedzenia.

Spędził ją z naładowanym rewolwerem pod ręką w swojej dawnej sypialni na piętrze, z trzema plastikowymi workami wypchanymi forszą w nogach łóżka, starannie pozamykawszy okna i drzwi na parterze. W takich warunkach trudno mu było wodzić wzrokiem po ścianach i przywoływać z pamięci nawet te nieliczne przyjemne wspomnienia z dzieciństwa, od których w innych okolicznościach pewnie nie mógłby się opędzić. Dom, tonący w ciemnościach i wypełniony chłodem, przypominał mu czasy zaraz po śmierci matki.

Dlatego zamiast wracać myślami do przeszłości, usiłował zasnąć, licząc w wyobraźni małe, czarne, okrągłe żetony – warte każdy sto dolarów – które ojciec musiał prznosić pełnymi garściami od stołu do kasy. Lecz choć Ray bardzo się starał, mógł się doliczyć zaledwie drobnej części fortuny spoczywającej w nogach łóżka.

## Rozdział 14

---

**P**rzy rynku w Clanton znajdowały się trzy kafejki, dwie dla białych i jedna dla czarnych. Tea Shoppe odwiedzali głównie pracownicy banków, prawnicy i sklepikarze, ludzie stroniący od pracy fizycznej, zatem dominowały tu rozmowy o kursach akcji, polityce i golfie. Lokal dla czarnych, U Claude'a, działał już od czterdziestu lat i podawano tam najlepsze jedzenie.

Coffee Shop przyciągał farmerów, gliniarzy i robotników, więc rozmawiano tam o piłce nożnej i polowaniach na ptaki. Oprócz Harry'ego Rexa zaglądało tam kilku innych prawników lubiących przebywać w towarzystwie ludzi, których reprezentowali. W dni powszednie kafejkę otwierano o piątej, a już koło szóstej trudno było znaleźć wolne miejsce. Ray zaparkował przy rynku i zamknął samochód. Słońce dopiero wyłaniało się zza niewysokich wzgórz na wschodzie. Miał nadzieję, że po piętnastu godzinach jazdy przed północą szczęśliwie dotrze do domu.

Harry Rex już siedział przy stoliku pod oknem, pochylony nad wyświechtaną gazetą z Jackson.

– Coś ciekawego się dzieje? – zapytał Ray, odcięty od świeżych wiadomości z powodu braku telewizora w Klonowym Zdroju.

– Nic – mruknął Harry Rex, nie odrywając wzroku od gazety. – Wyślę ci wszystkie nekrologi. – Złożył gazetę i wyciągnął w jego stronę. – Chcesz poczytać?

– Nie, dzięki. Muszę jechać.

– Ale chyba najpierw coś zjesz?

– Pewnie.

– Hej, Dell! – zawołał adwokat na całą kafejkę.

Wszystkie stoliki i miejsca przy barze były zajęte wyłącznie przez mężczyzn, którzy jedli, rozmawiając przy tym z ożywieniem.

– Dell nadal tu pracuje? – zdziwił się Ray.

– Wcale się nie starzeje – odparł Harry Rex, ruchem ręki przywołując kelnerkę. – Jej matka przekroczyła osiemdziesiątkę, a babka setkę. Dell będzie tu podawać jeszcze długo po naszej śmierci.

Dell nie lubiła, jak się na nią pokrzykuje. Podeszła do stolika z dzbankiem kawy i kwaśną miną, która na widok Raya natychmiast zniknęła z jej twarzy. Uściskała go serdecznie.

– Nie widziałam cię od dwudziestu lat – powiedziała, przysiadła na wolnym krześle i nie wypuszczając jego dłoni, zaczęła mówić, jak bardzo jest jej przykro z powodu śmierci Sędziego.

– Prawda, że pogrzeb był wspaniały? – zapytał Harry Rex.

– Nie pamiętam bardziej uroczystego.

– Dziękuję – bąknął, nie mając pojęcia, czy chciała go tymi słowami pocieszyć, czy naprawdę tak myślała. Zamrugał, choć wcale nie z żalu po stracie ojca, lecz od duszącego zapachu jej tanich perfum.

– Co wam podać? – spytała, wstając. – Dzisiaj jecie na koszt firmy.

Harry Rex zdecydował się na pankejki z kiełbaskami dla nich obu, dużą porcję dla siebie i mniejszą dla Raya. Dell odmaszerowała w stronę kuchni, zostawiając za sobą ciężkawy obłok perfum i mówiąc:

– Czeka cię długa podróż. Musisz porządnie zjeść.

Po trzech dniach w Clanton Ray był pewny, że jakakolwiek odmiana dobrze mu robi. Tęsknił już za samotnymi wyprawami nad malownicze obszary wokół Charlottesville i znacznie lżejszą tamtejszą kuchnię.

Z ulgą przyjął to, że nikt więcej go nie rozpoznał. O tej porze w Coffee Shop trudno było spotkać któregoś z prawników czy kogoś innego na tyle dobrze znającego Sędziego, by uczestniczyć

w jego pogrzebie. Policjantów i robotników zbyt pochłaniały pogawędki i żarty. A Dell także nie narobiła szumu wokół Raya. Po paru łykach gorącej kawy rozluźnił się i zaczął chłonąć atmosferę zatłoczonej kafejki wypełnionej gwarem rozmów i śmiechem.

Kelnerka wróciła z jedzeniem, którym można by było nakarmić z osiem osób. Oprócz panekjów i całego półmiska kiełbasek przyniosła jeszcze bułeczki, miseczkę masła i konfitury domowej roboty. Kto je pankejki z bułeczkami?!

– Był naprawdę słodkim facetem – powiedziała, poklepując Raya po ramieniu, i oddaliła się.

– Wiele można by powiedzieć o twoim ojcu – mruknął Harry Rex, prawie do połowy zanurzając gorącego pankejka w syropie z melasy. – Ale słodki?

– No. Zaglądał tutaj?

– Nie przypominam sobie. W ogóle nie jadał śniadań, nie lubił zatłoczonych lokali, nie znosił plotkowania. Wolał dłużej pospać. Nie potrafię go sobie wyobrazić w Coffee Shopie. W ogóle przez ostatnich dziewięć lat sporadycznie pokazywał się na rynku.

– Więc gdzie Dell mogła go poznać?

– W sądzie. Jedna z jej córek zaszła w ciążę z żonatym facetem. Paskudna historia.

Harry Rex jakimś cudem zdołał wepchnąć do ust porcję pankejka, którą koń by się udławił, po czym zjadł naraz pół kiełbaski.

– A ty, jak rozumiem, brałeś udział w tym procesie.

– Oczywiście. Sędzia orzekł na korzyść powódki.

Ray uznał, że też powinien się zabrać do jedzenia. Pochylił się i włożył do ust kawałek pankejka ociekającego syropem.

– Przecież wiesz, że Sędzia był tu żywą legendą – powiedział Harry Rex. – Wszyscy w miasteczku go uwielbiali. Chyba nigdy się nie zdarzyło, by w hrabstwie Ford zebrał mniej niż osiemdziesiąt procent głosów.

Ray skinął głową, z niezbyt wielką ochotą nabijając na widelec następny kawałek pankejka – ciepłego, ale tłustego,



gumowatego i niezbyt smacznego.

– Gdyby poświęcić z pięć kawałków na wyszykowanie domu – odezwał się Harry Rex z pełnymi ustami – pieniądze zwróciłyby się kilkakrotnie. Naprawdę warto zainwestować.

– W co?

Otarł serwetką syrop z warg.

– Przede wszystkim trzeba sprzątnąć ten bajzel: pościągać pajęczyny, pozamiatać kurze, wyszorować ściany, podłogi i meble, odświeżyć powietrze. Potem pomalować ściany od zewnątrz i w środku, naprawić dach, żeby nie było zacieków na sufitach, przystrzyc trawę, wyrwać chwasty, może zasadzić parę młodych drzewek. W Clanton bez problemu można znaleźć ludzi do takich prac.

W oczekiwaniu na odpowiedź wepchnął do ust następny wielki kawałek pankejka i zaczął energicznie poruszać szczękami.

– Na koncie w banku jest tylko sześć tysięcy – odparł Ray.

Przechodząc obok ich stolika, Dell zdołała błyskawicznie dolać im obu kawy i poklepać Raya po ramieniu.

– Masz przecież pieniądze z pudła, dużo więcej niż pięć tysięcy. – Harry Rex wpakował sobie do ust kolejną porcję jedzenia.

– Proponujesz wydać te pieniądze?

– Zastanawiałem się nad tym. – Adwokat wypił łyk kawy. – Prawdę powiedziawszy, sprawa tej gotówki dręczyła mnie przez całą noc.

– I do czego doszedłeś?

– Są dwie sprawy, z których jedna jest ważna, a druga nie bardzo. – Tym razem skorzystał z noża i widelca, by odkroić mniejszy kawałek kielbaski. – Po pierwsze, skąd się wzięła ta forsa? Musimy się tego dowiedzieć, chociaż nie to jest najistotniejsze. Nawet jeśli obrabował bank, to przecież już nie żyje. Jeśli wygrał w kasynie i zataił to w zeznaniu podatkowym, nikt go nie będzie ścigał. Jeśli zwyczajnie lubił zapach zielonych

banknotów i potajemnie gromadził je przez lata, to też nie nasze zmartwienie. Kapujesz?

Ray wzruszył ramionami, jakby spodziewał się znacznie bardziej odkrywczych wniosków. Harry Rex szybko pogryzł i przełknął kiełbaskę, po czym ciągnął, wymachując sztuciami:

– Druga sprawa, ta ważniejsza, to co zrobić z tymi pieniędzmi. Musimy zakładać, że nikt o nich nie wie.

Ray przytaknął ruchem głowy i mruknął:

– Tak. W końcu były ukryte w komodzie. – W wyobraźni znowu usłyszał dobijanie się do zamkniętych okien i zobaczył kartonowe pudełka rozrzucone po całym gabinecie.

Mimowolnie obejrzał się i popatrzył przez okno na swój samochód, wypakowany i gotów do drogi.

– Jeśli oficjalnie włączysz te pieniądze do majątku, połowa pójdzie na podatki.

– Wiem. Co zatem proponujesz?

– Prosisz o radę niewłaściwą osobę. Przez osiemnaście lat toczyłem zacięte boje z urzędem skarbowym i chyba się domyślasz, kto wygrał. W każdym razie nie ja. Wypnij się na nich.

– Radzisz mi to jako adwokat?

– Nie, jako przyjaciel. Jeśli zależy ci na poradzie prawnej, to muszę powiedzieć, że do majątku powinieneś wliczyć wszelkie aktywa i zgodnie z kodeksem stanu Missisipi i różnymi ustawami, i nowelizacjami, sporządzić dokładny inwentarz.

– Dziękuję.

– Na twoim miejscu przeznaczyłbym jakieś dwadzieścia tysięcy na przygotowanie domu do sprzedaży i opłacenie rachunków, i dopiero potem dałbym Forrestowi połowę z pozostałej sumy.

– To się nazywa porada prawna.

– Bzdura. To tylko głos zdrowego rozsądku.

Wreszcie się wyjaśniło, po co Dell przyniosła bułeczki – Harry Rex rzucił się na nie, kiedy już zmiótł swoje pankejki.

– Nie jesz? – zapytał, wskazując talerz stojący bliżej Raya.

– Nie, dziękuję.

Szybko przekroił dwie bułeczki, posmarował połówki masłem, grubą warstwą konfitur i po krótkim zastanowieniu ułożył na każdej po pół kielbaski.

– Naprawdę nie chcesz?

– Naprawdę. Czy to możliwe, żeby banknoty z pudła były znaczone? – spytał Ray.

– Jeśli pochodzą z okupu albo handlu narkotykami, to owszem. Chyba nie podejrzewasz, że Reuben Atlee maczał palce w czymś takim?

– No dobra, przeznaczę pięć tysięcy na doprowadzenie domu do porządku.

– Będziesz zadowolony z efektów.

Przy stoliku zatrzymał się niski mężczyzna w spodniach khaki i koszuli tego samego koloru. Uśmiechnął się przyjaźnie.

– Wybacz, że przeszkadzam, Ray. Jestem Loyd Darling – przedstawił się, wyciągając rękę. – Mam farmę na wschód od miasta.

Ray uścisnął jego dłoń, unosząc się nieco z krzesła. Darling był właścicielem największej posiadłości ziemskiej w hrabstwie Ford. Udzielał się w szkółce niedzielnej, kiedy Ray do niej chodził.

– Miło mi pana widzieć.

– Nie wstawaj. – Farmer położył mu dłoń na ramieniu i lekko pchnął z powrotem na miejsce. – Chciałem tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego ojca.

– Dziękuję, panie Darling.

– Nie było w tym mieście porządniejszego człowieka niż Reuben Atlee. Przyjmij moje szczerze kondolencje.

Ray skinął głową. Harry Rex przerwał nagle jedzenie; wyglądał tak, jakby zebrało mu się na płacz. Loyd odszedł i mogli wrócić do przerwanego śniadania. Adwokat zaczął opowiadać o swojej przegranej batalii z urzędem skarbowym. Tymczasem Ray zjadł jeszcze parę kęsów i całkowicie stracił apetyt. Udając zainteresowanie nudną relacją, powędrował myślami ku tym

wszystkim przyzwoitym ludziom – tym Loydom Darlingom – którzy darzyli Sędziego wielkim podziwem.

A jeśli pieniądze wcale nie pochodziły z wygranych w kasynach? Może były związane z jakimś przestępstwem popełnionym przez ojca? Siedząc w zatłoczonej kafejce i spoglądając na Harry'ego Rexa, który ciągnął swój monolog, Ray nagle podjął decyzję. Poprzysiął sobie, że gdyby wyszło na jaw, że gotówka upchnięta w bagażniku jego samochodu została zgromadzona przez ojca w sposób daleki od zawodowej etyki, nikt się nigdy o tym nie dowie. Nie zamierzał rzucać cienia na nieskalaną reputację zmarłego sędziego Reubena Atlee.

W myślach podpisał ze sobą umowę, przypieczętował ją uściskiem dłoni i przysiął na Boga. Nikt nie mógł poznać sekretów ojca.

Pożegnali się na ulicy przed wejściem do jednej z wielu kancelarii adwokackich mieszczących się przy rynku. Harry Rex uściskał go serdecznie i trzymał go w tak mocnych objęciach, że Ray nie był w stanie się ruszyć.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że on odszedł – wyznał Harry Rex po raz kolejny ze łzami w oczach.

– Tak, wiem.

Adwokat odszedł, potrząsając głową, żeby powstrzymać cisnące się łzy. Ray wskoczył do audi i wyjechał z rynku, nie oglądając się za siebie. Po paru minutach był już na obrzeżach miasta; minął dawne kino dla zmotoryzowanych, za którego pośrednictwem zawitało w miasteczku porno, i fabrykę obuwia, gdzie Sędzia pełnił rolę mediatora podczas strajku. Wreszcie znalazł się wśród zielonych wzgórz, z dala od ludzkich siedzib i pozostałej w Clanton legendy. Dopiero wtedy spojrzał na szybkościomierz i uprzytomnił sobie, że gna prawie sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

\* \* \*

Musiał unikać policji i stłuczek, zwłaszcza tego, żeby mu ktoś wjechał w bagażnik. Miał przed sobą długą podróż, a zależało mu, by o odpowiedniej porze dotrzeć do Charlottesville. Gdyby przyjechał za wcześnie, w śródmiejskim pasażu natknąłby się na wielu spacerowiczów. Natomiast później, w nocy, mógłby się nim zainteresować patrol.

Po minięciu granicy Tennessee zatrzymał się, by zatankować paliwo i skorzystać z toalety. Czuł ssanie w żołądku od ciężkiego jedzenia i za dużej ilości kawy. Z telefonu komórkowego próbował się połączyć z bratem, ale nikt nie odbierał. Nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. W przypadku Forresta nic nie było pewne.

Pojechał dalej, ściśle przestrzegając ograniczenia do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę i odliczając upływające godziny. Okrąg Ford jakby rozpląnął się w innym wymiarze. W końcu każdy człowiek skądś pochodził, a Clanton jako miejsce urodzenia wcale nie należało do najgorszych. Nie żałowałby jednak ani trochę, gdyby miał go już nigdy w życiu nie odwiedzić.

Za tydzień rozpoczynała się sesja egzaminacyjna, za dwa tygodnie obrony prac dyplomowych, a potem wakacje. Poza pisaniem książki przez kolejne trzy miesiące nie czekały go żadne zajęcia.

Będzie mógł wrócić do Clanton, by pozałatwiać wszystkie sprawy w sądzie. Zrobi tak, jak radził mu Harry Rex. I spróbuje rozwikłać tajemnicę ojca.

## Rozdział 15

---

**I**m człowiek więcej planuje, tym więcej rzeczy może pójść nie tak. Wjechał do miasta w najlepszej porze, o dwudziestej trzeciej dwadzieścia, w środę dziesiątego maja. Miał nadzieję, że uda mu się zatrzymać w niedozwolonym miejscu, przy krawężniku, jak najbliżej bocznego wejścia do kamienicy, ale inni kierowcy wpadli na ten sam pomysł. Chyba jeszcze nigdy nie widział tak ciasno zaparkowanych aut na swojej ulicy. Z ponurą satysfakcją zauważył, że we wszystkich tkwiły za wycieraczkami mandaty.

Mógł stanąć w bocznej uliczce i stamtąd kolejno poprzemnieść worki z pieniędzmi do mieszkania, ale wiązało się to z ryzykiem. Co prawda, jedno z czterech miejsc parkingowych w ciasnym podwórzu kamienicy było zarezerwowane dla niego, lecz dozorca o jedenastej zamykał bramę.

Postanowił więc skorzystać z ponurego, przez wszystkich omijanego wielopiętrowego parkingu stojącego trzy przecznice dalej, który po nocach świecił pustkami, choć w godzinach pracy wszystkie miejsca były zajęte. Jadąc z Clanton najpierw na północ, a potem na wschód, rozpatrując najróżniejsze możliwości, zastanawiał się również nad tą alternatywą, choć była najmniej kusząca ze wszystkich. Zaliczył ją do planu D albo E, znajdującego się niemal na samym końcu listy ewentualnych rozwiązań. Zaparkował na poziomie ulicy, wziął torbę podróżną, zamknął wóz i z mocno bijącym sercem ruszył do domu. Idąc szybkim krokiem, uważnie się rozglądał, jakby wypatrywał zasadzki zastawionej przez uzbrojoną bandę. Nogi i plecy miał

zesztywniały od wielogodzinnego siedzenia za kierownicą, ale czekały go niecierpiące zwłoki zadania.

Mieszkanie wyglądało dokładnie tak jak w dniu wyjazdu, co przyjął z ogromną ulgą. Na automatycznej sekretarce czekały trzydzieści cztery wiadomości, pewnie od kolegów i znajomych śpieszących z kondolencjami. Postanowił odsłuchać je później.

Z dna małej szafy w holu, spod złożonego koca, poncha i paru innych zbędnych rzeczy, z którymi nie chciał się jeszcze rozstawać, wyciągnął czerwoną torbę tenisową, leżącą tam co najmniej od dwóch lat. Pomijając walizkę na kółkach, mogącą o tej porze wzbudzać podejrzenia, była to największa torba, jaką dysponował.

Gdyby miał pistolet, od razu wetknąłby go za pasek spodni. Ale wskaźnik przestępczości w Charlottesville utrzymywał się na niskim poziomie, dlatego dotąd nawet nie brał pod uwagę możliwości zakupu broni. Zresztą po wydarzeniach z niedzielnej nocy w Clanton jeszcze bardziej obawiał się broni palnej niż dotychczas. Rewolwer Sędziego zostawił na dnie szafy z ubraniami w Klonowym Zdroju.

Przewiesiwszy torbę przez ramię, zamknął drzwi, wyszedł z domu i starał się iść swobodnym krokiem. Jego ulica zawsze była jasno oświetlona i kręciły się po niej patrole policyjne, a o tej porze wśród pieszych można było zwykle spotkać hałaśliwych młodzieńców o włosach ufarbowanych na zielono, kilka wstawionych osób albo spóźnionych mieszkańców wracających do domów. W Charlottesville po północy zwykle zapadał spokój.

Tuż przed jego przyjazdem musiała przejść ulewa, bo ulice były mokre i wiał dość silny wiatr. Minął trzymającą się za rękę zakochaną parę i nikogo więcej.

Zastanawiał się przez chwilę, czy nie przenosić pieniędzy w workach zarzuconych na ramię, jak Święty Mikołaj roznoszący gwiazdkowe prezenty. Łatwiej byłoby mu się z nimi poruszać i cała fortuna znalazłaby się w mieszkaniu po trzech krótkich kursach. Ale dwie rzeczy napawały go obawą. Po pierwsze, gdyby któryś z plastikowych worków pękł, milion dolarów

rozsypałyby się na chodniku. Natychmiast zlecieliby się wszyscy włóczędzy i pijackowie z okolicy, niczym zwabione zapachem krwi rekiny. Po drugie, widok mężczyzny wnoszącego czarne worki od śmieci do mieszkania, a nie odwrotnie, mógłby się komuś wydać na tyle podejrzany, by zawiadomić policję. „Przepraszam, co pan ma w tym worku?” – zapytałby gliniarz. „Nic”. „Śmieci”. „Milion dolarów”. Żadna z tych odpowiedzi nie była dobra.

Musiał więc uzbroić się w cierpliwość i bez pośpiechu przenieść skarb w mniejszych partiach, niezależnie od tego, ile kursów by go czekało. Zmęczenie było najmniej znaczącym czynnikiem. Odpocznie po wszystkim.

Najbardziej ryzykownym etapem było przepakowanie banknotów do torby, musiał to robić w bagażniku auta, starając się nie wyglądać podpadająco. Na szczęście parking był prawie pusty. Upchnął do torby tyle forsy, że suwak ledwie się zapiął, po czym zatrzaskał klapę i błyskawicznie rozejrzał się z taką miną, jakby właśnie wcisnął trupa do bagażnika. Wyszedł na ulicę.

Zmieścił w torbie najwyżej trzecią część zawartości worka, czyli jakieś trzysta tysięcy dolarów. I to by wystarczyło, żeby wylądować w areszcie czy skończyć z poderżniętym gardłem. Bardzo mu zależało, aby sprawiać obojętne wrażenie, lecz mimo starań nie potrafił utrzymać swobodnego kroku. Usilnie patrzył prosto przed siebie, ukradkiem zerkając na boki, żeby kontrolować całe otoczenie. Kiedy omal nie zderzył się z mało przytomnym, chyba naćpanym nastolatkiem z ćwiekami w nosie, serce skoczyło mu do gardła. Jeszcze przyśpieszył kroku, stopniowo tracąc wiarę, czy starczy mu odwagi na osiem czy dziewięć następnych kursów z parkingu do mieszkania.

Jakiś pijak skulony na ławce rzucił za nim parę bełkotliwych słów. Ray uskoczył w bok, ale szybko się opanował, zadowolony, że nie ma przy sobie broni, bo kto wie, czy w takiej sytuacji nie zawahałby się strzelać do wszystkiego, co się rusza. Forsa w torbie z każdym krokiem wydawała się cięższa. Zdołał jednak bezpiecznie dotrzeć do domu. Wysypał pieniądze na łóżko,



starannie zamknął za sobą drzwi i ruszył z powrotem do samochodu.

Podczas piątego kursu z ciemnej bramy wyłonił się przed nim jakiś staruch i warknął:

– Co ty robisz, do jasnej cholery?!

W ręce ścisnął jakiś przedmiot i Ray natychmiast pomyślał, że to broń.

– Zejdź mi z drogi – rzucił, siląc się na obojętny ton, choć gardło miał całkiem wyschnięte.

– Bez przerwy łazisz tam i z powrotem! – wrzasnął cuchnący staruch z błyszczącymi w ciemności oczami demona.

– Zajmij się swoimi sprawami, dobra?

Ray ruszył dalej, ale włóczęga szybko go dogonił i zaczął się kręcić dookoła, jak wsiowy głupek.

– O co chodzi?! – rozległ się za nimi czyjś stanowczy głos.

Ray przystanął i popatrzył na policjanta zaciskającego palce na uchwycie pałki. Uśmiechnął się szeroko.

– Dobry wieczór, panie władzo. – Oddech miał przyśpieszony i czuł kropelki potu na czole.

– On coś kombinuje – warknął staruch. – Łazi tam i z powrotem. W tamtą stronę z pustą torbą, a w tę z wypchaną.

– Spokojnie, Gilly – mruknął gliniarz.

Ray odetchnął głęboko. Od samego początku miał obawy, że ktoś go obserwuje, z ulgą jednak przyjął wiadomość, iż jest to jeden z miejscowych pijaczków. Znał niektórych z nich, lecz Gilly'ego nigdy przedtem nie widział.

– Co pan ma w tej torbie? – zaciekawiał się policjant.

Pytanie było całkiem przypadkowe, a zainteresowanie bezpodstawne, toteż Ray, jako wykładowca prawa, w pierwszej chwili chciał zrobić gliniarzowi mały wykład na temat zatrzymywania i przeszukiwania obywateli oraz wypytywania ich bez uzasadnionego powodu. Ugryzł się jednak w język i swobodnym tonem przedstawił obmyśloną w czasie podróży historyjkę:

– Wieczorem długo grałem w tenisa w klubie Boar's Head i skręciłem nogę w kostce, dlatego postanowiłem ją teraz rozchodzić. Mieszkam w tamtym domu. – Wskazał budynek znajdujący się dwie przecznice dalej.

Policjant odwrócił się do starucha.

– Nie wolno ci krzyczeć na ludzi, Gilly – napomniął go. – Nieraz ci to mówiłem. Czy Ted wie, że wyszedłeś z domu?

– On coś ma w tej torbie – mruknął Gilly skruszonym tonem.

Gliniarz wziął go pod rękę i pociągnął w kierunku bramy.

– No pewnie. Kupę forsy – powiedział. – Właśnie przed chwilą obrabował bank, a ty go przyłapałeś na gorącym uczynku. Dobra robota.

– Mówię przecież, że wychodzi z pustą torbą, a wraca z pełną.

– Dobranoc panu – zwrócił się do Raya gliniarz, oglądając się za siebie.

– Dobranoc.

„Kontuzjowany tenisista”, lekko utykając – na użytek innych podejrzliwych staruchów mogących się czaić w ciemnościach – ruszył w stronę domu. Kiedy wysypał piąty transport gotówki na łóżko, wyciągnął z barku butelkę whisky i nalał sobie porządną porcję.

Odczekał dwie godziny w nadziei, że Gilly wróci pod opiekę Toma, który go naszprycuje odpowiednimi lekami i na resztę nocy ułoży do łóżka, a na ulicy nastąpi zmiana patroli, dzięki czemu nie natknie się drugi raz na tego samego policjanta. Bardzo mu się dłużyły te dwie godziny, strawione na rozważaniu wszelkich możliwych scenariuszy dotyczących audi zostawionego na pustym parkingu. Padł łupem złodziei, został podpalony, pomyłkowo odholowany na złomowisko. Każdy z tych scenariuszy wydawał się równie prawdopodobny.

O trzeciej nad ranem znów wyslizgnął się z mieszkania, tym razem w dżinsach, butach traperskich i bluzie z napisem WIRGINIA na piersi. Zmienił też czerwoną torbę tenisową na wysłużoną skórzaną teczkę, nieco mniej pojemną, ale zdecydowanie mniej podejrzaną o tej porze. Był uzbrojony

w długi nóż do mięsa wetknięty za pasek spodni i ukryty pod bluzą. Mógł go wyciągnąć jednym ruchem, gdyby musiał się bronić przed takimi jak Gilly albo przed groźniejszymi napastnikami. Zdawał sobie sprawę, że postępuje głupio, ale strach był silniejszy od racjonalnych przesłanek. Był zmęczony, oczy mu się kleiły, bo była to jego trzecia z rzędu nieprzespana noc, a w głowie lekko szumiało po trzech solidnych porcjach whisky, kierowały nim jednak tylko dwie rzeczy, silniejsze od zmęczenia: chęć przeniesienia reszty pieniędzy w bezpieczne miejsce i lęk, że ktoś go zaatakuje.

Ale o tej porze ulice świeciły pustkami; nie było nawet włóczęgów i pijaczków. Dopiero kiedy wyszedł z parkingu, zobaczył coś, co przyprawiło go o szybsze bicie serca. Pod latarnią stało pięciu czarnoskórych nastolatków, ciekawie zerkających w jego kierunku; mówili coś głośno, jakby szukali zaczepki.

Nie było szans na zrobienie jeszcze kilku kursów bez zwracania na siebie ich uwagi. W jednej chwili w głowie Raya zrodził się awaryjny plan działania.

Wrócił na parking, wszedł za kierownicę audi i wyjechał na ulicę. Okrążył kwartał i zaparkował w bocznej uliczce, tuż za sznurem aut stojących przy krawężniku przed jego domem. Wyłączył silnik, zgasił światła, otworzył bagażnik i zarzucił sobie pierwszy worek na ramię. Pięć minut później wszystkie pieniądze znajdowały się już w jego mieszkaniu, tam gdzie chciał je mieć.

\* \* \*

O dziewiątej zbudził go telefon. Dzwonił Harry Rex.

– Wstawaj, śpiochu! – wykrzyknął radośnie. – Jak minęła podróż?

Ray przesunął się na brzeg łóżka i spuścił nogi na podłogę, podejmując próbę otwarcia oczu.

– Wspaniale – odparł chrapliwie.

– Poszedłem wczoraj do Baxtera Redda, chyba najlepszego pośrednika handlu nieruchomościami w Clanton. Zabrałem go do waszego domu i pokręciliśmy się trochę po terenie, zaglądając w różne zakamarki. W każdym razie uznał, że powinniśmy się trzymać wyceny i wystawić dom na sprzedaż za czterysta tysięcy. Powiedział, że za sześć procent może się tym zająć. Oceniał, iż powinien znaleźć kupca za dwieście pięćdziesiąt kawałków. Jesteś tam jeszcze?

– Tak.

– No to powiedz coś.

– Na razie słucham.

– Przyznał mi rację, że powinniśmy wyłożyć trochę forsy i pomalować ściany, wypastować podłogi i spalić część starych gratów. Radzi skorzystać z usług firmy sprzątajacej. Słuchasz?

– Tak.

Harry Rex był na nogach już od paru godzin, bez wątpienia pobudzony do życia pankejkami, kiełbaskami i bułeczkami.

– No więc umówiłem już dekarza i malarzy. Będiesz musiał w najbliższym czasie przelać trochę pieniędzy.

– Przyjadę za dwa tygodnie. Nie można z tym zaczekać?

– Można. Masz kaca?

– Nie, jestem zmęczony.

– Chyba najwyższa pora wskakiwać w spodnie. U ciebie już po dziewiątej.

– Dzięki.

– A skoro o kacu mowa... – dodał Harry Rex znacznie ciszej, cedząc słowa. – Wieczorem dzwonił do mnie Forrest.

Ray wstał z łóżka i przeciągnął się szeroko.

– To raczej źle wróży.

– Ano. Był zdrowo ululany, nie wiem tylko, od wódy czy prochów. Chyba od jednego i drugiego. Na pewno sobie nie żałował. Na początku język mu się tak plątał, jakby miał za chwilę zasnąć. Ale szybko się pozbierał i na mnie wsiadł.

– Czego chciał?

– Pieniędzy. Oczywiście nie teraz, bo podobno na razie mu nie brakuje, ale wypytywał się o dom i resztę majątku, bo nie ma pewności, czy nie spróbujesz go wykiwać.

– Aż tak mi nie ufa?

– Był najarany albo pijany, więc nie miej mu tego za złe. Ale przy okazji wyszło na jaw kilka paskudnych rzeczy.

– Jakich?

– Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. Tylko się nie wściekaj. Wątpię, czy dziś rano będzie jeszcze coś z tego pamiętał.

– Mów śmiało.

– Powiedział, że zawsze byłeś pupilkiem Sędziego i dlatego uczynił cię wykonawcą testamentu, że zawsze dostawałeś od starego więcej niż on, dlatego powinienem uważnie patrzeć ci na rękę, żeby zabezpieczyć jego część spadku, bo na pewno spróbujesz go wykiwać. I tak dalej, i tak dalej.

– Niewiele potrzebował na to czasu, prawda? Przecież ledwie pochowaliśmy ojca.

– Racja.

– Ale jakoś mnie to nie dziwi.

– W każdym razie uważaj. Jest na haju, więc może do ciebie zadzwonić.

– Już nieraz słyszałem te bzdury. On po prostu nie poczuwa się do żadnej winy za własne kłopoty. Zawsze ktoś jest przeciwko niemu. To normalne u ludzi uzależnionych.

– Powtarzał, że, jego zdaniem, dom wart jest milion dolarów, więc muszę zadbać, aby właśnie tyle za niego uzyskać, w przeciwnym razie będzie zmuszony wynająć własnego adwokata. Głędził tak bez opamiętania. Za bardzo się tym nie przejąłem, zważywszy na jego stan.

– Jest beznadziejny.

– To prawda, ale w końcu się opamięta i za jakiś tydzień wytrzeźwieje. Postaram się go wtedy uspokoić. Wszystko będzie w porządku.

– Przepraszam cię za niego.

– Normalka. To jeden z uroków adwokackiej roboty.

Ray zaparzył dzbanek wyjątkowo mocnej kawy, jego ulubionej, włoskiej, której bardzo mu brakowało w Clanton. Dopiero kiedy wypił pierwszą filiżankę, jego mózg zaczął normalnie pracować.

Nic nie mógł poradzić na problemy brata, wiedział jednak, że Forrest raczej nie jest groźny. Kiedy Harry Rex spokojnie pozałatwia wszelkie formalności, pomoże sprzedać dom, wtedy Ray podzieli się po połowie z bratem. Mniej więcej za rok Forrest dostanie czek na sumę, jakiej nigdy nie widział na oczy.

Raya niepokoiła perspektywa brygady sprzątaczek kręcących się po Klonowym Źroju. Oczami wyobraźni ujrzał kilkanaście kobiet krzątających się jak mrówki i uszczęśliwionych tym, że zarobią. Obawiał się jednak, że mogą odnaleźć drugą część skarbu, którą Sędzia ukrył gdzie indziej, natknąć się na banknoty upchane w materacu czy kolejne pudła wypakowane forsą. Z drugiej strony, wydawało mu się, że sprawdził wszystkie zakamarki. Po odnalezieniu ponad trzech milionów w komodzie przeszukał cały dom centymetr po centymetrze. Przeszedł się nawet przez grube warstwy pajęczyn w piwnicy – lochu, do którego pewnie i tak nie wejdzie żadna sprzątaczką.

Nalał sobie drugą filiżankę kawy, wrócił do sypialni, usiadł na krześle i zapatrzył się na stos banknotów na łóżku. Co miał z nimi zrobić?

W zamieszaniu czterech ostatnich dni myślał wyłącznie o przewiezieniu ich w bezpieczne miejsce, to znaczy tu, gdzie się obecnie znajdowały. Teraz powinien obmyślić następny krok, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Jednego był pewien: musi umieścić gotówkę w jakiejś dobrze strzeżonej kryjówce.

## Rozdział 16

---

Pośrodku biurka leżała wielka wiązanka kwiatów z kartą podpisaną przez wszystkich czternastu studentów grupy, z którą miał zajęcia o prawie antytrustowym. Każdy dołączył krótkie kondolencje od siebie, więc Ray uważnie je przeczytał. Nieco z boku leżał stosik podobnych kart od kolegów z wydziału.

Szybko rozeszła się wieść o jego powrocie, dlatego też do południa musiał ścisnąć dłonie przyjaciół i znajomych, którzy zaglądali, by się przywitać i osobiście złożyć wyrazy współczucia. Kadra wydziału tworzyła dość zgrany kolektyw. Jeśli nawet dzieliły ich różnice zdań w kwestii takich czy innych decyzji władz uczelni, to w ważnych chwilach stanowili zgraną społeczność. Ray witał ich tego dnia z radością. Żona Alexa Duffmana przysłała mu nawet kilka porcji swoich osławionych brownie, z których każda ważyła z pół kilo i miała chyba z tysiąc kalorii. A Naomi Kraig przyniosła mu barwny bukiet róż z jej ogródka.

Koło południa zjawił się Carl Mirk i zamknął za sobą drzwi. Był najlepszym przyjacielem Raya, do czego zapewne przyczyniło się podobieństwo dróg, którymi doszli do swoich stanowisk. Byli w tym samym wieku, a ich ojcowie piastowali sędziowskie urzędy w prowincjonalnych miasteczkach, w których przez dziesięciolecia sprawowali niepodzielną władzę. Ojciec Carla jeszcze nie przeszedł na emeryturę i wciąż żywił urazę do syna, który nie zamierzał wracać w rodzinne strony i zakładać własnej kancelarii. Wyglądało jednak na to, że z czasem ta uraza słabnie, podczas gdy sędzia Atlee w chwili śmierci nadal żywił urazę do Raya.

– Opowiadaj – rzucił Carl, którego w niedługim czasie czekała podobnie smutna wyprawa do rodzinnego miasteczka, tyle że w północnym Ohio.

Ray zaczął relację od chwili wejścia do domu, wypełnionego podejrzaną ciszą, co dopiero teraz sobie uzmysłowił. Dokładnie opisał okoliczności, w jakich znalazł ciało ojca.

– Zastałeś zwłoki na kanapie? – zdziwił się Mirk. – Myślisz, że on sobie pomógł w odejściu na tamten świat?

– Mam nadzieję. Ostatnio bardzo cierpiał.

– Przykro mi.

Z pamięci Raya zaczęły wypływać różne szczegóły, o których w ogóle nie myślał od niedzieli. Opowiadał coraz szybciej, bo przynosiło mu to ulgę. A Carl był bardzo uważnym słuchaczem. Kiedy Ray z detalami opisał mu Harry’ego Rexa i Forresta, przyjaciel mruknął:

– W Ohio chyba w ogóle nie spotyka się takich ludzi.

Gdy któryś z nich opowiadał o swoim małomiasteczkowym życiu kolegom pochodzącym z metropolii, zwykle naciągał trochę fakty, żeby upiększyć rzeczywistość. Ale wobec siebie nie musieli tego robić. Postacie Forresta i Harry’ego Rexa i bez tego były wystarczająco barwne.

Czuwanie przy zwłokach, msza, wreszcie pogrzeb. Kiedy Ray dotarł do capstrzyku odegranego na trąbce i spuszczenia trumny do grobu, obaj mieli łzy w oczach.

– To musiał być naprawdę wspaniały pogrzeb – powiedział Carl.

– Cieszę się, że już po wszystkim.

– A ja się cieszę, że wróciłeś. Zjedzmy jutro razem lunch.

– A co jest jutro?

– Piątek.

– W porządku.

Na południowe zajęcia ze swoją grupą Ray zamówił dla wszystkich pizzę i wyszedł ze studentami na świeże powietrze. Jedna osoba była nieobecna. Z tej trzynastki ośmioro miało za dwa tygodnie bronić prac dyplomowych, a mimo to wszyscy



zdawali się bardziej przejmować śmiercią jego ojca niż swoimi egzaminami. Ale wiedział, że to nie potrwa długo.

Kiedy zjedli wspólnie pizzę, zwolnił ich przed czasem. Wszyscy się rozeszli i została tylko Kaley, jak zawsze od kilku miesięcy. Cała kadra ściśle przestrzegała reguły, że nie wolno nawiązywać bliższych znajomości ze studentami, i Ray także nie zamierzał jej łamać. Był zanadto przywiązany do swojej pracy, by ryzykować jej utratę z powodu romansu ze studentką. Za dwa tygodnie sytuacja się zmieni, bo Kaley nie będzie już studentką, lecz absolwentką. Ale dziewczyna już od kilku tygodni nasiliła swoje starania – zostawała w sali po zajęciach pod pozorem ważnych pytań, zaglądała do jego gabinetu w poszukiwaniu zaginionego podręcznika, rzucała mu kuszące uśmiechy i zdecydowanie zbyt powłóczęste spojrzenia.

Jako studentka była dość przeciętna, ale miała ładną buzię i zgrabną pupę i przyciągała spojrzenia mężczyzn. Grała w drużynie hokeja na trawie i lacrosse'a, co pozwalało jej zachować wysportowaną sylwetkę. Miała dwadzieścia osiem lat, była bezdzietną wdową i dostała spore odszkodowanie od producenta szybowca, którym leciał jej mąż, gdy z niewyjaśnionych przyczyn maszyna rozleciała się w powietrzu u wybrzeży Cape Cod. Jego zwłoki wydobyto z głębokości dwudziestu metrów, wciąż przypięte do fotela, podczas gdy oba skrzydła były przełamane na pół. Ray kiedyś sięgnął do relacji prasowych z tego wypadku. Przejrzał też akta sądowe z Rhode Island, gdzie Kaley wystąpiła z pozwem. Nie doszło do procesu; strony zawarły ugodę, na mocy której wdowa dostała cztery miliony dolarów jednorazowo i miała dostawać po pięćset tysięcy rocznie przez następne dwadzieścia lat. Ray nikomu nie powiedział o tym, co wyczytał z akt.

Przez pierwsze dwa lata studiów Kaley uganiała się za kolegami z roku, później jednak zaczęła podrywać dorosłych mężczyzn. Ray wiedział co najmniej o dwóch innych wykładowcach prawa, na których zagięła parol. Jeden z nich był

żonaty. Ale obaj, podobnie jak Ray, woleli się trzymać ustalonych reguł.

Rozmawiając na temat egzaminów magisterskich, Ray i Kaley ruszyli w kierunku głównego wejścia do budynku. Przy każdym spotkaniu posuwała się odrobinę dalej, przygotowując sobie grunt do frontalnego ataku.

– Chciałabym kiedyś polatać – oznajmiła.

Wszystko, tylko nie to, odparł w duchu, wracając myślami do straszliwej śmierci jej męża. W gruncie rzeczy nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. W końcu uśmiechnął się lekko i rzucił:

– Wystarczy kupić bilet na samolot.

– Nie. Chciałabym polatać tylko z panem, w awionetce. Może wybierzemy się razem?

– Dokąd?

– Obojętne, byle wzbić się w powietrze. Mam ochotę zapisać się na kurs pilotażu.

– Ja miałbym raczej ochotę na coś bardziej tradycyjnego, ot, wspólny lunch albo kolacja, kiedy już odbierzesz dyplom.

Przysunęła się do niego na tyle blisko, że nikomu, kto by ich teraz zobaczył, nie przyszłoby do głowy, że studentka omawia z wykładowcą jakieś zawiłości przepisów prawa.

– Jeszcze tylko dwa tygodnie – rzuciła zniecierpliwiona, jakby nie mogła się już doczekać chwili, kiedy nawzajem rzucają się sobie w objęcia.

– W takim razie zaproszę cię na kolację za dwa tygodnie i jeden dzień.

– Nie ma pan ochoty złamać reguł i zjeść ze mną kolacji, zanim odbiorę dyplom?

Był już bliski tego, żeby się zgodzić.

– Przykro mi, prawo jest prawem – powiedział jednak. – A my szczególnie powinniśmy go przestrzegać.

– Racja, ale tak łatwo się o tym zapomina. Więc jesteśmy umówieni?

– Nie. Umówimy się dopiero za piętnaście dni.

Zaszczyciła go szerokim uśmiechem i zawróciła. Pomyślał, że nie wypada tak stać i gapić się na jej pupę, ale nie potrafił się opanować.

\* \* \*

W firmie transportowej w północnej części miasta wynajął furgonetkę – sześćdziesiąt dolarów za dzień. Próbował coś utargować, bo potrzebował samochodu tylko na parę godzin, ale nic nie wskórał. Przejechał nią siedemset metrów, ponieważ zaledwie tyle dzieliło go od Składu Chaneya, rozległego placu z szeregami niedawno postawionych baraków z białej cegły, otoczonego siatkowym ogrodzeniem z drutem kolczastym. Kamery rozmieszczone na słupach śledziły każdy jego ruch, gdy parkował samochód, wysiadał i szedł do biura.

Mieli mnóstwo pomieszczeń do wynajęcia – o wymiarach trzy na trzy metry, nieogrzewanych, ale za to z solidnymi żelaznymi drzwiami i dobrym oświetleniem – po czterdzieści osiem dolarów miesięcznie.

– Są ognioodporne? – zapytał Ray.

– Oczywiście – zapewniła osobiście pani Chaney, mrużąc oczy od dymu z papierosa, który trzymała w ustach, gdy wypełniała formularz. – Wyłącznie lany beton i ceglane ściany.

W Składzie Chaneya każdy towar był bezpieczny, gdyż cały teren znajdował się pod stałym nadzorem elektronicznego systemu kontroli, jak wyjaśniła, niedbałym ruchem wskazując cztery monitory na półce na wprost biurka. Uwagę Raya przyciągnął jednak stojący nieco na uboczu mały przenośny telewizor, na którego ekranie toczyła się zaciekle awantura połączona z bijatyką; było to coś w stylu modnego ostatnio *Springer Show*. Nie miał najmniejszych wątpliwości, na którym ekranie skupia się wzrok czuwających tu ludzi.

– I jest strzeżony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę – dodała właścicielka, nie przerywając wypełniania dokumentów.  
– Zawsze zamykamy bramę wjazdową. Nigdy nie mieliśmy tu

włamania, a gdyby nawet do niego doszło, to mamy ubezpieczenie. Proszę tu podpisać. Boks czternaście B.

Ubezpieczenie trzech milionów dolarów w gotówce, pomyślał Ray, podpisując formularz. Zapłacił za sześć miesięcy z góry i odebrał klucze od boks 14B.

\* \* \*

Dwie godziny później wrócił do składu z sześcioma nowymi kartonowymi pudłami, stertą starych ciuchów i paroma bezużytecznymi meblami, które kupił na pchlim targu dla zmylenia przeciwnika. Zaparkował furgonetkę przed barakiem, na wprost drzwi boks 14B, i przystąpił do rozładunku.

Pieniądze popakował w dwudziestokilogramowe grube foliowe worki do mrożenia żywności i pooklejał ciasno taśmą samoprzylepną, żeby zabezpieczyć przed wilgocią. Było ich w sumie pięćdziesiąt trzy. Pakunki poupychał na dnie sześciu kartonowych pudeł, które następnie zapełnił makulaturą, starymi gazetami i notatkami do swojej pracy, w nagłym trybie zaliczywszy je do niepotrzebnych. Musiały teraz posłużyć wyższemu celom. Dla efektu dorzucił na wierzch kilka starych kieszonkowych wydań powieści.

Gdyby jakimś cudem złodziej dostał się do boks 14B, powinien zrezygnować z dokładnego przeszukiwania zawartości kartonów. Pieniądze zostały więc dobrze ukryte i znalazły się pod najlepszą ochroną, jaką mógł im zapewnić. Pomijając bankowe skrytki depozytowe, nie umiał sobie wyobrazić bezpieczniejszego sposobu przechowania fortuny.

Miał nadzieję, że po przewiezieniu pieniędzy do Wirginii, uwolniwszy się wreszcie od obaw o ich bezpieczeństwo, będzie mógł odetchnąć z ulgą, ale wcale tak nie było. Tajemnica ich źródła i przeznaczenia nurtowała go coraz bardziej.

Przez chwilę spoglądał jeszcze na kartony i pozostałe rupiecie stojące w wynajętym boksie, jakby nie mógł się z nimi rozstać. Kilka razy musiał powtórzyć w myślach, że nie będzie tu zaglądał

każdego dnia, ale w głębi serca szczerze wątpił, czy uda mu się wytrwać w tym postanowieniu.

Zamknął drzwi i założył na skoblu świeżo kupioną kłódkę. Przed wyjazdem z placu upewnił się jeszcze, że strażnik nie śpi, kamery obserwują teren, a brama rzeczywiście jest zamknięta.

\* \* \*

Foga Newtona zaniepokoiło nadchodzące załamanie pogody. Jego początkujący uczeń poleciał do Lynchburga i z powrotem, lecz zgodnie ze wskazaniem radaru właśnie stamtąd szybko zbliżał się front burzowy, chociaż w prognozach zapowiadano czyste bezchmurne niebo, a lotnicze stacje meteo nie rozsyłały żadnych ostrzeżeń.

– Ile ma wylatanych godzin? – zaciekawiał się Ray.

– Trzydzieści jeden – odparł posepnie Fog.

Było to zdecydowanie za mało, by zdobyć doświadczenie w złych warunkach atmosferycznych. Tymczasem między Charlottesville a Lynchburgiem nie było żadnych lądowisk, tylko góry.

– Mam nadzieję, że ty się donikąd nie wybierasz – dodał instruktor.

– Właśnie zamierzałem wystartować.

– Daruj sobie. Ta burza zbiera się coś za szybko. Sam popatrz.

Nic tak nie przeraża instruktorów lotniczych jak niedoświadczony uczeń, który musi się zmagać z nagłym załamaniem pogody. Każdy dłuższy lot treningowy nad niedostępny, odludny terenami należało starannie zaplanować, uwzględniając rezerwy czasu i paliwa, warunki pogodowe, dostępność lądowisk awaryjnych i procedury alarmowe. I na każdy instruktor musiał wydać zezwolenie na piśmie. Zdarzyło się już, że Fog zawrócił Raya z pasa startowego z powodu nagłego ostrzeżenia o możliwości oblodzenia sterów powyżej tysiąca pięciuset metrów, chociaż panowała piękna słoneczna pogoda.

Ruszyli razem przez hangar do stanowiska, przy którym dopiero co zatrzymał się lear i pilot zgasił silniki. Na zachodnim horyzoncie, w siodłach między wzgórzami, pojawiały się pierwsze ciemne pasma chmur. Wiatr wyraźnie przybierał na sile.

– Dziesięć do piętnastu węzłów – mruknął Fog z odrazą. – Do tego wprost od czoła.

Ray wolał nawet nie myśleć o lądowaniu w takich warunkach.

Na stanowisko za learem podkołowała bonanza. Kiedy się zbliżyła, Ray rozpoznał tę samą maszynę, którą podziwiał na pasie od dwóch miesięcy.

– Masz swoje cacko – odezwał się instruktor.

– Pomarzyć dobra rzecz.

Bonanza stanęła przy rampie, silniki umilkły.

– Słyszałem, że facet spuścił z ceny – dodał Fog.

– Ile teraz chce?

– Coś koło czterystu dwudziestu pięciu. Czterysta pięćdziesiąt to rzeczywiście było trochę za dużo.

Podróżujący samotnie właściciel odrzutowca wyszedł z kabiny i zaczął wyciągać ze środka bagaże. Fog znów zapatrzył się w niebo, po czym spojrzął na zegarek. Ray nie mógł oderwać wzroku od bonanzy i jej właściciela, zamykającego drzwi kabiny na klucz.

– Wyprawmy się nią na krótką wycieczkę – zaproponował.

– Bonanzą?

– Jasne. Jaka jest cena wynajmu?

– Do ustalenia. Znam tego gościa.

– Więc wypożyczmy ją na cały dzień. Polecimy do Atlantic City i z powrotem.

Fog jakby całkiem zapomniał o chmurzącym się niebie i kursancie będącym ciągle w powietrzu. Odwrócił się powoli i spojrzął na Raya.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Możemy się nieźle zabawić.

Poza lataniem i pokerem niewiele rzeczy interesowało Newtona.

– Kiedy?

– W sobotę, czyli pojutrze. Wystartujemy o świcie i wrócimy o zmroku.

Instruktor zamyślił się głęboko. Znów spojrzał na zegarek, jeszcze raz na niebo na zachodzie, wreszcie obejrzał się na południe. Dick Docker wychylił się z okna i zawołał:

– Yankee Tango jest już piętnaście kilometrów od pasa!

– Dzięki Bogu – mruknął Fog z wyraźną ulgą w głosie. Pociągnął Raya w kierunku bonanzy, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

– Więc mówisz, w sobotę?

– Jasne. Na cały dzień.

– Zaraz się skontaktuję z właścicielem. Na pewno jakoś się dogadamy.

Wiatr przycichł na chwilę i Yankee Tango wylądował bez większych problemów. Fog jeszcze bardziej się rozluźnił i nawet uśmiechnął niewyraźnie.

– Nie wiedziałem, że lubisz sobie pograć – powiedział, idąc wzdłuż rampy.

– Tylko czasem w blackjacka, na niezbyt wysokie stawki – odparł Ray.

## Rozdział 17

---

**W** piątek późnym rankiem samotność Raya zakłócił dzwonek do drzwi. Położył się późno, wciąż nie mogąc się uwolnić od przemęczenia podróżą do Clanton. Dopiero po czterech filiżankach kawy i przejrzeniu trzech gazet mógł normalnie funkcjonować.

Kurier pocztowy doręczył przesyłkę od Harry'ego Rexa, na którą składał się plik listów od znajomych ojca i garść wycinków prasowych. Ray rozłożył je na stole kuchennym i zaczął lekturę od artykułów. „Clanton Chronicle” już w środę zamieściła na pierwszej stronie obszerny życiorys wraz z upozowanym zdjęciem zmarłego stojącego w czarnej sędziowskiej todze. Na fotografii pochodzącej sprzed co najmniej dwudziestu lat ojciec był dumnie wyprostowany, tęższy, z ciemnymi włosami. Tytuł głosił: SĘDZIA REUBEN ATLEE ZMARŁ W WIEKU 79 LAT. Oprócz życiorysu pod fotografią umieszczono duży nekrolog w ozdobnej ramce, zestaw krótkich wypowiedzi najbliższych przyjaciół Sędziego oraz dziękczynną notatkę wychwalającą jego niezwykłą aktywność charytatywną.

W „Ford County Times” także zamieszczono zdjęcie, na którym sędzia Atlee siedział na werandzie z fajką w ręce. Wyglądał znacznie starzej, lecz – co u niego niezwykle – uśmiechał się ciepło. Miał na sobie rozpinany sweter i sprawiał wrażenie sympatycznego dziadka. Dziennikarz przedstawiał go jako jedną z wybitnych postaci minionej epoki i nawiązał do wojny secesyjnej i generała Nathana Bedforda Forresta. Wspominał nawet o rozpoczęciu przez Sędziego pracy nad



książką, której bohaterem miał być ubogi wieśniak z hrabstwa Ford walczący pod rozkazami generała.

We wszystkich artykułach ledwie wspomniano o istnieniu dwóch synów zmarłego. Nie wypadało wspomnieć tylko o Rayu, a większość ludzi z Clanton wołała unikać rozmów o Forreście. Wynikała stąd bolesna prawda, że synowie nie byli znaczącym elementem w życiu Sędziego.

Mogło jednak stać się inaczej, pomyślał Ray. Ale to przecież ojciec już od samego początku wołał się nie angażować w wychowanie synów, a później też nie chciał mieć z nimi wiele wspólnego. Ten wspaniały człowiek, który tak wiele dobrego uczynił dla obcych ludzi, w ogóle nie miał czasu dla własnej rodziny.

Opisy w gazetach i zdjęcia zasmuciły Raya, a to z kolei wywołało irytację, bo w ten piątek nie zamierzał się smucić. Dość szybko odzyskiwał równowagę po tym, jak pięć dni wcześniej natknął się w domu na zwłoki ojca. W chwilach załamania czy przygnębienia zamykał się w sobie, ale szybko znajdował siłę, by zagryźć wargi i z podniesionym czołem wrócić do codziennego życia. W tym wypadku znacznie pomagał mu upływ czasu i odległość dzieląca go od Clanton. A mimo to nie potrafił odegnąć od siebie smutnych wspomnień.

Listy pochodziły ze skrytki pocztowej ojca, z sekretariatu sądu i skrzynki przed Klonowym Źródłem. Część była zaadresowana do Raya i Forresta, część ogólnikowo do rodziny sędziego Atlee. Najdłuższe elaboraty pochodziły od prawników biorących udział w procesach, którym przewodniczył Sędzia, znaleźli się pod wrażeniem jego bezgranicznego oddania sprawiedliwości. Większość kartek z wyrazami współczucia przysyłali ludzie, którzy z takich lub innych powodów musieli stawać przed Sędzią, czy to w sprawach rozwodowych, czy też adopcyjnych albo o wykroczenia nieletnich, i jego orzeczenia odmieniły ich życie. Napływały listy ze wszystkich stron Missisipi – od emerytowanych sędziów, dawnych kolegów z uczelni, polityków, których ojciec wspierał w czasie swego urzędowania,

jak też od przyjaciół pragnących obok kondolencji podzielić się kilkoma wspomnieniami.

Najczęściej pisali jednak ludzie korzystający z dobroczynności Sędziego. Zazwyczaj były to długie, bardzo gorące podziękowania. Reuben Atlee rozsyłał darowizny tym, którzy ich najbardziej potrzebowali, i w wielu wypadkach pieniądze od niego pozwalały im diametralnie odmienić życie.

Więc jak to było możliwe, że człowiek tak szczodry zmarł, zostawiwszy ponad trzy miliony dolarów ukryte w komodzie? Najwyraźniej odkładał znacznie więcej, niż rozdawał. Czyżby zapadł na chorobę Alzheimera albo inną podobną dolegliwość, której lekarze nie wykryli? A może po prostu miał zaburzenia psychiczne? Szaleństwo byłoby najprostszym wyjaśnieniem, tylko czy człowiek tracący kontakt z rzeczywistością byłby w stanie zgromadzić tak ogromną fortunę?

Po przeczytaniu mniej więcej dwudziestu listów i kartek z kondolencjami Ray zrobił sobie przerwę. Wszedł na balkon i zaczął się przyglądać ludziom spacerującym po pasażu. Ojciec nigdy nie był w Charlottesville, chociaż Ray z pewnością go zapraszał, tyle że teraz nie mógł sobie przypomnieć ani jednej konkretnej rozmowy na ten temat. W ogóle nigdy razem nie podróżowali. A było tyle rzeczy, które mogliby wspólnie robić.

Sędzia mawiał często, że chciałby odwiedzić Gettysburg, Antietam, Bull Run, Chancellorsville czy Appomatox, i zapewne doszłoby do tego, gdyby Ray okazał choć odrobinę zainteresowania. Ale jego nie obchodziło nic, co miało jakikolwiek związek z tak odległą wojną. Na każdą wzmiankę o niej natychmiast zmieniał temat.

Znowu opadło go poczucie winy, przed którym nie umiał się obronić. Ależ ze mnie egoistyczny palant, powtarzał w myślach.

Przyszła też bardzo miła kartka od Claudii, która dziękowała Rayowi, że zechciał z nią porozmawiać i jej wybaczyć. Przez wiele lat gorąco kochała jego ojca i po śmierci Sędziego do końca życia będzie nosić w sercu rozpacz. Poprosiła, by czasem do niej zadzwonił, i dołączyła serdeczne ucałowania. A przecież, jeśli

wierzyć Harry'emu Rexowi, znalazła sobie nowego kochanka, który dla niej musiał codziennie łykać viagrę.

Z nostalgicznej zadumy błyskawicznie wyrwał go anonimowy liścik, którego widok zmroził Rayowi krew w żyłach i wywołał ciarki nie tylko na plecach, ale na całym ciele.

Z wyróżniającej się różowej koperty wyciągnął złożoną kartkę z wytłoczonym napisem *Z wyrazami współczucia*. Wewnątrz znalazł skrawek papieru z wypisanym na maszynie tekstem: *Błędem byłoby zacząć wydawać te pieniądze. Inspektorzy urzędu skarbowego stale dyżurują pod telefonem*. Według stempla na kopercie list został nadany w Clanton w środę, dzień po pogrzebie, i był zaadresowany do *najbliższej rodziny sędziego Atlee w Klonowym Źdroju*.

Ray odłożył go na bok i szybko przejrzał resztę korespondencji. Nie znalazł więcej niczego podejrzanego, a nie chciał już czytać pozostałych listów i kartek. Różowa koperta leżąca na skraju stołu przypominała naładowany rewolwer.

Znów wyszedł na balkon i zaciskając palce na poręczy, jeszcze raz czytał pogrózkę, gorączkowo usiłując zebrać myśli. Potem powtarzał pod nosem słowa anonimu, parząc w kuchni świeżą kawę. Zostawił kartkę na brzegu stołu, żeby mieć ją na oku z każdego kąta mieszkania.

Pochłonięty spoglądaniem z balkonu na ludzi, nie zauważył, jak minęło południe. Teraz każdy, kto choćby zerknął z ulicy ku górze, mógł być człowiekiem znającym tajemnicę przywiezionych z domu pieniędzy. Kiedy Ray ukrywał fortunę, nie myślał o nikim konkretnym, ale teraz wyobraźnia doprowadzała go do obłędu.

Pieniądze nie należały do niego, a było ich wystarczająco dużo, by ktoś podjął się śledzenia go i donoszenia na niego, a nawet napaści.

Ray zaśmiał się w głos, usiłując zapanować nad wzbierającą paranoją. Uznał, że przecież nie może żyć w ciągłym strachu, i poszedł pod prysznic.

Autor anonimu musiał jednak dokładnie wiedzieć, gdzie Sędzia ukrył gotówkę. Siedząc nago na krawędzi łóżka, ociekając wodą, Ray doszedł do wniosku, że powinien sporządzić listę podejrzanych. W grę wchodził człowiek, który raz w tygodniu strzygł trawę wokół Klonowego Zdroju. Niewykluczone, że był to spryciarz, który miłymi słówkami próbował zwieść Sędziego, by zyskać swobodny wstęp do domu. A dostać się tam było bardzo łatwo. Kiedy ojciec wymykał się nocami, żeby grać w kasynach, tajemniczy tamten mógł bez trudu wślizgnąć się do domu.

Na samej górze listy powinna się znaleźć Claudia. Ray bez trudu mógł ją sobie wyobrazić myszkującą po Klonowym Zdroju pod nieobecność Sędziego. To w sumie dziwne, że po dwudziestu latach sypiania z Claudią zostawił ją, nie mając innej kobiety. Tak wiele czasu spędzali razem w sądzie, że nikogo by nie zdziwiło, gdyby po przejściu ojca na emeryturę potajemnie kontynuowali romans. Nikt nie był z nim nigdy tak blisko związany jak Claudia. Jeśli ktokolwiek wiedział o pieniądzach ukrytych w domu, to najprędzej właśnie ona.

Bez trudu mogła zdobyć klucze od Klonowego Zdroju, zresztą w ogóle nie były potrzebne. Może rankiem w dniu pogrzebu wcale nie przyjechała na szczerą rozmowę, lecz na przeszpiegi, i odegrała swą rolę wyśmienicie. Mimo swojego wieku była sprytna, przebiegła i bezwzględna. Przez dobry kwadrans rozmyślał o Claudii i był coraz bardziej przekonany, że to właśnie ona wiedziała o pieniądzach.

Później przyszyły mu do głowy jeszcze dwa nazwiska, lecz wolał ich na razie nie umieszczać na swojej liście. Pierwszym był Harry Rex, lecz natychmiast się tego zawstydził. Drugi to Forrest, ale i ten pomysł wydał mu się kuriozalny. Brat nie zaglądał do rodzinnego domu od dziewięciu lat. Gdyby nawet założyć, że jakimś cudem dowiedział się o ukrytej fortunie, nawet na chwilę nie zostawiłby jej w komodzie. Forrest dysponujący trzema milionami w gotówce od razu by je wykorzystał, by zaszkodzić nie tylko sobie, ale również osobom, z którymi był związany.

Sporządzenie listy podejrzanych kosztowało go wiele wysiłku i nie przyniosło większych efektów. W pierwszym odruchu chciał natychmiast uciekać przed prześladowcami, ale po zastanowieniu wypchał dwie poszewki starymi ciuchami, pojechał do Składu Chaneya i zostawił je w boksie 14B. Jego rzeczy spoczywały nietknięte, dokładnie tak, jak je ustawił poprzedniego dnia. Pieniądze były ukryte na dnie kartonowych pudeł. I dopiero tam, kiedy długo spoglądał na ukryty skarb, nie mogąc się z nim rozstać, poraziła go myśl, że właśnie utworzył wyraźny trop prowadzący do niego. Nie ulegało wątpliwości, iż ktoś wie, że zabrał gotówkę z gabinetu Sędziego. A dla zdobycia takiej sumy mógł wynająć całą horde prywatnych detektywów, żeby go śledzili.

Mogli już śledzić Raya w drodze z Clanton do Charlottesville, tutaj zaś z jego mieszkania do Składu Chaneya.

W duchu zaczął przeklinać własną lekkomyślność. Myśl, człowieku! Przecież to nie są twoje pieniądze!

Dokładnie zamknął drzwi boksu 14B. Podążając przez miasto na umówiony lunch z Carlem, ciągle zerkał w lusterko wsteczne, obserwując jadące za nim samochody. Ale po pięciu minutach zaśmiał się z własnej naiwności i po raz kolejny poprzysiągł sobie, że nie będzie żył jak tropione dzikie zwierzę.

Niech sobie zabiorą tę przeklętą forszę! Przynajmniej nie będzie miał się czym martwić. Niech się włamią do boksu 14B i zabiorą stamtąd wszystkie graty. Na jego życiu nie zaważy to w żaden sposób. Ani trochę.

## Rozdział 18

---

Lot bonanzą do Atlantic City miał potrwać osiemdziesiąt pięć minut, trzydzieści pięć minut krócej niż cessną. W sobotę wczesnym rankiem Ray wraz z Fogiem dokonał pobieżnego przeglądu maszyny pod czujnymi, ale i pełnymi zazdrości spojrzeniami Dicka Dockera oraz Charliego Yatesa, krążącymi wokół samolotu i sączącymi lurowatą kawę ze styropianowych kubków, jakby mieli zaraz wystartować, a nie tylko przyglądać się temu z ziemi. O tej porze nie mieli uczniów, a ponieważ po całym lotnisku rozeszła się plotka, że Ray zamierza kupić bonanzę, zeszli więc do hangaru, by osobiście wybadać sprawę. Tyle że plotki pilotów były tyle samo warte co wszystkie inne plotki.

– Spuścił jeszcze trochę z ceny? – zapytał Docker, nawet nie patrząc na Foga, który przykucnięty pod skrzydłem, uważnie oglądał filtr spustu paliwa, wypatrując śladów wody i paprochów.

– Tak, do czterystu dziesięciu – odparł instruktor autorytatywnym tonem, gdyż to on miał pokierować lotem, a nie oni.

– I tak za dużo – mruknął Yates.

– Zamierzasz się z nim potargować? – zwrócił się Docker do Raya.

– Lepiej zajmij się swoimi sprawami, dobra? – odparł Ray, nawet na niego nie patrząc.

– Przecież to moja sprawa.

Mimo tej niechcianej pomocy zakończyli kontrolę przedstartową bez problemów. Fog pierwszy wdrapał się do

kabiny i przypiął pasami do lewego fotela. Kiedy tylko Ray zamknął i zabezpieczył drzwi, usiadł w drugim fotelu i włożył na głowę słuchawki, poczuł, że to jest jego wymarzona maszyna. Dwustukonny silnik zaskoczył od razu. Fog kolejno sprawdził wskazania przyrządów pokładowych, po czym wywołał wieżę kontroli lotów. Miał tylko poderwać odrzutowiec w powietrze, po czym przekazać stery Rayowi.

Wiał lekki wiatr, chmury na dość wysokim pułapie były porozrywane, panowała niemal idealna pogoda. Podnieśli się z pasa startowego przy prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę, schowali podwozie i wznosili się w tempie dwustu pięćdziesięciu metrów na minutę, aż osiągnęli wysokość przelotową – dwa tysiące metrów. Dopiero wtedy Ray mógł przejąć stery, a Fog przystąpił do objaśniania zasad korzystania z autopilota, radaru pogodowego i automatycznego systemu ostrzegania przed kolizją.

– Sporo tego – pomrukiwał od czasu do czasu.

W młodości był pilotem myśliwców marynarki wojennej, ale już od dziesięciu lat szkolił na dwumiejscowych cessnachs tysiące amatorów pilotażu, takich jak Ray. Bonanzę traktował jak odpowiednik porsche na drogach, więc bardzo się cieszył z rzadkiej okazji lotu tą wspaniałą maszyną. Kontrola lotów wyznaczyła im trasę omijającą łukiem od południa i wschodu Waszyngton oraz zatłoczoną przestrzeń nad międzynarodowym lotniskiem Dullesa i krajowym Reagana. Mimo to mogli dostrzec kopułę Kapitolu nawet z odległości pięćdziesięciu kilometrów, a gdy znaleźli się nieco dalej, nad Chesapeake, w oddali na horyzoncie wyłoniły się zabudowania Baltimore.

Widok malowniczej zatoki z powietrza był piękny, lecz Raya bardziej ciekawiło wyposażenie samolotu. Z łatwością prowadził go sam, bez autopilota. Potrafił utrzymać kurs oraz ustaloną wysokość i porozumieć się z waszyngtońską kontrolą lotów, jednym uchem słuchając niemilkających pochwał Foga na temat osiągnięć i wyposażenia bonanzy.

Obaj chętnie polataliby jeszcze parę godzin, ale szybko dotarli nad Atlantic City. Ray sprowadził maszynę na tysiąc dwieście metrów, potem na tysiąc, wreszcie przełączył się na częstotliwość tutejszej wieży. Kiedy w zasięgu ich wzroku pojawił się pas startowy, Fog ponownie przejął stery. Posadził bonanżę swobodnie i bez wstrząsów. Kołując na stanowisko przylotów, minęli dwa rzędy awionetek, które natychmiast przypomniały Rayowi o wcześniejszych doświadczeniach z pilotażem. Wiedział, że każdy pilot zawsze rozgląda się za lepszą maszyną. On znalazł już właściwą dla siebie.

\* \* \*

Okazało się, że ulubionym kasynem Foga jest Rio, stojące pośród kilku innych przy nadmorskiej promenadzie. Umówili się na lunch w barku na pierwszym piętrze i szybko ruszyli w przeciwnych kierunkach. Nie zamierzali grać razem. Ray przeszedł wzdłuż szeregów automatów i uważnym spojrzeniem obrzucił stoły. Była sobota i w kasynie panował tłok. Kiedy zaczął krążyć między stołami, przy jednym z nich dostrzegł instruktora wpatrującego się uważnie w trzymane karty. Leżał przed nim spory stosik żetonów.

Ray miał w kieszeni pięć tysięcy dolarów – pięćdziesiąt studolarówek powybierał przypadkowo z różnych partii skarbu przywiezionego z Clanton. Przyświecał mu tylko jeden cel: puścić pieniądze do obiegu w kasynie, by zyskać pewność, że nie są fałszywe ani znaczone. Pierwszy test przeprowadzony w poniedziałek w Tunice dał pozytywny rezultat, mimo to postanowił go powtórzyć. Miał nawet nadzieję, że banknoty okażą się znaczone, bo wtedy uzyskałby pomoc FBI w ujawnieniu źródła ich pochodzenia. W końcu sam nie zrobił nic złego, cała ewentualna wina leżała po stronie zmarłego ojca. Nie bał się więc agentów federalnych. No już, niech się w końcu pojawią te federalały!



Znalazł puste miejsce przy stoliku do blackjacka i wyłożył na sukno pięć studolarówek.

– Zielone – rzucił tonem wytrawnego hazardzisty.

– Pięć setek do wymiany – powiedział krupier do swojego szefa.

– Proszę wymienić – odparł tamten.

Salę wypełniał gwar podekscytowanych głosów, z tyłu dolatywało postukiwanie automatów do gry. Przy jednym ze stołów do gry w kości podniecenie sięgało zenitu.

Krupier zgarnął banknoty i Ray przez chwilę czekał w napięciu, starając się nie zwracać uwagi na pełne podziwu spojrzenie pozostałych graczy. Wszyscy obstawiali żetonami po pięć i dziesięć dolarów. Amatorzy.

Krupier sprawdził pobieżnie pieniądze i uznawszy je za autentyczne, schował do kasetki, po czym odliczył dwadzieścia pięć zielonych żetonów. Ray przez kwadrans gry stracił połowę z nich, po czym poszedł na lody. Ani trochę nie przejmował się stratą dwustu pięćdziesięciu dolarów.

Później z rosnącym zdziwieniem zaczął obserwować grę w kości. Nie mógł sobie wyobrazić, aby jego ojciec zdobył wprawę w tak skomplikowanej rozgrywce. Bo i gdzie miałby się tego nauczyć w hrabstwie Ford w Missisipi?

Kupił w księgarni kieszonkowy przewodnik, z którego dowiedział się, że trzeba obstawiać konkretny wynik rzucającego. Wrócił do stołu, przy którym grało dwóch graczy, i gdy zdobył się na odwagę, postawił dziesięć ostatnich żetonów na tak zwany come line – gdyby grający zawodnik rzucił siedem lub jedenaście, Ray by wygrał. Rzucił dwanaście, więc krupier zgarnął żetony Raya, a ten odszedł od stołu i opuścił kasyno, żeby odwiedzić następnę, o nazwie Princess.

Niewiele się różniło wystrojem wnętrza od Rio. Podobnie jak tam, starsi ludzie wpatrywali się z uporem w ekrany automatów do gry, które z brzękiem wyrzucały z siebie wystarczająco dużo monet, by utrzymać klientów w stanie najwyższego napięcia. Przy stołach do blackjacka siedzieli przypadkowi gracze, głównie

amatorzy darmowego piwa i whisky. Zapaleni hazardziści tłoczyli się nieco dalej i pokrzykiwali przy rzucaniu kośćmi. Kilku Azjatów z zacięciem grało w ruletkę. Kelnerki w idiotycznych wydekoltowanych strojach roznosiły drinki.

Znalazł wolne miejsce przy stole do blackjacka i zaczął swój test od początku. Kolejnych pięć banknotów bez problemu przeszło pobieżną inspekcję krupiera. Ray bez namysłu postawił sto dolarów i ku własnemu zaskoczeniu wygrał.

W kieszeni miał za dużo gotówki, by marnować czas na gromadzenie drobnych żetonów, więc gdy podwoił ich zapas, wyciągnął dziesięć kolejnych banknotów i poprosił o żetony studolarowe. Krupier powiadomił swojego szefa, ale ten uśmiechnął się tylko szeroko i rzucił:

– Powodzenia.

\* \* \*

Godzinę później Ray odszedł od stołu z dwudziestoma dwoma żetonami.

Następne na jego trasie było Forum mieszczące się w starszym budynku i przesiąknięte kwaśnym smrodem dymu tytoniowego, nie dość skutecznie maskowanym wonią taniego środka dezynfekcyjnego. Przeważała tu starsza klientela, ponieważ główną atrakcją kasyna były automaty, na których grało się ćwierćdolarówkami, a w dodatku graczom po sześćdziesiątce piątce oferowano jeden darmowy posiłek – śniadanie, obiad lub kolację do wyboru. Nawet kelnerki były tu po czterdziestce i nie pokazywały aż tyle ciała. Defilowały w czymś, co przypominało męskie stroje do joggingu, i w sportowych butach tego samego koloru.

W blackjacku obowiązywało ograniczenie stawki do dziesięciu dolarów, toteż krupier wyraźnie się zawahał na widok wyłożonej gotówki i uważnie obejrzał pierwszy banknot pod światło, jakby rzeczywiście był sfałszowany. Potem pieniądze

skontrolował dokładnie jego szef, aż Ray zaczął żałować, że rozpoczął swój test w Rio.

– Proszę wymienić.

Napięcie opadło. W ciągu godziny przegrał trzysta dolarów.

\* \* \*

Kiedy spotkali się na lunchu, Fog oznajmił z podnieceniem, że chyba rozbije bank. Ray był setkę do tyłu, ale jak wszyscy hazardziści skłamał, że wygrywa, chociaż niewiele. Umówili się, że wyruszą w drogę powrotną do Charlottesville o piątej po południu.

Resztę gotówki Ray wymienił na żetony przy pięćdziesięciodolarowym stole w kasynie Canyon, najnowszym spośród stojących przy promenadzie. Grał nimi przez jakiś czas, ale szybko się znudził i poszedł do baru, żeby przy wodzie sodowej obejrzeć transmisję pojedynku bokserskiego z Vegas. Pięć tysięcy, które przywiózł ze sobą do Atlantic City, udało mu się wprowadzić do systemu. Miał wyjechać, zabierając cztery tysiące siedemset dolarów, ale zostawiając za sobą wyraźny trop. Został zarejestrowany na kasetach systemu bezpieczeństwa aż w siedmiu kasynach, poza tym w dwóch musiał wpisać swoje dane na pokwitowaniu, kiedy w kasie z powrotem wymieniał żetony na gotówkę, a w dwóch innych posłużył się w barze kartą kredytową, specjalnie po to, by łatwiej go było później odnaleźć.

Gdyby gotówka sędziego okazała się trefna, służby federalne bez kłopotu go zidentyfikują.

Fog milczał w czasie drogi powrotnej na lotnisko. Po południu szczęście go opuściło.

– Straciłem kilka setek – przyznał w końcu z ociąganiem, ale po jego minie można było sądzić, że przegrał więcej. – A ty? Jak ci poszło?

– Całkiem nieźle – odparł Ray. – Zwróciła mi się opłata za czarter.

– To rzeczywiście nieźle.

- Masz coś przeciwko temu, żebym zapłacił gotówką?
- To nadal legalny sposób zapłaty. – Fog się rozchmurzył.
- No to w porządku.

Podczas kontroli przedstartowej Fog zapytał, czy nie ma ochoty od początku zająć miejsca w fotelu pilota.

– Potraktujemy to jak kolejną lekcję – dodał. Perspektywa odebrania zapłaty w gotówce najwyraźniej podniosła go na duchu.

Ray ustawił bonanżę w kolejce za dwiema awionetkami czekającymi na zwolnienie się pasa startowego. Pod czujnym okiem instruktora dokołował na start, rozpędził maszynę do stu dwudziestu kilometrów na godzinę i łagodnie poderwał w powietrze. Turboodrzutowy silnik sprawiał wrażenie dwukrotnie mocniejszego od silnika cessny. Bez kłopotów wznieśli się na dwa tysiące pięćset metrów i lecieli na tej wysokości.

\* \* \*

Dick Docker drzemał w Kokpicie, kiedy weszli tam, by zdać słuchawki i wypełnić dokumenty. Zerwał się na nogi i usiadł przy biurku.

– Nie spodziewałem się, że tak wcześnie wrócicie – mruknął zaspany, wyciągając z szuflady formularze.

– Rozbiliśmy bank – rzucił Ray, zauważając, że Fog szybko się ulotnił, zniknąwszy za drzwiami sąsiedniego pomieszczenia.

– Tak jakbym tego już nie słyszał – mruknął Dick.

Ray zaczął sprawdzać wpisy w książce lotów.

– Płacisz od ręki? – spytał Dick, obliczając należność.

– Tak, dlatego chcę dostać zniżkę za wpłatę gotówkową.

– Nie miałem pojęcia, że takich udzielamy.

– No to już wiesz. Dziesięć procent.

– Ach, tak. Rzeczywiście wpłaty gotówkowe przyjmujemy z upustem. – Poprawił wyliczenie. – Tysiąc trzysta dwadzieścia dolarów.

Ray wyciągnął z kieszeni plik banknotów i odliczył sumę.

– Nie mam dwudziestki, więc będzie tysiąc trzysta.

Dick zaczął przeliczać pieniądze.

– Jakiś facet kręcił się tu dzisiaj – powiedział po chwili. – Mówił, że chce się uczyć pilotażu, i w trakcie rozmowy wymienił twoje nazwisko.

– Kto to był?

– Nigdy dotąd go nie widziałem.

– W jakim kontekście powołał się na mnie?

– Dziwnym. Mówiłem mu z grubsza o kosztach lekcji i wynajmu maszyn, a on, ni stąd, ni zowąd, zapytał, czy masz własny samolot. Bąknął, że poznaliście się kiedyś.

Ray zaparł się obiema dłońmi o kant biurka.

– Powiedział, jak się nazywa?

– Pytałem. Dolph jakiś tam. Zaczął się zachowywać podejrzanie i w końcu odjechał. Obserwowałem go przez okno. Zatrzymał się przy twoim aucie na parkingu i obszedł je dookoła, jakby zamierzał się włamać albo co. Ale w końcu się wyniósł. Znasz jakiegoś Dolpha?

– Pierwszy raz słyszę to imię.

– Ja też. Nigdy wcześniej nie słyszałem o żadnym Dolphie. Ale mówię ci, zachowywał się dziwnie.

– Jak wyglądał?

– Koło pięćdziesiątki, mały, chudy, z dość długimi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu i czarnymi oczami jak u Greka. Przypominał mi handlarza używanych samochodów. Miał buty z wydłużonymi noskami.

Ray pokręcił głową. Nie znał człowieka.

– Czemu go od razu nie zastrześliłeś?

– Bo myślałem, że to nowy klient.

– Od kiedy to jesteś miły dla nowych klientów?

– Zdecydowałeś się na kupno bonanzy?

– Nie. Będę miał o czym marzyć.

Kiedy wrócił Fog, pogratulowali sobie nawzajem udanej wyprawy i obiecali wybrać się jeszcze raz. W drodze przez

miasto Ray na każdym zakręcie obserwował w lusterku wstecznym jadące za nim samochody.

Ktoś go obserwował.

## Rozdział 19

---

**M**inął tydzień i nie zjawił się żaden agent FBI ani inspektor z urzędu skarbowego z pytaniami na temat znaczonych pieniędzy, które Ray zostawił w kasynach Atlantic City. Nie ujawnił się też Dolph ani nikt inny, kto by go obserwował. Przez cały tydzień Ray wyruszał codziennie rano na swoją ośmiokilometrową trasę joggingu, a potem prowadził normalnie zajęcia na wydziale prawa.

Trzykrotnie startował bonanzą na udzielane przez Foga lekcje pilotażu i za każdym razem płacił gotówką, twierdząc, że to wciąż pieniądze z kasyna, co zresztą wcale nie było kłamstwem. Newton aż się palił, żeby wrócić do Atlantic City i odegrać się. Ray nie był wprawdzie specjalnie zainteresowany grą, ale pomysł mu się podobał, bo mógłby znów „wygrać” trochę kasy i polatać odrzutowcem.

Fortuna znaleziona w domu ojca znajdowała się teraz w boksie 37F, chociaż z wynajmu 14B nie zrezygnował; zostawił tam ciuchy i stare meble. Ten drugi wynajął na fikcyjną firmę NDY Ventures, której skrót utworzył od pierwszych liter nazwisk instruktorów szkoły Dockera. Nazwisko Raya w ogóle nie figurowało w dokumentach najmu. Za ten boks również zapłacił gotówką, za trzy miesiące z góry.

– Chciałbym zachować tę sprawę w tajemnicy – oznajmił właścicielce.

– U nas wszystkie sprawy najmu są poufne. Każdy klient jest traktowany tak samo – odparła pani Chaney, po czym obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem, jakby chciała dodać: „Nie

interesuje mnie, co pan tam trzyma, dopóki będę dostawała swoją kasę”.

Przenosił swój skarb po jednym kartonie, późnym wieczorem, pod osłoną ciemności i czujnym okiem ochroniarza zajmującego stanowisko przy bramie. Boks 37F był dokładnie taki sam jak 14B i kiedy wszystkie sześć pudeł stanęło w jego kącie, Ray znowu poprzysiągł sobie, że powstrzyma się przed zaglądaniem tu każdego dnia. Przemknęło mu przez głowę, że nigdy by nie pomyślał, że przeniesienie trzech milionów dolarów w gotówce może być taką ciężką pracą.

Harry Rex więcej nie zadzwonił, przysłał natomiast drugą paczkę listów oraz kartek z kondolencjami. Ray przejrzał je nerwowo w poszukiwaniu anonimu, ale nic nie znalazł.

Nawet nie zauważył, kiedy minęła sesja egzaminacyjna i na kampusie zapanowała wakacyjna cisza. Pożegnał się ze studentami, z wyjątkiem Kaley, która zwierzyła mu się, że po odebraniu dyplomu zamierza zostać jeszcze na całe wakacje w Charlottesville. Jeszcze przed obroną podjęła kolejną próbę umówienia się z nim na randkę, licząc, że może tym razem jej się uda.

– Naprawdę musimy poczekać, aż przestaniesz być studentką – odparł stanowczo. Siedzieli w jego gabinecie, jak zwykle przy otwartych drzwiach.

– To już tylko parę dni.

– Tak, wiem o tym.

– Więc chyba możemy się już umówić?

– Wolałbym, abyś najpierw dostała dyplom.

Zanim wyszła, zmierzyła go wzrokiem, uśmiechając się tajemniczo. Wiedział, że ta dziewczyna może ściągnąć na niego kłopoty.

– Całkiem niezła – rzucił Carl Mirk, który zauważył, jak Ray, stojąc w drzwiach, odprowadza wzrokiem jej zgrabną pupę opiętą dzinsami.

Ray zmieszał się, ale tylko na chwilę.



– Nie daje mi spokoju – powiedział, nie odrywając oczu od dziewczyny.

– Nie tylko tobie. Bądź ostrożny. – Carl wręczył mu dziwnie wyglądającą kopertę. – Masz. Pomyślałem, że przyda ci się odrobina mocniejszych wrażeń.

– Co to jest?

– Zaproszenie na Bal Myszołowa.

– Na co? – zdziwił się Ray, wyciągając z koperty zaproszenie.

– Na pierwszy w historii i prawdopodobnie ostatni Bal Myszołowa, uroczystą galę dobroczynną urządzaną na rzecz ratowania dzikich ptaków Piedmontu. Spójrz, kto ją organizuje.

Ray powoli odczytał na głos:

– *Vicki i Lew Rodowski serdecznie zapraszają...* – zaczął czytać Ray.

– Jak widzisz, Likwidator poświęca się ratowaniu naszych ptaków. Prawda, że to poruszające?

– Pięć tysięcy dolarów od pary?!

– To chyba rekord w Charlottesville. Zaproszenie przyszło pocztą do dziekana. Widocznie znalazł się na liście ludzi, których na to stać, w przeciwieństwie do nas. Ale nawet żona dziekana była zaskoczona ceną.

– Niemożliwe! Suzie nic nie może zaskoczyć.

– A jednak. Organizatorzy spodziewają się dwustu par, chcą zebrać koło miliona, żeby pokazać wszystkim, jak to się robi. W każdym razie na to liczą. Ale zdaniem Suzie, będzie dobrze, jeśli zjawi się trzydziestu gości.

– Więc ona się nie wybiera?

– Nie. Jej mąż przyjął to z ogromną ulgą. Powiedział, że to pierwsza tego typu gala od dziesięciu lat, która ich ominie.

– No, no. Będą grać Driftersi – mruknął Ray, przebiegając wzrokiem tekst zaproszenia.

– Musieli wyłożyć na nich pięćdziesiąt kawałków.

– Idiota.

– Mówisz o tym błaznie z Wall Street, któremu się wydaje, że skoro ma nową żonę, kupił wielką stadninę koni i szasta

tysiącami, to od razu zostanie w Charlottesville grubą rybą.

– Po co mi to przyniosłeś? – spytał Ray. – Nie sądziłeś chyba, że wybiorę się na ten bal?

– Ty nie jesteś zaproszony. Ale możesz to sobie zostawić na pamiątkę.

Kiedy Carl odszedł, Ray wrócił do gabinetu, wciąż trzymając w ręce zaproszenie. Odchylił się w fotelu, zarzucił nogi na biurko, zamknął oczy i oddał się marzeniom. W wyobraźni ujrzał Kaley – w czarnej wieczorowej sukni z odkrytymi plecami, rozcięciami aż do bioder i głębokim dekoltem, olśniewająco piękną, o trzynaście lat młodszą od Vicki i o niebo zgrabniejszą – na środku parkietu razem z nim, całkiem niezłym tancerzem, kołyszącą się w rytm czarnych swingów Driftersów, podczas gdy wszyscy dokoła pytają się nawzajem szeptem: „Kto to jest?”.

A wtedy Vicki musiałaby wyciągnąć na parkiet swojego męża w designerskim smokingu, który i tak nie zdołałby zamaskować brzucha. I Lew, z resztkami siwych włosów za uszami, stary cap próbujący zyskać szacunek akcją na rzecz ratowania dzikich ptaków, połamany przez artretyzm i ociężały ja koparka, z dumą prezentowałby swą zdobyczną żonę w sukni wartej milion dolarów, która odsłania za dużo skóry i kości.

Ray i Kaley wyglądaliby znacznie lepiej i lepiej by tańczyli... Tylko niby czego miałyby to dowodzić?

Wymyślona scena przyniosła mu radość, ale odegnał ją od siebie. Miał teraz pod dostatkiem pieniędzy, lecz nie zamierzał ich marnotrawić na takie głupoty.

\* \* \*

Do Waszyngtonu jechało się tylko dwie godziny, większa część trasy prowadziła wśród malowniczych krajobrazów. On jednak wolał teraz podróżować inaczej. Razem z Fogiem wystartował bonanzą w czterdziestominutowy rejs na krajowe lotnisko Reagana, gdzie z ociąganiem uzyskali zgodę na lądowanie, choć ich lot został zawczasu wciągnięty do harmonogramu. Ray

wskoczył do taksówki i piętnaście minut później wysiadł przed gmachem Departamentu Skarbu przy Pennsylvania Avenue.

Szwagier jego kolegi ze studiów miał tu jakieś dojscia. Wystarczyło kilka krótkich rozmów telefonicznych, by Oliver Talbert zgodził się przyjąć Raya w swoim eleganckim gabinecie w Biurze Papierów Wartościowych. Wiedział tylko tyle, że doktor Atlee zbiera materiały do jakiejś bliżej nieokreślonej pracy naukowej i chce zadać mu kilka fachowych pytań, i że nie zajmie to więcej niż godzinę.

Zaczęli od ogólnych zagadnień fałszowania pieniędzy i Talbert poskarżył się na coraz większe problemy z rozpoznawaniem podróbek, co wiązało się głównie z coraz wyższą jakością drukarek atramentowych i komputerów. Zademonstrował kilka próbek najlepszych fałszywek. Pod szkłem powiększającym wskazywał usterki, takie jak brak szczegółów na czole prezydenta Franklina albo cienkich włosowatych linii we wzorzystym tle czy rozmycia brzegów cyfr w numerze seryjnym.

– Ale te i tak są bardzo dobre – dodał. – I, niestety, co roku stają się coraz lepsze.

– Jak je państwo zdobyli? – zapytał Ray, siląc się na obojętny ton.

Talbert zerknął na etykietkę dołączoną do fałszywki w albumie.

– Ten pochodzi z Meksyku.

Chcąc przechytrzyć fałszerzy, Departament Skarbu wciąż prowadził intensywne prace w celu unowocześniania technologii druku banknotów, wprowadzał nadruki z efektem holograficznym, ulepszał znaki wodne, stosował pigmenty o zmiennej barwie, dodawał mikroskopijne linie w tle, powiększał centralne podobizny prezydentów, wreszcie konstruował skanery zdolne do wykrycia nieściłości druku w ułamku sekundy. Jednakże najprostsza metoda wyeliminowania z rynku fałszywych pieniędzy, czyli znacząca zmiana kolorów druku, dotychczas nie została zastosowana. A wystarczyłoby zmieniać zielone banknoty na niebieskie,

a potem na żółte bądź różowe. Wycofywać te stare i zastępować je nowymi, tak by fałszerze za tym nie nadążali. Taki w każdym razie miał pomysł Talbert.

– Tylko że Kongres nigdy się na to nie zgodzi – przyznał, kręcąc głową.

W końcu doszli do zagadnienia, które Raya interesowało najbardziej, czyli sposobów śledzenia znakowanych pieniędzy. Talbert wyjaśnił, że na banknotach nie robi się żadnych znaków, bo łatwo byłoby je wykryć i pułapka nie spełniłaby swojej roli. To, co się potocznie nazywa znakowaniem, polega w gruncie rzeczy na spisywaniu numerów seryjnych. Kiedyś, gdy robiono to ręcznie, było to żmudną pracą. Talbert opowiedział o konkretnym okupie, kiedy pieniądze dostarczono na kilka minut przed upływem terminu wyznaczonego przez kidnaperów. Dwudziestu kilku agentów FBI do ostatniej chwili spisywało numery seryjne studolarówek.

– A okup wynosił milion dolarów – dorzucił. – Po prostu nie było czasu. Zdążyli spisać numery około osiemdziesięciu tysięcy banknotów, ale to wystarczyło. Miesiąc później udało się schwycić porywaczy z tą forszą i szybko zamknąć sprawę.

Nowe typy skanerów znacznie ułatwiały pracę, ponieważ skanowały po dziesięć banknotów naraz – sto banknotów w ciągu czterdziestu sekund.

– Rozumiem – odezwał się Ray, dla zachowania pozorów zapisując kilka zdań w notatniku. – Jakimi sposobami śledzicie drogi znaczonych pieniędzy, których numery seryjne zostały spisane?

– Są dwie metody. Pierwsza polega na tym, że kiedy złapie się kogoś z podejrzaną gotówką, aresztuje się go i wyciąga od niego, co się da. W ten sposób DEA i FBI przyskrzyniają handlarzy narkotyków. Dogadują się z ulicznym dealerem, dają mu za kokę, dajmy na to, dwadzieścia tysięcy w znaczonych banknotach, po to, żeby potem przyskrzynić z nimi jego dostawcę.

– A jeśli takie banknoty nie wypłyną nigdzie na rynku? – Ray wciąż myślał o pieniądzach ojca.

– Wtedy stosuje się drugą metodę, znacznie trudniejszą. Pieniądze wycofywane z obiegu są rutynowo sprawdzane wybiórczo w Banku Rezerw Federalnych. Po wykryciu znaczonych banknotów łatwo jest stwierdzić, z którego banku je przysłano. Oczywiście, wtedy jest już za późno na schwytanie przestępcy, zna się jednak lokalizację, a istnieje spore prawdopodobieństwo, że człowiek mający znaczone pieniądze za jakiś czas znowu się nimi posłuży. Tą metodą udało się już schwycić paru oszustów.

– To trochę strzelanie w ciemno – zauważył Ray.

– Owszem – przyznał Talbert.

– Kilka lat temu czytałem o grupie myśliwych, którzy natknęli się w lasach na rozbitą awionetkę. Na pokładzie znaleźli sporo forsy... jeśli dobrze pamiętam, koło miliona dolarów. Doszli do wniosku, że to forsa z narkotyków, więc bez skrupułów rozdzielili ją między siebie. Ich podejrzenia potwierdziły się: pieniądze były znaczone i wkrótce w ich miasteczku zjawili się agenci federalni.

– Coś sobie przypominam – mruknął Talbert.

Nieźle mi idzie, pomyślał Ray.

– W związku z tym mam następujące pytanie – ciągnął. – Czy zwykli obywatele, jak ci myśliwi, mogą się zgłosić do FBI, DEA bądź Departamentu Skarbu z podejrzanymi pieniędzmi i poprosić o sprawdzenie, czy nie są znaczone, a jeśli są, to skąd pochodzą?

Talbert z niewyraźną miną podrapał się kościstym palcem po brodzie, po czym wzruszył ramionami.

– Nie widzę specjalnych przeszkód – odparł. – Tyle tylko, że ryzykują utratę tych pieniędzy, jeśli coś z nimi jest nie tak.

– Nie sądzę, żeby coś takiego zdarzało się często.

Obaj zaśmiali się krótko.

Talbert opowiedział mu też historię pewnego sędziego z Chicago, który brał od adwokatów łapówki, niezbyt duże, po pięćset, tysiąc dolarów, żeby sprawa szybciej znalazła się na wokandzie albo zapadł korzystny dla nich werdykt. Robił to

przez wiele lat, nim zainteresowało się nim FBI. Kilku adwokatów uległo naciskom agentów i zgodziło się wręczyć łapówki znaczoneymi banknotami. W czasie trwającej dwa lata operacji przez lepkie palce sędziego przeszło w sumie trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ale gdy zorganizowano nalot, nic nie znaleziono. Ktoś ostrzegł sędziego. Dopiero intensywne śledztwo doprowadziło do odnalezienia pieniędzy ukrytych w garażu brata sędziego w Arizonie i obaj wylądowali w więzieniu.

Ray skrzywił się mimo woli. Nie umiał ocenić, czy Talbert zacytował tę opowieść przypadkiem, czy też chciał mu dać coś do zrozumienia. Szybko jednak rozluźnił się, gdy uświadomił sobie, że rozmówca nie ma pojęcia, kim był jego ojciec.

Jadąc taksówką na lotnisko, dokonał w notatniku prostego obliczenia. Wspomnianemu sędziemu, biorącemu średnio sto siedemdziesiąt pięć tysięcy rocznie łapówek, zgromadzenie trzech milionów dolarów zajęłoby prawie osiemnaście lat. A pracował w Chicago, gdzie odbywało się znacznie więcej procesów i na sumy wielokrotnie większe niż w północnym Missisipi. W Chicago machina sprawiedliwości stanowiła istny przemysł i w trybach takiego molocho można liczyć na to, że nikt nie będzie podejrzewał, że za jakimś orzeczeniem kryła się łapówka. W świecie sędziego Atlee wszystko było w rękach tylko garstki osób, które musiałyby wiedzieć o łapówkach. Trzy miliony dolarów nie mogły pochodzić z XXV okręgu sądowego po prostu dlatego, że tyle pieniędzy nigdy tam nie krążyło.

Ray uznał, że musi jeszcze raz wybrać się do Atlantic City. Zamierzał przepuścić więcej gotówki przez system kontrolny w kasynach. Miał to być ostatni test, pozwalający mu zyskać niezbity pewność, że pieniądze Sędziego nie są znaczone.

Wiedział też, że perspektywa drugiej wycieczki bardzo ucieszy Foga.

## Rozdział 20

---

**K**iedy Vicki uciekła od niego i przeprowadziła się do Likwidatora, jeden z przyjaciół wykładowców polecił Rayowi specjalistę od rozwodów, Axela Sullivana, który okazał się doskonałym adwokatem, ale nie bardzo miał się czym wykazać. Vicki nie zamierzała wracać do męża, ale też i nic od niego nie chciała. Sullivan załatwił wszystkie formalne sprawy, polecił Rayowi psychoterapeutę i najlepszego prywatnego detektywa w mieście – Coreya Crawforda, czarnoskórego byłego gliniarza zwolnionego ze służby za agresywne zachowanie.

Crawford miał biuro na piętrze, nad barem prowadzonym przez jego brata niedaleko kampusu. Lokal był przyjemny, z okien roztaczał się widok na ulicę, serwowano niezłe jedzenie, a w weekendy była muzyka na żywo; przyciągał raczej spokojną klientelę poza bookmacherem, który przyjmował zakłady od studentów. Od ulicy nie było żadnej tabliczki, tylko przy bocznym wejściu do budynku strzałka z wyblakłym napisem CRAWFORD. PRYWATNY DETEKTYW kierowała w stronę schodów.

Nie zatrudniał sekretarki, w każdym razie w biurze nie było nikogo prócz niego. Ray, który wcześniej umówił się telefonicznie, przyszedł dziesięć minut przed czasem, ale Crawford już czekał. Miał około czterdziestki, wygoloną głowę i dość przyjemne rysy twarzy, których jednak nie rozjaśniał uśmiech. Wysoki i szczupły, był w drogim, dobrze skrojonym garniturze. Z czarnej skórzanej kabury na biodrze wystawała rękojeść dużego pistoletu.

– Mam wrażenie, że ktoś mnie śledzi – powiedział na początek Ray.

– Znowu się pan rozwodzi?

Siedzieli naprzeciwko siebie przy niewielkim biurku w ciasnym pokoiku z oknem wychodzącym na ulicę.

– Nie.

– Ma pan pomysł, kto mógłby pana śledzić?

Ray opowiedział wymyśloną historyjkę o kłopotach jego rodziny z Missisipi, zmarłym ojcu, zapisach w testamencie i gromadzie chciwych krewnych; detektyw przyjął ją z wyraźnym powątpiewaniem. Zanim jednak przystąpił do zadawania pytań, Ray opowiedział też o wizycie Dolpha na lotnisku i go pobieżnie opisał.

– To mógł być Rusty Wattle – odezwał się Crawford.

– Kto to jest?

– Prywatny detektyw z Richmond, raczej kiepski. Prowadzi różne sprawy w tym rejonie, a sądząc z tego, co mówi pan o swojej rodzinie, krewni woleliby chyba nająć kogoś spoza Charlottesville. To w końcu małe miasto.

Ray utrwalił sobie w pamięci nazwisko Rusty'ego Wattle'a.

– Nie sądzi pan, że pańskim wrogom z Missisipi zależy na tym, aby się pan dowiedział, że jest śledzony? – zapytał Crawford.

Ray zrobił zdziwioną minę.

– Niekiedy zleca się nam działania mające na celu zastraszenie delikwenta – wyjaśnił detektyw. – Wygląda na to, że Wattle, czy ktokolwiek to był, zaczął wypytywać pańskich znajomych z lotniska właśnie po to, by przedstawili panu jego dokładny opis. Celowo zostawił za sobą wyraźny trop.

– To niewykluczone.

– Więc czego się pan po mnie spodziewa?

– Ustalenia, czy jestem śledzony, a jeśli tak, to dowiedzenia się, kto mnie śledzi i kto jest zleceniodawcą.

– Pierwsze dwa zadania powinny być łatwe, ale trzecie jest raczej niewykonalne.

– Proszę jednak spróbować.



Crawford otworzył leżącą przed nim kartonową teczkę.

– Biorę sto dolarów za godzinę – oznajmił, patrząc Rayowi prosto w oczy, jakby spodziewał się protestów. – Plus zwrot wszystkich wydatków. I chcę dwa tysiące dolarów zaliczki.

– Chciałbym zapłacić gotówką. – Ray wytrzymał jego spojrzenie. – Odpowiada to panu?

Detektyw po raz pierwszy się uśmiechnął.

– W moim zawodzie gotówka jest bardzo pożądana. – Pośpiesznie zaczął wypełniać formularz.

– Czy to możliwe, żeby założono mi podsłuch telefoniczny? – spytał Ray.

– Sprawdzimy i to. Proszę kupić nowy telefon komórkowy i zarejestrować go na inne nazwisko. Będzie nam służył do kontaktowania się.

– Powinienem był to przewidzieć – mruknął Ray, przejrzał pobieżnie warunki umowy i podpisał.

Crawford włożył ją do teczki i przysunął sobie notatnik.

– Przez pierwszy tydzień będziemy koordynować pańskie ruchy. Dokładnie wszystko zaplanujemy. Proszę zachowywać się tak jak zwykle, ale zawczasu powiadamiać moich ludzi, żeby zawsze byli na miejscu.

Będę ciągnął za sobą długi ogon? – pomyślał Ray.

– Prowadzę monotony tryb życia – odparł. – Rano uprawiam jogging, potem jeżdżę do pracy, czasami wybieram się na wycieczki samolotem, potem wracam do domu. Mieszkam sam, nie mam rodziny.

– Odwiedza pan jakieś inne miejsca?

– Owszem. Czasami wychodzę z kimś na lunch albo kolację. Śniadań nie jadam na mieście.

– Trzeba będzie uważać, żeby nie zasnąć podczas obserwacji – zauważył kwaśno Crawford. – Jakież kobiety?

– Tylko w marzeniach. Rysuje mi się perspektywa romansu, ale to raczej nic poważnego. Gdybyście namierzyli jakąś atrakcyjną dziewczynę, proszę jej dać mój numer.

– O co konkretnie chodzi pańskim wrogiem z Missisipi?

– Należę do starej rodziny, więc w grę wchodzi wiele rodzinnych skarbów, biżuteria, bibliofilskie białe kruki, kryształy i srebra.

Ray powiedział to całkiem obojętnym tonem, więc chyba mu uwierzył.

– Mamy przynajmniej jakiś punkt zaczepienia. I wszystkie te rodzinne dobra znajdują się pod pańską pieczęcią?

– Owszem.

– Są tutaj, w Charlottesville?

– Tak, w Składzie Chaneya przy Berkshire Road.

– Jaka jest ich łączna wartość?

– Znacznie mniejsza, niż podejrzewają moi krewni.

– To znaczy?

– Mniej więcej pół miliona, może trochę więcej.

– I te rzeczy należą do pana zgodnie z prawem?

– Powiedzmy, że odpowiedź brzmi: tak. Musiałbym panu opowiedzieć całą długą historię mojej rodziny, co zajęłoby pół dnia i przyprawiło nas obu o ból głowy.

– Wierzę.

Crawford zapisał ostatnią notatkę i wyprostował się na krześle.

– Kiedy kupi pan telefon komórkowy?

– Jak tylko stąd wyjdę.

– Doskonale. A kiedy będziemy mogli sprawdzić pańskie mieszkanie?

– W każdej chwili.

Trzy godziny później Crawford ze swoim pomocnikiem, którego nazywał Bootym, skończył poszukiwanie pluskiew. Telefon Raya był czysty: nie znaleźli w nim podsłuchu. W systemie wentylacyjnym nie zainstalowano miniaturowych kamer. Na zagraconym poddaszu nie natknęli się na urządzenie służące do wzmacniania i przesyłania dźwięku bądź obrazu.

– Jest pan czysty – oznajmił detektyw, zbierając swój sprzęt.

Ray jednak wcale nie czuł się czysty, gdy siedział na balkonie. Musiał całkowicie odsłonić swoje życie prywatne przed obcymi

ludźmi i choć sam ich wynajął za ciężkie pieniądze, miał wrażenie, że się przed nimi obnażył.

Zadzwoił telefon.

\* \* \*

Sądząc po silnym, dźwięcznym głosie Forresta mówiącego to swoje „Cześć, braciszku”, był trzeźwy. Ray starał się wyczuć, w jakiej brat jest formie; od lat robił to niemal instynktownie, odbierając telefony o najróżniejszych porach z najrozmaitszych miejsc, których brat najczęściej potem wcale nie pamiętał. Forrest zapewnił go, że czuje się świetnie, co u niego oznaczało, że nie pił ani nie ćpał. Nie powiedział tylko, jak długo, a Ray wolał go o to nie pytać.

Nim którykolwiek z nich zdążył nawiązać do śmierci ojca, testamentu, Harry’ego Rexa, czy domu w Clanton, Forrest zawołał do słuchawki:

– Znalazłem żyłę złota!

– Jaką? – zapytał Ray, siadając w fotelu. Wyczuwał podniecenie w głosie brata, a miał pod dostatkiem czasu, żeby go wysłuchać.

– Słyszałeś kiedyś o benalatofiksie?

– Nie.

– Do niedawna ja też nie. Powszechnie nazywa się go Chudym Benem. Kojarzysz tę nazwę?

– Przykro mi, ale nie.

– To lek odchudzający, produkowany przez firmę Luray Products z Kalifornii, dużą firmę, o której również dowiedziałem się dopiero teraz. Przez pięć ostatnich lat lekarze masowo przepisywali ten środek ze względu na jego skuteczność. Nie dokonuje cudów i szczupłe laski, które chcą być jeszcze chudsze, nie pozbywają się dzięki niemu błyskawicznie pięciu kilogramów, ale w przypadku poważnej nadwagi, w połączeniu z odpowiednią dietą i ćwiczeniami fizycznymi, przynosi wyraźne efekty. Rozumiesz?

– Słucham uważnie.

– Problem polega na tym, że po rocznej lub dłuższej kuracji kobietom zaczynają puszczać zastawki w sercu. Dziesiątki tysięcy pacjentek wylądowały w szpitalu, a Luray zostało zasypane lawiną pozwów sądowych, głównie z Kalifornii i Florydy. Osiem miesięcy temu do akcji wkroczyła Inspekcja Żywności i Leków, a miesiąc temu firma wycofała Chudego Bena z rynku.

– I gdzie jest ta złota żyła dla ciebie, Forrest?

– Pełnię teraz funkcję pomocnika medycznego.

– To znaczy? Czym konkretnie się zajmujesz?

– Dzięki, że zapytałeś. Na przykład dzisiaj byłem w apartamencie hotelowym w Dyersburgu w Tennessee, żeby pomóc schorowanym zapasionym biedaczkom wejść na bieżnię, by opłacony przez moich pracodawców lekarz zbadał im wydolność serca. Zgadnij, co się stanie, jeśli wyniki wypadną kiepsko.

– Zyskacie nową klientkę.

– Właśnie tak. Do dzisiaj zdobyłem już czterdzieści podpisów na umowach.

– Z jakim roszczeniem występują adwokaci? – spytał Ray.

– Dziesięć tysięcy od osoby. Ci, z którymi współpracuję, mają już osiemset takich spraw. To oznacza w sumie osiem milionów, z których prawnicy zgarną połowę, a biedne kobiety znów zostaną wykiwane. Witaj w świecie zbiorowych pozwów.

– A ile ty będziesz z tego miał?

– Oprócz pensji? Premię za każdego zdobytego klienta plus jakieś honorarium z końcowego zysku. Według szacunków, łącznie może być nawet do pół miliona spraw.

– To by było w sumie pięć miliardów dolarów – policzył Ray.

– Luray wart jest osiem miliardów. Wszyscy adwokaci w całym kraju ostrzą sobie zęby na tę spółkę.

– A z etycznego punktu widzenia... uważasz, że to jest w porządku?

– Zapomnij o etyce, braciszku. Żyjesz w baśniowej krainie. Etyka jest ważna tylko dla takich jak ty, tłumaczących jej zasady

studentom, którzy nigdy nie będą ich stosować w życiu. Przykro mi, że to właśnie ja muszę cię brutalnie sprowadzać na ziemię.

– Nie pierwszy mi to mówisz.

– Tak czy inaczej, nie zamierzam odstąpić od tej żyły złota.

Przyszło mi do głowy, że powinieneś o tym wiedzieć.

– Bardzo się cieszę.

– Nie znasz przypadkiem nikogo, kto by jeszcze łykał Chudego Bena?

– Niestety, nie.

– Na wszelki wypadek miej oczy i uszy otwarte. Adwokaci naprawdę dolewają oliwy do ognia, jak kraj długi i szeroki. Słyszałem, że tak to właśnie działa: im więcej powodów zbierze się w jednym procesie, tym większe odszkodowanie można wytargować w ramach ugody.

– Rozpuszczę wici – obiecał Ray.

– Do usłyszenia, braciszku.

– Trzymaj się, Forrest.

\* \* \*

Drugi telefon odebrał krótko po wpół do trzeciej nad ranem. Jak zawsze o tej porze odniósł wrażenie, że dzwonek natrętnie terkocze bez końca, zarówno w jego śnie, jak i na jawie. Zdołał w końcu zapalić lampkę i podnieść słuchawkę.

– Tu Harry Rex. Przepraszam, że dzwonię o tej godzinie.

– Co się stało? – zapytał Ray, tknięty złym przeczuciem.

– Znów Forrest. Przez ostatnią godzinę rozmawiałem z nim i pielęgniarką ze szpitala baptystów w Memphis. Leży tam ze złamanym nosem.

– Jak to się stało?

– Poszedł do baru, spił się i wdał w bójkę. Wygląda na to, że zaczepił niewłaściwego faceta. Musieli mu założyć kilka szwów. Zostanie w szpitalu na obserwacji do rana. Musiałem ich zapewnić, że rachunek będzie uregulowany. Poprosiłem też,

żeby uważali z podawaniem mu środków przeciwbólowych i narkotyków, bo przecież mogą nie wiedzieć, że jest ćpunem.

– Przykro mi, że zostałeś w to wciągnięty.

– Już to przechodziłem, nic wielkiego. Ale Forrest wpadł w szal. Znow zaczął głądzić o spadku i o tym, że na pewno będziesz próbował go oszukać. Na okrągło powtarzał te głupoty. Zdaję sobie sprawę, że gadał to po pijanemu, ale mnie wkurzył.

– Rozmawiałem z nim wieczorem. Brzmiał, jakby był trzeźwy.

– Najwyraźniej dopiero wybierał się do baru. Musieli go w końcu spacyfikować środkami uspokajającymi, bo inaczej nie udałoby im się nastawić mu nosa. Ale to jego picie i ćpanie martwi mnie coraz bardziej.

– Jeszcze raz przepraszam za niego – mruknął Ray, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. Na krótko zapadła cisza, miał więc okazję zebrać myśli. – Parę godzin temu wszystko wydawało się w porządku, był trzeźwy i czysty, mówił do rzeczy.

– To on do ciebie zadzwonił?

– Tak. Był podekscytowany nową pracą.

– Związaną z Chudym Benem?

– Owszem. Myślisz, że on naprawdę się tym zajmuje?

– Bardzo możliwe. Mnóstwo adwokatów tropi ewentualne ofiary, szykuje się istna krucjata. Wynajmują takich ludzi jak Forrest, żeby zdobywali im klientów.

– Powinno się ich wykluczyć z palestry.

– Co drugiego z nas już dawno powinno to spotkać. W każdym razie sądzę, że będziesz musiał przyjechać do Clanton. Im szybciej wystąpimy o zatwierdzenie testamentu, tym wcześniej uspokoimy Forresta. Wkurzają mnie te jego oskarżenia.

– Masz już wyznaczony termin?

– Może być przyszła środa. Ale obawiam się, że będziesz musiał zostać na kilka dni.

– Liczyłem się z tym. Przygotuj wszystko, na pewno przyjadę.

– Jutro lub pojutrze zawiadomię Forresta, jeśli złapię go trzeźwego.

– Dzięki.

Raya wcale nie zdziwiło, że nie mógł już zasnąć. Zaczął czytać jakąś biografię, kiedy zadzwonił telefon, tym razem komórka. Widocznie ktoś musiał źle wybrać numer.

Odebrał z ociąganiem.

– Słucham – rzucił cicho.

– Dlaczego pan nie śpi? – zapytał gardłowym głosem Corey Crawford.

– Bo ciągle budzi mnie telefon. Gdzie pan jest?

– Niedaleko. Wszystko w porządku?

– Tak. Jeszcze nie ma czwartej nad ranem. Czy wy, detektywi, nigdy nie sypiacie?

– Często ucinamy sobie drzemki. Na pańskim miejscu zgasiłbym światło.

– Dzięki. Czy ktoś jeszcze obserwuje moje okno?

– Na razie nie.

– To dobrze.

– Chciałem tylko sprawdzić, czy nic się nie stało.

Ray zgasił światło w saloniku, wrócił do sypialni i zaczął czytać dalej przy słabym blasku lampki nocnej. Jeszcze trudniej było mu zasnąć ze świadomością, że wydaje po sto dolarów za godzinę także w ciągu nocy.

To jednak bardzo rozsądna inwestycja, tłumaczył sobie.

Punktualnie o piątej wyslizgnął się z łóżka i po ciemku zaparzył kawę, jakby nie życzył sobie, by ktokolwiek o tym wiedział. Zasiadłszy nad pierwszą filiżanką, po namyśle zadzwonił do Crawforda. Detektyw odezwał się zachrypniętym głosem, co wcale Raya nie zdziwiło.

– Przygotowałem świeżą kawę. Nie napiłby się pan? – spytał.

– Nie najlepszy pomysł, ale dziękuję, że pan o mnie pomyślał.

– Przypomniałem sobie, że dziś po południu lecę do Atlantic City. Ma pan pod ręką coś do pisania?

– Tak. Słucham.

– Startuję o piętnastej z tutejszego lotniska białą beech bonaną o numerze rejestracyjnym osiem-jeden-pięć-Romeo, w towarzystwie instruktora pilotażu Foga Newtona. Zamierzamy

spędzić wieczór i noc w kasynie Canyon i wrócić jutro koło południa. Zostawię samochód na parkingu przy lotnisku, jak zwykle zamknięty. Coś jeszcze?

– Chce pan, żeby ktoś z nas był w Atlantic City?

– To nie jest konieczne. Nie będę siedział w jednym miejscu i postaram się mieć oczy otwarte.



## Rozdział 21

---

**K**onsorcjum powołał do życia jeden z kolegów Dicka Dockera, który wciągnął do spółki dwóch miejscowych okulistów. Obaj mieli własne kliniki w Wirginii Zachodniej, niedawno uzyskali licencje pilotów i obu zależało na tym, by maksymalnie ograniczyć czas podróży. Kumpel Dockera był konsultantem do spraw funduszy emerytalnych i potrzebował bonanzy na jeden dzień w miesiącu. Do zmniejszenia własnego wkładu potrzebny im był czwarty wspólnik. Każdy z nich miał wyłożyć pięćdziesiąt tysięcy od ręki i wziąć kredyt bankowy na pozostałą część ceny, którą właściciel po krótkich pertraktacjach obniżył do trzystu dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów. Było mało prawdopodobne, żeby udało się wytargować jeszcze więcej. Wiązany kredyt mieli spłacać przez sześć lat w miesięcznych ratach wynoszących po osiemset dziewięćdziesiąt dolarów na głowę.

Ray płacił tyle za jedenaście godzin latania cessną.

Do tego inwestycję można było odpisać od podatku, a także czarterować ją w czasie, gdy nie będzie z niej korzystał żaden z właścicieli. Po stronie minusów znajdowały się opłaty za miejsce w hangarze i obsługę naziemną, koszty paliwa, naprawy i konserwację oraz mnóstwo innych wydatków. Kumpel Dicka Dockera nie powiedział tego na głos, lecz minusem było również wejście w spółkę z trzema nieznanymi, z których dwaj byli lekarzami.

Ray miał jednak pięćdziesiąt tysięcy w gotówce i było go stać na miesięczne raty w wysokości osiemset dziewięćdziesięciu dolarów, a przede wszystkim bardzo pragnął być

współwłaścicielem tego samolotu; w skrytości ducha uważał, że już nim jest.

Zgodnie z dość przekonującym raportem, dołączonym do propozycji utworzenia konsorcjum, bonanzy mocno trzymały się w cenie. Na rynku używanych maszyn panował na nie duży popyt. Pod względem bezpieczeństwa niewiele ustępowały cessnom, zajmując drugie miejsce w rankingu. Ray przez dwa dni nie rozstawał się z dokumentami, zaglądał do nich i w gabinecie na uczelni, i w mieszkaniu, i podczas lunchu. Trzej pozostali wspólnicy już zaakceptowali warunki umowy. Wystarczyło ją tylko podpisać, by wejść w posiadanie samolotu.

Na dzień przed wyjazdem do Missisipi po raz ostatni przejrzał papiery, pomyślał, a co tam, i podpisał umowę.

\* \* \*

Jeśli rzeczywiście ktoś go śledził, musiał się perfekcyjnie maskować. Po sześciu dniach ścisłej obserwacji Corey Crawford oświadczył, że nikt się Rayem specjalnie nie interesuje. Ray zapłacił mu trzy tysiące osiemset dolarów gotówką i obiecał skontaktować się, gdyby znów nabrał podejrzeń.

Pod pozorem dowożenia kolejnych partii rupieci codziennie odwiedzał Skład Chaneya i sprawdzał swój skarb, dowożąc w pudłach wszystko, co znajdował w domu, a bez czego mógł się obyć. Oba boksy, zarówno 14B, jak i 37F, stopniowo nabierały charakteru graciarni.

W przeddzień wyjazdu z miasta zajrzał do biura i zapytał panią Chaney, czy przypadkiem nie zwolnił się boks 18R. Owszem, stał pusty od dwóch dni.

- Chciałbym go wynająć.
- To będzie już trzeci.
- Potrzebna mi większa powierzchnia.
- Więc proponuję któryś z większych boksów.
- Może później, na razie starczą mi trzy małe.

Jej nie robiło to większej różnicy. Wynajęła 18R na firmę Newton Aviation i zainkasowała w gotówce opłatę za pół roku z góry. Kiedy Ray zyskał pewność, że nikt go nie obserwuje, przeniósł pieniądze z boksu 37F do 18R, gdzie wcześniej rozstawił nowe pojemniki z winylu krytego aluminium, ognioodporne, zdolne wytrzymać temperaturę stu pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Ponadto były wodoszczelne i wyposażone w solidne zamki. Na wszelki wypadek zarzucił pojemniki starymi ciuchami i kocami, żeby nie budziły niczyich podejrzeń. Sam nie umiał ocenić, komu chce zaimponować tą kolejną zmianą, niemniej czuł się znacznie lepiej, zamknąwszy pieniądze w nowym boksie.

Większość jego poczynań w ostatnim okresie była przeznaczona na użytek osób trzecich. Inną drogą chodził do pracy i wracał do domu, wyznaczył sobie nową trasę joggingu, zaczął jadać w innym barze lunchy i odwiedzać inną księgarnię. I bez przerwy sprawdzał, czy nikt go nie śledzi: zerkał w lusterko wsteczne podczas jazdy; na ulicy albo w trakcie biegu oglądał się przez ramię; przeglądając książki, obserwował między regałami wejście do księgarni. Nic nie zauważył, ale czuł, że ktoś go obserwuje.

Przed wyjazdem na Południe zdecydował się umówić z Kaley. Wprawdzie nie dostała jeszcze dyplomu, lecz zdała już egzaminy, więc ta drobna formalność nie stanowiła większej przeszkody, a ponieważ chciała zostać w Charlottesville do jesieni, postanowił to wykorzystać. Ale zamierzał zrobić to ostrożnie – tak samo, jak to robił wcześniej z innymi kobietami. A w tej dostrzegł potencjał.

Niestety, pierwszy telefon do niej okazał się katastrofą. W słuchawce rozległ się męski głos, głos młodego mężczyzny, w dodatku rozzłoszczonego, że mu się przeszkadza. Kiedy przekazał słuchawkę Kaley, która nie sprawiała wrażenia zachwyconej, Ray zaproponował, że zadzwoni kiedy indziej, ale odparła stanowczo, że to ona do niego zadzwoni.

Odczekał trzy dni i wykreślił ją z pamięci. Ku własnemu zaskoczeniu przyszło mu to z taką łatwością, jakby zrywał kartkę z kalendarza.

Wyjeżdżając z Charlottesville, nie zostawiał za sobą żadnych niezalążonych spraw. Z Fogiem na fotelu drugiego pilota bonanzy po czterech godzinach wylądował w Memphis, tam wypożyczył samochód i ruszył na poszukiwanie Forresta.

\* \* \*

Pierwszą i jedyną dotąd wizytę w domu Ellie Crum Ray złożył z tych samych powodów co teraz. Forrest wpadł w swój kolejny dołek i zniknął na długo, więc Ray z ojcem zaczęli się martwić, czy nie leży gdzieś martwy albo nie siedzi za kratkami. Sędzia wtedy jeszcze pracował i życie toczyło się normalnie, normalne zresztą były również poszukiwania Forresta. Ojciec oczywiście miał zbyt dużo pracy, żeby poświęcać czas na szukanie młodszego syna, i jak zwykle spadło to na Raya.

Ellie mieszkała na przedmieściu Memphis, w starym wiktoriańskim domu, odziedziczonym po ojcu, który kiedyś nieźle prosperował, ale nic więcej córce nie pozostawił. Forresta skusiły wzmianki o funduszu powierniczym i prawdziwej rodzinnej fortunie, ale po piętnastu latach z Ellie porzucił wszelką nadzieję. Tylko przez krótki okres na początku dzielił z nią sypialnię, potem musiał się przenieść do pokoiku w suterenie. Przez dom podobno przewijały się inne osoby – obiecujący artyści, którzy chwilowo potrzebowali pomocy.

Ray zaparkował na ulicy przy krawężniku. Krzewy przed domem domagały się przycięcia, dach zapadł się w kilku miejscach, ale poza tym dom starzał się z godnością. Forrest malował go raz do roku w październiku, we wściekłe kolory, co do których spierał się z właścicielką przez cały rok. Teraz był jasnoniebieski z czerwonymi i pomarańczowymi obramowaniami. Forrest opowiadał, że kiedyś pomalował go ciemnoturkusową farbą.

Drzwi otworzyła młoda kobieta o bardzo bladej cerze i czarnych włosach.

– Tak? – rzuciła mało uprzejmie.

Ray zerknął ponad jej ramieniem przez siatkowe drzwi w głąb tonącego w półmroku, ponurego holu.

– Czy zastałem Ellie? – zapytał, siląc się na uprzejmy ton.

– Jest zajęta. Kim jesteś?

– Nazywam się Ray Atlee. Jestem bratem Forresta.

– Kogo?

– Forresta. Tego, który mieszka w suterenie.

– Ach, tego.

Zniknęła i po chwili z głębi domu doleciała krótka wymiana zdań.

Ellie miała na sobie białe prześcieradło z wycięciami na głowę i ręce, gęsto pokryte plamami i zaciekami od wody i gliny. Wycierała właśnie dłonie w brudną kuchenną ścierkę i była wyraźnie rozwścieczona, że oderwano ją od pracy.

– Cześć, Ray – rzuciła, otwierając mu drzwi, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– Witaj, Ellie.

Przeszedł za nią przez hol do saloniku.

– Trudy, mogłabyś nam przynieść herbaty?! – zawołała.

Trudy, gdziekolwiek się podziewała, nie raczyła odpowiedzieć. Na ścianach pokoju wisiała olbrzymia kolekcja najdziwniejszych dzbanków i wazonów, jakie Ray miał okazję oglądać. Jeśli wierzyć Forrestowi, Ellie babrała się w glinie po dziesięć godzin dziennie i nigdy nie miała dość.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – powiedziała.

Usiedli naprzeciwko siebie przy małym okrągłym stoliku o szklanym blacie, spoczywającym nieco ukośnie na trzech nogach o fallicznych kształtach, różniących się rozmiarami i kolorem. Ray bał się go dotknąć.

– Dzięki – mruknął.

Nie zdobyła się na kwiaty ani wyrazy współczucia, czy to przez telefon, czy na kartce pocztowej, i jakby dopiero to

niespodziewane spotkanie przypomniało jej o przykrym obowiązku. Gdzieś z głębi domu doleciały dźwięki arii operowej.

– Domyślam się, że szukasz Forresta.

– Owszem.

– Nie widziałam go ostatnio. Jak wiesz, mieszka w suterenie... wchodzi i wychodzi, kiedy mu się żywnie podoba. Nie dalej jak dziś rano wysłałam na dół dziewczynę, żeby się rozejrzała. Mówiła, że wszystko wygląda tak, jakby nie było go od tygodnia. Łóżka nie słał co najmniej od pięciu lat.

– To mi wystarczy.

– I ani razu nie zadzwonił.

Trudy przyniosła na tacy herbatę wraz z kolejnymi odrażającymi dziełami z gliny. Filiżanki przypominały małe miseczki z byle jak doklejonymi wielkimi uchwytami.

– Ze śmietanką i cukrem? – zapytała Ellie, sięgając po dzbanek.

– Tylko z cukrem.

Podawała mu filiżankę, którą ostrożnie wziął oburącz. Gdyby ją upuścił, zmiażdżyłaby mu palce u nóg.

– Jak mu idzie? – zapytał, kiedy Trudy odeszła.

– Raz jest trzeźwy, raz nawalony, jak to Forrest.

– Bierze prochy?

– Nie interesuje mnie to. Pewnie sam wolałbyś nie wiedzieć.

– Masz rację. – Z ociąganiem pociągnął łyżek lury o brzoskwiniowym zapachu. Ten jeden łyżek w zupełności mu wystarczył. – Parę dni temu wdał się w jakąś bójkę. Wiesz coś na ten temat? Podobno ma złamany nos.

– Nie pierwszy raz. Dlaczego mężczyźni, gdy się upiją, lubią prać się po pyskach?

To było bardzo dobre pytanie, lecz Ray nie znał odpowiedzi. Pociągnął kolejny łyk i zamknął oczy, jakby się delektował herbatą. Przed wielu laty Ellie Crum musiała być bardzo pociągającą kobietą. Ale teraz, blisko pięćdziesiątki, już nawet nie próbowała o siebie zadbać.

– Forrest mało cię obchodzi, prawda? – spytał.

- Oczywiście, że obchodzi.
- Naprawdę?
- A czy to ważne?
- Jest moim bratem. Oprócz mnie nie ma już nikogo na świecie.
- Wcześniej łączył nas niezły seks, ale jakoś oboje straciliśmy zainteresowanie sobą. Najpierw się roztyłam, potem bez reszty poświęciłam pracy.

Ray rozejrzał się po pokoju.

– Poza tym seks można znaleźć wszędzie – dodała Ellie, ruchem głowy wskazując drzwi, za którymi zniknęła Trudy. – Ale Forrest pozostaje moim przyjacielem, Ray. Chyba na swój sposób go kocham. Tylko że on jest uzależniony i nie chce nic zrobić z nałogiem. Na dłuższą metę nikt z nim nie wytrzyma.

– Wiem. Możesz mi wierzyć, że to rozumiem.

– Ale wiesz, Forrest to dziwny przypadek uzależnienia. Ma w sobie wystarczająco dużo siły, by zawsze w ostatniej chwili uratować się przed upadkiem na samo dno.

– Ale nie wystarczająco dużo, by wyjść z uzależnienia.

– No właśnie. Ja z tym zerwałam piętnaście lat temu. I my, uzależnieni, którzy coś robimy ze swoim nałogiem, nie cackamy się z tymi, którzy dalej ćpają albo piją. I dlatego Forrest mieszka w suterenie.

I pewnie dobrze mu z tym, podsumował w myślach. Podziękował Ellie za herbatę i poświęcony mu czas. Odprowadziła go do wyjścia i stała w drzwiach, patrząc przez drucianą siatkę, jak Ray odjeżdża.

## Rozdział 22

---

**M**ajątek zmarłego Reubena Vincenta Atlee stał się oficjalnie przedmiotem roszczeń na tej samej sali, na której przez trzydzieści dwa lata przewodniczył procesom. Ze swego portretu zawieszono na dębowej boazerii nad stołem sędziowskim, między gwiazdzistym sztandarem a flagą stanu Missisipi, mierzył surowym wzrokiem wystąpienia prawników. Był to ten sam obraz olejny, który trzy tygodnie wcześniej podczas wystawienia zwłok stał przy jego trumnie. Teraz znowu wisiał na poprzednim miejscu, gdzie zapewne miał już pozostać na zawsze.

Człowiekiem, który zakończył karierę Reubena Atlee i zapoczątkował jego zesłanie i odosobnienie w Klonowym Zdroju, był sędzia Mike Farr z Holly Springs. Już drugą kadencję piastował swój urząd i, według Harry'ego Rexa, był rzetelny i godny zaufania. Najpierw pobieżnie przejrzał wniosek o zatwierdzenie testamentu, po czym uważnie przeczytał jednostronicowy dokument.

W sali panował ciągły ruch, kręcili się urzędnicy, adwokaci wypełniali formularze albo półgłosem naradzali się z klientami. Tego dnia rozpatrywane były wyłącznie drobne sprawy. Ray zasiadł w pierwszym rzędzie, podczas gdy Harry Rex podszedł do stołu i cicho tłumaczył coś Farrowi. Obok Raya zajął miejsce Forrest, który nie licząc sińców pod oczami, wyglądał na tyle normalnie, na ile było to możliwe. Początkowo nawet nie chciał słyszeć o pojawieniu się w sądzie, ale po ostrej wymianie zdań z Harrym Rexem zgodził się przyjść.

W końcu wrócił do domu Ellie, jak zwykle nie mówiąc ani słowa, gdzie był i co robił. Zresztą nikt nie chciał tego wiedzieć.



Ani słowem nie wspomniał też więcej o nowej pracy, Ray musiał więc założyć, że jego krótka kariera „medycznego pomocnika” adwokatów w sprawie Chudego Bena dobiegła końca.

Średnio co pięć minut jakiś adwokat pochylał się nad barierką, wyciągał do Raya rękę i powtarzał, jakim to wspaniałym człowiekiem był jego ojciec. I oczywiście każdy z nich zakładał, że Atlee junior musi go doskonale znać. Żaden natomiast nawet się nie odezwał do Forresta.

Harry Rex dał Rayowi znak, żeby podszedł do stołu sędziowskiego. Ray zrobił to i Farr powitał go serdecznie, pochylając się w jego stronę.

– Pański ojciec był wielkim człowiekiem i niezapomnianym sędzią.

– Dziękuję – bąknął Ray, chociaż miał wielką ochotę zapytać, dlaczego w takim razie podczas kampanii wyborczej Farr powtarzał na lewo i prawo, że sędzia Atlee jest za stary i już się nie nadaje do sprawowania urzędu. Od tamtej pory upłynęło dopiero dziewięć lat, a on miał wrażenie, jakby minęło pięćdziesiąt. Od chwili śmierci ojca wszystko w hrabstwie Ford wydawało mu się o wiele starsze.

– Wykłada pan prawo? – zapytał Farr.

– Tak, na Uniwersytecie Wirginii.

Z uznaniem pokiwał głową.

– Obecni są wszyscy spadkobiercy?

– Tak, Wysoki Sądzie. W testamencie zostaliśmy wymienieni tylko ja i mój brat, Forrest.

– I obaj zapoznaliście się z tym jednostronicowym testamentem Reubena Atlee?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– I nie zgłaszacie żadnych zastrzeżeń co do rozpoczęcia procedury jego zatwierdzenia?

– Nie, Wysoki Sądzie.

– Doskonale. Zatem zgodnie z jego zapisami wyznaczam pana na wykonawcę ostatniej woli pańskiego ojca. Jeszcze dziś zostaną rozesłane do lokalnej prasy ogłoszenia o możliwości składania

roszczeń wobec majątku zmarłego. Zrezygnujemy z kaucji na poczet opłaty sądowej związanej z postępowaniem spadkowym. Inwentaryzacja i wycena majątku muszą zostać dokonane zgodnie z odpowiednimi przepisami.

Ray setki razy słyszał identyczne zalecenia padające z ust ojca na tej sali. Śmiało spojrzął sędziemu w oczy, ale ten zwrócił się do adwokata:

- Coś jeszcze, panie Vonner?
- Nie, Wysoki Sądzie – odparł Harry Rex.
- Jeszcze raz wyrazy współczucia, panie Atlee.
- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Na lunch pojechali do Claude'a i zamówili porcje smażonego sumu. Ray miał w perspektywie tylko dwudniowy pobyt na Południu, a już czuł, jak jego arterie dławią się cholesterolem. Forrest się nie odzywał. Nie był wprawdzie ani naćpany, ani pijany, ale jego organizm jeszcze nie był wolny od tego świństwa.

Ray nie miał konkretnych planów, ale chciał skorzystać z tego, że nie musi się śpieszyć z powrotem do Wirginii, i odwiedzić paru znajomych w okolicy. Forrest pożegnał się zaraz po lunchu, mówiąc, że jedzie do Memphis.

- Będziesz u Ellie?
- Możliwe – rzucił od niechcienia.

\* \* \*

Ray usiadł na werandzie, żeby poczekać na Claudię. Zgodnie z umową przyjechała punktualnie o siedemnastej. Zszedł na podjazd, żeby się z nią przywitać, ponieważ ledwie wysiadła z samochodu, zastygła ze wzrokiem utkwionym w tablicę z napisem NA SPRZEDAŻ.

- Naprawdę musicie sprzedawać dom?
- Myślisz, że lepiej zostawić go na pastwę losu i czekać, aż się zawali? Jak się miewasz?
- Nieźle.

Uściskała go na powitanie, starając się zaledwie nie przytulić. Chyba specjalnie na tę okazję była ubrana w luźne spodnie, sandały, kraciastą bluzkę i słomkowy kapelusz, jakby przed chwilą skończyła pracę w ogrodzie. Znalazła jednak czas, żeby uszminkować usta i pomalować rzęsy tuszem. Ray nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek widział ją nieodstawioną.

– Bardzo się cieszę, że zadzwoniłeś – powiedziała, ruszając wolno w kierunku domu.

– Byliśmy dzisiaj w sądzie, złożyliśmy wniosek o zatwierdzenie testamentu.

– Przykro mi. Musiało to być dla ciebie bolesne.

– Niespecjalnie. Miałem przynajmniej okazję poznać sędziego Farra.

– Jakie zrobił na tobie wrażenie?

– Wydaje się dość sympatyczny, jeśli zapomnieć o dawnych czasach.

Wziął ją pod rękę, aby pomóc wejść po schodach, chociaż była w pełni sił i zapewne mogłaby nawet chodzić po górach, mimo że nadal wypalała dwie paczki papierosów dziennie.

– Pamiętam, jak zjawił się tu świeżo po dyplomie – powiedziała. – Nie umiał rozróżnić strony pozwanej od powodowej. Reuben bez trudu wygrałby tamte wybory, gdyby pozwolił mi się zająć jego kampanią.

– Usiądźmy tutaj – powiedział Ray, wskazując huśtawkę na łańcuchach.

– Widzę, że posprzątałeś. – Rozejrzała się po werandzie.

– To zasługa Harry’ego Rexa. Wynajął malarzy, dekarzy i ekipę sprzątającą. Musieli piaskarką zdzierać z mebli warstwę brudu, ale teraz jest przynajmniej czym oddychać w pokojach.

– Pozwolisz, że zapalę?

– Jasne – odparł Ray; zresztą wiedział, że ona i tak by zapaliła.

– Naprawdę się cieszę, że zadzwoniłeś – powtórzyła, wyciągając z torebki papierosy.

– Czego się napijesz? Kawy czy herbaty?

– Herbaty z lodem, cytryną i cukrem.

Założyła nogę na nogę i zakołysała się lekko, jak księżniczka czekająca na służącego. Ray mimo woli przypomniał sobie jej zgrabne nogi opięte krótką obcisłą spódniczką, kiedy przed laty zasiadała tuż przed stołem sędziowskim i pod czujnym spojrzeniem wszystkich prawników pisała protokoły.

Zaczęli rozmawiać o pogodzie, jak to mają w zwyczaju mieszkańcy Południa, gdy powstaje niezręczna luka w konwersacji albo gdy nie ma o czym więcej mówić. Claudia zaciągała się głęboko dymem i uśmiechała bez przerwy, wyraźnie uradowana tym, że o niej pamiętał. Wyraźnie się cieszyła spędzanymi z nim chwilami, podczas gdy on usiłował rozwikłać dręczącą go zagadkę.

Zeszli na temat Forresta i Harry'ego Rexa, o których można by długo rozmawiać, a pół godziny później Ray zdecydował się poruszyć sprawę niedającą mu spokoju.

– Znaleźliśmy trochę pieniędzy, Claudio – powiedział i zawiesił głos, dając jej czas na oswojenie się z nowiną.

Przez chwilę panowało milczenie, zanim przetrawiła jego słowa.

– Gdzie? – zapytała w końcu ostrożnie.

Tylko pozornie było to niewinne pytanie, bo gdyby odpowiedział, że na koncie w banku, wiedziałaby, że chodzi o oficjalną część majątku, a forsa ukryta na przykład w materacu oznaczała lewe pieniądze.

– W jego gabinecie. Z niewiadomych powodów zgromadził trochę gotówki.

– Ile? – spytała z wyraźnym ociąganiem.

– Sto tysięcy.

Ray uważnie wpatrywał się w jej twarz, na której odmalowało się zdziwienie, ale nie osłupienie. Zawczasu ułożył sobie plan rozmowy, więc ciągnął:

– Prowadził szczegółową dokumentację, trzymał kopie wypisanych czeków, potwierdzenia stanu konta bankowego, rachunki ze wszystkich wydatków. I nie potrafimy wyjaśnić, skąd się wzięły te pieniądze.

– Nigdy nie trzymał w domu większej gotówki – odezwała się Claudia w zamyśleniu.

– Mnie się też tak wydawało. Dlatego chciałem zapytać, czy nie masz pojęcia, skąd wziął taką sumę?

– Najmniejszego – odparła stanowczo. – Sędzia w ogóle nie operował gotówką. Koniec, kropka. Wszystkie sprawy finansowe załatwiał przez bank First National. Nie zapominaj, że przez wiele lat zasiadał w jego radzie nadzorczej.

– Tak, pamiętam. Na pewno nie dorabiał na boku?

– Jakim sposobem?

– Chciałbym się tego dowiedzieć od ciebie, Claudio. Nikt nie znał go tak dobrze jak ty. Wiedziałaś wszystko o jego pracy.

– Był bez reszty jej oddany, traktował ją jak powołanie i starał się jak najlepiej wywiązywać z obowiązków. Nie miał czasu na nic poza pracą.

– Nawet dla swojej rodziny. – Ray natychmiast pożałował, że nie ugryzł się w język.

– Obu was bardzo kochał, tyle że on należał do innego pokolenia.

– Założmy.

– Tak będzie lepiej.

Dali sobie nawzajem czas na zaczerpnięcie oddechu i przegrupowanie sił. Oboje woleli przemilczeć sprawy rodzinne i skoncentrować się na pieniądzu. Ulicą nadjechał jakiś samochód, wyraźnie zwolnił, jakby na widok dużej tablicy z napisem NA SPRZEDAŻ ktoś zapragnął przyjrzeć się domowi, ale najwyraźniej wystarczył jeden rzut oka, bo pojechał dalej.

– Wiedziałaś, że grał w kasynach? – zapytał Ray.

– Sędzia? Niemożliwe.

– Ja też nie mogłem w to uwierzyć. Przez jakiś czas jeździł z Harrym Rexem raz w tygodniu i wszystko wskazuje na to, że dopisywało mu szczęście, w przeciwieństwie do Harry'ego Rexa.

– Krążą różne plotki, zwłaszcza o prawnikach – powiedziała Claudia. – Kilku z nich popadło w kłopoty z powodu zamiłowania do hazardu.

– I nie słyszałaś żadnych plotek o moim ojcu?

– Nie. Nadal w to nie wierzę.

– Niemniej skądś musiał wziąć te pieniądze, a coś mi podpowiada, że to brudna forsa, w przeciwnym razie wpłaciłby ją do banku – upierał się Ray.

– Jeśliby wygrał je w kasynie, pewnie uznałby je za brudne, nie sądzisz?

Rzeczywiście znała Sędziego jak nikt inny.

– Chyba tak – przyznał Ray.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że właśnie tak by było.

Zapadło milczenie, jakby zakończyli pewien etap dyskusji. Bujali się lekko na ocienionej werandzie, nic sobie nie robiąc z przedłużającej się ciszy, jak gdyby czas stanął dla nich w miejscu, jakby siedzenie na werandzie pozwalało na milczenie. Na zebranie myśli. Albo w ogóle zwalniało z myślenia.

W końcu Ray, realizując punkt po punkcie swój plan, zebrał się na odwagę i zadał najtrudniejsze tego dnia pytanie:

– Chcę cię o coś zapytać, Claudio. I oczekuję szczerzej odpowiedzi.

– Zawsze mówię prawdę, to moja największa wada.

– Nigdy nie podawałem w wątpliwość uczciwości ojca.

– I nie powinieneś tego robić teraz.

– Pomóż mi, proszę.

– Mów śmiało.

– Nie zauważyłaś, żeby brał coś do kieszeni, jakieś pieniądze od adwokatów albo drobne części odszkodowań przyznawanych powodom... krótko mówiąc, łapówki?

– Nigdy w życiu.

– Nie gniewaj się, ale strzelam w ciemno, próbując wyjaśnić tę sprawę. Ostatecznie nie co dzień znajduje się na dnie komody sto tysięcy dolarów w nowiutkich banknotach. W chwili jego śmierci na koncie w banku było tylko sześć tysięcy. A w domu sto tysięcy. Dlaczego?

– Był najuczciwszym człowiekiem, jaki stąpał po tej ziemi.

– Nie wątpię.

– Więc przestań gadać o łapówkach – powiedziała Claudia.

– Dobra.

Zapaliła drugiego papierosa, a Ray poszedł do kuchni, żeby przygotować kolejną porcję herbaty. Kiedy wrócił na werandę, Claudia siedziała pogrążona w myślach, ze wzrokiem utkwionym gdzieś po drugiej stronie ulicy. Przez jakiś czas bujali się w milczeniu.

– Sądzę, że Sędzia chciałby, żeby część tych pieniędzy przypadła tobie – odezwał się wreszcie Ray.

– Naprawdę?

– Tak. Musimy włożyć trochę forsy, żeby przygotować dom do sprzedaży. Pochłonie to pewnie ze dwadzieścia pięć tysięcy. Co byś powiedziała na to, żebyśmy we trójkę, ty, ja i Forrest, rozdzielili resztę między siebie?

– Po dwadzieścia pięć na głowę?

– Mniej więcej. Co o tym myślisz?

– Nie zamierzasz włączyć tych pieniędzy do masy spadkowej?

– zapytała podejrzliwie; знаła przepisy prawa nie gorzej od Harry’ego Rexa.

– Po co? Przecież to gotówka, o której nikt nie wie. Gdybyśmy ją wyszczególnili w spisie, połowę pochłonęłyby podatki.

– Ale skąd te pieniądze się wzięły? – wpadła mu w słowo.

Kiedyś mówiono, że Claudia zna orzeczenie sądu, zanim jeszcze prawnicy obu stron przystąpią do wygłaszania mowy wstępnej. I kochała pieniądze. Ubrania, perfumy, najnowsze modele samochodów – kiepsko zarabiająca protokolantka sądowa nie mogła sobie na to wszystko pozwolić. A tym bardziej kobieta na państwowej emeryturze.

– Nie potrafię tego wyjaśnić – odparł Ray.

– Jeśli to pieniądze z hazardu, trzeba by odszukać pokwitowania i zapłacić zaległe podatki za kilka ostatnich lat – powiedziała, błyskawicznie wczuwając się w rolę. – Byłoby straszne zamieszanie.

– Potworne.

No, ale przecież nikt nie musiał się dowiedzieć, że Claudia dostała jakąś część ukrytych pieniędzy.

– Pamiętam podobną sprawę – powiedziała, zapatrzona w trawnik. – To było jakieś trzydzieści lat temu w hrabstwie Tippah. Niejaki Childers prowadził składnicę złomu i zmarł, nie zostawiwszy testamentu. – Urwała i zaciągnęła się dymem z papierosa. – Miał kilkoro dzieci, które w trakcie robienia porządków zaczęły odnajdywać pieniądze poukrywane w różnych częściach domu, w biurze, na strychu, w szopie na narzędzia, nawet w kominku. Jakby szukali ukrytych jajek wielkanocnych. Kiedy przetrzepali wszystkie zakamarki i przeliczyli forszę, okazało się, że jest tego ponad dwieście tysięcy dolarów. Tyle po sobie zostawił facet, który nie chciał płacić rachunków za telefon i przez dziesięć lat chodził w tym samym kombinezonie roboczym. – Znowu zrobiła przerwę, żeby wydmuchnąć obłok dymu. Claudia potrafiła godzinami snuć tego typu historie. – Kilkoro jego dzieci chciało po kryjomu podzielić między siebie pieniądze, ale pozostałe nalegały, żeby adwokat włączył je do masy spadkowej. Rozeszły się plotki i przestraszona rodzina ujawniła istnienie ukrytego skarbu. Zaczęły się wściekle kłótnie między rodzeństwem i po pięciu latach wszystkie pieniądze się rozeszły: połowa poszła na podatki, a drugą połowę wzięli adwokaci.

Zamilkła na dłużej.

– I jaki stąd wniosek? – zapytał Ray, nie doczekawszy się puenty.

– Sędzia uznał wtedy, że to wstyd, a dzieci zmarłego powinny się dogadać i sprawiedliwie podzielić pieniędzmi. W końcu należały do ich ojca.

– Według mnie, tak byłoby sprawiedliwie.

– Reuben nienawidził podatków od spadku. Przez lata słyszałam, jak narzekał, że państwo zabiera tak dużą część rodzinnego majątku tylko z tego powodu, że ktoś umarł.

Ray odchylił się na huśtawce, wyciągnął z tylnej kieszeni spodni grubą kopertę i podał ją Claudii.



– Proszę. Tutaj jest dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Popatrzyła na nią z niedowierzaniem, po czym spojrzała mu w oczy.

– Weź – mruknął, wsuwając jej kopertę w dłoń. – Nikt się o tym nie dowie.

Zacisnęła na niej palce, najwyraźniej nie mogąc dobyć głosu. Oczy zaszkły jej łzami, a to u Claudii oznaczało niesłychane wzruszenie.

– Dziękuję – wyszeptała, kurczowo ściskając wypchaną kopertę.

\* \* \*

Jeszcze długo po jej odjeździe Ray siedział na huśtawce i bujał się w ciemności, zadowolony z wyeliminowania Claudii z kręgu podejrzanych. Według niego fakt, że przyjęła oferowane dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, świadczył niezbicie o tym, że nic nie wie o znacznie większej fortunie.

Nie miał jednak innego podejrzanego, który by zajął jej miejsce na liście.

## Rozdział 23

---

**D**o spotkania doszło wyłącznie dzięki wstawiennictwu pewnego byłego studenta prawa, obecnie wspólnika dużej kancelarii z Nowego Jorku, która świadczyła usługi prawne właścicielom rozszanych po całym kraju kasyn sieci Canyon. Nawiązano kontakt, wymieniono się przysługami, uściśnięto sobie dłonie. Sprawa dotyczyła bowiem delikatnej sfery bezpieczeństwa i żadna ze stron wolała nie przekraczać niewidzialnej granicy. Profesor Atlee chciał jedynie zasięgnąć podstawowych informacji.

Spółka Canyon od połowy lat dziewięćdziesiątych prowadziła kasyno nad Missisipi, w hrabstwie Tunica, wzniesione w ramach drugiej fali boomu budowlanego, któremu udało się szczęśliwie przetrwać pierwszy kryzys spowodowany bezpardonową konkurencją. Miało dziesięć pięter, oprócz czterystu pokoi noclegowych oferowało prawie osiem tysięcy metrów kwadratowych przeznaczonych do uprawiania hazardu i specjalną atrakcję w postaci występów muzyków grających w dawnym stylu wytwórni Motown. Jason Piccolo, jeden z wiceprezesów firmy mającej swą siedzibę w Vegas, osobiście powitał Raya. Towarzyszył mu Alvin Barker, szef służb bezpieczeństwa kasyna. Piccolo ledwie przekroczył trzydziestkę i ubierał się jak model salonu Armaniego. Barker był po pięćdziesiątce i w źle dopasowanym garniturze sprawiał wrażenie zaprawionego w bojach gliniarza.

Na początek zaproponowali Rayowi krótki obchód kasyna, lecz grzecznie odmówił. W ciągu ostatniego miesiąca dosyć się napatrzył na podobne lokale; starczy mu do końca życia.

– Interesują mnie pomieszczenia na górze, te niedostępne dla klientów. Czy będę mógł je zobaczyć? – spytał.

– No cóż, zobaczymy – odparł wymijająco Piccolo, wskazując mu drogę w kierunku kasy, między stołami do gry w kości i ruletkę.

Otworzył przejście służbowe i ruszył schodami na górę. Z korytarza weszli do wąskiego długiego pomieszczenia, którego jedna ściana była zrobiona z luster weneckich. Za nimi znajdowało się rozległe pomieszczenie zastawione okrągłymi stolikami; siedzący przy nich ludzie wpatrywali się w monitory. Były ich dziesiątki, a wszyscy śledzili podgląd z wytężoną uwagą, najwyraźniej bojąc się uronić choćby drobny szczegół.

– To jest tak zwane oko w niebie – wyjaśnił Piccolo. – Ludzie po lewej obserwują stoły do blackjacka. Ci pośrodku czuwają nad grą w kości i ruletką, a ci po prawej nad stolikami do pokera i automatami.

– Na co głównie zwracają uwagę?

– Na wszystko. Absolutnie wszystko.

– Na przykład?

– Przyglądają się każdemu graczowi. Mają obowiązek wyławiać zawodowców i oszustów, tych, co liczą karty i kombinują z żetonami. Weźmy na przykład blackjacka. Nasi ludzie potrafią już po paru rozdaniach powiedzieć, czy klient liczy karty. Ten człowiek w szarym garniturze przygląda się twarzom klientów, wypatrując zawodowców, którzy jeżdżą po całym kraju, dziś są tu, jutro w Vegas, potem znikają gdzieś na tydzień i pojawiają się w Atlantic City albo na Bahamach. Jeśli oszukują z żetonami albo liczą karty, potrafi ich namierzyć, zaledwie usiądą do stołu.

Podczas gdy Piccolo mówił, Barker mierzył Raya takim spojrzeniem, jakby widział w nim potencjalnego oszusta.

– Na ile można zbliżyć obraz z kamery? – zapytał Ray.

– Wystarczająco, aby odczytać numery seryjne na banknotach. W ubiegłym miesiącu złapaliśmy oszusta na

podstawie sygnetu z brylantem, który miał na palcu przy poprzedniej wizycie.

– Mogę tam wejść?

– Niestety, nie.

– A co z grą w kości?

– Tak samo, tylko jest trochę więcej kłopotów, bo gra toczy się dużo szybciej i jest bardziej złożona.

– Tu również trafiają się zawodowi oszuści?

– Rzadziej, podobnie jak w pokerze i ruletce. Ale nieuczciwi klienci nie są naszym największym problemem. Bardziej zwracamy uwagę na kradnących pracowników i ewidentne pomyłki krupierów.

– Jakiego typu pomyłki?

– Wczoraj wieczorem klient wygrał w blackjacka rozdanie za czterdzieści dolarów, lecz krupier przez pomyłkę zabrał jego żetony. Klient zaprotestował i przywołał kierownika. Nasi ludzie na piętrze widzieli wszystko dokładnie i natychmiast skorygowali pomyłkę.

– W jaki sposób?

– Po prostu ktoś ze służby bezpieczeństwa zszedł na dół, polecił kierownikowi wypłacić klientowi czterdziestodolarową wygraną, przeprosić go serdecznie i postawić kolację.

– A co spotkało krupiera?

– Miał dotąd czystą kartotekę, ale jeśli zdarzy mu się druga taka pomyłka, wyleci z roboty.

– I wszystko jest nagrywane?

– Wszystko, każde rozdanie, każdy rzut kośćmi, najmniejsza nawet wygrana w automacie. Łącznie mamy tu dwieście kamer, które pracują bez przerwy.

Ray podszedł bliżej lustra, starając się wczuć w atmosferę. Wyglądało na to, że obecnie więcej ludzi obserwowało stoliki, niż grało piętro niżej.

– W jaki sposób krupier może was oszukiwać? Przy takiej kontroli... – zapytał, rozkładając ręce.

– Są różne sposoby – odparł z ociąganiem Piccolo, wymieniwszy znaczące spojrzenia z Barkerem. – Bardzo różne. Średnio łapiemy jednego oszusta miesięcznie.

– A po co właściwie obserwujecie automaty do gry? – Ray zmienił szybko temat, żeby pominąć drażliwą kwestię. Zdawał sobie sprawę, że nie będzie miał drugiej okazji do odwiedzenia pierwszego piętra kasyna.

– Ponieważ obserwujemy wszystko – odparł Piccolo. – Poza tym zdarzyło się parę razy, że główna wygrana trafiała się nieletnim. Kasyna odmawiały wypłaty, a kiedy sprawa trafiała do sądu, odtwarzano zapis z kasety wideo, na którym było widać, jak w momencie trafienia wygranej nieletni szybko ustępują miejsca dorosłym. Napije się pan czegoś?

– Z chęcią.

– Mamy mały pokój zapewniający lepszy widok.

Ray wszedł za nimi schodami na niewielki zabudowany balkonik, skąd można było obserwować zarówno salę w dole, jak i pomieszczenie kontrolne z monitorami. Jak spod ziemi wyrosła kelnerka i przyjęła zamówienia. On poprosił o cappuccino, gospodarze o wodę sodową.

– Co sprawia wam najwięcej trudności? – zapytał, zerknąwszy na swoje notatki, które wyciągnął z kieszeni płaszcza.

– Ludzie liczący karty i krupierzy o lepkich palcach – odparł Piccolo. – Małe plastikowe żetony łatwo niepostrzeżenie wsunąć do kieszeni albo ukryć pod mankietem. Pięćdziesiąt dolarów dziennie daje tysiąc miesięcznie, i to bez podatku.

– Jest wielu graczy liczących karty?

– Z roku na rok coraz więcej. Kasyna są już w czterdziestu stanach, ciągle rośnie liczba amatorów hazardu. Gromadzimy dowody przeciwko wszystkim podejrzanym o liczenie kart i kiedy któryś z nich zasiada u nas do gry, grzecznie prosimy, by opuścił kasyno. Wie pan z pewnością, że mamy do tego prawo.

– Jaka była w tym kasynie największa wygrana?

Piccolo spojrzał na Barkera.

– Uwzględniając automaty do gry? – spytał specjalista od ochrony.

– Tak.

– Pewien klient wygrał któregoś wieczoru w kości sto osiemdziesiąt kawałków.

– Sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów?

– Zgadza się.

– A jaka była największa przegrana?

Barker wziął od kelnerki butelkę wody i w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

– Ten sam facet trzy dni później przepuścił dwieście tysięcy – odparł.

– Znacie ludzi, którzy regularnie wygrywają? – zapytał Ray, znów zerkając do notatnika, jakby naprawdę zbierał materiały do poważnej pracy naukowej.

– Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli – przyznał Piccolo.

– Powiedzmy, że jakiś klient przychodzi dwa albo trzy razy w tygodniu, gra w blackjacka lub w kości i wygrywa częściej niż przegrywa, a zatem po jakimś czasie gromadzi większe pieniądze. Ciekaw jestem, czy zdarzają się tacy gracze.

– Rzadko. W przeciwnym razie poszlibyśmy z torbami.

– Niezwykle rzadko – wtrącił Barker. – Gdybyśmy zwrócili uwagę na klienta, który przez kilka tygodni ma dobrą passę, wzięlibyśmy go pod lupę i zaczęli uważnie obserwować. Nawet bez konkretnych zastrzeżeń, tylko dlatego, że gość zgarnia nasze pieniądze. A tacy wcześniej czy później za bardzo wierzą w swoje szczęście, popełniają jakieś głupstwo i w ten sposób szybko tracą wygrane pieniądze.

– Na dłuższą metę osiemdziesiąt procent ludzi przegrywa – oznajmił Piccolo.

Ray pomieszał cappuccino w filiżance i zerknął do notatek.

– Załóżmy, że przychodzi człowiek, którego nie znacie, kładzie na stole do blackjacka tysiąc dolarów i prosi o żetony studolarowe. Jak na to reagujecie?

Barker uśmiechnął się i splótł palce, aż zatrzeszczało mu w stawach.

– Radością. Obserwowalibyśmy go przez kilka minut, żeby się upewnić, czy na pewno wie, co robi. Przełożony krupiera zapytałby go, czy życzy sobie kartę stałego klienta, i jeśli tak, spisałby jego dane. W przeciwnym razie zaproponowałby mu kolację. Kelnerka przyniosłaby mu drinka, a jeśli facet by odmówił, byłby to dla nas znak, że możemy mieć do czynienia z zawodowcem.

– Zawodowcy nigdy nie piją w czasie gry – wyjaśnił Piccolo. – Najwyżej zamawiają coś dla zmylenia przeciwnika, ale nawet nie umoczą ust.

– Co umożliwia karta stałego klienta?

– Większość graczy oczekuje czegoś poza hazardem – odparł wiceprezes. – Kolacji, biletu wstępu na koncert, zniżki za nocleg, różnych rzeczy, które mamy w ofercie. Dzięki karcie stałego klienta możemy ciągle monitorować, jak obstawia i ile wygrywa. Gdyby gość, o którym pan wspomniał, nie miał takiej karty, przy tej stawce natychmiast byśmy mu ją zaproponowali.

– A jeśli by odmówił?

– Powiedzielibyśmy: trudno. Wciąż mamy do czynienia z tysiącami anonimowych graczy.

– Ale na pewno śledzilibyśmy jego poczynania – dodał Barker.

Ray zapisał parę zdań na czystej kartce notatnika.

– Czy kasyna współpracują ze sobą w kwestiach bezpieczeństwa? – spytał i po raz pierwszy obaj mężczyźni skrzywili się jednocześnie.

– Co właściwie chce pan wiedzieć? – zapytał Piccolo z uśmiechem, na który Ray szybko odpowiedział tym samym, wywołując identyczną reakcję u Barkera.

– W porządku, wróćmy do naszego hipotetycznego szczęściarza. Powiedzmy, że jednego wieczoru odwiedza Monte Carlo, następnego Treasure Cove, trzeciego Alladina i tak dalej. Wszędzie obstawia wysoko i wygrywa dużo więcej, niż traci. Trwa to przez rok. Ile byście wiedzieli o tym człowieku?

Piccolo skinął głową Barkerowi. Ten skubał przez chwilę dolną wargę.

– Bardzo dużo – odezwał się w końcu.

– To znaczy? – zaciekawiał się Ray.

– Śmiało – mruknął wiceprezes, gdyż szef ochrony najwyraźniej nie chciał zdradzać tajemnic zawodowych.

– Znalibyśmy jego nazwisko, adres, zawód, numer telefonu, rejestrację samochodu, wysokość konta w banku. Wiedzielibyśmy, gdzie gra danego wieczoru, o której zaczyna i o której kończy, ile wygrywa albo traci, ile pije, czy jadł kolację, czy zostawiał kelnerce napiwek, a przede wszystkim, ile z wygranej oddał krupierowi.

– I zakładacie takiemu klientowi coś w rodzaju kartoteki?

Barker zerknął na szefa, a ten w milczeniu przytaknął ruchem głowy. Obaj robili się coraz bardziej spięci, ponieważ pytania zaczęły dotyczyć zbyt poufnych spraw. Po krótkim zastanowieniu Ray doszedł do wniosku, że właściwie uzyskał już od nich prawie wszystkie odpowiedzi.

Zeszli z powrotem do głównej sali, gdzie zamiast patrzeć na graczy przy stołach, zaczął się przyglądać rozmieszczeniu kamer. Piccolo wskazał mu kilku ochroniarzy, którzy stali blisko stołu do blackjacka. Siedział przy nim wyglądający jak nastolatek mężczyzna z okazałym stosiem studolarowych żetonów przed sobą.

– Pochodzi z Reno – szepnął Piccolo. – W ubiegłym tygodniu grał w Tunice i skubnął nas na trzydzieści kawałków. Jest naprawdę dobry.

– I do tego nie liczy kart – dodał, także szeptem, Barker, jakby dołączał do grona konspiratorów.

– Niektórzy ludzie mają zadziwiający talent do gry, tak jak inni do golfa albo do przeprowadzania przeszczepów serca – podsumował wiceprezes.

– Grywa po kolei we wszystkich kasynach? – zaciekawiał się Ray.

– Jeszcze nie, ale wszędzie już na niego czekają.



Najwyraźniej obecność chłopaka z Reno działała Piccolowi i Barkerowi na nerwy.

Spotkanie zakończyło się w saloniku, gdzie pijąc napój gazowany, Ray doszedł do wniosku, że wyczerpał przygotowaną listę pytań i może w końcu przystąpić do wielkiego finału.

– Mam osobistą prośbę – rzekł.

– Tak, słucham.

– Kilka tygodni temu zmarł mój ojciec i mam podstawy przypuszczać, że w tajemnicy przyjeżdżał tutaj, prawdopodobnie grywał w kości i chyba wygrywał więcej, niż tracił. Czy można potwierdzić te informacje?

– Jak się nazywał? – spytał szybko Barker.

– Reuben Atlee z Clanton.

Szef ochrony zamyślił się na chwilę, pokręcił głową, po czym wyjął z kieszeni notes z telefonami.

– Ile wygrał? – zainteresował się Piccolo.

– Nie wiem, ale mógł to być nawet milion w ciągu kilku lat.

Barker energiczniej pokręcił głową.

– Niemożliwe. Znalibyśmy każdego, kto wygrywa tak olbrzymie sumy – powiedział, po czym przez telefon poprosił kogoś o sprawdzenie Reubena Atlee.

– Naprawdę podejrzewa pan, że mógł wygrać milion dolarów? – zapytał Piccolo.

– Wygrać i przegrać. Ale to tylko domysły.

Barker przerwał połączenie i wyłączył aparat.

– Nigdzie nie ma żadnej wzmianki o Reubenie Atlee. Wykluczone, aby mógł tu wygrywać większe pieniądze.

– A gdyby nigdy nie odwiedził tego kasyna? – wypalił Ray, domyślając się już odpowiedzi.

– I tak byśmy o nim wiedzieli – odparli równocześnie.

## Rozdział 24

---

**W** Clanton nikt rano nie uprawiał joggingu, więc na krótkiej trasie między domem a kwaterą rodziny Atlee na cmentarzu Raya prowadziły zaciekawione spojrzenia kobiet podlewających kwiaty w oknach, służących zamiatających werandy i mężczyzna, który na widok Raya przerwał koszenie trawy na cmentarzu. Na mogile ojca ziemia już osiadała, ale Ray nawet przy niej nie przystanął. Ci sami grabarze, którzy zasypywali trumnę Sędziego, kopali następny dół. W Clanton ludzie się rodzili i umierali. Pod tym względem też nic się tu nie zmieniło.

Jeszcze przed ósmą słońce zaczęło mocno przypiekać, zrobiło się gorąco i duszno. Rayowi, który wychowywał się w tym klimacie, nie przeszkadzała wysoka wilgotność powietrza, ale też za nią nie tęsknił.

Skręcił w ocienioną uliczkę i zawrócił w stronę Klonowego Zdroju. Na podjeździe zauważył jeepa brata, a nieco później samego Forresta, kołyszącego się na huśtawce na werandzie.

– Bardzo wczesnie, jak na ciebie – wysapał.  
– Daleko biegałeś? Strasznie się spociłeś.  
– Jeśli się w upale robi osiem kilometrów, trudno się nie spocić – odparł Ray. – Dobrze wyglądasz.

Tak też było. Siniaki pod oczami zniknęły, Forrest, ogolony i wykąpany, miał na sobie białe płócienne spodnie.

– Bo odstawiłem picie.  
– Świetnie. – Ray, wciąż ciężko dysząc, opadł na bujany fotel. Wolał nie pytać, od kiedy brat nie pije; podejrzewał, że nie upłynęła jeszcze doba.

Forrest zeskoczył z huśtawki, przyciągnął drugi fotel i usiadł na jego brzegu, obok brata.

– Potrzebuję twojej pomocy, braciszku – mruknął.

Znowu to samo, przemknęło Rayowi przez głowę.

– O co chodzi?

– Naprawdę potrzebna mi pomoc – powtórzył Forrest, nerwowo zacierając dłonie, jakby mówienie sprawiło mu fizyczny ból.

Ray, który widział to u niego już wielokrotnie, powoli tracił cierpliwość.

– Mówże wreszcie. O co chodzi? – Najprawdopodobniej o pieniądze. Ale było jeszcze wiele innych możliwości.

– Chciałbym pojechać w pewne miejsce. To najwyżej godzina drogi stąd. Jest na odludziu, w samym sercu lasu. Bardzo tam ładnie. Malowniczy staw, ładnie umeblowane pokoje... – Forrest wyjął z kieszeni pomietą wizytówkę i podał ją bratu.

### *Alcorn Village*

*Ośrodek leczenia uzależnień od narkotyków i alkoholu  
pod patronatem kurii Kościoła metodystów*

– Kto to jest Oscar Meave? – zapytał Ray, odczytawszy nazwisko z wizytówki.

– Facet, którego spotkałem parę lat temu. Pomógł mi wtedy, a teraz prowadzi ten ośrodek.

– To ośrodek odwykowy.

– Detoks, odwykówka dla alkoholików i ćpunów, szpital dla czubków, kurort, ranczo, zadupie, paka, pudło, pralnia mózgów... Nazywaj to, jak chcesz. Mnie wszystko jedno. Potrzebuję pomocy, Ray. I to natychmiast. – Forrest ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać.

– W porządku, uspokój się. Chciałbym poznać szczegóły.

Forrest wytarł oczy, pociągnął nosem i wziął kilka głębszych oddechów.

– Zadzwoń tam i sprawdź, czy mają wolne miejsce – poprosił drżącym głosem.

– Jak długo będą cię tam trzymać?

– Zdaje się, że cztery tygodnie, ale Oscar wszystko ci wytłumaczy.

– Ile to kosztuje?

– Coś koło trzystu dolarów za dzień. Pomyślałem, że może uda się pożyczyć trochę forsy na konto spadku albo poprosić Harry’ego Rexa, żeby zapytał sędziego, czy jest jakiś sposób na to, by już teraz wziąć część należnej mi forsy. – Po policzkach Forresta spływały łzy.

Dla Raya płacz brata nie był niczym nowym. Słyszał setki podobnych próśb i obietnic, wielokrotnie postanawiał, że będzie twardy i stanowczy, ale zawsze miękło mu serce.

– Coś wymyślimy – mruknął. – Zaraz zadzwonię do tego faceta.

– Proszę, Ray. Muszę tam jechać natychmiast.

– Jeszcze dzisiaj? – spytał Ray.

– Tak, bo... nie mogę wracać do Memphis. – Forrest spuścił głowę i przeciągnął palcami po włosach.

– Ktoś cię ściga?

– Owszem, źli ludzie.

– Ale nie gliniarze?

– Nie, są dużo groźniejsi od gliniarzy.

– Wiedzą, że tu jesteś? – Ray rozejrzał się nerwowo, jakby oczekiwał, że z zarośli wokół domu wypadną nagle hordy uzbrojonych handlarzy narkotykami.

– Nie. Nie mają pojęcia, dokąd wyjechałem.

Ray wstał i wszedł do domu.

Jak większość ludzi, Oscar Meave dobrze pamiętał Forresta, którego kiedyś wciągnął w Memphis do federalnego programu walki z uzależnieniami. Ze smutkiem przyjął wiadomość, że dawny znajomy znów potrzebuje pomocy, ale zarazem ucieszył się z możliwości rozmowy z jego bratem. Ray próbował wyjaśnić, że Forrest jest w fatalnej sytuacji, chociaż wolał przez telefon nie

podawać żadnych szczegółów, zresztą sam ich nie znał. Powiedział za to, że przed trzema tygodniami pochowali ojca, jakby to miało wszystko tłumaczyć.

– Proszę go przywieźć – odparł Meave. – Znajdziemy wolne miejsce.

Pół godziny później wyjechali z miasta samochodem wypożyczonym przez Raya. Na wszelki wypadek przestawili jeepa na tylne podwórko, żeby nie był widoczny z ulicy.

– Jesteś pewien, że ci faceci się tu nie zjawią? – spytał Ray.

– W ogóle nie wiedzą, skąd pochodzę. – Forrest siedział z głową odchyloną do tyłu, opartą o zagłówek, z oczami zasłoniętymi odjazdowymi okularami.

– A dokładnie, kto cię ściga?

– Kilku sympatycznych gości z południowego Memphis. Od razu byś ich polubił.

– Jesteś im winien pieniądze?

– Tak.

– Ile?

– Cztery tysiące dolarów.

– Na co wydałeś te cztery tysiące?

Forrest postukał się palcem po nosie. Ray z kwaśną miną pokręcił głową i zacisnął wargi, żeby powstrzymać się od kąśliwych uwag. Trzeba mu dać kilka minut odetchnąć, uznał. Jechali przez tereny rolnicze, po prawej i lewej rozciągały się pola uprawne.

Forrest zaczął pochrapywać.

Dziś po raz trzeci uderzył do brata z taką dramatyczną opowieścią i Ray po raz trzeci wioził go do ośrodka odwykowego. Ostatni raz zdarzyło się to prawie dwanaście lat temu, kiedy Sędzia pełnił jeszcze swój urząd, Claudia nie odstępowała go ani na krok, a Forrest bił wszelkie stanowe rekordy zażywania narkotyków. Dla niego była to sytuacja normalna. Gliniarze od zwalczania narkotyków deptali mu po piętach i Forrestowi tylko z trudem udało się uniknąć aresztowania. Słusznie podejrzewali go o rozprowadzanie prochów i jeśli udałoby im się zdobyć

przeciwko niemu dowody, pewnie siedziałyby w więzieniu do dzisiaj. Ray odwiózł go wtedy do stanowego szpitala na wybrzeżu, gdyż Sędzia uruchomił wszystkie swoje kontakty i znalazł dla niego miejsce. Forrest spędził tam miesiąc i wyszedł czysty.

Kiedy Ray po raz pierwszy wiózł brata do ośrodka odwykowego, był jeszcze studentem Uniwersytetu Tulane'a. Forrest przedawkował. Był już jedną nogą na tamtym świecie, gdy robiono mu płukanie żołądka. Ojciec odesłał go wówczas do zamkniętej lecznicy pod Knoxville, otoczonej wysokim murem i drutem kolczastym. Forrest wytrzymał tydzień, nim stamtąd zwiął.

Dwukrotnie trafiał do więzienia, pierwszy raz jeszcze jako dzieciak, drugi raz jako dziewiętnastolatek. Za pierwszym razem aresztowano go tuż przed meczem szkolnej drużyny futbolowej, w piątkowy wieczór, w czasie trwania decydującej rundy rozgrywek, na oczach niemal całego miasteczka. Jako szesnastolatek występował w szkolnej drużynie, w obronie, i wrócono mu wielką przyszłość. Był istnym kamikadze, który grał bezpardonowo, torując sobie drogę głową. Gliniarze od zwalczania narkotyków znaleźli towar w jego szafce i wyprowadzili z szatni w kajdankach. Jego miejsce na boisku zajął jakiś żółtodziób i drużyna przegrała, czego mieszkańcy Clanton nigdy Forrestowi nie wybaczyli.

Ray był wtedy z ojcem na trybunach, w gorączkowej atmosferze niecierpliwie czekał na rozpoczęcie meczu.

– A gdzie Forrest? – dopytywali się kibice, gdy drużyna wyszła na boisko.

Kiedy rozbrzmiewał pierwszy gwizdek sędziego, na posterunku robiono mu już zdjęcia i zdejmowano odciski palców. W jego samochodzie gliniarze znaleźli ponad pięćset gramów marihuany.

Spędził dwa lata w poprawczaku, z którego został zwolniony na osiemnaste urodziny.

Jakim cudem szesnastoletni syn przedstawiciela miejscowej elity mógł się stać handlarzem prochów w niewielkim miasteczku na Południu, w którym wcześniej nie było narkotyków? Tylko Forrest znał odpowiedź na to pytanie, ale już na samym początku postanowił zachować ją w tajemnicy. Zresztą Ray był mu wdzięczny, że nie chciał ujawniać większości swoich sekretów.

Po krótkiej drzemce Forrest obudził się gwałtownie i oznajmił, że musi się czegoś napić.

– Nie ma mowy.

– Ani kropli alkoholu, przysięgam.

Zatrzymali się przed wiejskim sklepikiem i kupili napoje gazowane. Na śniadanie Forrest zjadł paczkę orzeszków.

– W niektórych ośrodkach dają bardzo dobrze jeść – powiedział, gdy ruszyli dalej. Zdążył poznać ich tyle, że mogłby prowadzić listę rankingową w jakimś przewodniku dla alkoholików i narkomanów. – Zwykle tracę parę kilo – dodał z ustami pełnymi orzeszków.

– A są w nich sale gimnastyczne albo siłownie? – zapytał Ray, chcąc podtrzymać rozmowę, bo w rzeczywistości wcale go nie interesowało, jak są urządzone te przybytki.

– W niektórych. Ellie wysłała mnie kiedyś do pewnego ośrodka na Florydzie, przy samej plaży, gdzie spotkałem mnóstwo bogatych smutnych ludzi. Po trzech dniach prania mózgu zaczęli nam dawać do wiwatu. Wycieczki piesze i rowerowe, biegi, ćwiczenia. Ładnie się wtedy opaliłem i zrzuciłem pięć kilo. A potem przez osiem miesięcy byłem czysty.

W jego żalonym życiu wszystko było mierzone długością okresów trzeźwości.

– Ellie cię tam wysłała? – zdziwił się Ray.

– Tak, wiele lat temu. Zgarnęła wówczas trochę szmalu, nie za dużo, a ja byłem na dnie. Wtedy jeszcze się o mnie martwiła. No i znalazłem się w tym pięknym ośrodku, gdzie część zajęć prowadziły florydzkie ślicznotki z bardzo długimi nogami, paradujące w mini.

– Powinienem tam pojechać.

– Cmoknij mnie w pompę.

– Żartowałem.

– Byłem też w Hacjendzie, w ośrodku na Zachodnim Wybrzeżu, do którego trafiają gwiazdy kina. To jak Ritz. Pluszowe meble, codzienne kąpiele lecznicze i masaże, szef kuchni, który potrafi przyrządzać wspaniałe posiłki dostarczające tylko tysiąc kalorii dziennie. No i najlepsi terapeuci świata. Właśnie to by mi się najbardziej przydało, braciszku. Pół roku w Hacjendzie.

– Dlaczego aż tyle?

– Bo tyle mi potrzeba. Przechodziłem kuracje dwumiesięczne, miesięczne, trzy- i dwutygodniowe, ale to wszystko za mało. Potrzebuję półrocznego odcięcia od świata, dokładnego prania mózgu, kompleksowej terapii, no i własnej masażystki.

– Ile to by kosztowało?

Forrest gwizdnął cicho, zwróciwszy oczy ku niebu.

– Musiałbym strzelać w ciemno, bo nie wiem. Ale na pewno trzeba mieć kupę forsy i rekomendacje od dwóch znanych osób, żeby się tam dostać. Wyobraź sobie taki list polecający. „Do cudownych ludzi w Hacjendzie. Ja, niżej podpisany, całym sercem polecam mojego przyjaciela, Doofusa Smitha, jako pacjenta waszego wspaniałego ośrodka. Doofus pije wódkę na śniadanie, wciąga kokę na lunch z deserem z heroiny, a w porze kolacji jest już nieprzytomny. Mózg ma zlasowany, żyły potrzaskane, a wątrobę zważoną jak ser. Na pewno bardzo go polubicie, bo jego staruszek jest właścicielem połowy Idaho”.

– Naprawdę przyjmują tam ludzi na pół roku?

– Nie masz żadnego rozeznania, prawda?

– Nie.

– Większość kokainistów wymaga rocznej kuracji, a dla uzależnionych od heroiny nawet taka jest za krótka.

A ty do których się obecnie zaliczasz? – chciał zapytać odruchowo Ray, lecz ugryzł się w język, bo chyba wolał nie znać odpowiedzi.



– Aż rocznej? – rzucił.

– Tak. W całkowitej izolacji. W dodatku uzależniony musi walczyć sam ze sobą. Znam facetów, którzy przesiedzieli trzy lata w więzieniu bez koki czy kraku, w ogóle bez żadnych prochów, a po wyjściu zadzwonili najpierw do dealera, dopiero później do żony czy przyjaciółki.

– I co ich spotkało?

– Smutny koniec. – Forrest wrzucił ostatnią garść orzeszków do ust i energicznie otrzepał dłonie, aż sól poleciała na wszystkie strony.

\* \* \*

Nie było żadnego drogowskazu kierującego do Alcorn Village. Jechali zgodnie ze wskazówkami Oscara i wkrótce nabrali obaw, że zgubili się na tym odludziu. Wreszcie ujrzeni przed sobą kutą bramę. Wjechali w alejkę ocienioną szpalerem starych drzew, zza których wyłonił się kompleks zabudowań. Wokół panowała cisza i spokój. Forrest już za pierwsze wrażenie przyznał ośrodkowi najwyższą notę.

Oscar Meave przywitał ich w holu budynku administracyjnego i poprowadził do biura przyjęć, gdzie sam zajął się wypełnianiem formularzy. Był zarazem terapeutą, kierownikiem ośrodka, psychologiem i narkomanem, który przed laty uwolnił się od nałogu, po czym zdobył tytuł doktora w dwóch specjalnościach. Chodził w podkoszulku, dżinsach i tenisówkach, nosił krótko przystrzyżoną bródkę i dwa metalowe kółka w jednym uchu; miał twarz poprzecinaną zmarszczkami i złamany ząb – znak bujnej przeszłości. Odznaczał się jednak miękkim, ciepłym głosem i mówił z głębokim współczuciem człowieka, który dawno ma za sobą ten etap, na którym obecnie znajdował się Forrest.

Pobyty w ośrodku kosztował trzysta dwadzieścia pięć dolarów dziennie, a Oscar zalecał, by Forrest pozostał tu co najmniej cztery tygodnie.

– Później zobaczymy, co dalej. Będę musiał teraz zadać kilka nieprzyjemnych pytań na temat ostatnich poczynań Forresta.

– Chyba nie powinienem się przysłuchiwać tej rozmowie – powiedział Ray.

– Nie powinieneś – przyznał brat z głową zwieszoną na piersi, bo świetnie wiedział, co go czeka.

– Poza tym wymagamy uiszczenia połowy opłaty z góry – dodał Oscar. – Drugą połowę pobieramy po zakończeniu kuracji.

Ray skrzywił się mimowolnie na myśl o stanie swego konta w Wirginii. Dysponował ogromną gotówką, ale teraz nie mógł z niej skorzystać.

– Pieniądze będą pochodziły ze spadku po moim ojcu – wtrącił Forrest. – Pewnie kilka dni zajmie uzyskanie do nich dostępu.

Oscar pokręcił głową.

– Przykro mi, ale nie mogę robić żadnych wyjątków. Muszę od razu przyjąć połowę sumy.

– Nie ma sprawy – rzucił Ray. – Zaraz wypiszę czek.

– Chcę, żeby to były pieniądze ze spadku – podkreślił jego brat. – Nie będziesz za mnie płacił.

– Odbiorę je sobie – zapewnił go Ray. Nie wiedział jeszcze, jak to załatwić, ale pomyślał, że zajmie się tym Harry Rex.

Podpisał się na dokumentach przyjęcia pacjenta do kliniki, poręczając uiszczenie całej zapłaty za kurację. Forrest natomiast musiał się podpisać pod długim spisem przysługujących mu praw, obowiązków i zakazów.

– Nie będzie ci wolno opuścić terenu przez dwadzieścia osiem dni – oznajmił Oscar. – Jeśli to zrobisz, wpłacona kwota przepadnie i na zawsze stracisz prawo do powrotu tutaj. Zrozumiałeś?

– Tak, zrozumiałem – mruknął Forrest, bo już wielokrotnie odbierał podobne pouczenia.

– Jesteś tutaj, ponieważ chcesz tu zostać. Zgadza się?

– Tak.

– I nikt cię do tego nie zmusza.

– Nie.

Część formalna dobiegła końca i Ray mógł wracać do miasta. Podziękował Oscarowi, uściskał brata i opuszczając ośrodek, jechał o wiele szybciej, niż kiedy tu wjeżdżał.

## Rozdział 25

---

**Z**dobył w końcu pewność, że ojciec gromadził pieniądze od 1991 roku, kiedy to przegrał w wyborach i przeszedł na emeryturę. Claudia pracowała z nim aż do ostatnich dni, a nic nie wiedziała o gotówce. Pieniądze nie mogły więc pochodzić z łapówek, ale nie wygrał ich też w kasynach.

I z pewnością nie stanowiła zysków z umiejętnych inwestycji na rynku, ponieważ w dokumentach nie było żadnego dowodu na to, by Sędzia obracał akcjami lub obligacjami. Księgowy, którego Harry Rex wynajął do uporządkowania spraw finansowych i sporządzenia finalnego zeznania podatkowego, także niczego nie znalazł. Stwierdził, że nie ma wiele roboty, ponieważ wszystkie operacje były dokonywane w banku First National z Clanton.

Tak ci się przynajmniej wydaje, pomyślał Ray.

Spoglądał na prawie czterdzieści kartonów wypełnionych starymi, niepotrzebnymi papierzyskami, które ekipa sprzątająca zgromadziła w gabinecie Sędziego i w jadalni. Musiał poświęcić parę godzin, ale w końcu znalazł to, czego szukał. W dwóch pudłach znajdowały się odręczne notatki – czyli „akta procesowe”, jak nazywał Sędzia – dotyczące spraw, które prowadził już po przejściu na emeryturę.

W sali rozpraw miał zwyczaj wypełniać notatkami kartkę za kartką. Zapisywał daty, nazwiska, znaczące fakty, dosłownie wszystko, co mogło mu pomóc w ustaleniu ostatecznego orzeczenia. Często przerywał przesłuchiwanie świadków i sam zadawał pytania, by później na podstawie notatek poprawiać adwokatów. Ray słyszał nieraz, jak ojciec w swoim gabinecie

mówił, że gdyby nie to sporządzanie notatek, przysypiałby w czasie rozprawy. Zdarzały się długie procesy, w trakcie których potrafił zapisać nawet dwadzieścia notatników w linie.

Zanim został sędzią, był adwokatem w sprawach cywilnych i właśnie z tamtego okresu pozostał mu do śmierci zwyczaj gromadzenia wszystkich papierów. Porządkował je później, oprócz swoich notatek dołączając do „akt procesowych” kopie wszystkich wniosków obu stron, aktów oskarżenia, kopii fragmentów kodeksu czy zapiski z wystąpień prawników, których nie włączano do oficjalnych akt sprawy. Z upływem lat „akta procesowe” całkowicie traciły na wartości i teraz czterdzieści kartonowych pudeł zawierało samą makulaturę.

Zgodnie z wpisami w zeznaniach podatkowych, od 1993 roku Sędzia uzyskiwał dodatkowe przychody, prowadząc procesy, którym nikt nie chciał przewodniczyć. W tym rolniczym regionie niektóre spory były tak zażarte, że sędziowie, którzy mieli przed sobą perspektywę kolejnych wyborów, woleli w nich nie uczestniczyć. W takich wypadkach zazwyczaj jedna ze stron występowała z wnioskiem o zmianę sędziego, a ten, choć zapewniał, że potrafi zachować bezstronność i wydać sprawiedliwe orzeczenie, to bardzo chętnie przekazywał sprawę jakiemuś koledze z innej części stanu bądź emerytowanemu sędziemu, który nie miał już startować w wyborach, więc nie musiał się obawiać o ich wynik. W niektórych okręgach sądowych wykorzystywano sędziów w stanie spoczynku do rozładowania przepełnionej wokandy albo w zastępstwie chorego sędziego. Stan płacił im po pięćdziesiąt dolarów za godzinę i pokrywał dodatkowe wydatki.

W roku 1992, czyli rok po przejściu na emeryturę, sędzia Atlee nie dostał ani jednego zlecenia. Ale już w następnym zarobił na nich pięć tysięcy osiemset dolarów, a najbardziej pracowity rok 1996 przyniósł mu, według zeznania podatkowego, szesnaście tysięcy trzysta dolarów. W ostatnim, 1999 roku, kiedy był już bardzo chory, zarobił osiem tysięcy siedemset sześćdziesiąt dolarów.

W sumie przez sześć lat Sędzia, pracując na zlecenia, zarobił pięćdziesiąt sześć tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt dolarów i co do centa zgłosił je w zeznaniach podatkowych.

Ray chciał się dowiedzieć, jakie sprawy ojciec prowadził przez te lata. Harry Rex wspominał o jednej z nich, głośnym rozwodzie poprzedniego gubernatora. „Akta procesowe” były dość pokaźne, w teczce grubości ośmiu centymetrów znajdowały się nawet wycinki z gazet wychodzących w Jackson ze zdjęciami gubernatora, jego byłej żony – wówczas jeszcze aktualnej – oraz kobiety uważanej za jego kochankę. Proces ciągnął się dwa tygodnie i Sędzia, sądząc z notatek, nieźle się w tym czasie bawił.

Druga sprawa, dotycząca zajęcia gruntów w pobliżu Hattiesburga, także ciągnęła się dwa tygodnie i zirytowała wszystkich biorących w niej udział. Miasto rozrastało się na zachód i władze postanowiły przesunąć jego granice, żeby zyskać tereny pod zabudowę przemysłową. Decyzja została zaskarżona, lecz dopiero po dwóch latach sędzia Atlee wezwał zainteresowane strony na salę rozpraw. I w tej teczce było kilka artykułów z prasy, ale po godzinie przeglądania materiałów Raya dokumentnie to znudziło. Nie umiał sobie wyobrazić, jak ojciec mógł się tym zajmować tak długo. Z drugiej strony Sędzia nie robił tego przecież za darmo.

W roku 1995 ojciec spędził osiem dni w miasteczku Kosciusko, odległym o dwie godziny drogi od Clanton, lecz jak wynikało z notatek, tamtejsza sprawa dotyczyła niewysokich roszczeń i zakończyła się ugodą.

Rok wcześniej doszło do poważnego wypadku drogowego w hrabstwie Tishomingo; cysterna zderzyła się z samochodem osobowym i pięcioro uwięzionych w nim nastolatków żywcem spłonęło. Sprawa dotyczyła nieletnich, musiała być rozpatrywana przez sąd kanclerski, a jeden z pełniących w nim urząd sędziów był spokrewniony z którąś z ofiar, podczas gdy drugi umierał na raka mózgu. Przewodniczenie procesowi powierzono zatem sędziemu Atlee. Proces trwał tylko dwa dni i zakończył się przyznaniem odszkodowania w wysokości

siedmiu milionów czterystu tysięcy dolarów, z którego jedną trzecią pochłonęły honoraria adwokatów, resztę otrzymały rodziny ofiar.

Ray położył tę teczkę na kanapie, obok akt ze sprawy o zajęcie gruntów. Siedział w gabinecie na świeżo wypastowanej podłodze, pod czujnym spojrzeniem generała Forresta. Nie potrafił nawet określić, czego dokładnie szuka, nie miał żadnego planu działania. Chciał jedynie ustalić, które sprawy dotyczyły znacznie większych pieniędzy, i liczył na to, że wpadnie na jakiś trop.

Gotówka ukryta w miejscu znajdującym się kilka metrów od Raya musiała przecież skądś pochodzić.

Zadzwoił jego nowy telefon komórkowy. W siedzibie firmy ochroniarskiej z Charlottesville włączył się sygnał alarmowy – ktoś włamywał się do jego mieszkania. Ray poderwał się na nogi i zaczął mamrotać pod nosem, zanim jeszcze usłyszał całą nagraną automatycznie wiadomość. Wiedział, że ochrona zawiadomi policję, mimo to zadzwonił do Coreya Crawforda.

Detektyw zgłosił się już po paru sekundach.

– Już tam jadę – rzucił zadyszany, jakby biegł, kiedy Ray powiedział mu, o co chodzi.

Dochodziło wpół do dziesiątej wieczorem, w Charlottesville – godzinę później.

Ray zaczął nerwowo krążyć po całym domu, przeklinając własną bezsilność. Minął kwadrans, nim Crawford się odezwał.

– Jestem na miejscu, razem z policją – oznajmił. – Sprawca wyważył najpierw drzwi na dole, a potem od mieszkania, i w tym momencie włączył się alarm. Włamywacz nie miał zbyt wiele czasu. Co mam sprawdzić w pierwszej kolejności?

– Nie trzymałem tam nic szczególnie wartościowego – odparł Ray, gorączkowo rozmyślając, czego złodziej mógł szukać w mieszkaniu. Nie było tam żadnej gotówki, biżuterii, dzieł sztuki, broni palnej ani wyrobów ze złota czy srebra.

– Telewizor, wieża stereo, kuchenka mikrofalowa, wszystko jest na miejscu – stwierdził detektyw. – Tylko książki i czasopisma są porzucane na podłodze, a stolik pod

telefonem w kuchni jest przewrócony. Sprawca musiał działać w pośpiechu. Mógł szukać czegoś konkretnego?

– Nic nie przychodzi mi do głowy. – Ray słyszał w tle trzaski z policyjnych krótkofalówek.

– Ile ma pan sypialni? – zapytał Crawford, ruszając w głąb mieszkania.

– Dwie, moja znajduje się po prawej.

– Drzwi od wszystkich szaf są pootwierane. Złodziej najwyraźniej czegoś szukał. Nie wie pan, o co mu chodziło?

– Nie.

– Do drugiej sypialni nawet nie zajrzał. – Detektyw zakrył dłonią mikrofon i zamienił kilka słów z gliniarzami. – Chwileczkę – rzucił po chwili.

Ray stał w mrocznym holu i przez siatkowe drzwi spoglądał na frontowy trawnik, rozmyślając, jak mógłby najszybciej wrócić do domu.

Policjanci wspólnie z Crawfordem doszli do wniosku, że była to robota zawodowca, którego spłoszył alarm. Wprawnie wyważył zamki w drzwiach, żeby nie narobić większych szkód, i kiedy uruchomił się alarm, włamywacz pośpiesznie zaczął szukać czegoś konkretnego. Najwyraźniej tego nie znalazł, bo dla niepoznaki narobił trochę bałaganu i zwiął. Niewykluczone, że nie działał sam, mogło ich być dwóch.

– Musi pan tu przyjechać, żeby sprawdzić, czy nic nie zginęło, i podpisać raport policyjny – odezwał się Crawford.

– Zrobię to jutro. Da pan radę jakoś zabezpieczyć mieszkanie na noc?

– Tak, coś wymyślimy.

– Proszę do mnie jeszcze zadzwonić po odjeździe gliniarzy.

Ray usiadł na schodkach werandy i zasłuchał się w cykanie świerszczy, żałując, że nie może już teraz sprawdzić skarbu zamkniętego w Składzie Chaneya. W dłoni ścisnął stary rewolwer Sędziego, gotów strzelać do każdego, kto pojawi się przed domem. Od Charlottesville dzieliło go piętnaście godzin jazdy



samochodem, ale tylko trzy i pół godziny lotu odrzutowcem. Zadzwoił do Foga Newtona, lecz nikt nie odbierał.

Kolejny sygnał telefonu sprawił, że aż podskoczył na miejscu.

– Nadal jestem w mieszkaniu – odezwał się Crawford.

– To nie było przypadkowe włamanie – powiedział Ray.

– Wspominał pan o jakichś wartościowych przedmiotach, rodzinnym skarbie złożonym w Składzie Chaneya.

– Owszem. Czy mógłby pan dziś w nocy poobserwować teren tych magazynów?

– Jest tam całodobowa ochrona i system bezpieczeństwa z kamerami, całkiem niezły. – W głosie detektywa wyczuwało się zmęczenie. Nic dziwnego, że nie był zachwycony perspektywą siedzenia po nocy w samochodzie.

– Mógłby pan to dla mnie zrobić? – upierał się mimo to Ray.

– Nie wpuszczą mnie na teren. Nie jestem klientem.

– Proszę tylko obserwować bramę wjazdową.

Crawford mruknął coś niezrozumiałego i ciężko westchnął.

– Dobrze, sprawdzę skład – zgodził się. – A panu radziłbym zadzwonić do właściciela i powiedzieć, żeby byli dziś w nocy czujni.

– Dzięki. Odezwę się jutro, jak tylko dotrę na miejsce.

Ray zadzwonił do biura Składu Chaneya, ale nikt nie odbierał.

Odczekał pięć minut i zadzwonił ponownie. Naliczył aż czternaście sygnałów, zanim w słuchawce rozległ się męski głos.

– Skład Chaneya, ochrona. Mówi Murray.

Bardzo spokojnie wyjaśnił, kim jest i czego chce. Powiedział, że wynajmuje trzy boksy i bardzo się martwi o zgromadzone tam rzeczy, ponieważ właśnie ktoś się włamał do jego mieszkania w centrum miasta. Uprzejmie poprosił Murraya, aby zechciał zwrócić szczególną uwagę na boksy 14B, 37F i 18R.

– Oczywiście, nie ma sprawy – odparł ochroniarz takim tonem, jakby ledwie się powstrzymywał od ziewnięcia.

– Po prostu bardzo się niepokoję – powtórzył Ray.

– Nie ma sprawy – bąknął po raz drugi Murray.

\* \* \*

Potrzebował całej godziny i dwóch drinków, żeby się nieco uspokoić. Ciągnęło go do Charlottesville, miał straszną ochotę wskoczyć do wypożyczonego samochodu i jechać całą noc do domu, ale w końcu zwyciężył zdrowy rozsądek. Postanowił się przespać i z samego rana znaleźć jakiś samolot. Ale ponieważ nie mógł zmrużyć oka, zaczął dalej przeglądać papiery ojca.

Sędzia przyznał się kiedyś, że nie zna się za dobrze na przepisach związanych ze zmianą kwalifikacji gruntów, ponieważ w żadnym z sześciu hrabstw wchodzących w skład XXV okręgu sądowego rzadko do nich dochodziło. Komuś jednak udało się namówić go, aby poprowadził taką właśnie sprawę dotyczącą ziemi w okolicy miasta Columbus. Proces ciągnął się przez sześć dni, a po jego zakończeniu, jeśli wierzyć notatkom, jakiś anonimowy rozmówca zagroził ojcu przez telefon, że go zastrzeli.

Pogróżki nie były dla Sędziego niczym niezwykłym, dlatego przez lata nosił w teczce rewolwer. Krążyły plotki, że Claudia także chodzi z bronią, przy czym wszyscy dodawali, że już woleliby paść trupem z ręki Sędziego niż protokolantki.

Szczegóły tamtej sprawy omal nie uspiły Raya, ale nagle rozbudził się gwałtownie, znalazłszy lukę, czarną dziurę, której szukał.

Według zeznania podatkowego ojca w styczniu 1999 roku dostał osiem tysięcy sto dziesięć dolarów za prowadzenie sprawy w XXVII okręgu sądowym, w którego skład wchodziły tylko dwa hrabstwa na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej, czyli w tej części stanu, której sędzia nie znosił. Już sam fakt, że zgodził się wyjechać tam na kilka dni, wydał się Rayowi bardzo zastanawiający.

Ale jeszcze dziwniejszy był brak „akt procesowych”. Ponownie przerzucił papiery w dwóch kartonach, lecz nic nie znalazł na temat tamtego procesu. Z tym większym zapałem zaczął przewracać makulaturę w pozostałych trzydziestu kilku

pułdach. Przestał myśleć o swoim mieszkaniu i Składzie Chaneya, przestał się martwić o to, czy Murray pilnuje terenu, czy śpi, niemal zapomniał o pieniądzach.

W dokumentach Sędziego brakowało jednej teczki.

## Rozdział 26

---

**S**amolot linii US Air startował z Memphis o szóstej czterdzieści rano, a to oznaczało, że Ray musi wyjechać z Clanton nie później niż o piątej, czyli mógł się przespać zaledwie trzy godziny. Ale ostatnio w Klonowym Zdroju nigdy nie spał dłużej. Zdrzemnął się w czasie lotu do Pittsburgha, potem tam, na lotnisku, i trochę w samolocie do Charlottesville. Gdy dotarł do mieszkania, pobieżnie je obejrzał i zasnął na kanapie.

\* \* \*

Pieniądze były. Nikt nie zaglądał do wynajętych przez Raya boksów w Składzie Chaneya. Nie wydarzyło się nic niezwykłego. Mimo to zamknął się w boksie 18R, otworzył pięć ognioodpornych i wodoszczelnych pojemników, po czym starannie przeliczył zawartość pięćdziesięciu trzech foliowych pakunków.

Siedząc na betonowej posadzce, otoczony paczkami zawierającymi trzy miliony dolarów, uzmysłowił sobie nagle, jak bardzo ważne stały się dla niego te pieniądze. Jego pełna nerwów, koszmarna ubiegła noc była wynikiem lęku Raya o to, że je utraci. Teraz nie mógł się z nimi rozstać.

W ciągu minionych tygodni zaczął zwracać baczniejszą uwagę na ceny, kalkulować, co mógłby kupić za tę forszę i w co zainwestować, żeby je pomnożyć. Podświadomie zaczął się nawet uważać za człowieka bogatego, i chociaż zdrowy rozsądek nakazywał mu odganiać takie myśli, to nie był w stanie się od

nich uwolnić. Spychane w jakieś zakamarki, coraz częściej wypływały na powierzchnię, w miarę jak udzielał sobie odpowiedzi na dręczące go pytania – banknoty nie były znaczone; nie były też fałszywe; nie pochodziły z wygranych w kasynach; ich źródłem nie były łapówki związane z procesami w XXV okręgu sądowym.

No i nie, nie należało się nimi dzielić z Forrestem, bo mając takie pieniądze, szybko przeniósłby się na tamten świat. A z kilku ważnych powodów nie powinno się ich także włączać do masy spadkowej.

Eliminując kolejne opcje, stopniowo dochodził do przekonania, że będzie zmuszony zatrzymać majątek dla siebie.

Pukanie w blaszane drzwi rozległo się tak głośnym echem, że omal nie wrzasnął ze strachu. Poderwał się na nogi i wykrzyknął:

– Kto tam?!

– Ochrona.

Głos wydał mu się znajomy. Przystąpił więc nad paczkami z pieniędzmi, podszedł do drzwi i uchylił je na parę centymetrów. Murray uśmiechnął się szeroko. Bardziej przypominał dobrotliwego dozorcę niż uzbrojonego strażnika terenu.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, dziękuję – bąknął Ray przez zaciśnięte gardło.

– Proszę dać znać, jak będzie pan czegoś potrzebował.

– Dzięki za czujność ostatniej nocy.

– To należy do moich obowiązków.

Ray zapakował z powrotem pieniądze, starannie zamknął drzwi boksu i ruszył do domu; jechał przez miasto, co i rusz zerkając w lusterko wsteczne.

Właściciel mieszkania przysłał ekipę Latynosów do naprawy jednych i drugich drzwi. Walili młotkami i piłowali przez całe popołudnie, a kiedy skończyli, z przyjemnością wypili zimne piwo zaproponowane przez Raya. Pili i nie śpieszyli się z odejściem, podczas gdy on nie mógł się doczekać, kiedy się wyniosą. Na stole kuchennym leżał stosik korespondencji, który

Ray od rana ignorował, w końcu jednak zaczął go przeglądać. Odłożył na bok rachunki; katalogi i reklamówki wyrzucił do śmieci, przebiegł wzrokiem trzy kartki z kondolencjami.

List z urzędu skarbowego był zaadresowany do Raya Atlee, wykonawcy testamentu Reubena V. Atlee, i został nadany w Atlancie dwa dni wcześniej. Ray dokładnie obejrzał kopertę, nim z ociąganiem ją otworzył. Wewnątrz znajdowała się pojedyncza kartka z firmowym nadrukiem, list podpisał niejaki Martin Gage, inspektor z wydziału śledczego urzędu skarbowego z Atlanty. Krótki tekst brzmiał następująco:

Szanowny panie Atlee!

Jako wykonawca testamentu zmarłego ojca, zgodnie z przepisami prawa, jest pan zobowiązany do rzetelnej wyceny masy spadkowej. Zatajenie należących do niej aktywów będzie traktowane jak świadome oszustwo podatkowe. Bezprawne rozporządzanie masą spadkową stanowi naruszenie prawa stanu Missisipi oraz przepisów federalnych.

Inspektor śledczy Martin Gage

W pierwszej chwili Ray chciał zadzwonić do Harry'ego Rexa i zapytać, czy wysyłał jakieś powiadomienie do urzędu skarbowego. Wykonawca testamentu miał dwanaście miesięcy od dnia śmierci spadkodawcy na zatwierdzenie testamentu, wycenę masy spadkowej oraz rozliczenie się z urzędem skarbowym, a jeśli wierzyć księgowemu, można było bez specjalnych problemów uzyskać odroczenie terminu zapłaty podatku spadkowego.

List został wysłany zaledwie dzień po tym, jak Harry Rex złożył w sądzie wniosek o zatwierdzenie testamentu. Dlaczego więc urząd skarbowy zareagował aż tak szybko? Jakim sposobem w ogóle dowiedział się o śmierci Reubena Atlee?

Dlatego zadzwonił pod numer widniejący w nagłówku listu. Automatyczna sekretarka serdecznie powitała go w urzędzie

skarbowym, była jednak sobota, więc Ray musiał poczekać ze swoją sprawą do poniedziałku. Szybko przełączył się na centralę międzymiastową w Atlancie i w spisie abonentów odnalazł trzech Martinów Gage'ów. Pierwszy z nich przebywał poza miastem, odebrała żona i powiedziała, że mąż, dzięki Bogu, nie pracuje w skarbowce. Pod drugim numerem nikt nie podnosił słuchawki. Trzeciego Gage'a Ray oderwał od stołu.

– Czy pracuje pan w urzędzie skarbowym? – zapytał uprzejmie, przedstawivszy się jako wykładowca prawa i przeprosivszy, że zakłócił rodzinny obiad.

– Owszem.

– W wydziale śledczym?

– Tak. Od czternastu lat.

Ray opisał list, a następnie odczytał jego treść.

– Nie ja go napisałem – odparł szybko Gage.

– Więc kto? – rzucił odruchowo Ray i natychmiast tego pożałował.

– Skąd miałbym to wiedzieć? Mógłby pan przesłać mi go faksem?

Popatrzył na swój telefaks, rozmyślając gorączkowo.

– Oczywiście, ale faks mam w biurze. Będę mógł to zrobić dopiero w poniedziałek.

– To proszę zeskanować to pismo i przesłać mi mailem.

– Akurat popsuł mi się skaner. W poniedziałek wyślę panu kopię faksem.

– W każdym razie ktoś na pewno się pode mnie podszywa. Nie wysyłałem takiego pisma.

Ray zapragnął uwolnić się już od dociekliwego inspektora, lecz ten chciał drążyć temat dalej.

– I powiem panu coś jeszcze – dodał. – Podszywanie się pod inspektora skarbowego jest przestępstwem federalnym, surowo karanym. Nie ma pan pojęcia, kto mógł to napisać?

– Najmniejszego.

– Zapewne znalazł pan mój numer na naszej stronie internetowej. Powszechny dostęp do informacji to naprawdę

najgorszy z pomysłów.

– No tak.

– Kiedy złożył pan wniosek o zatwierdzenie testamentu?

– Trzy dni temu.

– Trzy dni?! Przecież na uiszczenie podatku spadkowego ma pan rok!

– Wiem.

– To duży majątek?

– Skądże! Tylko stary dom.

– Tym bardziej nie rozumiem. Proszę w poniedziałek przefaksować mi to pismo, zajmę się tym.

– Dziękuję.

Ray odłożył komórkę na stolik zły na siebie, że zadzwonił do tego człowieka.

Postanowił nie wysyłać żadnego faksu. Miał nadzieję, że Gage wkrótce zapomni o jego telefonie. Tak czy inaczej, dzwonicie do niego nie było do końca przemyślanym posunięciem.

\* \* \*

Forrest podporządkował się rygorom Alcorn Village. Miał prawo do dwóch rozmów telefonicznych dziennie, ale musiał się liczyć z tym, że mogą być nagrywane.

– Terapeuci nie chcą, byśmy dzwoniли do swoich dostawców narkotyków – wyjaśnił.

– Mało zabawne – odparł Ray, ale słyszał po głosie brata, że jest trzeźwy.

– Dlaczego wróciłeś do Wirginii?

– Bo tu mieszkam.

– Mówiłeś, że chcesz odwiedzić jakichś starych znajomych w Missisipi, kolegów ze studiów.

– I tak niedługo wracam do Clanton. Jak was tam karmią?

– Jak w szpitalu. Trzy razy dziennie serwują galaretkę, ale zawsze innego koloru. Już mi uszami wychodzi. Trzysta dolarów dziennie za coś takiego?!



– Są tam jakieś miłe dziewczyny?

– Jedna, ale ma dopiero czternaście lat i jest córką sędziego. Poza tym same smutasy. Codziennie w ramach terapii grupowej mamy zebrania, na których każdy musi nadawać na tych, co wciągnęli go w nałóg. Poza tym omawiamy swoje problemy, pomagamy sobie. Kurde, chyba sam mógłbym już zostać terapeutą. W końcu to mój ósmy odwyk, braciszku. Aż trudno w to uwierzyć, prawda?

– Wydawało mi się, że było ich więcej.

– Dzięki za pomoc. Wiesz, co jest najgorsze?

– Co?

– Na trzeźwo jestem szczęśliwszy. Czuję się doskonale, dopisuje mi humor, wydaje mi się, że jestem niegłupi i że mogę wszystko. Ale potem znów mi odbija, włóczę się po ulicach jak ostatni łachudra i robię głupoty. I nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego tak postępuję.

– Mówisz z sensem, Forrest.

– W każdym razie podoba mi się tu, pomijając marne żarcie.

– To dobrze. Jestem z ciebie dumny.

– Będziesz mógł mnie odwiedzić?

– Oczywiście. Przyjadę za parę dni.

Potem Ray skontaktował się z Harrym Rexem, którego zastał w biurze, gdzie spędzał wszystkie weekendy. Widocznie nawet w czwartym małżeństwie miał uzasadnione powody, żeby nie siedzieć zbyt długo w domu.

– Pamiętasz sprawę, którą na początku ubiegłego roku Sędzia prowadził na wybrzeżu? – zapytał Ray.

Harry Rex coś jadł, bo najpierw zamlaskał do słuchawki, zanim odpowiedział:

– Na wybrzeżu? Nie znosił wybrzeża. Był zdania, że tym rejonem rządzą bandziory z mafii.

– Odebrał zapłatę za proces, któremu tam przewodniczył w styczniu ubiegłego roku.

– Ale on już wtedy był bardzo chory – mruknął adwokat i pociągnął łyk jakiegoś napoju.

– Raka wykryto u niego dopiero w lipcu.  
– Ja w każdym razie nie przypominam sobie żadnej sprawy na wybrzeżu – uciął Harry Rex. – Zaskoczyłeś mnie – dodał z pełnymi ustami.  
– Sam byłem zaskoczony.  
– Po co kopales się w jego starych aktach?  
– Porównywałem zeznania podatkowe ze spisem spraw, które prowadził na zlecenie.  
– W jakim celu?  
– Bo jestem wykonawcą testamentu.  
– No tak, przepraszam. Kiedy wracasz?  
– Za kilka dni.  
– Aha, natknąłem się dzisiaj na Claudię. Nie widziałem jej od kilku miesięcy. A dziś wcześniej przyjechała do miasta nowiutkim cadillakiem, zaparkowała przed Coffee Shop, żeby wszyscy mogli go podziwiać, i przez parę godzin kręciła się po rynku. Urządziła niezłe przedstawienie.

Ray uśmiechnął się szeroko. W wyobraźni ujrzał, jak Claudia z kopertą pełną pieniędzy jedzie prosto do salonu samochodowego. Sędzia na pewno byłby z tego zadowolony.

Spędził kolejną nerwową noc na kanapie. Hałasy za ścianą wydawały mu się głośniejsze, syki i trzaski w przewodach wentylacyjnych intensywniejsze niż do tej pory, jakby coś się tam miało, po czym znów zapadał spokój. Odnosił wrażenie, że zaledwie dobę po włamaniu mieszkanie przygotowuje się na następne.

## Rozdział 27

---

**S**tarając się zachować pozory normalności, wyruszył na swoją ulubioną trasę joggingu, śródmiejskim pasażem, potem Main Street aż do kampusu, na szczyt Wzgórza Obserwacyjnego i z powrotem. W sumie prawie dziesięć kilometrów. Na lunch wybrał się z Carlem Mirkiem do Bizou, popularnego bistro trzy przecznice od domu, a potem jeszcze wpadł na kawę do kafejki na promenadzie. Fog zarezerwował dla niego bonanzę na lekcję pilotażu o piętnastej, ale wcześniej Ray odebrał pocztę i jego plany na resztę dnia przysły jak bańka mydlana.

List był zaadresowany odręcznie, bez adresu zwrotnego, i został nadany w Charlottesville poprzedniego dnia. Od razu wydał mu się co najmniej tak podejrzany jak dymiąca laska dynamitu. W kopercie była złożona na czworo kartka, a kiedy ją rozłożył, serce podskoczyło mu do gardła. Przez kilka sekund, osłupiały, nie mógł zaczerpnąć powietrza ani się poruszyć, jakby mózg całkiem przestał funkcjonować.

Było to wydrukowane na zwykłym papierze maszynowym kolorowe zdjęcie przedstawiające drzwi boksu 14B w Składzie Chaneya. Nie dołączono do niego żadnych ostrzeżeń ani pogróżek. Bo nie było to konieczne.

Kiedy Ray w końcu zdołał zaczerpnąć powietrza, na czoło wystąpiły mu krople potu, a odrętwienie całego ciała ustąpiło na tyle, by poczuł silny skurcz, jakby dostał nożem w brzuch. W głowie mu się zakręciło i musiał na chwilę zamknąć oczy. Kiedy je otworzył, spojrzał jeszcze raz na kartkę, lecz trzęsła mu się w palcach.

Pierwsze, co przyszło mu do głowy – a przynajmniej tak potem pamiętał te minuty – było to, że nie ma w mieszkaniu niczego, bez czego nie mógłby się obyć. Nie musiał stamtąd niczego zabierać, a jednak spakował szybko małą torbę podróżną.

Trzy godziny później zatrzymał się na stacji benzynowej w Roanoke, a po następnych trzech godzinach zajechał na zatłoczony parking dla ciężarówek pod Knoxville. Przez dłuższy czas siedział w audi, osunąwszy się nisko w fotelu, i obserwował kierowców wchodzących do ruchliwego baru i z niego wychodzących. Czekał, aż zwolni się miejsce przy oknie. Gdy wypatrzył ludzi wstających od stolika, pośpiesznie zamknął samochód i wszedł do lokalu. Zajął stanowisko i nie spuszczał z oka odległego o trzydzieści metrów wozu z trzema milionami dolarów w bagażniku.

Zapach wypełniający bar nasuwał myśl, że specjalnością jest tu stary zjełczały tłuszcz. Ray zamówił hamburgera i na serwetce zaczęła spisywać, jakie ma możliwości.

Najbezpieczniejszym miejscem byłaby depozytowa skrytka w banku, w wielkim sejfie, strzeżona przez grube mury i system alarmowy z kamerami. Mógłby podzielić fortunę i złożyć ją w kilku bankach na szlaku między Charlottesville a Clanton. Mniejsze pakunki mógłby bez trudu przenosić w teczce, a kiedy znalazłyby się w skrytce, byłyby bezpieczne.

Tyle że wtedy pozostawiałby po sobie mnóstwo śladów. Musiałby wypełniać setki formularzy, legitymować się dokumentami, zostawiać swój adres domowy i numer telefonu, rozmawiać z urzędnikami bankowymi i poznawać dyrektorów, gromadzić dziesiątki kluczy od skrytek i Bóg jeden wie co jeszcze, bo Ray nigdy dotąd nie korzystał ze skrytek bankowych.

Po drodze minął też kilka składów z boksami do wynajęcia. Wyrastały jak grzyby po deszczu, z niewiadomych powodów zawsze przy autostradach i głównych drogach. Mógł wybrać jeden z nich na chybił trafił i złożyć pieniądze w boksie, płacąc gotówką z góry i ograniczając do minimum papierkowe

formalności. Gdyby zatrzymał się w jakiejś mieścinie na dzień czy dwa, mógłby kupić w miejscowym sklepie ognioodporne pojemniki, przepakować do nich pieniądze i ruszyć w dalszą drogę. Ten pomysł wydawał mu się szczególnie kuszący, bo z pewnością zaskoczyłby jego prześladowców.

Ale Ray musiałby się rozstać z gotówką i zostawić ją w nieznanym miejscu.

Mógł też zawieźć forszę do Klonowego Zdroju, zakopać ją w piwnicy i poprosić Harry'ego Rexa, żeby uczulił szeryfa na obcych ludzi kręcących się w pobliżu domu. Gdyby jego prześladowca pojawił się w Clanton, natychmiast zostałby aresztowany, a już z samego rana Dell opowiadałaby o tym klientom w Coffee Shop. Tam wszystko rozchodziło się migiem pocztą pantoflową.

Kierowcy ciężarówek wchodzili i wychodzili w większych grupach, rozmawiając głośno, stęsknieni bratniej duszy po przejechaniu setek kilometrów w samotności. Wszyscy wyglądali podobnie, nosili dzinsy i kowbojskie buty ze spiczastymi noskami. Dlatego uwagę Raya natychmiast przyciągnął mężczyzna w spodniach khaki i sportowych butach. Siedział samotnie przy barze. Ray dostrzegł w lustrze jego twarz, która wydała mu się znajoma – szeroko rozstawione oczy, wąska broda, szeroki spłaszczony nos, jasne włosy o popielatym odcieniu, jakieś trzydzieści pięć lat. Musiał go widzieć w Charlottesville, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

A może po prostu wszyscy wydawali mu się podejrzani?

Uciekając ze swoim skarbem, niczym morderca wiozący trupa w bagażniku, w każdym napotkanym człowieku dostrzegał potencjalne zagrożenie.

Kelnerka przyniosła gorącego, aż parującego hamburgera z górą frytek, ale Ray całkiem stracił apetyt. Sięgnął po trzecią serwetkę, ponieważ pomysły, które zapisał na poprzednich, były do niczego.

Na razie możliwości miał dość ograniczone. Nie chcąc się rozstawać z pieniędzmi, musiał jechać dalej przez całą noc,

zatrzymując się tylko na kawę, ewentualnie krótką drzemkę za kierownicą, żeby dotrzeć o świcie do Clanton. Miał nadzieję, że na starych śmieciach będzie w stanie coś wymyślić.

Złożenie pieniędzy w piwnicy uznał za kiepski pomysł. Wystarczyło zwarcie w instalacji elektrycznej, piorun bądź rzucony niedopałek, aby dom stanął w ogniu. Spłonąłby doszczętnie w okamgnieniu, jak stóg siana.

Mężczyzna siedzący przy barze nawet na niego nie spojrział, a im dłużej Ray mu się przyglądał, tym bardziej był przekonany, że jednak go nie zna. Należał bowiem do tej kategorii ludzi, których spotyka się codziennie na ulicy i nie zapamiętuje. Tylko że pił kawę i jadł ciasto czekoladowe, co o jedenastej wieczorem wydawało się dość podejrzane.

\* \* \*

Wjechał do Clanton parę minut po siódmej rano. Oczy go piekły, był zły, wykończony i marzył tylko o gorącej kąpieli oraz dwudniowym odpoczynku. Przez całą noc, jeśli nie obserwował uważnie w lusterku wstecznym światła jadących za nim samochodów i nie okładał się po twarzy, by odpędzić senność, marzył o ciszy i spokoju w rodzinnym domu. Miał Klonowy Zdrój tylko dla siebie. Mógł spać na piętrze, na parterze, nawet na werandzie, z dala od natrętnych telefonów i nękających go ludzi.

Ale dekarze mieli inne plany. Kiedy zajechał przed dom, uwijali się gorączkowo. Na frontowym trawniku leżały długie drabiny i porozrzucone narzędzia, a podjazd blokowały furgonetki.

Harry'ego Rexa zastał w Coffee Shop, jedzącego jajka w koszulkach i czytającego dwie gazety naraz.

- Co ty tu robisz? – zdziwił się adwokat na jego widok, niezbyt zachwycony tym, że ktoś przeszkadza mu w śniadaniu i lekturze.
- Może też zgłodniałem?
- Kiepsko wyglądasz.
- Dzięki. Nie mogłem spać w domu, więc przyjechałem tutaj.

– Coraz gorzej z tobą.

– To prawda.

Odłożył w końcu gazetę i odsunął talerzyk z jajkami grubo polanymi pikantnym sosem.

– Jechałeś całą noc z Charlottesville? – nie mógł uwierzyć.

– To tylko piętnaście godzin.

Kelnerka przyniosła im kawę.

– Jak długo dekarze będą naprawiać dach? – spytał Ray.

– A już tam są?

– Owszem, co najmniej dziesięciu. Miałem nadzieję, że przez dwa dni wypocznę w ciszy i spokoju.

– To synowie Atkinsów. Pracują szybko, dopóki nie zaczną pić i okładać się piętami. W ubiegłym roku jeden spadł z drabiny i złamał kilka kręgów szyjnych. Wywalczyłem dla niego trzydzieści tysięcy odszkodowania.

– Więc dlaczego wynajęłeś właśnie ich?

– Bo są tani. Sam byś tak zrobił, panie wykonawco testamentu. Idź spać do mojego biura, do sekretnego gniazdka na drugim piętrze.

– Jest tam łóżko?

Harry Rex rozejrzał się, jakby miejscowi łowcy sensacji tylko czyhali na jego wyznania.

– Pamiętasz Rosettę Rhines?

– Nie.

– Była moją piątą sekretarką i trzecią żoną. Właśnie tam wszystko się między nami zaczęło.

– Zmieniłeś chociaż pościel?

– Jaką pościel? Musisz ciągle wybrzydzać? Będziesz miał tam ciszę i spokój, tyle że podłoga skrzypi. Gdyby nie to, nikt by nas nie przyłapał.

– Przepraszam, że zapytałem. – Ray pociągnął kilka łyków kawy. Był głodny, ale nie miał chęci na jedzenie w Coffee Shop. Marzyła mu się miska płatków śniadaniowych z owocami, zalanych ciepłym chudym mlekiem, albo coś w tym stylu,

wiedział jednak, że jeśli coś takiego zamówi, Harry Rex go wyśmiej.

– Zjesz coś? – zapytał adwokat.

– Nie. Będziemy musieli gdzieś wywieźć stare graty, pudła z papierami i meble. Znasz odpowiednie miejsce?

– My?

– W porządku, sam się tym zajmę.

– Przecież to tylko rupiecie. – Harry Rex włożył do ust duży kawałek bułeczki z kiełbaską, cheddarem i czymś, co mogło być musztardą. – Spal te rzeczy.

– Nie mogę ich spalić, przynajmniej na razie.

– Więc zrób tak, jak wszyscy likwidatorzy majątków, przetrzymaj je jakieś dwa lata, a potem przekaz Armii Zbawienia i spal to, czego nie wezmą.

– Tak czy inaczej, będę musiał wynająć magazyn.

– Nie chodziłeś przypadkiem do szkoły z tym stukniętym Cantrellem?

– Było ich dwóch. O którym mówisz?

– Było ich trzech, tylko jeden w dzieciństwie wpadł pod autobus niedaleko Tobytown. – Adwokat łyknął kawy i włożył do ust porcję jajka.

– Więc znasz jakiś skład magazynowy czy nie?

– Czego się denerwujesz?

– Jestem zmęczony.

– Przecież zaproponowałem ci moje sekretne gniazdko.

– Dzięki, ale nie skorzystam. Spróbuję szczęścia w domu, mimo obecności dekarzy.

– Prowadziłem drugą sprawę rozwodową pierwszej żony Virgila Cantrella, ich wuja, który przerobił stary magazyn kolejowy na magazyny do wynajęcia.

– To jedyne takie miejsce w Clanton?

– Nie. Na zachód od Lundy Staggs postawił kilka baraków z falistej blachy, ale na wiosnę rzeka zalała mu cały teren. Ja bym z niego nie korzystał.



– Jak się nazywa ten pierwszy, o którym mówiłeś? – zapytał Ray, zmęczony już pobytem w Coffee Shop.

– Magazyn. – Harry Rex przełknął następny kawałek bułeczki.

– Ten przy stacji kolejowej? – chciał się upewnić Ray.

– Tak, ten. – Energicznie potrząsnął butelką z sosem tabasco, doprawiając ostatnie jajko. – Zazwyczaj jest tam wolne miejsce, może dostaniesz nawet ognioodporny boks oddzielony betonową ścianą. Tylko nie schodź do piwnicy.

Ray zmarszczył brwi, zastanawiając się przez chwilę, czy powinien zignorować to ostrzeżenie. Obejrzał się na swój samochód zostawiony na parkingu przed gmachem sądu i zapytał:

– Dlaczego?

– Virgil trzyma tam swojego syna.

– W piwnicy?

– Też jest szurnięty. Nie chcieli go przyjąć w szpitalu psychiatrycznym w Whitfield, a starego nie stać na umieszczenie syna w prywatnym ośrodku opieki. Doszedł więc do wniosku, że najprościej będzie go zamknąć w piwnicy.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Przestrzegałem go, że jest to niezgodne z prawem. Chłopak ma tam wszystkie wygody, sypialnię, łazienkę, telewizor. A wychodzi o wiele taniej, niż opłacać pobyt w wariatkowie.

– Jak on się nazywa? – spytał zaciekawiony Ray.

– Mały Virgil.

– Tak po prostu?

– Tak. Mały Virgil.

– Ile ma lat?

– Nie wiem. Czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt.

\* \* \*

Ray odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że żadnego z Virgilów nie ma w biurze magazynu. Starsza gruba kobieta w roboczym

kombinezonie wyjaśniła, że pan Cantrell załatwia sprawy i wróci najwcześniej za dwie godziny. Kiedy zaś spytał o wolne miejsce magazynowe, zaproponowała, że go oprowadzi po budynku.

Przed laty przyjechał do nich z wizytą jakiś daleki krewny z Teksasu. Matka wyszorowała wtedy Raya, ubrała odświętnie i wzięła ze sobą na stację. Forrest był jeszcze mały i został w domu pod opieką niani. Ray jak przez mgłę pamiętał oczekiwanie na peronie, gwizd nadjeżdżającego pociągu, widok olbrzymiej lokomotywy, podniecenie otaczających go ludzi. Wtedy jeszcze stacja tętniła życiem. Ale gdy był w liceum, powybijane okna magazynu zabito deskami i zbierały się tam podejrzane typy. Mówiono, że powinno się go zburzyć, ale władze miejskie postanowiły odremontować zrujnowany budynek.

Teraz były tu przepierzenia z surowych desek, a na dwóch poziomach rozmaite graty leżały spiętrzone aż pod sufit. Dziury w ścianach łątano prowizorycznie sklejką lub płytami wiórowymi. Na podłodze zalegała gruba warstwa kurzu. Pobieżna inspekcja przekonała Raya, że w wypadku pożaru magazyn spłonąłby jeszcze szybciej niż Klonowy Zdrój.

– Mamy dodatkowe boksy w piwnicy – powiedziała kobieta.

– Dziękuję, to mi wystarczy.

Kiedy wyszedł przed budynek, na Taylor Street wyjechał nowiutki czarny cadillac połyskujący w rannym słońcu, bez jednej plamki na karoserii. Za kierownicą siedziała Claudia, na nosie miała wielkie ciemne okulary w stylu Jackie Kennedy.

Stojąc na rozgrzanym od słońca placu i spoglądając za oddalającym się samochodem, Ray odniósł wrażenie, jakby całe Clanton nagle zważyło mu się na głowę. Claudia, obaj Virgilowie, Harry Rex ze swoimi sekretarkami i żonami, synowie Atkinsów, którzy naprawiając dachy, pili i urządzali bijatyki.

Czy wszyscy wokoło nagle zwariowali, czy tylko ja? – zastanawiał się.

Wsiadł do audi i ruszył gwałtownie sprzed magazynu, aż spod kół strzeliły strugi żwiru. Na skraju miasta zatrzymał się na

poboczu. Na północy był Forrest, na południu wybrzeże Zatoki Meksykańskiej. Życie byłoby znacznie prostsze, gdyby nie musiał odwiedzać brata, ale obiecał, że do niego przyjedzie.

## Rozdział 28

---

**D**wa dni później pojawił się na wybrzeżu. Chciał się zobaczyć z przyjaciółmi z Uniwersytetu Tulane'a, zastanawiał się nawet, czy nie wybrać się do miasta, w którym studiował, Nowego Orleanu. Zateśnił za kanapką po'boy z ostrygami u Franky'ego i Johnny'ego, za muffulettą w Café Maspero przy Decatur w Dzielnicy Francuskiej, piwem Dixie w Chart Room przy Bourbon Street i za cykoriową kawą i pączkami w Café du Monde, za tym wszystkim, co pamiętał sprzed dwudziestu lat.

Niestety, wskaźnik przestępczości w Nowym Orleanie był tak wysoki, że sportowe auto Raya mogło paść łupem złodziei. Dopiero by się zdziwili po otwarciu bagażnika, szczęściarze! Musiał unikać złodziei tak samo jak patroli drogówki. Dlatego pilnie przestrzegał ograniczeń prędkości, zachowywał się jak wzorowy kierowca, z napiętą uwagą śledząc wszystko, co się wokół niego dzieje.

Wyjechał na zatłoczoną autostradę numer dziewięćdziesiąt i przez godzinę podążał wolno na wschód, przez Long Beach, Gulfport i Biloxi, wzdłuż plaż, koło nowych olśniewających kasyn, hoteli i restauracji wybudowanych przy samej zatoce. Szał hazardu opanował całe wybrzeże w równie oszaleńcującym tempie jak na równinach wokół Tuniki.

Przejechał mostem nad zatoką Biloxi i znalazł się w hrabstwie Jackson. W pobliżu Pascagouli jego uwagę przyciągnął migający jaskrawy neon, kuszący podróżnych ZJEDZ, ILE ZECHCESZ SPECJALNOŚCI KUCHNI CAJUNÓW za jedyne trzynaście dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Sam lokal nie był szczególnie zachęcający, ale miał dobrze oświetlony parking. Ray od razu

zauważył wolne miejsce przy oknie, pozwalające mieć samochód na oku. Powoli wchodziło mu to w krew.

Nad Zatoką Meksykańską leżały trzy hrabstwa stanu Missisipi, Jackson na wschodzie, przy granicy z Alabamą, Harrison w części środkowej i Hancock na zachodzie, od strony Luizjany. Jeden z pochodzących z Jackson polityków miał wejścia w Waszyngtonie, dzięki czemu tutejsze stocznie otrzymywały zamówienia rządowe i hrabstwo całkiem nieźle prosperowało. Z kolei Harrison funkcjonowało nieźle dzięki podatkom od hazardu, z których budowano szkoły i inne budynki użyteczności publicznej. Ale w styczniu 1999 roku sędzia Atlee odwiedził to trzecie hrabstwo – Hancock, najbardziej zacofane i najsłabiej zaludnione, by przewodniczyć procesowi, o którym nikt w Clanton nie wiedział.

Po zjedzonej bez pośpiechu kolacji – surowych ostrygach, potrawce z raków i krewetek w sosie musztardowym – Ray pojechał z powrotem wzdłuż wybrzeża, przez Biloxi i Gulfport. W miasteczku Pass Christian znalazł to, czego szukał: nowy parterowy motel, w którym z drzwi pokoi widziało się parking. Otoczenie sprawiało wrażenie bezpiecznego, parking był do połowy wypełniony samochodami. Ray zapłacił sześćdziesiąt dolarów gotówką za jedną noc i tyłem podstawił wóz tak blisko wejścia, jak tylko mógł. Już wcześniej zmienił zdanie na temat wożenia przy sobie broni i kupił naboje do wielkiego rewolweru ojca, kalibru .38. Był w pełni przygotowany do nocowania w samochodzie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

\* \* \*

Hrabstwo zostało nazwane od nazwiska Johna Hancocka, którego niewyraźny podpis widniał na Deklaracji Niepodległości. Budynek sądu okręgowego, który stanął w 1911 roku przy rynku w Bay Saint Louis, został w sierpniu 1969 roku niemal doszczętnie zmieciony przez huragan Camille. Pass Christian i Bay Saint Louis znalazły się w samym oku cyklonu i nie ostał się

tam w całości ani jeden dom. Zginęło ponad sto osób, z których wielu nigdy nie odnaleziono.

Przeczytawszy napis na tablicy pamiątkowej ustawionej przed nowym budynkiem sądu, Ray obejrzał się na swoje audi. Archiwum akt sądowych było powszechnie dostępne, ale i tak się denerwował. Archiwiści w Clanton pilnie strzegli swego królestwa i zapisywali w książce wszystkich przeglądających dokumenty. Tymczasem Ray nawet nie umiał określić, od czego powinien zacząć poszukiwania. Najbardziej jednak obawiał się tego, co może znaleźć w aktach.

Wystarczająco długo kręcił się po sekretariacie sądu kanclerskiego, by przyciągnąć uwagę ładnej młodej kobiety z długopisem wetkniętym za ucho.

– Mogłabym w czymś pomóc? – zapytała.

Ray ostentacyjnie trzymał w ręce notatnik, jakby był on oznaką jakiejś rangi i mógł otworzyć przed nim wszystkie drzwi.

– Przechowują państwo akta wszystkich rozpraw? – zaczął, przeciągając sylaby w słowie „wszystkich”.

Uniosła brwi i spojrzała na niego tak, jakby jej się to nie spodobało.

– Mamy skrótowe sprawozdania z procesów – odparła powoli, uznawszy widocznie, że nie jest zbyt rozgarnięty. – I akta aktualnych procesów.

Zaczął robić notatki.

– Są też – dodała – kompletne protokoły z dawnych rozpraw i posiedzeń sądu, ale tych nie trzymamy tutaj.

– Rozumiem. Czy mógłbym zobaczyć te skrótowe sprawozdania? – spytał, zerkając na pierwszy punkt zapisany w notesie.

– Oczywiście. Z jakiego okresu?

– Ze stycznia ubiegłego roku.

Podeszła do najbliższego biurka i zaczęła coś wystukiwać na klawiaturze komputera. Ray rozejrzał się po obszernej sali, w której pracowało kilka kobiet. Jedna wpisywała coś do komputera, inna wpinała dokumenty w teczki, następna

rozmawiała przez telefon. Kiedy ostatni raz był w sekretariacie sądu kanclerskiego w Clanton, widział tam tylko jeden komputer. Najwyraźniej sąd okręgu Hancock był dziesięć lat do przodu.

W kącie dwóch prawników popijało kawę z papierowych kubeczków i naradzało się półgłosem nad otwartą księgą wieczystą pochodzącą chyba sprzed dwustu lat. Obaj mieli okulary na nosie, znoszone oksfordzkie buty i krawaty zawiązane w ciasny węzeł. Sprawdzali prawa własności działek rolniczych, czyli wykonywali typową pracę małomiasteczkowych adwokatów, biorących za takie usługi po sto dolarów od zlecenia. Jeden z nich poczuł na sobie spojrzenie Raya i zmierzył go podejrzliwym wzrokiem.

Mógłbym się zajmować tym samym co wy, pomyślał Ray. Panienska z długopisem za uchem pochyliła się, wyciągnęła segregator wypełniony wydrukami komputerowymi i zaczęła przerzucać kartki.

– O, już mam – powiedziała, kładąc go na biurku. – Styczeń dziewięćdziesiąt dziewięć. Tu jest wokanda, która zajmuje kilka stron. A w tej kolumnie są orzeczenia sądu. Jak pan widzi, większość procesów ciągnęła się aż do marca.

Ray słuchał tego, zerkając jej przez ramię.

– Chodzi o jakąś konkretną sprawę? – zapytała.

– Owszem. Czy pamięta pani sprawę prowadzoną przez sędziego Atlee z hrabstwa Ford? Zdaje się, że został zaangażowany tu na zlecenie.

Starał się mówić spokojnie, mimo to dziewczyna popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby domagał się wglądu w akta jej sprawy rozwodowej.

– Jest pan dziennikarzem? – spytała tak ostro, że odruchowo cofnął się o krok.

– Nie. A dlaczego pani sądzi, że jestem?

Dwie siedzące najbliżej kobiety przerwały nagle pracę i popatrzyły na niego, marszcząc brwi. Ta z długopisem za uchem zdobyła się na uśmiech.

– To była duża i głośna sprawa. Tu mam jej opis. – Wskazała pozycję na wydruku.

Wpis był niewiele mówiący: *Gibson kontra Miyer-Brack*. Ray pokiwał głową, dając dziewczynie znak, że właśnie tego szukał.

– Gdzie mógłbym znaleźć akta tej sprawy? – zapytał.

– Są bardzo obszerne.

Poprowadziła go do innej sali, zastawionej metalowymi regałami z tysiącami kartonowych teczek. Wiedziała, gdzie szukać.

– Proszę się tu wpisać. – Pokazała mu tabliczkę z formularzem przytwierdzoną do półki. – Wystarczy nazwisko i dzisiejsza data. Ja uzupełnię resztę.

– Co to była za sprawa? – spytał, sięgając po długopis.

– O nieumyślne spowodowanie śmierci. – Wyciągnęła długą metalową szufladę i wskazała palcem upchnięte w niej teczki. – To wszystko. Tu znajdzie pan pozew, materiały dowodowe, wnioski stron, protokoły z posiedzeń i rozpraw. Może pan usiąść przy tamtym stoliku, ale nie wolno wynosić tych akt z archiwum. Tak zdecydował sędzia.

– Który?

– Sędzia Atlee.

– Tak się składa, że on już nie żyje.

– To wcale nie jest taka zła wiadomość – powiedziała, odchodząc.

Ray odniósł wrażenie, jakby zabrała ze sobą całe powietrze z sali. Minęło dobre kilka sekund, zanim odzyskał jasność myśli. Stos teczek z aktami miał ponad metr wysokości, ale tym się nie martwił. Na rozwikłanie tajemnicy miał czas do końca wakacji.

\* \* \*

Clete Gibson zmarł w 1997 roku, w wieku sześćdziesięciu jeden lat. Powodem śmierci była niewydolność nerek, którą – zgodnie z tym, co twierdziła strona powodowa – wywołał lek



o nazwie ryax produkowany przez firmę Miyer-Brack. A sędzia Reuben Atlee, który przewodniczył procesowi, się z tym zgodził.

Gibson zażywał ryax przez osiem lat w celu obniżenia poziomu cholesterolu we krwi. Lek przepisał mu jego lekarz rodzinny, a sprzedał miejscowy aptekarz, obaj więc zostali także pozwani przez wdowę i osierocone dzieci. Mniej więcej po pięciu latach przyjmowania leku u pacjenta pojawiły się pierwsze oznaki niewydolności nerek, które próbowało leczyć kilku specjalistów. W tamtym okresie ryax był jeszcze stosunkowo nowym środkiem i nie znano jego działań ubocznych. Kiedy nerki zupełnie przestały funkcjonować, Gibson, krótko przed śmiercią, w jakiś sposób poznał adwokata Pattona Frencha.

Patton French pracował w kancelarii z Biloxi, French & French, która – zgodnie z nagłówkami na papierze firmowym – miała jeszcze sześciu wspólników. Oprócz producenta ryaxu, lekarza rodzinnego i aptekarza pozwano również hurtownię farmaceutyczną z Nowego Orleanu i jej tutejszego przedstawiciela. Każda z pozwanych stron zaangażowała swojego adwokata ze znanej kancelarii; były wśród nich nawet rekiny z Nowego Jorku. Choć treść pozwu była skomplikowana, miejscami wręcz niejasna, Patton French i jego mała kancelaria z Biloxi odważnie podjęli imponującą walkę z doświadczonymi gigantami.

Jak wykazały dokumenty, Miyer-Brack była szwajcarską spółką farmaceutyczną, sprzedającą swe wyroby w sześćdziesięciu krajach. W roku 1998 jej zysk wyniósł sześćset trzydzieści pięć milionów dolarów przy obrotach przekraczających dziewięć miliardów. Przedstawienie tylko tych dokumentów w sądzie zajęło godzinę.

Z pewnych powodów Patton French zdecydował się skierować sprawę o nieumyślne spowodowanie śmierci do sądu kanclerskiego, kierującego się prawem opartym na zasadzie słuszności, a nie do sądu okręgowego, w którym o werdyktach decyduje ława przysięgłych. Według kodeksu, jedynymi sprawami rozpatrywanymi w sądach kanclerskich przez ławę

przysięgłych były te związane z majątkiem pozostałym po zmarłych. Ray, kiedy podczas wakacji pracował u ojca, kilka razy przysłuchiwał się żalonym kłótniom w tego typu procesach.

Ta sprawa trafiła do sądu kanclerskiego z dwóch przyczyn. Po pierwsze, Gibson zmarł, więc podział jego majątku leżał w jurysdykcji tego sądu. Po drugie, osierocił dziecko poniżej osiemnastego roku życia, a sprawami nieletnich zajmowały się właśnie sądy kanclerskie.

Zmarły miał poza tym trójkę dorosłych dzieci i tylko z tego powodu sprawa równie dobrze mogła trafić do sądu okręgowego, co stanowiło jedną z wielu niedoskonałości systemu sądowego stanu Missisipi. Ray poprosił kiedyś ojca o wyjaśnienie tego, ale, jak zwykle, uzyskał wymijającą odpowiedź: „Po prostu mamy jeden z najwspanialszych systemów sądownictwa w tym kraju”. Chyba każdy stary sędzia wierzył w to niezłomnie.

Zostawienie adwokatom wyboru co do rodzaju sądu, który będzie rozpatrywał sprawę, było możliwe tylko w niektórych stanach, co nieraz powodowało przenoszenie procesów do innych stanów. Pozew ubogiej wdowy z biednej części Missisipi przeciwko wielkiej szwajcarskiej firmie produkującej w Urugwaju lek sprzedawany na amerykańskim rynku, złożony w sądzie kanclerskim okręgu Hancock, musiał budzić poważne wątpliwości. To sądy federalne były najodpowiedniejszym miejscem do rozpatrywania tego typu roszczeń i przedstawiciele szwajcarskiej spółki zrobili wszystko, aby zmienić właściwość sądu, ale Reuben Atlee dzielnie odparł ich ciosy, podobnie jak sędzia federalny. Skoro po obu stronach występowali adwokaci, nie było powodu do przenoszenia procesu.

Reuben Atlee, który ostatecznie miał w tej sprawie decydować o wszystkim, jeszcze przed rozpoczęciem procesu stracił cierpliwość do prawników strony pozwanej. Ray z uśmiechem czytał niektóre jego zarządzenia – lakoniczne, wręcz brutalnie rzeczowe, mające na celu wyłącznie utrudnianie życia tabunom prawniczych sław reprezentujących Miyer-Brack. Najnowsze przepisy dotyczące rozpatrywania spraw w trybie

przyśpieszonym w ogóle nie byłyby potrzebne, gdyby wszyscy sędziowie byli tacy jak Reuben Atlee.

Szybko zostało wykazane, że ryax jest złym lekiem. Patton French znalazł dwóch biegłych, którzy nie zostawili na tym leku suchej nitki, podczas gdy biegli strony pozwanej, zamiast rzeczowych argumentów, przytaczali hasła z reklamówek producenta. Ryax rzeczywiście szybko i skutecznie obniżał poziom cholesterolu we krwi. Błyskawicznie otrzymał atest, został wprowadzony na rynek i zyskał sporą popularność. Ale równie szybko zrujnował dziesiątki tysięcy ludzkich nerek, co dało Pattonowi Frenchowi przewagę nad przeciwnikiem.

Proces trwał osiem dni. Mimo sprzeciwów adwokatów strony pozwanej przesłuchania zaczynały się codziennie rano punktualnie o ósmej piętnaście i często trwały aż do ósmej wieczorem, co wywoływało kolejne sprzeciwy, nieodmiennie oddalane przez Wysoki Sąd. Ray wiele razy słyszał to na własne uszy. Ojciec wierzył w ciężką pracę, a skoro nie musiał się troszczyć o przysięgłych, był bezpardonowy.

Jego orzeczenie zostało ogłoszone dwa dni po wysłuchaniu zeznań ostatniego świadka – w praktyce sądowniczej zaskakujące tempo. Najwyraźniej Sędzia postanowił zostać w Bay Saint Louis, by osobiście podyktować czterostronicowe uzasadnienie wyroku protokolantce. I to też nie zaskoczyło Raya. Ojciec nie znosił niepotrzebnego zwlekania z decyzjami.

W dodatku cały czas miał pod ręką swoje notatki; przez te osiem dni musiał zapełnić ze trzydzieści notatników. Uzasadnienia jego werdyktów zwykle były tak szczegółowe, że robiły wrażenie na ekspertach z dziedziny prawa.

Rodzinie Clete'a Gibsona przyznał milion sto tysięcy odszkodowania za poniesione straty – według powołanego biegłego ekonomisty, rodzina Gibsona tyle straciła na jego śmierci. A chcąc ukarać firmę Miyer-Brack za wprowadzenie na rynek niebezpiecznego leku, zasądził dziesięć milionów dolarów odszkodowania za straty moralne. Jak napisał w uzasadnieniu, w którym wyrażał zaniepokojenie praktykami stosowanymi

przez szwajcarską firmę, należała im się kara za chciwość i brak troski o klienta.

Ray nigdy wcześniej nie słyszał, by ojciec zasądzał odszkodowania za straty moralne.

Jak należało się spodziewać, werdykt spowodował istną lawinę wniosków poprocesowych, które Sędzia bez wahania oddalił. Spółka Miyer-Brack domagała się uchylenia odszkodowania za straty moralne, a Patton French podwyższenia tego podstawowego. Obie strony zostały w ostrych słowach upomniane przez Wysoki Sąd.

Co dziwne, strona pozwana nie wystąpiła o apelację, niemal oczywistą w tych okolicznościach. Ray dwa razy uważnie przerzucił dokumenty w teczce z aktami poprocesowymi, a potem jeszcze raz przejrzał wszystkie akta z szuflady. Przyszło mu do głowy, że może strony osiągnęły jakąś kompromisową ugodę poza salą sądową, zapisał więc w notatniku, by zapytać o to w sekretariacie.

Na koniec wybuchł jeszcze spór o honoraria. Patton French miał umowę podpisaną przez spadkobierców Gibsona, przyznającą mu połowę sumy odszkodowań. Sędzia Atlee doszedł do wniosku, że to za dużo. A w sądzie kanclerskim ustalanie wysokości honorariów leżało w wyłącznej gestii sędziego. Ten zaś nigdy nie dopuszczał do przekroczenia granicy trzydziestu trzech procent. Łatwo było obliczyć, o ile toczy się gra, toteż French przystąpił do zaciętej walki o swoje ciężko zarobione pieniądze. Reuben Atlee był jednak nieustępliwy.

W sprawie Gibsonów dał z siebie wszystko. Raya przepełniła duma i popadł w sentymentalny nastrój. Nie mógł uwierzyć, że proces zakończył się zaledwie półtora roku temu, kiedy ojciec bardzo już cierpiał z powodu cukrzycy, niewydolności serca, a zapewne i raka, chociaż to wykryto dopiero pół roku później.

Ten stary wojownik sprawiedliwości zasłużył sobie na niekłamany podziw.

Kiedy Ray wrócił do sekretariatu, nie zastał tam nikogo poza jedną pracownicą, która jadła kostki melona i przeglądała strony

internetowe. Jej koleżanki poszły na lunch. Wyszedł więc z budynku sądu i ruszył na poszukiwanie biblioteki miejskiej.

## Rozdział 29

---

**D**zwoniąc z baru z hamburgerami w Biloxi, sprawdził swoją automatyczną sekretarkę w Charlottesville i wysłuchał trzech nagranych wiadomości. Najpierw zadzwoniła Kaley, która chciała jednak zjeść z nim kolację; jeszcze nie wiedziała, że została już skreślona na zawsze. Fog Newton informował, że bonanza jest wolna przez cały najbliższy tydzień, więc powinni się wybrać na kolejną lekcję pilotażu. Wreszcie dzwonił Martin Gage z urzędu skarbowego w Atlancie, aby przypomnieć, że czeka na przesłanie faksem sfałszowanego listu. Niech sobie czeka, pomyślał Ray, odkładając słuchawkę.

Siedząc przy jaskrawopomarańczowym plastikowym stoliku, jadł sałatę z plastikowego pudełka i patrzył na plażę po drugiej stronie drogi. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni jadł coś samotnie w barze z fast foodem. Teraz zdecydował się na to tylko dlatego, że mógł zająć miejsce bardzo blisko zaparkowanego audi i cały czas mieć je na oku. Ponadto klientelę baru stanowiły głównie matki z małymi dziećmi, a to grupa o bardzo małym współczynniku przestępczości. Odpuścił sobie w końcu sałatę i zadzwonił do Foga.

Biblioteka miejska mieściła się przy Lameuse Street. Znalazł ją na planie Biloxi, który kupił w sklepie z mydłem i powidłem; pojechał tam i zaparkował audi w szeregu pojazdów przed głównym wejściem. Zgodnie ze swoim nowym nawykiem, zanim wszedł do środka, przystanął w pewnej odległości i uważnym spojrzeniem obrzucił swój samochód oraz jego najbliższe otoczenie.

Na parterze w przeszklonym pomieszczeniu, ale bez okien wychodzących na zewnątrz, znajdowały się komputery, ale, niestety, nie było tu okien wychodzących na ulicę, więc nie widział audi. W skomputeryzowanym archiwum mógł znaleźć wszystkie wydania od 1994 roku największej na wybrzeżu stanu Missisipi gazety „Sun Herald”. Zaczął od dwudziestego czwartego stycznia 1999, bo właśnie tego dnia ojciec ogłosił swój werdykt. Ray wcale się nie zdziwił, że na pierwszej stronie wydania lokalnego znalazł artykuł o ponadjedenastomilionowym odszkodowaniu przyznanym w sądzie w Bay Saint Louis. Nie zdziwiło go też, jak wiele miał do powiedzenia dziennikarzom Patton French. Sędzia Atlee odmówił komentarzy. Prawnicy strony pozwanej utrzymywali, że są zaszokowani orzeczeniem, i zapowiadali, że skierują sprawę do sądu apelacyjnego.

W gazecie znalazło się zdjęcie Frencha, mniej więcej pięćdziesięcioletniego mężczyzny o okrągłej twarzy i szpakowatych, kręconych włosach. Z tekstu można się było domyślać, że to on nawiązał kontakt z dziennikarzami i rozmawiał z nimi z największą przyjemnością. Opowiadał o „nadmierzającym procesie”, o tym, że strona pozwana „wykazała się chciwością i beztroską”, werdykt sędziego był „odważny i sprawiedliwy”, a apelację przeciwników uważał za „kolejną próbę zwłoki w wymierzeniu sprawiedliwości”.

Utrzymywał, że wygrał dotąd wiele procesów, lecz jeszcze nigdy nie udało mu się wywalczyć tak wysokiego odszkodowania. Zapytany o szokującą wysokość odszkodowania, French odparł, że bynajmniej nie jest ona szokująca. „Dwa lata temu ława przysięgłych w hrabstwie Hinds przyznała odszkodowanie w wysokości pięciuset milionów dolarów”, dodał. Dlatego też w innych częściach stanu ośmieleni sędziowie zaczęli surowiej karać chciwe korporacje, kary dziesięcio- czy dwudziestomilionowe nie były już rzadkością. „Odszkodowanie, które ma zapłacić szwajcarska firma, jest jak najbardziej uzasadnione”, oświadczył.

Na koniec powiedział, że jego specjalnością są wystąpienia w imieniu osób poszkodowanych wskutek zażywania złych leków. Miał już ponad czterysta osób, które chciały wystąpić przeciwko producentowi ryaxu, a ich liczba z każdym dniem rosła.

Potem Ray przeszukał wydania „Sun Herald” pod kątem pojawiania się w nich słowa „ryax”. Pięć dni po zakończeniu procesu, dwudziestego dziewiątego stycznia, wydrukowano wielkie całostronicowe ogłoszenie w grubych ramkach, zaczynające się złowieszczym pytaniem: „Czy zażywałeś ryax?”. Poniżej znajdowały się dwa akapity, w których ostrzegano przed zażywaniem tego niebezpiecznego leku, a w trzecim opisywano sądowe zwycięstwo Pattona Frencha, wytrawnego adwokata procesowego, specjalisty w zakresie efektów ubocznych ryaxu i innych budzących wątpliwości leków. Przez następnych dziesięć dni w sali konferencyjnej hotelu w Gulfport mogli się zjawiać użytkownicy tego leku, by poddać się badaniom przeprowadzanym przez najlepszych specjalistów medycyny. Badania miały być całkowicie bezpłatne, a zgłaszające się osoby nie musiały się obawiać jakichkolwiek konsekwencji. Na samym dole znajdowała się informacja, że za to ogłoszenie zapłaciła kancelaria prawna French & French, i zamieszczono numery telefonów oraz adresy jej filii w Gulfport, Biloxi i Pascagouli.

Kolejne takie ogłoszenie ukazało się pierwszego marca 1999 roku, różniły się jedynie terminem i miejscem, w którym mogły się zgłaszać osoby zażywające ryax. Następne pojawiło się w niedzielnym wydaniu „Sun Herald” z drugiego maja tego samego roku.

Ray jeszcze prawie godzinę prowadził poszukiwania, nie ograniczając się do tej gazety. Znalazł takie same ogłoszenia w „Clarion-Ledger” z Jackson, „Times-Picayune” z Nowego Orleanu, w „Hattiesburg American”, „The Mobile Register”, „The Commercial Appeal” wychodzącym w Memphis oraz „The Advocate” z Baton Rouge. Wyglądało na to, że Patton French



zorganizował frontalną ofensywę przeciwko ryaxowi i firmie Miyer-Brack.

Nabrawszy przekonania, że podobne ogłoszenia można znaleźć w prasie wszystkich pięćdziesięciu stanów, Ray wstukał do wyszukiwarki imię i nazwisko Frencha. Jako pierwsza pojawiała się strona kancelarii, będącą dość imponującym przykładem propagandy.

Obecnie firma zatrudniała czternastu prawników, miała oddziały w sześciu miastach i ekspandowała niemal z godziny na godzinę. Całostronicowa biografia Pattona Frencha z pewnością była takim peanem na jego cześć, że od samego czytania robiło się niedobrze. Jego ojciec, mniej więcej osiemdziesięcioletni, miał bliżej nieokreślony status „seniora”.

Specjalnością firmy były wystąpienia w imieniu ofiar zażywania szkodliwych leków bądź błędów lekarskich. Jej największym sukcesem okazał się zbiorowy pozew przeciwko producentowi ryaxu, który, jak dotąd, siedmiu tysiącom dwustu klientom przyniósł łączne odszkodowanie w wysokości dziewięciuset milionów dolarów. Obecnie kancelaria szykowała wystąpienie przeciwko spółce Shyne Medical wytwarzającej minitrin, powszechnie stosowany i przynoszący krociowe zyski lek na nadciśnienie tętnicze, któremu Federalna Komisja Leków i Żywności wycofała atest z powodu rozlicznych działań ubocznych. Frenchowi udało się już znaleźć ponad dwa tysiące osób, a ich liczba rosła z dnia na dzień.

Do swoich sukcesów jego kancelaria mogła także zaliczyć ośmiomilionowe odszkodowanie od firmy Clark Pharmaceuticals, które przyznała ława przysięgłych z Nowego Orleanu ofiarom zażywania kobrilu, środka antydepresyjnego, który mógł doprowadzać do utraty słuchu. Pierwsza potyczka zakończyła się zwycięstwem Frencha, który w imieniu tysiąca czterystu klientów zawarł ugodę na odszkodowanie w wysokości pięćdziesięciu dwóch milionów dolarów. I to jeszcze nie był koniec. Osiem milionów odszkodowania otrzymało tysiąc

czterysta osób. A szykowały się następne pozwy, bo wciąż zgłaszali się poszkodowani.

Na stronie internetowej kancelarii niewiele pisano o pozostałych wspólnikach, co stwarzało wrażenie, że chodzi o występ jednego gwiazdora, któremu grupa pomocników gdzieś na zapleczu przygotowuje sprawy tysięcy klientów ustawiających się w kolejce na ulicy. Była cała strona poświęcona sądowym mowom Pattona Frencha, inna przedstawiała wypełniony do granic możliwości terminarz, dwie zawierały spis miejsc i dat badań osób zażywających aż osiem różnych leków, wśród nich także Chudego Bena, o którym mówił Forrest.

W celu usprawnienia obsługi klientów kancelaria zakupiła odrzutowiec Gulfstream IV i umieściła w internecie zdjęcie Pattona Frencha pozującego na jego tle. Szeroko uśmiechnięty adwokat w ciemnym designerskim garniturze wyglądał tak, jakby był gotów natychmiast wskoczyć na pokład maszyny i lecieć choćby na koniec świata. Ray doskonale wiedział, że taki samolot kosztuje około trzydziestu milionów dolarów, a koszty zatrudnienia na pełnym etacie dwóch pilotów i ekipy obsługi naziemnej musiałyby przerazić każdego księgowego.

Patton French był facetem z chorobliwie rozbuchanym ego.

Poruszony widokiem prywatnego odrzutowca, Ray wyszedł z biblioteki. Oparty o bagażnik swojego samochodu, wybrał numer kancelarii, po czym musiał wciskać różne przyciski na komórce, wybierając kolejne automatyczne opcje: klient, adwokat, sędzia, inny; informacje o badaniach poszkodowanych; porady prawne; cztery pierwsze litery nazwiska pracownika. Trzy sekretarki pracujące dla pana Frencha odsyłały Raya od jednej do drugiej, zanim wreszcie połączono go z kimś, kto mógł go umówić na spotkanie z mecenasem.

Zmęczony tym wszystkim Ray rzucił krótko:

– Chciałbym się osobiście widzieć z panem Frenchem.

– Niestety, jest poza miastem – odparła wyjątkowo grzecznie sekretarka.

Mógł się tego spodziewać.

– W porządku, proszę słuchać uważnie, bo nie zamierzam się powtarzać – burknął poirytowany. – Nazywam się Ray Atlee i jestem synem sędziego Reubena Atlee. Przebywam obecnie w Biloxi i bardzo mi zależy na spotkaniu z panem Pattonem Frenchem.

Podyktował numer swojego telefonu komórkowego i odjechał. Wszedł do Acropolis, krzykliwego kasyna w stylu Las Vegas, utrzymanego w tandetnym stylu starożytnej Grecji, ale chyba nikt z klientów się tym nie przejmował. Parking był zapchany i kręcili się po nim ochroniarze, choć raczej nie po to, by pilnować samochodów. Ray podszedł do baru na parterze, z którego miał widok na salę gier. Ledwie zamówił wodę mineralną, gdy zadzwonił telefon.

– Pan Ray Atlee? – usłyszał nieznajomy głos.

– Tak, to ja. – Ray przycisnął aparat do ucha i osłonił go dłonią.

– Mówi Patton French. Bardzo się cieszę, że pan zadzwonił. Przepraszam, ale nie było mnie akurat w kancelarii.

– Rozumiem. Jest pan bardzo zajęty.

– To prawda. Nadal jest pan w Biloxi?

– W tej chwili siedzę w Acropolis. Wspaniałe kasyno.

– A ja właśnie wracam z Florydy, z Naples, ze spotkania z kilkoma ważnymi prawnikami.

Cały on, przemknęło Rayowi przez głowę.

– Serdeczne kondolencje z powodu śmierci ojca – dodał French. Jego głos tonął w szumie i trzaskach zakłóceń. Pan mecenas najwyraźniej dzwonił z samolotu lecącego na wysokości dziesięciu tysięcy metrów.

– Dziękuję.

– Byłem na pogrzebie i widziałem pana, ale nie mieliśmy okazji zamienić choć paru słów. Sędzia był wspaniałym człowiekiem.

– Miło mi to słyszeć.

– Jak się miewa Forrest?

– Skąd pan zna mojego brata?

– Wiem dużo o pana rodzinie, Ray. Zawsze starannie przygotowuję się do procesów, zbieram wszelkie dostępne informacje. To mi pomaga wygrywać. Więc co u niego? Jest czysty?

– Z tego, co wiem, tak – odparł Ray, poirytowany, że ten facet rozmawia o jego sprawach rodzinnych takim tonem, jakby mówił o pogodzie. Już po zapoznaniu się ze stroną internetową kancelarii wiedział, że ma do czynienia z człowiekiem niezbyt wyrafinowanym.

– To dobrze. Proszę posłuchać, jutro będę miał trochę wolnego czasu. Płynę jachtem, więc nie dotrę tak szybko na miejsce. Czy moglibyśmy zjeść razem lunch lub kolację?

Jachtem? Na stronie internetowej nie było żadnej wzmianki o jachcie, panie French. To ewidentne przeoczenie. Ray zdecydowanie wolał godzinne spotkanie przy kawie niż dwugodzinny lunch albo jeszcze dłuższą kolację. Nie mógł jednak wybrzydzać.

– Jak panu wygodniej – odparł.

– Jeśli to panu nie przeszkadza, proszę być przygotowanym na obie możliwości. Tu, na środku zatoki, mamy niesprzyjający wiatr, trudno więc określić, kiedy zawiniemy do portu. Poproszę którąś z moich dziewczyn, żeby jutro do pana zadzwoniła, dobrze?

– Oczywiście.

– Chce pan porozmawiać na temat sprawy Gibsona?

– Tak, chyba że jest jeszcze coś innego.

– Nie, wszystko zaczęło się właśnie od tamtego procesu.

\* \* \*

Po powrocie do Easy Sleep Inn Ray bez zainteresowania obejrzał transmisję z meczu baseballowego, a później w oczekiwaniu na wieczór próbował się skupić na lekturze. Bardzo potrzebował snu, ale nie chciał się kłaść przed zmrokiem.

Za drugim razem udało mu się dodzwonić do Forresta i omawiali rozkosze kuracji odwykowej, kiedy zadzwoniła komórka.

– Przepraszam – rzucił Ray. – Skontaktuję się z tobą.

Po raz kolejny ktoś wyważył drzwi jego mieszkania. Automat w siedzibie firmy ochroniarskiej informował, że „włamywacz w tym momencie jest w mieszkaniu”. Wysłuchawszy całego nagrania, Ray stanął w otwartych drzwiach pokoju i zapatrzył się na swój samochód stojący zaledwie kilka metrów dalej. Z komórką w dłoni czekał cierpliwie na dalsze informacje.

Firma ochroniarska powiadomiła Coreya Crawforda, który zadzwonił piętnaście minut później. Wyważone drzwi bocznego wejścia do kamienicy, wyważone drzwi mieszkania, przewrócony stolik, zapalone światła, ale poza tym – przynajmniej na pierwszy rzut oka – wszystko na swoim miejscu. Raport spisywał ten sam policjant co poprzednio i zadawał te same pytania.

– Naprawdę nie trzymam tam niczego wartościowego – powiedział Ray.

– Więc dlaczego ktoś się włamał po raz drugi? – zapytał Corey.

– Nie wiem.

Detektyw wezwał dozorcę, który obiecał znaleźć ślusarza i naprawić wyłamane zamki. Po odjeździe policji Crawford został jeszcze w mieszkaniu i zadzwonił do Raya po raz drugi.

– To nie jest przypadek – rzucił.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Ponieważ nie próbowano niczego ukraść. Moim zdaniem, to próba zastraszenia, nic więcej. O co tu chodzi?

– Naprawdę nie wiem.

– A mnie się zdaje, że pan doskonale wie.

– Przysięgam.

– Nie jest pan ze mną całkiem szczery.

Masz rację, pomyślał Ray.

– Spokojnie, Corey – odezwał się. – To na pewno zbieg okoliczności. Pewnie ci gówniarze z różowymi włosami

i ćwiekami w nosie szukali okazji do zdobycia kilku dolarów na prochy.

- Znam ten teren. Tacy w ogóle tu nie zagląдают.
- Przecież zawodowiec, wiedząc o alarmie, nie wracałby.
- Jestem innego zdania.

Obaj wiedzieli, że ten drugi wie, że on wie.

Ray przewracał się na łóżku w ciemnościach przez dwie godziny, nie mogąc zmrużyć oka. Koło jedenastej wybrał się na krótką przejażdżkę i dojechał do Acropolis, gdzie pijąc tanie wino, bez zaangażowania grał w ruletkę aż do drugiej w nocy.

Poprosił o pokój z oknem wychodzącym na parking, a nie na plażę, i z wysokości drugiego piętra strzegł swego auta, dopóki w końcu nie zmorzył go sen.

## Rozdział 30

---

**S**pał do czasu, aż sprzątacze znudziło się czekanie i zapukała. Doba hotelowa kończyła się o dwunastej i nie robiono żadnych wyjątków. Kiedy o jedenastej czterdzieści pięć sprzątaczką zaczęła się dobijać, nie otwierając drzwi, poprosił ją o pięć minut zwłoki i biegiem wskoczył pod prysznic.

Samochód wyglądał na nietknięty, na klapie bagażnika nie było żadnych wgnieceń ani zadrapań. Uchylił ją i ostrożnie zajrzał do środka. Trzy czarne wypchane pieniędzmi plastikowe worki na śmieci leżały tak, jak je upchnął. Wszystko było w porządku, dopóki nie usiadł za kierownicą i nie zauważył koperty wsuniętej za wycieraczkę. Zastygł i zagapił się na nią, mając wrażenie, że i ona uważnie się w niego wpatruje. Była to zwykła biała koperta, bez żadnych nadruków, przynajmniej po stronie przylegającej do szyby.

Cokolwiek to było, nie mogło oznaczać niczego dobrego. A na pewno nie była to reklamówka dostawcy pizzy ani jakiegoś pajaca, który zamierzał startować w wyborach. Nie był to również mandat za parkowanie, bo kasyno zapewniało je gościom bezpłatnie.

Ale coś w tej kopercie było.

Powoli wysiadł z samochodu i rozejrzał się w nadziei, że dostrzeże kogoś, kto go obserwuje. Odchylił wycieraczkę, wyjął kopertę i obejrzał ją dokładnie, jak gdyby miał do czynienia z kluczowym dowodem w sprawie o morderstwo. Wreszcie usiadł z powrotem za kierownicą, przypuszczając, że ktoś patrzy na niego z ukrycia.

Na znajdującej się w kopercie kartce, złożonej na czworo, było kolorowe zdjęcie cyfrowe przedstawiające tym razem boks numer 37F w Składzie Chaneya w Charlottesville, odległy stąd o półtora tysiąca kilometrów i co najmniej osiemnaście godzin jazdy samochodem. Zdjęcie wydrukowane na tej samej drukarce, zrobione tym samym aparatem, prawdopodobnie przez tego samego człowieka, który pewnie wiedział, że boks 37F nie jest ostatnim miejscem magazynowym wynajętym przez Raya.

Odrętwiały, wręcz niezdolny do jakiegokolwiek wysiłku, w pośpiechu ruszył sprzed kasyna. Jechał drogą numer dziewięćdziesiąt, bez przerwy zerkając w lusterko wsteczne, a w pewnej chwili gwałtownie skręcił w lewo w boczną uliczkę, która prowadziła ze dwa kilometry na północ i zakończyła się ślepo na rozległym placyku przed pralnią samoobsługową. Nikt za nim nie jechał. Przez dobrą godzinę obserwował każdy samochód pojawiający się w zasięgu wzroku, ale nie zauważył niczego podejrzanego. Dla wygody ułożył nabity rewolwer tuż przy siedzeniu. Czuł się bezpieczniej, mając na siedzeniu obok naładowany rewolwer i wiedząc, że pieniądze leżą bezpiecznie w bagażniku, niecałe dwa metry za jego fotelem. Miał przy sobie wszystko, czego potrzebował.

\* \* \*

Sekretarka Pattona Frencha zadzwoniła piętnaście po jedenastej. Zawiadomiła, że wynikły nagle ważne sprawy, które uniemożliwiają spotkanie podczas lunchu, ale szef z przyjemnością zaprosi go na wczesną kolację. Zapytała uprzejmie, czy Ray mógłby przyjechać do kancelarii około czwartej po południu.

Kancelaria, której zdjęcie widniało na stronie internetowej, mieściła się w okazałym starym budynku w stylu króla Jerzego stojącym nad samą zatoką, przy długiej alei ocienionej dębami z mchem hiszpańskim zwisającym z konarów. Wszystkie domy



w okolicy były utrzymane w podobnym stylu i pochodziły mniej więcej z tego samego okresu.

Na tyłach budynku znajdował się parking, ogrodzony wysokim murem z czerwonej cegły i strzeżony przez kamery. Ochroniarz w garniturze upodabniającym go do agenta Secret Service otworzył mu bramę i natychmiast ją zamknął. Gdy Ray stanął na zarezerwowanym miejscu i wysiadł z samochodu, inny ochroniarz poprowadził go do tylnego wejścia, przy którym robotnicy układali chodnik i sadzili krzewy. Najwyraźniej bardzo się śpieszyli.

– Za trzy dni przyjeżdża z wizytą gubernator – wyjaśnił szeptem ochroniarz.

– O rety – mruknął Ray.

Gabinet Frencha znajdował się na pierwszym piętrze, lecz pan mecenas – jak oznajmiła młoda ładna brunetka w dopasowanej eleganckiej sukience – wciąż jeszcze był na pokładzie jachtu. Wprowadziła jednak Raya do środka i poprosiła, by spoczął na fotelu pod oknem. Pomieszczenie był wyłożone jasną dębową boazerią i stało tu tyle ciężkich, obitych skórą kanap i foteli, że wystarczyłoby ich do urządzenia całego domku myśliwskiego. Biurko, na którym stało kilka modeli jachtów pełnomorskich, miało rozmiary basenu.

– Widzę, że pani szef lubi piękne jachty – powiedział Ray, rozglądając się po wnętrzu mającym wywrzeć na gościach wrażenie.

– Tak, to prawda. – Wcisnęła klawisz pilota i zza opadających drzwiczek w regale wysunął się duży płaski monitor. – Jest na spotkaniu, ale za parę minut powinien się połączyć. Podać panu coś do picia?

– Z chęcią napiję się kawy.

Nad górnym prawym rogiem monitora dostrzegł miniaturową kamerę, doszedł więc do wniosku, że będzie rozmawiał z adwokatem za pośrednictwem łączy satelitarnych. Poczul wzbierającą irytację. W innej sytuacji pewnie już by kipiał z wściekłości, ale zaczęło go wciągać to przedstawienie, którego

miał być czynnym uczestnikiem, jakby odgrywał jedną z pierwszoplanowych ról. Uspokój się i baw dobrze, nakazał sobie w myślach. Masz mnóstwo czasu.

Sekretarka przyniosła kawę, oczywiście w wytwornej filiżance z chińskiej porcelany, z logo F&F.

– Czy mogę wyjść na zewnątrz? – zapytał.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się uprzejmie i wróciła do sekretariatu.

Balkon był długi, wychodziło na niego kilkoro drzwi. Staął przy balustradzie i popijając kawę, podziwiał okolicę. Rozległy trawnik przed budynkiem ciągnął się aż do drogi, za którą była już tylko plaża i morze. Nie widać stąd było żadnych kasyn. Pod balkonem robotnicy rozmawiali półgłosem, przesuając drabiny. Całe otoczenie budynku wyglądało na nowe, jakby Patton French trafił główną wygraną na loterii.

– Panie Atlee! – zawołała sekretarka.

Ray wrócił do gabinetu. Ekran monitora wypełniała twarz Pattona Frencha. Włosy miał nieco zmierzwiłone i mrużył oczy za grubymi szklami okularów.

– Ach, jest pan – mruknął. – Przepraszam za spóźnienie. Proszę usiąść wygodnie, żebym dobrze pana widział.

Kobieta wskazała Rayowi miejsce przed monitorem.

– Jak się pan czuje? – zapytał adwokat.

– Świetnie. A pan?

– Doskonale. Jeszcze raz przepraszam, że musiał pan czekać, to wszystko moja wina, ale przez kilka godzin miałem telekonferencję i nie mogłem jej przerwać. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy zjeść kolację na moim jachcie, w ciszy i spokoju. Co pan o tym sądzi? Mój kucharz gotuje znacznie lepiej od szefów restauracji na lądzie. Jestem tylko pół godziny drogi od brzegu. Napijemy się czegoś, zjemy dobrą kolację i porozmawiamy o pańskim ojcu. Obiecuję, że nie będzie pan żałował.

Kiedy wreszcie zamilkł, Ray zapytał szybko:

– Czy mój samochód będzie tu bezpieczny?

– Oczywiście, stoi przecież na ogrodzonym i pilnowanym terenie. Jeśli pan sobie życzy, każę ochroniarzowi nie ruszać się od niego na krok.

– W porządku. Mam do pana płynąć wpław?

– Nie, wyślę motorówkę. Dickie pana przywiezie.

Dickie był tym młodym barczystym człowiekiem, który eskortował Raya z parkingu do gabinetu. Teraz wyprowadził go drzwiami frontowymi, gdzie już czekał wydłużony srebrny mercedes. Dickie prowadził go, jakby jechał czołgiem, i już po paru minutach znaleźli się w Point Cadet Marina, gdzie cumowało ze sto jachtów i łodzi motorowych. Oczywiście, łódź Pattona Frencha, *Pani Sprawiedliwości*, była największa.

– Nie ma fal, dopłyniemy na miejsce w ciągu dwudziestu pięciu minut – powiedział ochroniarz, kiedy wchodzili na jej pokład.

Silniki już pracowały. Natychmiast zjawił się steward, który z silnym obcym akcentem zapytał Raya, czy zechce się czegoś napić.

– Poproszę wodę mineralną – odparł.

Odbili od nabrzeża i powoli ruszyli między długimi szeregami jachtów. Dopiero gdy zostawili je za sobą, wyraźnie przyśpieszyli. Ray wdrapał się na górny pokład i w zamyśleniu spoglądał, jak linia wybrzeża stopniowo ginie w mgiele nad horyzontem.

\* \* \*

Dziesięć mil od Biloxi stał na kotwicy *Król Pozwów*, luksusowy czterdziestodwumetrowy jacht z pięcioosobową załogą i obitymi pluszem kabinami mogącymi pomieścić kilkunastu pasażerów. W tej chwili jedynym gościem na pokładzie był właściciel jachtu, który powitał Raya przy relingu.

– Bardzo miło mi pana poznać, Ray – powiedział, energicznie potrząsając jego dłonią i drugą ręką ściskając mu ramię.

– Mnie również jest miło.

Ray odwzajemnił uścisk, domyślając się, że French lubi bliski fizyczny kontakt przy powitaniu. Adwokat był od niego parę centymetrów wyższy, ładnie opalony i miał żywe niebieskie oczy, które cały czas mrużył.

– Cieszę się z pańskiej wizyty – ciągnął, nie wypuszczając dłoni gościa, jakby byli starymi przyjaciółmi. – Zostań tu, Dicki – rzucił do ochroniarza w łodzi motorowej. – Proszę za mną – zwrócił się do Raya.

Zeszli po kilku schodkach na główny pokład, gdzie powitał ich steward w śnieżnobiałym uniformie ze starannie ułożoną na przedramieniu ściereczką z wyhaftowanymi inicjałami F&F.

– Czego się pan napije?

– A co jest specjalnością tego lokalu? – zapytał Ray, podejrzewając, że jego gospodarz nie jest miłośnikiem lekkich trunków.

– Wódka z lodem i sokiem z limonki.

– Z chęcią spróbuję.

– To naprawdę świetna wódka, nowość z Norwegii. Będzie panu smakowała – zapewnił adwokat tonem znawcy.

Był w czarnej lnianej koszuli zapiętej pod samą szyję i beżowych szortach, starannie wyprasowanych i świetnie na nim leżących. Miał niewielki brzuch, ale uwagę zwracały bardzo szerokie bary i ramiona ze dwa razy grubsze niż u przeciętnego mężczyzny. Musiał przywiązywać wielką wagę do fryzury, ponieważ co chwila przyglądał dłonią włosy.

– Jak się panu podoba mój jacht? – zapytał, zakreślając ręką łuk. – Kilka lat temu zbudował go pewien saudyjski książę, nie z tych najbogatszych, i jak ostatni kretyn kazał umieścić w kajucie kominek. Może pan w to uwierzyć? Wybulił za tę łajbę ze dwadzieścia milionów, ale już po roku się znudził i zamienił na jeszcze większą, sześćdziesięciometrową.

– Niesamowite. – Ray udawał, że jest szczerze zaintrygowany.

Nigdy nie interesował się specjalnie żeglarstwem i podejrzewał, że po tej krótkiej przygodzie będzie go pociągało jeszcze mniej.

– Wybudowano go we włoskiej stoczni – pochwalił się French, poklepując reling zrobiony z jakiegoś piekielnie kosztownego drewna.

– Dlaczego został pan tutaj, a nie wpłynął pan do mariny?

– Bo jestem królem oceanu, cha, cha, cha. Proszę siadać. – Wskazał Rayowi leżak i usiedli twarzami do siebie. Adwokat ruchem głowy pokazał na odległe wybrzeże i dodał: – Nie widać stąd Biloxi, a jest dostatecznie blisko. Przez jeden dzień potrafię wykonać tu więcej pracy niż przez tydzień w kancelarii. Poza tym przeprowadzam się akurat do nowego domu. Jestem w toku sprawy rozwodowej. Więc niejako się tu ukrywam.

– Przykro mi.

– To największy jacht w Biloxi i wielu ludzi go rozpoznaje. Moja obecna żona sądzi, że go sprzedałem, więc gdybym zanadto zbliżył się do portu, jej wścibski adwokat mógłby podpłynąć motorówką i uwiecznić go na zdjęciu. Dziesięć mil to bezpieczny dystans.

Steward przyniósł zmrożoną wódkę w wysmukłych szklankach z logo F&F. Ray pociągnął łyk i odniósł wrażenie, że trunek wypali mu wszystkie wnętrzości. French wypił prawie pół porcji, po czym łakomie oblizał wargi.

– I co pan o tym myśli? – zapytał z dumą.

– Rzeczywiście dobra wódka – odparł Ray, który nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio pił tak mocny alkohol.

– Dickie przywiózł nam na kolację świeżego miecznika.

– Wspaniale.

– I mamy ostrygi. To najlepsza pora roku na jedzenie ostryg.

– Studiowałem na Uniwersytecie Tulane’a. Przez trzy lata żywiłem się świeżymi ostrygami.

– Wiem. – French wyjął z kieszeni szortów miniaturową krótkofalówkę i złożył zamówienie kucharzowi pracującemu pod pokładem. Potem spojrział na zegarek i zdecydował, że posiłek ma być gotowy za dwie godziny. – Studiował pan razem z Hasselem Mangrumem – dodał.

– Owszem. Był rok wyżej ode mnie.

– Mamy wspólnego trenera. Hassel całkiem nieźle sobie radził tu, na wybrzeżu. Wcześniej się podłączył do sprawy przeciwko chłopcom od azbestu.

– Nie miałem z nim kontaktu od dwunastu lat.

– Nie ma czego żałować. Teraz całkiem mu odbija, ale podejrzewam, że odbijało mu już na uniwersytecie.

– To prawda. Skąd pan wie, że razem studiowaliśmy?

– Zbieranie informacji to podstawa. – French ponownie sięgnął po szklanę, a Ray pomyślał, że trzeci łyk z pewnością uderzy mu już do głowy. – Musiałem sporo zainwestować w uzyskanie dokładnych danych o sędzim Atlee i jego rodzinie, o jego pochodzeniu, werdyktach, sytuacji finansowej, o wszystkim, do czego tylko można było dotrzeć. To nic niezgodnego z prawem, po prostu robota detektywistyczna w starym stylu. Wiem nawet o pańskim rozwodzie. Jak on się nazywa? Lew... Likwidator?

Ray tylko skinął głową, chociaż korciło go, by rzucić jakąś uszczypliwą uwagę na temat drugiego męża swojej byłej, albo ochrzanić Frencha za to, że grzebał się w jego przeszłości, ale wódka skutecznie mąciła mu myśli.

– Znam nawet pańskie dochody na uniwersytecie w Charlottesville. Wie pan, że w Wirginii takie dane są powszechnie dostępne?

– Owszem, wiem.

– To całkiem niezła pensja, Ray, ale i uczelnia z dużą renomą.

– Racja.

– Natomiast odtwarzanie życiorysu pańskiego brata było nie lada przygodą.

– Nie wątpię. Dla rodziny Forresta to też niezła przygoda.

– Zapoznałem się z każdym werdyktem pańskiego ojca w sprawach o nieumyślne spowodowanie śmierci czy utratę zdrowia. Nie było ich dużo, ale i tak dawały do myślenia. Sędzia był oszczędny w przyznawaniu odszkodowań, ale wyraźnie faworyzował prostych, biednych ludzi. Z góry wiedziałem, że będzie się sztywno trzymał przepisów, ale stawiałem na to, że

starsi sędziowie z sądów kanclerskich często naginają je do własnego rozumienia sprawiedliwości. Zapędziłem ludzi do czarnej roboty, ale uzasadnienia jego orzeczeń w najważniejszych sprawach przeczytałem sam. To był wspaniały człowiek, Ray, i zawsze wierny swoim poglądom. Trudno mi było nie zgodzić się z którąkolwiek z jego decyzji.

– I to pan wybrał mojego ojca do prowadzenia sprawy Gibsona?

– Tak. Kiedy podjęliśmy decyzję o skierowaniu sprawy do sądu kanclerskiego, by pominąć ławę przysięgłych, uznaliśmy, że nie chcemy, aby procesowi przewodniczył któryś z tutejszych sędziów. Było ich trzech. Jeden jest spokrewniony z rodziną Gibsonów, drugi zajmuje się wyłącznie sprawami rozwodowymi, a trzeci był już osiemdziesięcioczeroletnim starcem i od trzech lat w ogóle nie wychodził z domu. Dlatego zaczęliśmy szukać w innych okręgach i wybraliśmy trzech potencjalnych kandydatów. Szczęśliwie się złożyło, że sześćdziesiąt lat temu mój ojciec studiował razem z pańskim w Sewanee, a potem na wydziale prawa Ole Miss. Nie łączyły ich zbyt bliskie stosunki, ale przez cały czas utrzymywali ze sobą kontakt.

– Pański ojciec wciąż pracuje?

– Nie, przeszedł już na emeryturę i przeniósł się na Florydę. Codziennie grywa w golfa. Zostałem jedynym właścicielem kancelarii. Ale dwa lata temu mój staruszek pojechał do Clanton i posiedział na werandzie z sędzią Atlee, dyskutując o wojnie secesyjnej i generale Nathanie Bedfordzie Forreście. Wybrali się nawet razem na dwa dni do Shiloh, żeby zwiedzić Gniazdo Szerszeni i Krwawą Sadzawkę. Pański ojciec omal nie zasłabł, kiedy stanął dokładnie w tym miejscu, gdzie padł generał Johnston.

– Byłem tam dziesiątki razy – wtrącił Ray z uśmiechem.

– Wiedziałem, że na takich ludzi jak sędzia Atlee nie wolno próbować wpływać. Kiedyś nazywało się to manipulowaniem sędzią.

– Pewnego razu za coś takiego wpackował adwokata do aresztu  
– przypomniał sobie Ray. – Facet przyszedł do niego przed procesem i próbował mu zrobić pranie mózgu.

– To był Chadwick z Oxfordu, prawda?

Rayowi całkiem odebrało mowę.

– W każdym razie musieliśmy przekonać sędziego Atlee – ciągnął French – że sprawa ryaxu jest bardzo ważna. Wiedzieliśmy, że nie zechce w ogóle słyszeć o przyjeździe na wybrzeże i poprowadzeniu procesu, jeśli nie będzie przekonany, że walczymy o słuszną sprawę.

– Nie znosił tych okolic.

– O tym też świetnie wiedzieliśmy i bardzo nas to martwiło. Ale sędzia był przede wszystkim człowiekiem o niewzruszonych zasadach. Po dwóch dniach rozmów o wojnie secesyjnej, wprawdzie z ociąganiem, ale zgodził się poprowadzić ten proces.

– Czy w takim wypadku sędzia nie musi zostać wyznaczony przez stanowy Sąd Najwyższy? – Czwarty łyk wódki już tak nie palił w gardle. Ray zaczynał nawet czuć jej smak.

Adwokat wzruszył ramionami.

– Musi, ale i na to są sposoby. Mamy wielu przyjaciół.

Krótko mówiąc, w jego świecie każdego można było przekupić.

Pojawił się steward z pełnymi szklankami. Najwyraźniej doskonale wiedział, że w takich sytuacjach jego chlebodawca potrzebuje drugiej kolejki.

French najwyraźniej nie potrafił zbyt długo usiedzieć na miejscu.

– Chodź, oprowadzę cię po jachcie – rzucił i jak na sprężynach poderwał się z leżaka.

Ray wstał i ruszył za nim ostrożnie, mocno ściskając w dłoni szklankę.



## Rozdział 31

---

**D**o kolacji zasiedli w wyłożonej mahoniową boazerią mesie o ścianach udekorowanych modelami dawnych kliperów i kanonierek, morskimi mapami Nowego Świata oraz Dalekiego Wschodu, a nawet kolekcją starych muszkietów, dorzuconą chyba specjalnie po to, by wywołać wrażenie, że *Król Pozwów* już od wieków żegluje po morzach. Wchodziło się do niej z głównego pokładu tuż za sterówką, z wąskiego korytarzyka, na którego końcu był kambuz, gdzie uwijał się wietnamski kuk. Przestrzeń jadalna ograniczała się w zasadzie do owalnego marmurowego stołu dla dwunastu osób, ważącego co najmniej tonę; na jego widok Ray zaczął się zastanawiać, jakim cudem ten jacht utrzymuje się na wodzie.

Tego dnia mieli jednak zasiąść przy nim tylko we dwóch, pod małym kryształowym żyrandolem kołyszącym się w rytm falowania. Ray znalazł się na jednym końcu stołu, French na drugim. Na początek kieliszki zostały napełnione białym burgundem, który po dwóch szklaneczkach zmrożonej wódki wydawał się słabą lurą. Ale French, mimo że wcześniej wypił trzy wódki, delektował się owocową nutą burgunda, wyczuwał nawet lekki smak dębowej beczki w jego bukiecie i jak przystało na snoba, nie omieszkał podzielić się tym ze swoim gościem.

– No to wypijmy za ryax – powiedział w którymś momencie, unosząc kieliszek do spóźnionego toastu.

Ray umoczył tylko wargi i nie odezwał się. Zdawał sobie sprawę, że tego wieczoru powinien jak najmniej mówić, a głównie słuchać z uwagą. Miał nadzieję, że podchmielony gospodarz zdradzi mu wiele tajemnic.

– Dzięki ryaxowi stanąłem na nogi – dodał French, obracając kieliszek w palcach.

– W jaki sposób?

– Każdy możliwy. Ocaliłem swoją duszę. Poza tym byłem winien pieniądze, a ryax uczynił mnie bogatym. – Upił kolejny łyk wina, oblizał wargi i z rozkoszą wzniósł oczy do nieba. – Przed dwudziestu laty nie udało mi się załapać na procesy przeciwko wytwórcom azbestu. W dokach Pascagouli stosowano azbest od stuleci, dziesiątki tysięcy ludzi się przez to rozchorowało. A ja przepuściłem taką okazję. Zanadto się koncentrowałem na skarżeniu lekarzy i firm ubezpieczeniowych, co przynosiło nawet niezłe dochody, ale niedające się porównać z zyskami z pozwów zbiorowych. Jesteś gotów na ostrygi?

– Tak.

Adwokat wcisnął dzwonek i po chwili steward przyniósł dwie tace surowych rozkrojonych ostryg. Ray, szykując się do uczty, dodał do sosu chrzan.

French, zaabsorbowany mówieniem, nadal obracał kieliszek.

– Potem głównym tematem dla wielu tutejszych prawników stał się tytoń – ciągnął ze smutkiem. – Myślałem, że im odbiło. Do diabła, wtedy wszyscy tak sądzili. Tymczasem pozwy przeciwko firmom tytoniowym wpływały prawie w każdym stanie. Miałem wprawdzie okazję przyłączyć się do tego frontalnego natarcia, ale za bardzo się bałem. Przyznaję to z ciężkim sercem. Byłem za dużym tchórzem.

– Co musiałyby pan zaryzykować? – zapytał Ray, wkładając pierwszą ostrygę do ust.

– Milion dolarów na pokrycie kosztów wystąpienia z pozwem. A miałem ten milion.

– Jakiej sumy żądano od strony pozwanej?

– W sumie ponad trzysta miliardów. To była największa afera prawno-finansowa. Firmy tytoniowe przekupywały adwokatów. Ominął mnie udział w największej łapówce w dziejach ludzkości. – French wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać, ale napił się wina i odzyskał równowagę.

- Świetne ostrygi – powiedział Ray z pełnymi ustami.
- Jeszcze wczoraj siedziały spokojnie pięć metrów pod wodą. Gospodarz dolał sobie wina i przysunął tacę z małżami.
- Ile by pan zarobił, gdyby wyłożył pan ten milion?
- Dwieście do jednego.
- Dwieście milionów dolarów? – nie mógł uwierzyć Ray.
- Zgadza się. Przez rok nie mogłem tego przeboleć, większość adwokatów pluła sobie w brodę. Dobrze wiedzieliśmy, o co toczy się gra, ale stchórzyliśmy w ostatniej chwili.
- A potem pojawił się ryax.
- No właśnie.
- Jak pan na to trafił? – Ray podejrzewał, że wyjaśnienia zajmą jakiś czas, co da mu możliwość zjedzenia wybornych ostryg.
- Byłem na seminarium adwokatów procesowych w Saint Louis. Missouri to całkiem ładny stan, ale jeśli chodzi o pozwy zbiorowe, pozostaje za nami daleko w tyle. W końcu nasi adwokaci od azbestu i tytoniu uwijali się już od lat i zgarniali góry pieniędzy, dając innym przykład, jak to robić. Wybrałem się wtedy na drinka z pewnym starszym prawnikiem z małego miasteczka w górach Ozark. Jego syn wykładał farmację na Uniwersytecie Columbii i prowadził badania nad ryaxem. Ich wyniki były przerażające. Ten cholerny lek po prostu zżerał ludziom nerki, a ponieważ był w sprzedaży od niedawna, nikt jeszcze nie wniósł pozwu przeciwko jego wytwórcy. Szybko znalazłem pewnego specjalistę z Chicago, który poprzez jakiegoś lekarza z Nowego Orleanu dotarł do Clete’a Gibsona. Już po pierwszej serii badań osób zażywających ryax ruszyła lawina skarg. Potrzebny był nam tylko pierwszy głośny wyrok.
- Dlaczego nie chciał pan procesu przed ławą przysięgłych?
- Bardzo lubię przysięgłych. Uwielbiam ich wybierać, przesłuchiwać, podsuwać wątpliwości, manipulować nimi, a nawet ich przekupywać, ale są nieprzewidywalni. Zależało mi na pewniaku, gwarancji zwycięstwa. No i na szybkim procesie. Plotki na temat ryaxu rozchodziły się lotem błyskawicy,

w wyobraźni widziałem już zastępy adwokatów rzucających się jak hieny na ludzi cierpiących z powodu skutków ubocznych tego leku. Podpisywaliśmy naraz po dziesięć umów. Wiadomo było, że adwokat, który pierwszy wywalczy w tej sprawie wielkie odszkodowanie, pociągnie za sobą następnych, zwłaszcza tu, w rejonie Biloxi. Miyer-Brack to firma szwajcarska...

– Czytałem akta – wszedł mu w słowo Ray.

– Wszystkie?

– Tak. Wczoraj, w archiwum sądu okręgu Hancock.

– W każdym razie Europejczycy są przerażeni naszym systemem pozwów zbiorowych.

– To chyba zrozumiałe.

– Owszem, ale powinno to przynieść pozytywny skutek, zmusić ich do uczciwości. Tymczasem wcale się nie martwią tym, że produkowany przez nich lek ma działania uboczne i wyrządza ludziom więcej szkody, niż przynosi pożytku, a jedynie tym, że mogą stracić miliony. Właśnie tacy jak ja muszą ich trzymać w ryzach.

– Szwajcarzy wiedzieli o ubocznych działaniach ryaxu?

French wsunął do ust ostrygę, przełknął ją i popił winem.

– Dość wcześnie – odparł. – Ale ryax okazał się tak skuteczny w obniżaniu poziomu cholesterolu, że Miyer-Brack, za aprobatą naszej komisji leków, zdecydował się wprowadzić go na rynek. Reklamowano go jako cudowny środek i rzeczywiście przez parę lat robił furorę. Aż tu nagle: bach! Okazuje się, że torebki nefronów... Wie pan, jak są zbudowane nerki?

– Dla potrzeb tej rozmowy powiedzmy, że nie mam pojęcia.

– Otóż w każdej nerce jest około miliona maleńkich ciałek filtrujących zwanych nefronami, a ryax zawierał substancję chemiczną, która dosłownie je rozpuszczała. Nie wszyscy chorzy zmarli wskutek tego, tak jak biedny pan Gibson. U różnych ludzi występuje różny stopień wyniszczenia. Ale są to zmiany nieodwracalne. Nerka jest wspaniałym organem, potrafi się w dużym stopniu regenerować, ale nie po pięciu latach zatrucia ryaxem.

– Kiedy wytwórca leku się o tym dowiedział?

– Trudno dokładnie powiedzieć, ale przedstawiliśmy sędziemu Atlee wewnętrzne sprawozdanie z laboratorium Miyer-Bracka, w którym zalecano wielką ostrożność i dalsze szczegółowe badania. Twórcy leku wykazali zaniepokojenie po tym, jak już od czterech lat był w sprzedaży i cieszył się olbrzymią popularnością. A potem było już za późno, bo ludzie zaczęli poważnie chorować, a nawet umierać. Z mojego punktu widzenia trzeba było tylko znaleźć idealnego klienta, co się nam udało, idealne forum, co też poszło gładko, i załatwić sprawę jak najszybciej, zanim innemu adwokatowi uda się wywalczyć duże odszkodowanie. Właśnie na tym etapie pojawił się na scenie pański ojciec.

Steward zabrał tace z muszlami ostryg i przyniósł sałatkę z krabów. French osobiście wybrał inny gatunek burgunda z „piwniczki” znajdującej się na pokładzie.

– Co się stało po zakończeniu procesu Gibsona? – zapytał Ray.

– Nie marzyłem nawet, że pójdzie aż tak dobrze. Miyer-Brack został zgnieciony jak pluskwa, te aroganckie dupki miały łzy w oczach. Dysponowali milionami dolarów i płacili ogromne pieniądze swoim adwokatom, a pewnie byli również gotowi przekupywać prawników strony przeciwnej. Przed procesem miałem czterystu klientów i nie mogłem im niczego obiecać, po procesie było ich pięć tysięcy, zachęconych wieścią o jedenastomilionowym odszkodowaniu. Przez miesiąc latałem odrzutowcem po całym kraju i podpisywałem umowy o współpracy z innymi kancelariami. Pewien gość z Kentucky miał sto przypadków, drugi z Saint Paul osiemdziesiąt. I tak dalej. Mniej więcej cztery miesiące po ogłoszeniu wyroku zebraliśmy się w Nowym Jorku na wielkiej konferencji poświęconej warunkom ugody. W niespełna trzy godziny załatwiliśmy sześć tysięcy spraw za siedemset milionów dolarów. A miesiąc później dla następnych tysiąca dwustu poszkodowanych wywalczyliśmy dalszych dwieście milionów.

– Jakie było pańskie honorarium?

Ray wiedział, że każdy inny rozmówca uznałby to pytanie za niedyskretne, wyczuwał jednak, że French aż się pali, by porozmawiać o swojej fortunie.

– Połowa każdego odszkodowania pomniejszona o wydatki poszła dla prawników, reszta dla klientów. To najgorsza strona pozwów zbiorowych, dokładnie połowę zdobytych pieniędzy trzeba oddać klientowi. Poza tym musiałem podzielić zyski z innymi adwokatami, ale i tak wyszedłem z tego bogatszy o ponad trzysta milionów. To jest właśnie najpiękniejsze w pozwach zbiorowych. Podpisuje się kontrakty hurtowo, tak samo hurtowo załatwia odszkodowania, po czym zgarnia się połowę dla siebie.

Przerwali jedzenie, jakby przeszkadzały im w tym wymienione astronomiczne sumy.

– Trzysta milionów dolarów honorarium? – powtórzył Ray z niedowierzaniem.

French dolał wina do kieliszków.

– Prawda, że brzmi cudownie? Forsa napływała tak szybko, że nie nadążałem z wydawaniem jej.

– Aż tak źle chyba nie jest z tym wydawaniem.

– To dopiero wierzchołek góry lodowej. Spotkał się pan z lekiem o nazwie minitrin?

– Czytałem pańską stronę internetową.

– Naprawdę? Podobała się?

– Bardzo ciekawa. Zwłaszcza te dwa tysiące spraw przeciwko wytwórcy minitrinu.

– Już trzy tysiące. Ten środek na nadciśnienie produkowany przez Shyne Medical powoduje bardzo groźne skutki uboczne. W tej chwili wytwórca proponuje po pięćdziesiąt tysięcy dolarów dla każdego poszkodowanego, ale ja się nie zgadzam. Poza tym mam tysiąc czterysta spraw przeciwko producentowi kobrilu, leku antydepresyjnego, który doprowadza do utraty słuchu. A słyszał pan o Chudym Benie?

– Tak.

– Mam już trzy tysiące umów w tej sprawie. I tysiąc pięćset...

– Widziałem listę. Zakładam, że informacje na stronie internetowej są uaktualniane na bieżąco.

– Oczywiście. W każdym razie zostałem królem pozwów zbiorowych w tym hrabstwie. Wszyscy się do mnie zgłaszają. Zatrudniam w swojej kancelarii trzynastu adwokatów, a znalazłoby się pracy dla czterdziestu.

Zjawił się steward, żeby zebrać naczynia po sałatce, po czym wrócił i postawił na środku stołu duży półmisek z miecznikiem i przyniósł następne wino, chociaż poprzednia butelka była opróżniona tylko do połowy. French wykonał rytuał degustacji, a potem z namysłem, jakby trochę niechętnie, zaaprobował trunek. Dla Raya niewiele różnił się on smakiem od wcześniejszych.

– A wszystko to zawdzięczam sędziemu Atlee – powiedział adwokat.

– Jakim sposobem?

– Bo miał odwagę podjąć właściwą decyzję, zatrzymał adwokatów Miyer-Bracka w hrabstwie Hancock i nie pozwolił im zwać do sądu federalnego. Doskonale wiedział, o co toczy się gra, więc surowe ukaranie winnych było odważne z jego strony. Najważniejszy jest wybór właściwej chwili, Ray. Niespełna pół roku po ogłoszeniu przez pana ojca werdyktu miałem już na swoim koncie ponad trzysta milionów dolarów.

– I zatrzymał pan wszystko dla siebie?

French zamarł z uniesionym widelcem. Zamyślił się na krótko, wreszcie włożył kawałek ryby do ust, smakował ją przez chwilę, a potem odparł:

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Chyba jednak świetnie pan rozumie. Pytałem, czy przekazał pan mojemu ojcu jakieś pieniądze.

– Tak.

– Ile?

– Jeden procent.

– To znaczy trzy miliony?

– Z małym okładem. Ta ryba jest doskonała, nie sądzi pan?

– Wyśmienita. Dlaczego pan to zrobił?

Adwokat odłożył widelec i obiema dłońmi przygładził włosy. Potem wytarł usta serwetką i zakręcił winem w kieliszku.

– Podejrzewam, że w tej kwestii ma pan wiele dalszych pytań. Dlaczego, kiedy, jak, kto?

– Świetnie potrafi pan opowiadać, więc chętnie posłucham.

Jeszcze raz zakręcił winem, upił łyżeczek i uśmiechnął się błogo.

– Wcale nie jest tak, jak pan myśli, choć przyznaję, że za taki wyrok gotów byłbym dać łapówkę i pańskiemu ojcu, i każdemu innemu sędziemu. Robiłem to już wcześniej i z radością będę robił nadal. Takie są koszty. Ale szczerze powiedziawszy, byłem pod tak wielkim wrażeniem postawy sędziego Atlee i jego reputacji, że nie miałem odwagi zaproponować mu układu. Pewnie wsadziłby mnie za kratki.

– Gorzej. Zadbałby o to, żeby pan zgnął za kratkami.

– Tak, wiem. Mój ojciec powtarzał mi to samo. Dlatego zastosowałem się do reguł. Proces przypominał otwartą wojnę, ale racja była po mojej stronie. Wygrałem, odniosłem druzgoczące zwycięstwo, które zapoczątkowało szereg następnych. Pod koniec lata, kiedy zawarliśmy ugodę i zaczęły napływać pieniądze ze Szwajcarii, myślałem o tym, by zrobić pana ojcu jakiś prezent. Zawsze troszczę się o ludzi, którzy mi pomagają. Jeden dostanie nowy samochód, drugi domek letniskowy, trzeci worek gotówki z wyrazami wdzięczności. Jestem twardy, ale nigdy nie zapominam o przyjaciółach.

– Mój ojciec nie był pańskim przyjacielem.

– Powiedzmy, że nie byliśmy kumplami, ale z mojego punktu widzenia nigdy nie miałem lepszego przyjaciela. Wszystko zaczęło się od niego. Czy zdaje pan sobie sprawę, ile dzięki niemu zarobię forsy w ciągu najbliższych pięciu lat?

– Pewnie znów mnie pan zaskoczy.

– Pół miliarda. I wszystko zawdzięczam pańskiemu staruszkowi.

– Nigdy nie będzie pan miał dość?



– Jeden z tych, którzy skarżyli producentów papierosów, dorobił się miliarda. Najpierw muszę go prześcignąć.

Ray poczuł, że musi się napić. Spojrzał na wino w swoim kieliszku, jakby szacował jego jakość, po czym wypił do dna.

– Zakładam, że pan nie kłamie – powiedział, patrząc na Frencha jedzącego rybę.

– Nigdy nie kłamię. Mogę kręcić i rozdawać łapówki, ale nie kłamię. Jakies pół roku temu, kiedy kupowałem samoloty i jachty, domki przy plaży i w górach, nową siedzibę kancelarii, dotarła do mnie wiadomość, że u pańskiego ojca wykryto raka, którego nie da się zoperować. Dlatego chciałem mu zrobić prezent. Wiedziałem, że nie ma pieniędzy, a wszystko, co dostaje, z zapalem rozdaje potrzebującym.

– I wysłał mu pan trzy miliony w gotówce?

– Owszem.

– Tak po prostu?

– Zgadza się. Zadzwońłem i powiedziałem, że wysyłam mu przesyłkę, a ściślej mówiąc, aż cztery przesyłki, cztery duże kartonowe pudła. Jeden z moich chłopców zawiózł je furgonetką i zostawił na werandzie. Sędzię akurat nie było w domu.

– Cztery pudła nieznaczonych banknotów?

– A po co miałbym je znakować?

– Jak zareagował?

– Nie odezwał się do mnie ani słowem. A ja nawet nie zadzwoniłem.

– Co zrobił z tą forszą? – spytał Ray.

– To już pan powinien wiedzieć. Jest pan jego synem, znał go pan lepiej ode mnie. Sam jestem ciekaw, co z nią zrobił.

Ray odsunął się z krzesłem od stołu, założył nogę na nogę i trzymając w ręce kieliszek z winem, próbował zachować spokój.

– Kiedy się przekonał, co jest w pudłach stojących na werandzie, na pewno sklął pana w duchu na czym świat stoi – powiedział.

– Aha. To do niego podobne.

– Przetaszczył kartony do holu i ustawił obok innych, ze starymi dokumentami. W pierwszej chwili chciał je zapakować do samochodu i odwieźć z powrotem do Biloxi. Ale minął dzień, potem drugi. Był już stary, schorowany i bardzo słaby, za kierownicą też nie czuł się pewnie. Wiedział, że niewiele życia mu zostało, więc patrzył prawdopodobnie na wiele spraw inaczej. Po kilku dniach postanowił ukryć pieniądze w domu, bez przerwy jednak myślał o tym, żeby przyjechać do Biloxi i solidnie dobrać się panu do tyłka. Tymczasem z dnia na dzień czuł się coraz gorzej.

– Kto znalazł pieniądze?

– Ja.

– Są tam do tej pory?

– Nie. Mam je w bagażniku samochodu stojącego pod pańską kancelarią.

French wybuchnął głośnym śmiechem.

– A więc wróciły do punktu wyjścia – wycedził, z trudem łapiąc oddech.

– Owszem, tyle że odbyły długą podróż. Znalazłem je w gabinecie ojca krótko po tym, jak stwierdziłem, że nie żyje. W nocy ktoś próbował się włamać i je ukraść. Dlatego zabrałem je do siebie, do Wirginii, ale tam ktoś mnie śledził, więc przywiozłem je z powrotem tutaj.

Adwokat błyskawicznie spoważniał i wytarł usta serwetką.

– Ile pan znalazł?

– Trzy miliony sto osiemnaście tysięcy.

– Do diabła! Nie ruszył ani dolara!

– I nie wspomniał o nich nawet jednym słowem w testamencie. Po prostu zostawił je w komodzie, przepakowane do pudełek po firmowym papierze.

– Kto próbował się włamać?

– Liczyłem na to, że pan mi to powie.

– Mam pewne podejrzenia.

– Więc proszę mówić.

– To inna długa historia.

## Rozdział 32

---

**S**teward przyniósł im wybór słodowych whisky na górny pokład, z którego widać było majaczące w oddali światła Biloxi, i French przy ostatnim drinku przystąpił do kolejnej opowieści. Ray w ogóle nie był amatorem whisky, a tym bardziej słodowej, udawał jednak zadowolenie, mając nadzieję, że alkohol całkowicie rozwiąże język adwokatowi, który kawałek po kawałeczku odsłaniał tajemnicę, a Ray bardzo chciał ją poznać.

Ostatecznie French zdecydował się na lagavulin ze względu na jej dymny posmak, choć Rayowi nic to nie mówiło. Na stoliku stały jeszcze cztery inne butelki przypominające dumnych strażników jakichś cennych starych insygniów, on jednak czuł, że jak na jeden wieczór dość już wypił. Dlatego postanowił sączyć trunek małutkimi łyżkami, trzymać go w ustach i przy każdej nadarzającej się okazji wypluwać za burtę. Z ulgą przyjął to, że steward nalewał tak, że whisky tylko pokrywała grube dno niskich szklanek, tak ciężkich, że gdyby spadły, mogłyby wybić dziurę w pokładzie.

Dochodziła dopiero dziesiąta, Ray jednak miał wrażenie, że jest środek nocy. Nad morzem zalegały nieprzeniknione ciemności, w zasięgu wzroku nie było żadnej innej łodzi. Wiał lekki wiatr z południa, *Król Pozwów* kołysał się delikatnie na falach.

– Kto jeszcze wie o pieniądzach? – zapytał French, oblizując wargi.

– My dwaj i człowiek, który zawiózł je do Clanton.

– On jest najbardziej podejrzany.

– Kto to jest? – spytał Ray.

Łyk whisky i głośne mlaśnięcie. Ray podniósł tylko szklanke do ust i od razu tego pożałował. Szumiało mu już w głowie, a mocniejszy trunek znów zdawał się wypalać wnętrzności.

– Gordie Priest. Pracował u mnie przez jakieś osiem lat, najpierw jako goniec, potem łowca klientów, wreszcie jako doręczyciel pism. Pochodzi z rodziny dobrze znanej na wybrzeżu, o bogatej przeszłości kryminalnej. Jego ojciec i wujowie przyjmowali nielegalne zakłady, zajmowali się stręczycielstwem, produkowali bimber, prowadzili meliny, nie zhańbili się żadną uczciwą pracą. Należeli do miejscowego półświatka określanego kiedyś mianem mafii z Południa. Ta gromada łobuzów jeszcze dwadzieścia lat temu nieźle trzęsa tu wszystkim, ale teraz należy już do historii. Większość wylądowała w więzieniu. Znałem ojca Gordiego, którego zastrzelono przed barem niedaleko Mobile. Cała rodzinka była dość żałosna, ale moja rodzina ich znała.

Można było stąd wnioskować, że i Frenchowie należeli do tej samej bandy łobuzów, tyle że nie zostało to powiedziane wprost. Adwokaci mafijni są ludźmi z pierwszego szeregu, uśmiechającymi się do kamer i po cichu załatwiającyymi różne sprawy.

– Gordie po raz pierwszy trafił za kratki, kiedy miał dwadzieścia lat. Ukradł samochód i zrobił sobie wycieczkę po kilkunastu stanach. Zatrudniłem go, jak tylko wyszedł, i z czasem stał się jednym z najlepszych naganiaczy na całym wybrzeżu stanu Missisipi. Najlepiej radził sobie z ofiarami wypadków na morzu. Znał ludzi z platform wiertniczych i jeśli ktoś zginął albo został ranny, Gordie miał już podpisaną umowę. Dawałem mu niezły procent od każdej sprawy. Naganiaczy trzeba dobrze opłacać. On jednak natychmiast wszystko wydawał na hazard i kobiety. Uwielbiał jeździć do Las Vegas, gdzie przez tydzień nie trzeźwiał i szastał forszą na lewo i prawo. Zachowywał się jak ostatni kretyn, choć wcale nie był głupi. Zawsze potrafił wyleźć z dołka. Gdy kończyły mu się pieniądze, golił się, wkładał

garnitur i zdobywał następnego klienta. A jak tylko dostał forszę, znowu ruszał w tango.

– No, ale jaki to ma związek ze mną? – wtrącił Ray.

– Nie tak szybko. W ubiegłym roku, po zakończeniu sprawy Gibsona, forsa zaczęła napływać wielkimi falami. Najpierw musiałem spłacić swoje długi, bo nieźle się zapożyczyłem u różnych ludzi. Musiałem też płacić adwokatom, którzy podsyłali mi swoich klientów, i lekarzy badających tysiące nowych ofiar leku. Nie było w tym nic nielegalnego, ale większość ludzi wolała odbierać swoją dawkę bez pokwitowania. Wtedy popełniłem duży błąd, wykorzystując Gordiego jako kuriera. Myślałem, że mogę mu zaufać. Sądziłem, że jest lojalny. Ale się myliłem.

French opróżnił kieliszek i sięgnął po drugą butelkę. Ray podziękował, tłumacząc, że zostanie przy lagavulin.

– I to on zawiózł pieniądze do Clanton i zostawił je na werandzie? – zapytał.

– Owszem. A trzy miesiące później ukradł milion dolarów w gotówce i zniknął bez śladu. Ma dwóch braci. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nie było chyba jednego dnia, by któryś z nich trzech nie siedział w więzieniu. Teraz jednak wszyscy są na zwolnieniu warunkowym i starają się wszelkimi sposobami wyciągnąć ode mnie pieniądze. Wymuszenia traktuje się jak poważne przestępstwo, ale sam pan rozumie, że nie mogę się zgłosić ze skargą do FBI.

– Na jakiej podstawie pan przypuszcza, że to właśnie oni postanowili ukraść te trzy miliony?

– Z podsłuchanych rozmów. Kilka miesięcy temu wynająłem paru specjalistów, żeby odnaleźli Gordiego, i założyli podsłuch telefoniczny.

– Co zrobią, kiedy go znajdą?

– Jest nagroda za jego głowę.

– To znaczy... dla tych wynajętych specjalistów?

– Tak.

Ray jednym haustem opróżnił szklanę.

\* \* \*

Noc spędził na jachcie, w obszernej kajucie gdzieś głęboko pod pokładem, a kiedy się obudził i po wielu próbach zdołał w końcu wyjść na świeże powietrze, słońce stało już wysoko, było gorąco i parno. Kapitan przywitał go uprzejmie i wskazał pokład dziobowy, gdzie French wykrzykiwał coś do aparatu komórkowego.

Wierny steward wyłonił się jak spod ziemi i zaproponował kawę. Śniadanie już czekało na stole, obok galerii butelek z whisky, stojących teraz w cieniu rozpostartego płóciennego daszka.

– Uwielbiam jeść na świeżym powietrzu – oznajmił adwokat, podchodząc bliżej. – Przespał pan dziesięć godzin.

– Naprawdę? – Ray ze zdziwieniem spojrział na zegarek, który nadal pokazywał czas z Charlottesville. Nie mógł sobie przypomnieć, jaki to dzień tygodnia. Wiedział tylko, że jest na pokładzie jachtu na wodach Zatoki Meksykańskiej, ponad milion kilometrów od domu, a na barkach czuł dokuczliwy ciężar wiedzy, że ścigają go podejrzane typki z tutejszej mafii.

Na stole leżało pieczywo i płatki śniadaniowe.

– Tin Lu błyskawicznie przyrządzi wszystko, na co ma pan ochotę. Smażony bekon, jajecznicę, gofry, owsiankę.

– Dzięki, wystarczy mi to, co jest.

French sprawiał wrażenie nadzwyczaj ożywionego, gotowego podjąć wszelkie wyzwania kolejnego dnia pracy, jeśli tylko rokowały nadzieję na zdobycie co najmniej półmilionowego honorarium. Miał na sobie koszulę taką jak wczoraj, tyle że białą, również zapiętą pod samą szyję, te same szorty i klapki. W jego twarzy nie było nawet śladu po wczorajszym pijaństwie.

– Właśnie przyjąłem kolejnych trzysta spraw przeciwko wytwórcy minitrinu – oznajmił swobodnie, sypiąc sobie do talerza dużą porcję płatków śniadaniowych.

Oczywiście każda sztuka zastawy stołowej była ozdobiona logo F&F. Ray miał już dosyć rozmów o pozwach zbiorowych.

- To świetnie, ale mnie teraz bardziej interesuje Gordie Priest.
- Znajdziemy go. Już powiadomiłem swoich ludzi.
- Prawdopodobnie jest w mieście.

Ray wyciągnął z tylnej kieszeni spodni złożoną kartkę ze zdjęciem drzwi boksu 37F, tą, którą wczoraj rano znalazł za wycieraczką samochodu. French przerwał jedzenie i zapatrzył się na fotografię.

– To gdzieś w Wirginii? – zapytał.

– Owszem. To drugi boks z trzech, które wynająłem w pewnym składzie. Skoro zidentyfikowali dwa pierwsze, na pewno wiedzą też o trzecim. I wczoraj rano świetnie wiedzieli, gdzie mnie szukać.

– Ale na pewno nie wiedzą, gdzie są pieniądze, inaczej po prostu wykradliby je nocą z bagażnika samochodu albo zatrzymaliby pana gdzieś w drodze z Clanton do Biloxi i zwyczajnie wpakowali kulkę w łeb.

– Nie może pan wiedzieć, co oni planują – poskarżył się Ray.

– Owszem, wiem. Bo próbuję myśleć tak jak oni, czyli jak bandziory.

– Może pan jest z tym oswojony, ale niektórym wcale nie przychodzi to łatwo.

– Gdyby Gordie i jego bracia wiedzieli, że wozi pan trzy miliony w bagażniku, już by je zabrali. To nie ulega wątpliwości.

– French odłożył kartkę i wrócił do przerwanego posiłku.

– Nic nie jest tak proste, jak się wydaje – burknął Ray.

– Co pan zamierza zrobić? Zostawić mi te pieniądze?

– Tak.

– Niech pan nie będzie głupi, Ray. To przecież trzy miliony, nieopodatkowane.

– Ale i bezużyteczne, jeśli przez nie skończę z dziurą między oczami. Wystarczy mi moja całkiem niezła pensja.

– Pieniądze są bezpieczne. Proszę je zostawić tam, gdzie są. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby odnaleźć tych łobuzów. Wkrótce będą niegroźni.

Perspektywa zapewnienia mu spokoju w wykonaniu Frencha do reszty odebrała Rayowi apetyt.

– Jedz, człowieku! – warknął adwokat.

– Przyznaję, że nerwy mnie zawodzą – odezwał się Ray. – Brudne pieniądze, bandyci włamujący mi się do mieszkania i ścigający mnie po całym Południu, podsłuchy telefoniczne, wynajęci zabójcy. Co ja tu właściwie robię, do cholery?

French nawet nie podniósł głowy znad talerza. Jego nerwy musiały być wzmocnione mosiężnymi okuciami.

– Tylko spokojnie. Pieniądze będą pańskie.

– Wcale ich nie chcę.

– Na pewno pan chce.

– Nic podobnego.

– To proszę je dać Forrestowi.

– I doprowadzić do katastrofy?

– No to niech je pan przekaże na cele dobroczynne, zasili fundusz uczelni, przeznaczy na coś, co poprawi panu samopoczucie.

– A może lepiej oddam je Gordiemu, żeby zostawił mnie wreszcie w spokoju?

French odłożył łyżkę, wyprostował się i rozejrzał, jakby ktoś mógł go tu podsłuchiwać.

– W porządku, moi chłopcy wczoraj wieczorem natknęli się na Gordiego w Pascagouli – oznajmił głośnym szeptem. – Depczą mu po piętach, jasne? Dopadną go w ciągu najbliższej doby.

– I wtedy stanie się niegroźny?

– Raz na zawsze.

– Na pewno?

– Przejdzie do historii, a pańskie pieniądze będą bezpieczne. Trzeba tylko poczekać, jasne?

– Chciałbym już wrócić na ląd.

French wytarł resztki mleka z warg, wyciągnął z kieszeni krótkofalówkę i nakazał szykować motorówkę. Kilka minut później była już gotowa.



- Proszę je sobie dobrze obejrzeć - powiedział przy pożegnaniu, podając Rayowi dużą szarą kopertę.
- Co to jest?
- Zdjęcia braci Priestów. Na wypadek, gdyby się pan na nich natknął.

\* \* \*

Ray zajrzał do koperty, dopiero gdy zatrzymał się w Hattiesburgu, półtorej godziny drogi od wybrzeża. Zatankował, kupił kanapkę w zatłuszczonym papierze i pojechał dalej, chcąc jak najszybciej znaleźć się w Clanton, gdzie Harry Rex dobrze znał szeryfa i wszystkich jego zastępców.

Zdjęcie Gordiego pochodziło z akt policyjnych i zostało zrobione w 1991 roku. Już sam wyraz jego twarzy robił przerażające wrażenie. Obaj bracia, Slatt i Alvin, nie mieli ani trochę przyjemniejszych buziek. Ray nie potrafił nawet określić, który z nich jest starszy, a który młodszy, choć po prawdzie, wcale go to nie interesowało. Nawet nie byli do siebie podobni. Pewnie mieli wspólną matkę, ale różnych ojców.

W tej chwili gotów był odliczyć po milionie dla każdego z nich, byle tylko zostawili go w spokoju.

## Rozdział 33

---

**K**iedy znalazł się wśród wzgórz między Jackson a Memphis, wybrzeże Zatoki Meksykańskiej wydało mu się odległe o tysiące kilometrów. Wielokrotnie zachodził w głowę, jak to możliwe, że tak mały stan jest aż tak bardzo zróżnicowany. Nadrzeczne równiny z plantacjami bawełny i polami ryżowymi, a kawałek dalej, na wzgórzach siedliska straszliwej biedy zdumiewającej wszystkich przyjezdnych; bogate wybrzeże zaskakiwało różnorodnością emigrantów, beztroskim podejściem do życia i przestępczością dorównującą Nowemu Orleanowi; tymczasem większość hrabstw na wzgórzach w głębi lądu wciąż cierpiała z powodu suszy, a ludzie ciągle chodzili co niedziela do kościoła. Ludzie stamtąd nie mogli zrozumieć mieszkańców wybrzeża i nie mieli szans na akceptację w społeczności z Deltą Missisipi. Dlatego Ray bardzo się cieszył, że mieszka w Wirginii.

Patton French był tylko złym snem, powtarzał na okrągło w myślach. Karykaturalną postacią z innego świata; nadętym palantem pożeranym żywcem przez własne rozdęte ego; kłamcą, łapówkarzem i bezwstydnym oszustem.

Ilekcroć spojrzał jednak na zdjęcia rozrzucone na prawym fotelu, jego wzrok napotykał paskudną gębę Gordiego Priesta. Już pierwszy rzut oka wystarczył, by zyskać absolutną pewność, że ten bandzior i jego bracia są gotowi na wszystko dla zdobycia pieniędzy, które woził ze sobą po całym kraju.

Gdy był godzinę drogi od Clanton i wszedł w zasięg przekaźnika, zadzwoniła nowa komórka. Fog Newton sprawiał wrażenie do głębi wzburzonego.

– Gdzieś ty się podziewał, do cholery?! – ryknął.

- Nawet byś nie uwierzył.
- Wydzwaniam od samego rana.
- Co się stało? – spytał Ray.

– Mieliśmy tu drobny wypadek. Wczoraj wieczorem, już po zamknięciu lotniska, ktoś zakradł się do hangaru i podłożył ładunek zapalający na lewym skrzydle bonanzy. Bum! Na szczęście woźny z głównego terminalu widział rozbłysk i wezwał straż pożarną, która zjawiła się bardzo szybko.

Ray zjechał na pobocze autostrady numer pięćdziesiąt pięć i zatrzymał wóz. Mruknął coś, ale Fog jakby go nie słyszał.

– Zniszczenia są poważne – ciągnął. – Nie ma wątpliwości, że była to próba podpalenia. Jesteś tam?

– Tak, słucham. Co uległo zniszczeniu?

– Lewe skrzydło, silnik i większa część kadłuba. Straty są na tyle poważne, że ubezpieczyciel uzna, że trzeba ją zezłomować. Był tu już inspektor dochodzeniowy ze straży pożarnej, kręcili się rzeczoznawcy z firmy ubezpieczeniowej. Gdyby zbiorniki były pełne paliwa, w ogniu stanąłby cały hangar.

– Pozostali właściciele już wiedzą?

– Tak. Wszyscy byli w tym czasie poza miastem, bo oczywiście jesteście na pierwszych miejscach listy podejrzanych. Masz szczęście, że i ciebie tu nie było. Kiedy wracasz?

– Niedługo.

Ray dotarł do najbliższego zjazdu i skręcił na wysypany żwirem parking dla ciężarówek, gdzie długo przesiedział bez ruchu w pełnym słońcu, co jakiś czas zerkając na fotografię Gordiego Priesta. Ci bandyci działali błyskawicznie, wczoraj rano byli w Biloxi, a wieczorem już w Charlottesville. Gdzie mogli być teraz?

Wszedł do baru, zamówił kawę i pił, jednym uchem przysłuchując się rozmowom kierowców. Chcąc uciec od złych myśli, zadzwonił do Alcorn Village, żeby porozmawiać z bratem. Forrest był w swoim pokoju i spał jak niemowlę, tak przynajmniej powiedział. Szybko dodał, że to zdumiewające, ile może spać podczas kuracji odwykowej. Poskarżył się

kierownikowi na jedzenie i trochę się poprawiło. A może to on zmienił upodobania i rozsmakował się w różowej galaretkie? Wreszcie zapytał niczym dziecko w Disneylandzie, ile jeszcze będzie mógł tam zostać. Ray odparł, że nie jest pewien, bo chyba się przeliczył z zasobnością swego konta.

– Nie zostawiaj mnie na łodzi, braciszku – odezwał się błagalnie Forrest. – Chciałbym zostać na odwyku do końca życia.

Synowie Atkinsów skończyli naprawiać dach w Klonowym Źdroju; tym razem obeszło się bez wypadku. Kiedy Ray zajechał przed dom, nikogo w pobliżu nie było. Zadzwoił do Harry’ego Rexa, by poinformować go, że już wrócił.

– Nie napiłbyś się ze mną zimnego piwa wieczorem na werandzie? – zapytał.

Adwokat nigdy nie odrzucał takich zaproszeń.

\* \* \*

Wybrał stosunkowo płaski kawałek frontowego trawnika, na wprost wejścia do domu, i po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że to doskonałe miejsce na wymycie samochodu. Zaparkował tam audi przodem do ulicy, zaledwie krok od schodów na werandę. W piwnicy znalazł stare poobijane ocynkowane wiadro, a w szopie na tyłach kawałek ciekącego węża. W samych spodenkach, boso, przez dwie godziny w popołudniowym upale metodycznie pucował samochód, a potem jeszcze przez godzinę polerował i woskował karoserię. O piątej po południu otworzył butelkę zimnego piwa i usiadł na stopniach, żeby podziwiać swoje dzieło.

Zadzwoił pod numer, który dostał od Pattona Frencha, ale ten był oczywiście zbyt zajęty, żeby z nim rozmawiać. Ray zdążył mu tylko podziękować za gościnę, choć w rzeczywistości chciał się dowiedzieć, czy jest jakiś postęp w unieszkodliwianiu braci Priestów. Nie miał odwagi zapytać wprost, liczył na to, że taki bufon jak French od razu przekaże mu pomysłów wieści, gdyby nadeszły.

Ale wyglądało na to, że adwokat już całkiem o nim zapomniał. W gruncie rzeczy wcale go nie obchodziło, czy Priestowie dopadną Raya, czy kogoś innego. Musiał przecież zarobić pół miliarda na swoich pozwach zbiorowych i tylko temu jednemu celowi poświęcał całą energię. Gdyby zaskarżyć kogoś takiego jak French o łapownictwo albo zlecenie morderstwa, wynająłby pięćdziesięciu adwokatów i natychmiast przekupiłby wszystkich sędziów, prokuratorów, przysięgłych, a nawet woźnych sądowych.

Ray zadzwonił do Coreya Crawforda i dowiedział się, że dozorca po raz drugi naprawił drzwi, a policja obiecała zwracać baczniejszą uwagę na dom przez kilka następnych dni, do czasu jego powrotu.

Kilka minut po szóstej na podjazd skręciła furgonetka. Szeroko uśmiechnięty kurier pocztowy wręczył mu pękatą szarą kopertę, na którą Ray gapił się jeszcze długo po odjeździe samochodu. Na druku pokwitowania odbioru wypisano na maszynie adres wydziału prawa Uniwersytetu Wirginijskiego, następnie ktoś go skreślił i poniżej odręcznie napisał: *Pan Ray Atlee, Klonowy Zdrój, 816 Czwarta Ulica, Clanton, Missisipi*. Na stemplu widniała wczorajsza data, drugi czerwca. Każdy z tych elementów wydawał się podejrzany.

Nikt na uczelni nie znał dokładnego adresu jego ojca w Clanton. Nie mogło się tam wydarzyć nic tak pilnego, żeby wysłać mu przesyłkę pocztą kurierską. Zresztą, w ogóle nie mógł sobie wyobrazić, aby właśnie teraz przesyłano mu cokolwiek z wydziału. Otworzył drugą butelkę piwa i usiadł z powrotem na schodach, wreszcie chwycił denerwujący list i rozerwał go jednym szarpnięciem.

W środku znajdowała się biała koperta z wypisanym odręcznie jego imieniem. A w niej następne kolorowe zdjęcie z dobrze mu znanego zestawu, teraz przedstawiające drzwi boksu 18R w Składzie Chaneya. Pod nim, złożony dziwną czcionką o nierównych, koślawych literach, widniał tekst: *Niepotrzebny ci samolot. Przestań wydawać pieniądze.*

Ci chłopcy byli naprawdę bardzo dobrzy. Zadali sobie wiele trudu, żeby wysledzić, które boksy w składzie wynajął, i jeszcze je sfotografować. Musieli mieć zimną krew, żeby próbować podpalić bonanzę. Jednakże w tej chwili największe wrażenie zrobiło na nim to, że znaleźli sposób, aby wysłać ten list razem z pocztą wychodzącą z kancelarii wydziału prawa.

Kiedy otrząsnął się z pierwszego zaskoczenia, dotarło do niego to, co od początku powinno być oczywiste. Skoro prześladowcy trafili do boksu 18R, zapewne wiedzieli też, że i w nim nie ma pieniędzy. Nie było ich ani w Składzie Chaneya, ani w jego mieszkaniu. Prawdopodobnie śledzili go w czasie drogi z Wirginii do Clanton, musieli więc zauważyć i to, że nie zboczył nigdzie z trasy i nie zostawił pieniędzy w żadnym innym składzie przy szosie. I na pewno podczas jego pobytu na wybrzeżu po raz drugi przetrząsnęli Klonowy Zdrój.

Sieć zaciskała się z godziny na godzinę. Skrzętnie gromadzone fakty i obserwacje musiały prowadzić do oczywistego wniosku, że cały czas wozi pieniądze ze sobą. Tymczasem on nie miał już dokąd uciekać.

Dostawał naprawdę niezłą pensję wykładowcy prawa, powiększoną o premie. Nie prowadził wystawnego trybu życia, i oto siedząc na werandzie, bosy, w samych spodenkach, i sącząc piwo w skwarze i zaduchu tego czerwcowego popołudnia, doszedł do wniosku, że wolałby dalej żyć tak jak kiedyś. Nie chciał mieć nic wspólnego z przemocą świata Gordiego Priesta i płatnych zabójców wynajętych przez Pattona Frencha. Poza tym pieniądze i tak były brudne.

\* \* \*

– Dlaczego zaparkowałeś na trawniku? – mruknął Harry Rex, wchodząc na werandę.

– Myłem tu samochód i tak został – odparł Ray, który zdążył się wykąpać i ubrać w czysty T-shirt i szorty.

– Niektórzy mimo dyplomów do końca życia pozostają wieśniakami. Daj mi piwo.

Harry Rex cały dzień spędził w sądzie na odrażającym roztrząsaniu, która ze stron sprawy rozwodowej dziesięć lat temu paliła więcej trawki, a która częściej wskakiwała do łóżka z obcymi. W grę wchodziła opieka nad czwórką dzieci, tymczasem żadne z rodziców nie nadawało się do tej roli.

– Jestem już na to za stary – podsumował zmęczonym głosem. Już przy drugim piwie zaczynały mu się kleić oczy.

Od dobrych dwudziestu pięciu lat Harry Rex miał niemal monopol na sprawy rozwodowe w hrabstwie Ford. Skłócone pary często się prześcigały, aby go zaangażować. Pewien farmer z Karraway od pierwszego rozwodu płacił mu nawet stale drobne honorarium, żeby w przyszłości w razie potrzeby ponownie skorzystać z jego usług. Harry Rex był nadzwyczaj błyskotliwy, ale potrafił też być podły i złośliwy, a to wysoko ceniono podczas burzliwych rozpraw.

Trudno się dziwić, że przy tego rodzaju pracy, jak wszyscy małomiasteczkowi adwokaci, marzył o głośnej sprawie o duże odszkodowanie, od którego dostałby czterdzieści procent jako honorarium, co pozwoliłoby mu spokojnie żyć na emeryturze.

Poprzedniego wieczoru Ray sączył drogie wina na pokładzie zbudowanego przez saudyjskiego księcia jachtu, wartego dwadzieścia milionów dolarów, należącego obecnie do członka adwokackiej palestry z Missisipi, który pozywał do sądu międzynarodowe korporacje o miliardowe odszkodowania. Dzisiaj, siedząc na zardzewiałym krzeselku, Ray popijał budweisera z innym członkiem tej samej palestry, który przez cały dzień brał udział w pyskówkach na temat podziału majątku i opieki nad dziećmi.

– Rano agent nieruchomości pokazywał klientowi dom – oznajmił Harry Rex. – Zadzwoił z wiadomością w porze lunchu, wyrwał mnie z drzemki.

– Kto chce go kupić?

– Pamiętasz braci Kapshawów spod Rail Springs?

– Nie.

– Porządne chłopaki. Zaczynali dziesięć, może dwanaście lat temu od produkcji krzesel w starej stodole. Kiedy rozkręcili interes, sprzedali zakład jakiemuś meblowemu molochowi z Karoliny Północnej i Południowej. Każdy zarobił na tym interesie po milionie dolarów. I teraz Junkie z żoną rozglądają się za własnym domem.

– Junkie Kapshaw?

– Zgadza się. Ale ma węża w kieszeni i ani myśli wykładać czterystu tysięcy za wasz dom.

– Wcale mu się nie dziwię.

– Jego żona wbiła sobie do głowy, że powinni zamieszkać w starym drewnianym domu. Agent jest pewien, że złożą ofertę, lecz będzie niska, pewnie coś koło stu siedemdziesięciu pięciu tysięcy. – Harry Rex ziewnął szeroko.

Przez jakiś czas rozmawiali jeszcze o Forreście, potem zapadło milczenie.

– Chyba już pójde – odezwał się w końcu Harry Rex. Po trzech piwach myślał wyłącznie o tym, by położyć się spać. Ociężale wstał z krzesła, przeciągnął się i zapytał: – Kiedy wracasz do Wirginii?

– Chyba jutro.

– Zadzwoń do mnie. – Ziewnął jeszcze raz i ruszył do samochodu.

Ray przyglądał się, jak światła jego samochodu nikną w głębi ulicy. Poczul się nagle straszliwie osamotniony. Kiedy złowił jakiś szmer w krzakach za domem, poderwał się na nogi. Przemknęło mu przez myśl, że to pewnie nic groźnego, jakiś zabłąkany pies albo kot, mimo to, przestraszony, pośpiesznie wszedł do domu.



## Rozdział 34

---

**A**atak rozpoczął się parę minut po drugiej, w najciemniejszej porze nocy, kiedy człowiek śpi najtwardszym snem i najwolniej reaguje. Ray także spał jak zabity, chociaż ostatnie wydarzenia nie dawały mu spokoju. Leżał na materacu w holu, z rewolwerem pod ręką, mając tuż obok siebie trzy czarne plastikowe worki wypchane banknotami.

Zaczęło się od cegły rzuconej w okno. Huk wybijanej szyby niemal wstrząsnął całym domem, a odłamki szkła z brzękiem rozsypały się po stole i świeżo zapastowanej podłodze jadalni. Doskonale wymierzony i obliczony w czasie rzut świadczył o tym, że napastnik ma dużą wprawę i jest zdeterminowany. Ray nieporadnie zerwał się z posłania jak raniony bezdomny kocur. Miał szczęście, że sam się nie postrzelił, gdy odruchowo złapał rewolwer. Nisko pochylony, podkradł się do drzwi, zapalił światło w jadalni i popatrzył na cegłę leżącą przy nodze kredensu z porcelanową zastawą.

Starym kocem zgarnął okruchy szkła, żeby się nie pokaleczyć, po czym podniósł cegłę, całkiem nową, o ostrych równych krawędziach. Dwoma grubymi recepturkami była do niej przymocowana kartka. Ściągnął gumki, gapiąc się na wybite okno. Ręce trzęsły mu się do tego stopnia, że nie mógł odczytać wiadomości. Z trudem przełknął ślinę i kilka razy odetchnął głęboko, próbując się skupić na odręcznie napisanych słowach:

*Zostaw pieniądze tam, gdzie je znalazłeś, i natychmiast wynoś się z domu.*

Z palca spłynęła mu kropla krwi; jednak skaleczył się szkłem. A był to prawy palec wskazujący, który układał na spuście

rewolweru! Sparaliżowany strachem, nie mógł sobie wyobrazić, jak będzie się teraz bronił. Zgasił światło, kucnął pod ścianą w kącie jadalni i ciężko oddychając, próbował zebrać myśli.

Nagle zadzwonił telefon i Ray omal nie wyskoczył ze skóry. Po drugim sygnale przekradł się na czworakach do kuchni i włączył oświetlenie wyciągu kuchennego, by w jego blasku odnaleźć słuchawkę aparatu.

– Słucham! – warknął chrapliwie.

– Zostaw pieniądze i wynoś się z domu. – Nieznajomy męski głos brzmiał spokojnie, ale stanowczo. Rayowi wydawało, że słyszy w nim lekki obcy akcentem. – Natychmiast! Zanim stanie ci się coś złego!

Miał ochotę krzyknąć: „Nie!”, albo: „Dość tego!” czy choćby zapytać: „Kim jesteś?”, ale zawahał się na moment i połączenie zostało przerwane. Osunął się na podłogę, przywarł plecami do lodówki i gorączkowo próbował coś wymyślić, choć zdrowy rozsądek podpowiadał, że nie ma wyboru.

Mógł zadzwonić na policję, pośpiesznie ukryć pieniądze, wepchnąć worki pod łóżko, przenieść materac, schować kartkę z wiadomością, lecz zostawić cegłę, i zachowywać się tak, jakby młodociani wandalę postanowili dla zabawy zdewastować stary opuszczony dom. Gliniarz pokręciłby się po terenie, zaglądając we wszystkie zakamarki i przyświecając sobie latarką, ale i tak najdalej po godzinie by odjechał.

Tymczasem Priestowie na pewno by się gdzieś przyczaili; teraz już nie było co marzyć, że dadzą mu spokój. Przeczekają wizytę policjanta, ale nie uciekną daleko. Zresztą mieli dużo większą wprawę niż tutejszy posterunkowy pełniący nocną służbę. I byli bardziej pomysłowi.

Mógł też obudzić Harry’ego Rexa, poprosić go, by natychmiast przyjechał, i opowiedzieć mu całą historię. W końcu i tak bardzo mu zależało, żeby z kimś pogadać. Ile to już razy pragnął go wtajemniczyć? Mogli się podzielić pieniędzmi, włączyć je do masy spadkowej albo nawet pojechać z nimi do Tuniki i przez rok grać w kości.

Tylko czy miał prawo narażać go na niebezpieczeństwo? Trzy miliony to wystarczająca suma, by popełnić nie jedno, ale dwa morderstwa.

Miał rewolwer, mógł podjąć próbę obrony albo przynajmniej odstraszenia napastników. Gdyby mimo wszystko wdarli się do środka, mógł nawet podpalić dom.

Ale przecież wystarczyła tylko jedna kula, dobrze wymierzona, której w ogóle by nie spostrzegł, a ból, kiedy by go trafiła, odczuwałby pewnie zaledwie przez chwilę. Tamci mieli przewagę liczebną, w dodatku o wiele lepiej władali bronią niż profesor Ray Atlee. Przecież zdecydował wieczorem, że nie chce umierać. Był zadowolony z takiego życia, jakie wiódł wcześniej.

Ledwie puls zaczął bić bardziej miarowo, a dokuczliwe łomotanie w skroniach cichnąć, kiedy do środka wpadła druga cegła, tym razem przez małe okno nad zlewem kuchennym. Z wrzaskiem poderwał się z podłogi, upuszczając przy tym broń, którą kopnął niechcący, gdy gwałtownie ruszył na czworakach do holu. W pośpiechu przeciągnął wypchane forsą worki do gabinetu ojca. Odsunął kanapę od komody i zaczął garściami wrzucać do środka banknoty. Spocony, kłął pod nosem, w każdej chwili spodziewając się następnej cegły albo nawet kuli. Kiedy cała fortuna znalazła się z powrotem tam, skąd ją wyciągnął, złapał rewolwer i odryglował frontowe drzwi. Wskoczył do samochodu, przekręcił kluczyk w stacyjce; opony przez chwilę buksowały na mokrej trawie, gdy odjeżdżał na pełnym gazie.

Był cały i zdrowy, a w tej chwili tylko to się dla niego liczyło.

\* \* \*

Na północ od Clanton teren opada w kierunku wysychającego jeziora Chatoula i przez pięć kilometrów szosa biegnie po równinie. Ta okolica już od dawna przyciągała nocą handlarzy narkotykami, pijaczków i różnego rodzaju awanturników. Ray dotychczas tylko raz stanął oko w oko ze śmiercią, właśnie tutaj, jeszcze w czasach szkoły średniej, gdy znalazł się na zapchanym

tylnym siedzeniu pontiaca firebirda prowadzonego przez pijanego Bobby'ego Lee Westa, który gnał ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, ścigając się z camaro prowadzonym przez jeszcze bardziej pijanego Douga Terringa. Udało mu się wtedy wyjść cało z tego wyścigu, ale rok później Bobby Lee zginął w podobnych okolicznościach, gdy stracił panowanie nad kierownicą, a jego pontiac wyskoczył z drogi i uderzył w drzewo.

Po dotarciu na równinę Ray wcisnął gaz do dechy. Było wpoł do trzeciej nad ranem, wszyscy w okolicy spali w najlepsze.

Spał także Elmer Conway, tyle że właśnie komar złakniony jego krwi usiadł mu na czole i go zbudził. Policjant zauważył światła zbliżającego się szybko samochodu i natychmiast uruchomił radar. Musiał jednak jechać dobre dziesięć kilometrów, zanim dogonił pojazd i zmusił do zatrzymania. A wtedy był już rozwścieczony do żywego.

Ray popełnił błąd, wysiadając z samochodu, bo to jeszcze bardziej rozzłościło Conwaya.

– Stój, kretynie! – wrzasnął ponad lufą służbowego rewolweru, który, jak Ray się natychmiast przekonał, był wymierzony prosto w jego twarz.

– Spokojnie! Spokojnie! – zawołał szybko, podnosząc ręce nad głowę.

– Odejdź od samochodu! – warknął gliniarz, przyjmując postawę strzelecką i celując mu między oczy.

– Nie ma sprawy, panie władzo! Tylko spokojnie! – Ray posłusznie odsunął się dwa kroki.

– Jak się nazywasz?

– Ray Atlee, jestem synem sędziego Atlee. Czy mógłby pan wreszcie opuścić broń?

Conway opuścił rewolwer na tyle, że wylot lufy znalazł się na wysokości brzucha Raya.

– Dlaczego masz rejestrację z Wirginii?

– Bo tam mieszkam.

– Jechałeś do domu?

– Tak.

- Dlaczego tak szybko?
- Sam nie wiem. Tak jakoś...
- Zmierzyłem ci sto pięćdziesiąt osiem kilometrów na godzinę.
- Bardzo przepraszam.

– Przepraszam, też mi coś! To piractwo drogowe. – Gliniarz podszedł krok bliżej. Ray całkiem zapomniał o palcu rozciętym odłamkiem szyby i kolanach poobcieranych o podłogę. Conway zapalił latarkę i z odległości czterech metrów omiół go snopem światła od stóp do głowy. – Dlaczego jesteś zakrwawiony?

Pytanie było całkiem uzasadnione, ale stojąc nocą pośrodku pustej drogi, oślepiiony światłem latarki, Ray nie potrafił wymyślić sensownej odpowiedzi. Relacjonowanie ostatnich zajęć potrwałoby z godzinę i spotkałoby się z niedowierzaniem, a kłamstwo mogło tylko pogorszyć jego sytuację.

- Nie wiem – mruknął.
- Co jest w samochodzie?
- Nic.
- Akurat!

Policjant zakuł go w kajdanki i wepchnął na tylne siedzenie mocno zakurzonej brązowej impali, bez kołpaków na kołach, za to z imponującą kolekcją antenek sterzących nad tylnym zderzakiem i oznaczeniami patrolu drogowego policji hrabstwa Ford na drzwiach. Ray przyglądał się stamtąd obojętnie, jak gliniarz uważnie ogląda jego sportowe audi, a skończywszy oględziny, pakuje się do środka. Sięgnął pod fotel kierowcy i po chwili zapytał przez ramię:

- Po co ci rewolwer?

Ray dopiero teraz przypomniał sobie o broni, którą rzucił na podłogę auta. Najwyraźniej nie wsunął jej głęboko pod fotel.

- Dla ochrony.
- Masz pozwolenie?
- Nie.

Conway wezwał przez radio dyżurnego i złożył długi meldunek o zatrzymaniu podejrzanego.

– Wiozę go na posterunek – zakończył z dumą, jakby właśnie udało mu się przyskrzynieć kogoś z listy dziesięciu najbardziej poszukiwanych przestępców.

– A co z moim wozem? – zapytał Ray, kiedy zawrócili.

– Przyślę po niego pomoc drogową.

Policjant włączył koguta na dachu i ustawił automatyczną kontrolę prędkości na sto trzydzieści kilometrów na godzinę.

– Mogę zadzwonić do swojego adwokata? – spytał Ray.

– Nie.

– Proszę nie żartować. Przecież to tylko wykroczenie drogowe. Adwokat przyjedzie po mnie do aresztu, wpłaci kaucję i za godzinę będę mógł ruszyć w dalszą drogę.

– Kto jest pańskim adwokatem?

– Harry Rex Vonner.

Conway jęknął.

– Ten sukinsyn ogolił mnie do czysta podczas rozvodu.

Ray odchylił się na oparcie i zamknął oczy.

\* \* \*

Ray dotychczas tylko dwa razy był na tutejszym posterunku, co sobie przypomniawszy, gdy Elmer prowadził go z parkingu do wejścia. Za każdym razem przynosił dokumenty ojców, których sędzia Atlee wpakował do aresztu za zaległości w płaceniu alimentów na dzieci. Nocną służbę pełnił nieco opóźniony w rozwoju Haney Moak, którego Ray pamiętał z tamtych czasów. Siedział w za dużym mundurze za biurkiem i czytał jakiś magazyn kryminalny. To on przyjął zgłoszenie Conwaya, więc wiedział już o postępkach Raya.

– Syn sędziego Atlee? – zapytał z uśmiechem, ujrawszy go w drzwiach.

Miał trochę zdeformowaną czaszkę i tak silnego zezę, że trudno było mu patrzeć w oczy podczas rozmowy.

– Zgadza się – odparł potulnie Ray, rozglądając się na boki.

– To był porządny człowiek.

Haney okrążył go szybko i zdjął mu kajdanki. Rozcierając nadgarstki, Ray popatrzył na Conwaya, który z napiętą uwagą wypełniał kwestionariusz.

– Piractwo drogowe i brak pozwolenia na broń – mruknął.

– Chyba nie zamierzasz go wpakować do celi? – zapytał ostro Haney, jakby to on tu wydawał rozkazy.

– Żebyś wiedział – odparł równie ostro Conway i zapanowała napięta atmosfera.

– Mogę zadzwonić do Harry’ego Rexa Vonnera? – spytał Ray.

Haney ruchem głowy wskazał mu telefon wiszący na ścianie. Nie spuszczał wzroku z Conwaya. Ci dwaj najwyraźniej się nie lubili.

– Areszt jest przepełniony – rzucił w końcu Haney.

– Zawsze tak mówisz.

Ray pośpiesznie wybrał numer adwokata. Było parę minut po trzeciej w nocy, domyślał się więc, że nie zostanie potraktowany łagodnie. Dopiero po trzecim sygnale odebrała najnowsza pani Vonner. Przeprosił, że zakłóca jej odpoczynek, i poprosił o Harry’ego Rexa.

– Nie ma go – odparła.

Nic nie mówił, że zamierza wyjechać z miasta, przemknęło Rayowi przez głowę. Jeszcze sześć godzin temu pili razem piwo na werandzie.

– Mogę spytać, gdzie jest?

Haney i Elmer zaczęli na siebie wrzeszczeć.

– Pojechał do domu sędziego Atlee – odparła z ociąganiem kobieta.

– Niemożliwe. Byliśmy razem. Już dawno stamtąd odjechał.

– Niedawno został wezwany ponownie. Dom się pali.

Z Haneyem na tylnym siedzeniu, z włączonym kogutem i syreną z piskiem opon okrążyli rynek. Już z odległości kilkuset metrów widać było łunę pożaru.

– Święty Boże – mruknął Haney pod nosem.

Niewiele rzeczy tak elektryzowało Clanton jak pożar. Dwa wozy strażackie – więcej nie było – dojechały już na miejsce.

Dziesiątki ochotników biegało dookoła, przekrzykując się nawzajem. Wszyscy mieszkańcy z sąsiedztwa zebrali się na chodniku po drugiej stronie ulicy.

Płomienie zaczynały się przebijać przez dach. Kiedy Ray wyszedł na frontowy trawnik, przestępując nad rozciągniętymi węzami, poczuł unoszącą się w powietrzu wyraźną woń benzyny.



## Rozdział 35

---

**M**iłosne gniazdko okazało się wcale nie najgorszym miejscem na drzemkę. Było to długie i wąskie pomieszczenie na strychu, pełne kurzu i pajęczyn, oświetlone gołą żarówką zwisającą na kablu spod ukośnego sufitu. Małe okienko, po raz ostatni malowane chyba jeszcze w ubiegłym wieku, wychodziło na rynek. Na zabytkowym żelaznym łóżku sprężynowym leżał sam materac, bez poduszki i pościeli. Ray za wszelką cenę starał się nie myśleć o tym, co Harry Rex wyprawiał ze swoimi kochankami na tym materacu. Zamiast tego pogrążał się we wspomnieniach z Klonowego Zdroju, wciąż mając przed oczami imponujący sposób, w jaki dom przeszedł do historii. Nim ostatecznie dach się zawalił, pożar przyciągnął co najmniej połowę Clanton. Ray siedział samotnie na rosnącym nisko konarze sykomory po przeciwnej stronie ulicy i ukryty przed wzrokiem gapiów, próbował bezskutecznie przywołać z pamięci jakieś przyjemne wspomnienia z dzieciństwa w tym domu, ale ich po prostu nie było. Patrząc na długie języki płomieni strzelające z okien, wcale nie myślał o ukrytej gotówce ani biurku Sędziego czy też o stole matki w jadalni, ale wyłącznie o starym generale Forreście, który ze swego portretu zawsze mierzył obecnych surowym spojrzeniem.

Przespał tylko trzy godziny i obudził się o ósmej. Tu, na poddaszu, temperatura szybko rosła, a z dołu zbliżały się w jego kierunku czyjeś ciężkie kroki.

Harry Rex szeroko otworzył drzwi i zapalił światło.

– Wstawaj, koleś – rzucił. – Musisz się stawić w areszcie.

Ray spuścił nogi z łóżka.

- Przyznasz, że moja ucieczka była godna podziwu.
- Niepostrzeżenie oddalił się od Elmera i Haneya stojących w tłumie gapiów, a potem odjechał z Harrym Rexem.
- Zgodziłeś się, żeby gliniarze przeszukali twój samochód? – spytał teraz adwokat.
- Owszem.
- No to postąpiłeś jak ostatni kretyn. Co z ciebie za prawnik? Harry Rex rozłożył składane drewniane krzesło i usiadł.
- Nie mam nic do ukrycia – powiedział Ray.
- I tak postąpiłeś głupio. Przeszukali audi i niczego nie znaleźli.
- Tak myślałem.
- Żadnych ubrań na zmianę, żadnego bagażu, nawet szczoteczki do zębów. Nie znaleźli żadnego dowodu, że wyjechałeś z miasta, żeby wrócić do domu w Wirginii, jak powiedziałeś w trakcie zatrzymania.
- Myślisz, że sam podпалиłem dom?
- W każdym razie jesteś głównym podejrzanym. Zwiewałeś pełnym gazem w środku nocy, bez żadnego bagażu, jakby cię wszyscy diabli gonili. Starsza pani Larrimore widziała na ulicy twój śmieszny mały samochodek, a dziesięć minut później usłyszała syreny wozów strażackich. Dałeś się złapać najgłupszemu gliniarzowi w całym stanie, pędząc ponad sto pięćdziesiąt na godzinę i ewidentnie uciekając z miejsca wypadku. Znajdź coś na swoją obronę.
- Naprawdę nie podпалиłem domu.
- Dlaczego chciałeś wyjechać o wpół do trzeciej w nocy?
- Ktoś rzucił cegłą i wybił okno w jadalni. Przestraszyłem się.
- Przecież miałeś rewolwer.
- Nie chciałem go używać. Wolałem stamtąd zwiać, niż kogoś postrzelić.
- Za długo mieszkałeś na Północy.
- Nie mieszkam na Północy – sprostował Ray.
- Jak się skaleczyłeś w palec?

- Już ci mówiłem, że ktoś wybił okno. Poszedłem sprawdzić, co to za hałas, i rozciąłem palec odłamkiem szkła.
- Czemu nie zadzwoniłeś na policję?
- Wpadłem w panikę. Chciałem jak najszybciej wracać do domu.
- A dziesięć minut później ktoś oblał dom benzyną i podpalił.
- Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś to zrobił.
- Ja bym cię skazał.
- Nie możesz, bo jesteś moim adwokatem.
- Mylisz się. Jestem adwokatem, który miał zatwierdzić testament. A masa spadkowa właśnie całkowicie straciła wartość.
- Dom był ubezpieczony.
- Nie licz na to, że dostaniesz odszkodowanie.
- Dlaczego?
- Bo jeśli tylko wystąpisz z takim wnioskiem, zostaniesz oskarżony o podpalenie. Ja mogę ci wierzyć na słowo, że nie spaliłeś domu, ale wątpię, by ktokolwiek inny dał się przekonać. Dlatego na twoim miejscu nawet nie próbowałbym wnioskować o odszkodowanie, bo chłopcy z firmy ubezpieczeniowej tylko czekają, żeby ci się dobrać do tyłka.
- Powtarzam, że nie podpaliłem domu.
- Świetnie. Więc kto to zrobił?
- Ten, kto rzucił cegłą w okno.
- To znaczy kto?
- Nie mam pojęcia. Może jakiś facet, który został bez grosza po rozwodzie orzeczonym przez ojca.
- Cudownie. I czekał aż dziewięć lat, żeby się zemścić na sędzi, który, nawiasem mówiąc, już nie żyje. Wolałbym nie słyszeć, jak będziesz opowiadał tę bajeczkę przysięgłym.
- Naprawdę nie wiem. Przysięgam, że nie podpaliłem domu. Zapomnijmy o pieniądzach z odszkodowania.
- To nie takie proste. Tylko połowa jest twoja, druga należy do Forresta. On też może wystąpić z wnioskiem o wypłatę odszkodowania.

Ray westchnął ciężko i podrapał się po brodzie.

– Lepiej mi pomóż, dobra?

– Na dole czeka szeryf ze śledczym z dochodzeniówki. Zadadzą ci kilka pytań. Odpowiadaj powoli, mów tylko prawdę i tak dalej, i tak dalej. Będę przy tobie, więc się nie śpiesz.

– Jest tu szeryf?

– W mojej sali konferencyjnej. Sam poprosiłem, żeby przyjechał i załatwił to od ręki. Wydaje mi się, że musisz jak najszybciej stąd wyjechać.

– W nocy próbowałem.

– Zarzuty prowadzenia z nadmierną szybkością i posiadania broni bez zezwolenia da się odsunąć na parę miesięcy. Daj mi trochę czasu, a się tym zajmę. Na razie masz poważniejsze problemy.

– Naprawdę nie podpaliłem domu.

– Już to słyszałem.

W grobowym nastroju zeszli schodami na pierwsze piętro.

– Kto teraz jest szeryfem? – zapytał Ray po drodze.

– Niejaki Sawyer.

– To porządny facet?

– A jakie to ma znaczenie?

– Dobrze go znasz?

– Prowadziłem rozwód jego syna.

W sali panował straszny bałagan, kodeksy i opasłe podręczniki prawa były bez ładu porozkładane na półkach regału, w szafkach, nawet na stole konferencyjnym. Zapewne chodziło o wywarcie wrażenia, że Harry Rex poświęca długie godziny na ich studiowanie. W rzeczywistości tego nie robił.

Sawyer nawet nie próbował udawać dobrze wychowanego, podobnie jak towarzyszący mu mężczyzna, mały nerwowy Włoch o nazwisku Sandroni. W tej części stanu było niewielu mieszkańców włoskiego pochodzenia, a kiedy się sobie przedstawiali, Ray wyłowił u niego delikatny akcent z Delt Missisipi. Gliniarze od razu przystąpili do rzeczy. Sandroni zaczął spisywać jego zeznania, podczas gdy Sawyer

w zamyśleniu sączył gorącą kawę z papierowego kubka, obserwując uważnie każdy ruch podejrzanego.

Pierwsze zgłoszenie wpłynęło od pani Larrimore o drugiej trzydzieści cztery, czyli jakieś dziesięć do piętnastu minut po tym, jak zauważyła samochód Raya przejeżdżający szybko Czwartą Ulicą. O drugiej trzydzieści sześć Elmer Conway zameldował przez radio, że rusza w pościg za jakimś idiotą pędzącym ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę szosą przecinającą równinę. A skoro ustalono już, że to Ray prowadził tak szybko, Sandroni skupił się na metodycznym wyznaczaniu trasy jego przejazdu przez miasto, średniej prędkości, sygnalizacji świetlnej, krótko mówiąc na wszystkim, co mogło go spowolnić o tej porze nocy.

Po ustaleniu trasy Sawyer połączył się ze swoim zastępcą, który siedział w radiowozie przed pogorzeliem Klonowego Zdroju, i kazał mu jechać dokładnie tą samą drogą i z identyczną prędkością, po czym zatrzymać się na równinie, w tym miejscu, gdzie w nocy był Elmer.

Gliniarz zameldował się po dwunastu minutach i oznajmił, że dotarł na miejsce.

– Tak więc w ciągu niecałych dwunastu minut – podjął Sandroni – ktoś, kogo, jak pan utrzymuje, w chwili pańskiego wyjazdu nie było jeszcze w domu, dostał się do środka z dość dużym pojemnikiem benzyny, zlał nią dokładnie dom, tak dokładnie, że kapitan straży pożarnej orzekł później, że jeszcze nigdy nie czuł wokół pożaru tak intensywnego zapachu benzyny, po czym rzucił zapaloną zapałkę... a raczej co najmniej dwie, gdyż ten sam kapitan ocenił, że musiało być kilka zarzewi ognia... I zrobiwszy to, nasz nieznany podpalacz rozplynął się w mroku nocy. Zgadza się, panie Atlee?

– Nie wiem, co robił podpalacz – odpowiedział Ray.

– Ale wyliczenie czasu jest dokładne?

– Skoro pan tak twierdzi...

– Tak twierdę.

– Idźmy dalej – mruknął Harry Rex siedzący przy drugim końcu stołu.

Następny był motyw. Dom wraz z całym wyposażeniem został ubezpieczony na trzysta osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Według zeznań agenta nieruchomości, z którym już się skontaktowano, szykowana była oferta zakupu domu za sto siedemdziesiąt pięć tysięcy.

– To spora różnica, prawda, panie Atlee? – zapytał Sandroni.

– Owszem.

– Czy powiadomił pan już firmę ubezpieczeniową?

– Nie. Przyszło mi do głowy, że lepiej poczekać, aż otworzą biuro – odparł Ray. – Może pan nie uwierzy, ale są ludzie, którzy nie pracują w soboty.

– Do cholery, przed domem jeszcze stoją wozy strażackie – wtrącił się znowu Harry Rex. – Mamy pół roku na złożenie wniosku o odszkodowanie.

Sandroni wyraźnie się zaczerwienił, ale nic nie odpowiedział. Zajrzał do swoich notatek.

– Porozmawiajmy w takim razie o innym podejrzanym – rzucił.

Ray aż się wzdrygnął na to określenie. Opowiedział o cegle wrzuconej przez okno, pomijając tylko pewne szczegóły. A także o telefonie od nieznanego prześladowcy, który kazał mu natychmiast wynieść się z domu.

– Sprawdźcie rejestry połączeń telefonicznych – dodał ostrzejszym tonem, po czym przypomniał o swojej wcześniejszej przygodzie, kiedy to ktoś dobijał się do zamkniętych okien i drzwi już pierwszej nocy po śmierci Sędziego.

– Chyba już wystarczy – uciął Harry Rex po upływie pół godziny. Miało to oznaczać, że jego klient nie będzie dłużej odpowiadał na żadne pytania.

– Kiedy zamierza pan wyjechać z miasta? – zapytał Sawyer.

– Próbowałem to zrobić jakieś sześć godzin temu – odparł Ray.

– Jak najszybciej – wtrącił jego adwokat.

– Może potrzebne będą dalsze wyjaśnienia.

- Przyjadę, kiedy tylko zajdzie taka konieczność.
- Harry Rex odprowadził policjantów do drzwi, a kiedy wrócił do sali konferencyjnej, mruknął:
  - Coś mi się zdaje, że łżesz jak z nut.

## Rozdział 36

---

**O**djechał już stary wóz strażacki, ten sam, za którym Ray z kolegami uganiał się w dzieciństwie, nie mając nic innego do roboty w długie letnie wieczory. Wokół pogorzelniska kręcił się tylko samotny ochotnik w brudnym podkoszulku i zwijał węże gaśnicze. Na ulicy stały wielkie kałuże, wszędzie dookoła plaskało pod nogami błoto.

Klonowy Zdrój ugaszono dopiero rano. Ostał się tylko ceglany komin pod kawałkiem okopconej ściany od wschodniej strony. Cała reszta tworzyła bezładne pogorzelnisko. Ray i Harry Rex okrążyli je dużym łukiem, podeszli do zwartego szeregu drzew pekanowych znaczących granicę posiadłości, usiedli na żelaznej ławce, którą Ray przed laty pomalował na czerwono, i w milczeniu zaczęli jeść tamale.

– Naprawdę nie ja podpaliłem ten dom – odezwał się w końcu Ray.

- I nie wiesz, kto to mógł zrobić?
- Mam pewne podejrzenia.
- Więc gadaj, do cholery.
- Facet nazywa się Gordie Priest.
- On? A co cię z nim łączy?
- To długa historia.

Zaczął od momentu, kiedy znalazł zwłoki ojca na kanapie w gabinecie, a potem przypadkowo odkrył pieniądze schowane w komodzie. Dopiero teraz go uderzyło, że wcale nie musiał to być przypadek. Opowiadał o wszystkim na tyle szczegółowo, na ile mógł sobie przypomnieć, wspominał o wszystkich pytaniach, które dręczyły go przez kilka tygodni. Obaj przestali jeść.



Spoglądali na pogorzeliśko, lecz byli zbyt pochłonięci rozmową, by je widzieć. Adwokat parę razy mruknął z niedowierzania. A Ray opowiadał z coraz większym zapałem, w pamięci odtwarzał swoje podróże między Clanton i Charlottesville, między kasynami w Tunice i Atlantic City. Wreszcie przeniósł się myślami na wybrzeże, do Pattona Frencha i jego pogoni za miliardem dolarów, którą w pewnym sensie zainicjował sędzia Reuben Atlee, wierny sługa sprawiedliwości.

Ray niczego nie zamierzał ukrywać, ani włamania do mieszkania w Charlottesville, które pewnie miało go tylko zastraszyć, ani pechowego finału inwestycji w bonanzę. Mówił i mówił, a Harry Rex słuchał, nie odzywając się.

Adwokat miał setki pytań, ale zaczął od tego, które go najbardziej nurtowało:

– Czemu ten bandzior miałby podpalać dom?

– Nie wiem. Może chciał zatrzeć ślady?

– Tacy ludzie nigdy nie zostawiają śladów.

– Może postanowił ostatecznie mnie dobić?

Na chwilę zapadła cisza. Harry Rex skończył jeść tamale.

– Powinieneś być mi o wszystkim powiedzieć – mruknął.

– Nie rozumiesz, że chciałem zatrzymać forszę dla siebie?

Miałem w łapach ponad trzy miliony dolarów gotówką i cholernie się z tego cieszyłem. To było lepsze niż seks, wspanialsze od jakiegokolwiek innego uczucia. Trzy miliony dolarów! I wszystko moje! Byłem bogaty. Uległem chciwości. Wpadłem po uszy. Nie chciałem, by ktokolwiek, ty, Forrest czy urząd podatkowy, dowiedział się, że mam te pieniądze.

– Co zamierzałeś z nimi zrobić?

– Powpłacać na różne konta bankowe, nie więcej niż dziewięć tysięcy naraz, bo tyle można bez wypełniania formularzy, które mogłyby zainteresować skarbowkę, zostawić je na kilkanaście miesięcy, a potem zacząć umiejętnie inwestować. Mam czterdzieści trzy lata. Za kilka lat forsa mogłaby przynosić zyski. Pewnie podwoiłbym tę sumę w ciągu pięciu lat. Po skończeniu pięćdziesiątki miałbym już sześć milionów, pięć lat później

dwanaście. Zanim bym dobił sześćdziesiątki, zebrałoby się tego dwadzieścia cztery miliony. Wszystko dokładnie zaplanowałem. Widziałem przyszłość w świetlanych kolorach.

– Więc nie masz się czym gryźć. Każdy by tak postąpił na twoim miejscu.

– Ale ja nie czuję się z tym dobrze.

– Nie, bo jesteś kiepskim oszustem.

– Czułem się okropnie. Zmieniałem się z dnia na dzień. Widziałem już siebie we własnym samolocie, w jeszcze lepszym sportowym samochodzie, mieszkającego w pięknym domu. W okolicach Charlottesville jest gdzie wydawać pieniądze, chciałem stać się tam kimś. Wiesz, Country Club, polowania na lisa...

– Na lisa?

– Owszem.

– Takie w staroświeckich strojach, bryczesach i tak dalej?

– Owszem. Ze skakaniem na koniu przez ogrodzenia i wypuszczaniem sfory psów w pogoń za lisem, którego nigdy nie zobaczy się na oczy.

– Dlaczego chciałeś to robić?

– Z tych samych powodów co inni.

– Ja to już bym wolał polować na ptaki.

– Tak czy inaczej, bez przerwy czułem ciężar tej forsy.

W końcu wozilem ją w bagażniku przez kilka tygodni.

– Mogłeś zostawić chociaż część w moim biurze.

Ray dojadł tamale i popił coca-colą.

– Myślisz, że jestem głupi, tak?

– Nie, myślę, że miałeś szczęście. Tacy goście jak Gordie Priest się nie patyczkują.

– Ilekroć zamykałem oczy, widziałem kule lecące w moją stronę.

– Posłuchaj, Ray. Nie zrobiłeś nic złego. Sędzia na pewno nie chciał, żeby te pieniądze weszły w skład masy spadkowej. Zabrałeś je, ponieważ sądziłeś, że zapewnisz im bezpieczeństwo i nie dopuścisz do skalania reputacji ojca. Tyle że trafiłeś na

wariata, który pragnął ich bardziej od ciebie. Patrząc z perspektywy, naprawdę miałeś sporo szczęścia, że nic ci się nie stało. Nie wyrzucaj sobie niczego.

– Dzięki. – Ray odchylił się w bok i popatrzył za oddalającym się ochotnikiem straży pożarnej. – A co będzie z podpaleniem?

– Jakoś się z tym uporamy. Złożę wniosek i niech firma ubezpieczeniowa podejmie oficjalne dochodzenie. Będą podejrzewać podpalenie i zasypywać cię pytaniami. Damy im parę miesięcy, a jeśli nie wypłacą odszkodowania, zaskarżymy ich w tutejszym sądzie okręgowym. Nie odważą się wystąpić przed ławą przysięgłych przeciwko spadkobiercom Reubena Atlee właśnie tutaj, na jego sali rozpraw. Moim zdaniem, zaproponują ugodę, nim dojdzie do procesu. Pewnie trzeba będzie pójść na kompromis, ale i tak powinniśmy wyciągnąć ładną sumkę.

Ray poderwał się z ławki.

– Chyba naprawdę powinienem już wracać do domu – powiedział.

W powietrzu wisiał intensywny swąd spalenizny, nad pogorzeliiskiem unosiły się jeszcze strużki dymu.

– Dość mam tego wszystkiego – dodał, ruszając w kierunku ulicy.

\* \* \*

Tym razem, jadąc przez równinę, nie przekraczał dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale nigdzie nie zauważył Elmera Conwaya. Audi wydawało się lżejsze z pustym bagażnikiem. Jednak to jemu było lżej na duszy. Stęsknił się za normalnym spokojnym życiem.

Bał się spotkania z bratem. Nie dość, że majątek po ojcu całkowicie stracił na wartości, to jeszcze trzeba było jakoś wytłumaczyć podpalenie. Ray powinien chyba z tym poczekać. Kuracja przebiegała gładko, a Ray wiedział z doświadczenia, że

najdrobniejsze komplikacje mogą teraz wybić brata z rytmu. Dlatego postanowił zaczekać miesiąc, może dwa.

Było mało prawdopodobne, żeby Forrest chciał wracać do Clanton, a wiadomość o pożarze wcale nie musiała dotrzeć do jego mętnego świata. Chyba najlepiej było zostawić Harry'emu Rexowi poinformowanie go o tym, że dom spłonął.

Recepcjonistka w Alcorn Village obrzuciła Raya podejrzliwym wzrokiem, kiedy wpisywał się do książki gości. Przez dłuższy czas musiał czekać w holu, przeglądając magazyny ilustrowane. Kiedy wreszcie w korytarzu pojawił się Oscar Meave z zatroskaną miną, Ray od razu pojął, co się stało.

– Wszedł poza teren wczoraj późnym popołudniem – zaczął Meave, przysiadając na stoliku naprzeciwko Raya. – Dziś od rana próbowałem się z panem skontaktować.

– Wczoraj wieczorem straciłem telefon komórkowy. – Ray sam nie mógł uwierzyć, że rzucając się w nocy do panicznej ucieczki, zostawił w domu wszystko, nawet telefon.

– Zapisał się na spacer ścieżką zdrowia, ośmiokilometrowym szlakiem przez las, który pokonywał każdego dnia. Ścieżka zatacza wielkie koło wokół ośrodka, biegnie poza ogrodzeniem, lecz w ogóle nie braliśmy pod uwagę możliwości ucieczki. To był nasz błąd. Aż nie chce mi się wierzyć, że to zrobił.

Ray mógł uwierzyć z łatwością. Jego brat uciekał z różnych ośrodków prawie od dwudziestu lat.

– Zresztą, to nie jest zakład ścisłej izolacji – ciągnął Meave. – Nasi pacjenci przebywają tu z własnej woli, bo inaczej kuracja by nie skutkowała.

– Rozumiem.

– Do tej pory radził sobie całkiem nieźle. – Terapeuta był najwyraźniej bardziej zmartwiony od Raya. – Z dumą powtarzał, że jest wreszcie całkowicie czysty. Zaprzyjaźnił się z dwoma nastolatkami, którzy po raz pierwszy są na kuracji odwykowej. Dopingował ich codziennie rano. Naprawdę nie umiem zrozumieć, dlaczego uciekł.

– Wydawało mi się, że pan też był kiedyś uzależniony.

Meave pokiwał głową.

– Tak, to prawda. Ludzie uzależnieni zrywają z nałogiem tylko wtedy, kiedy sami tego zapragną, nie wcześniej.

– Nigdy dotąd nie trafił pan na pacjenta, który po prostu nie może z tym zerwać?

– Nie wolno mi mówić o innych pacjentach.

– No tak, ale obaj wiemy, że tacy istnieją.

Meave z ociąganiem wzruszył ramionami.

– I Forrest jest jednym z nich – dodał ciszej Ray. – Żyję z tą świadomością już od dwudziestu lat.

– Ja przyjmuję to jak osobistą porażkę.

– Niepotrzebnie.

Wyszli przed budynek i rozmawiali jeszcze parę minut na werandzie. Meave w kółko przeproszał, choć dla Raya ucieczka brata nie była żadną niespodzianką.

Wracając krętą wąską drogą do głównej szosy, zastanawiał się, jak Forrest mógł tak po prostu zwać z ośrodka położonego w głębi lasów, trzynaście kilometrów od najbliższego miasteczka. Ale w końcu zdarzało mu się uciekać ze znacznie bardziej odizolowanych placówek.

Pewnie postanowił wrócić do Memphis, do swojego pokoiku w suterenie domu Ellie i do kumpli z ulicy, którzy zawsze czekali na jego powrót. Następny telefon od Forresta mógł być ostatnim, lecz Ray już od wielu lat żywił takie obawy. Mimo nieuleczalnej choroby brat odznaczał się wyjątkowymi zdolnościami do przetrwania.

Ray przekroczył granicę Tennessee, do Wirginii zostało mu tylko siedem godzin jazdy. Obserwując bezchmurne niebo i bezwietrzną pogodę, rozmyślał o tym, jak wspaniale musi być teraz dwa kilometry nad ziemią, nawet w ciasnej kabinie jego ulubionej wypożyczonej cessay.

## Rozdział 37

---

Zarówno drzwi na dole, jak i do mieszkania były nowe, jeszcze niepomalowane, i znacznie solidniejsze od poprzednich. Ray w myślach podziękował dozorczy, że zgodził się na dodatkowe koszty, chociaż dobrze wiedział, że nie powinno być już dalszych włamań. Pościg dobiegł końca. Nie musiał już z lękiem zerkać za siebie. Nie musiał jeździć do Składu Chaneya i bawić się w chowanego. Nie musiał w tajemnicy kontaktować się z Coreyem Crawfordem. Nie śniła mu się już po nocach ta przeklęta forsa, której bezpieczeństwo nie dawało mu spokoju i którą taszczył ze sobą wszędzie. Kiedy to brzemie spadło mu z barków, zaczął się częściej uśmiechać, a nawet szybciej chodzić.

Mógł wreszcie wrócić do normalnego życia, długich porannych biegów i jeszcze dłuższych samotnych lotów nad Piedmontem. Cieszyła go nawet perspektywa powrotu do pracy nad książką o prawie monopolowym, którą obiecywał skończyć na Gwiazdkę, najdalej na początku przyszłego roku. Znow zaczął ciepłej myśleć o Kaley i był gotów podjąć następną próbę umówienia się z nią na kolację. Teraz gdy już odebrała dyplom, nie musiał się niczego obawiać, a była zbyt atrakcyjna, by zwyczajnie wykreślić ją z pamięci po pierwszej porażce.

W mieszkaniu nic się nie zmieniło, wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Poza wymienionymi drzwiami nie było żadnych śladów włamywacza. Teraz już wiedział, że intruz nie zamierzał niczego kraść – chciał go jedynie zastraszyć. Musiał to być Gordie albo któryś z jego braci. Widocznie rozdzielili jakoś między siebie zadania, tyle że teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Dochodziła jedenasta wieczorem. Ray zaparzył mocną kawę i zaczął przeglądać pocztę. Nie przyszedł żaden anonim. Nie było niczego poza zwykłymi rachunkami i reklamówkami.

Na podajniku telefaksu leżały dwie kartki. Pierwsza wiadomość od byłego studenta. Druga od Pattona Frencha. Adwokat próbował się dodzwonić, lecz z numerem komórki, który dał mu Ray, coś było nie tak. Dlatego French napisał odręcznie ten list na papierze *Króla Pozwów* i z pewnością wysłał go z głębi Zatoki Meksykańskiej, gdzie ukrywał jacht przed czujnym wzrokiem adwokata żony.

Miał dobre wieści dotyczące bezpieczeństwa! Niedługo po tym, jak Ray opuścił wybrzeże, Gordie Priest został „zlokalizowany” wraz z obydwojema braćmi. Czy Ray mógłby zadzwonić? Sekretarka na pewno przekaże mu wiadomość.

Czekał dwie godziny, zanim French zadzwonił z hotelu w Fort Worth, gdzie spotykał się z prawnikami, by omówić sprawy dotyczące ryaxu i kobrilu.

– Pewnie wywiozę stąd co najmniej tysiąc pozwów – oznajmił entuzjastycznie, nie mogąc się powstrzymać.

– Cudownie – odparł Ray tonem świadczącym wyraźnie o tym, że nie chce więcej słuchać na temat pozwów zbiorowych i miliardowych odszkodowań.

– Może pan bezpiecznie rozmawiać? – zapytał French.

– Tak.

– Więc proszę słuchać. Priest nie stanowi już żadnego zagrożenia. Odnaleźliśmy go krótko po pańskim odjeździe, pijanego w sztok w łóżku pewnej starej krowy, z którą się spotykał od dłuższego czasu. Znaleźliśmy też obu jego braci. Pieniądze są bezpieczne.

– Kiedy dokładnie pańscy ludzie go znaleźli?

Ray miał przed sobą na stole kuchennym duży kalendarz, bo precyzyjne określenie czasu miało ogromne znaczenie. W ręce trzymał długopis, by robić notatki na marginesach kalendarza.

French milczał przez chwilę.

– Niech sobie przypomnę. Jaki dziś dzień?

– Poniedziałek, piąty czerwca.  
– Aha, poniedziałek. A kiedy pan wyjeżdżał z wybrzeża?  
– O dziesiątej rano w piątek.  
– W takim razie to było w piątek w porze lunchu.  
– Jest pan pewien?  
– Całkowicie. A o co chodzi?  
– I po tym, jak pańscy ludzie go znaleźli, nie mógł się nigdzie ruszyć z wybrzeża?  
– Proszę mi zaufać, Ray, że już nigdy nie ruszy się stamtąd na krok. Powiedzmy, że... znalazł tu pewne schronienie na zawsze.  
– Niepotrzebne mi szczegóły.  
Ray tępo wpatrywał się w kalendarz.  
– O co chodzi? – zapytał French. – Coś się stało?  
– Owszem.  
– Co?  
– Ktoś podpalił dom.  
– Sędziego Atlee?  
– Tak.  
– Kiedy?  
– Po północy, w sobotę nad ranem.  
Na dłużej zapadła cisza.  
– No cóż – odezwał się wreszcie adwokat. – Na pewno nie zrobił tego żaden z Priestów. Za to mogę panu ręczyć.  
Ray się nie odezwał, więc French zapytał:  
– Gdzie są pieniądze?  
– Nie wiem.  
Ośmiokilometrowy bieg ani trochę nie uwolnił Raya od niepokoju, ale jak zwykle pozwolił zebrać myśli i skojarzyć pewne fakty. Temperatura podskoczyła do trzydziestu trzech stopni, więc po powrocie do mieszkania był zlany potem.  
Teraz, gdy Harry Rex o wszystkim wiedział, Ray miał ten komfort, że mógł się z nim natychmiast skontaktować i przekazać najświeższe wieści. Zadzwoił do jego biura w Clanton, lecz dowiedział się, że adwokat jest w sądzie w Tupelo i wróci późnym wieczorem. Zadzwoił więc do Ellie, do



Memphis, ale nikt nie odebrał. Połączył się więc z Oscarem Meave'em w Alcorn Village i zapytał, czy nie wiadomo nic nowego o miejscu pobytu Forresta, lecz usłyszał to, czego mógł się spodziewać.

Tak właśnie wyglądało normalne życie Raya.

\* \* \*

Po długotrwałych uciążliwych negocjacjach w korytarzach sądu okręgowego hrabstwa Lee, obejmujących tak ważne kwestie jak te, komu przypadnie w udziale domek letniskowy nad jeziorem, a komu motorówka i narty wodne, oraz ile mąż będzie musiał zapłacić żonie, godzinę po lunchu podpisano ugodę rozwodową. Klientowi Harry'ego Rexa, porywczemu kowbojowi rozstającemu się właśnie z trzecią żoną, wydawało się, że zna prawo cywilne lepiej od swojego adwokata. Jego żona, która miała na karku trzydziestkę, ale próbowała wyglądać jak nastolatka, przyłapała go w łóżku ze swoją najlepszą przyjaciółką. Dla Harry'ego Rexa była to typowa sprawa pełna gorzkich obustronnych wyrzutów i wzajemnych pyskówek, toteż miał jej serdecznie dość, gdy przedstawiał sędziemu z trudem wywalczone warunki porozumienia rozwodowego.

Sędzia sądu kanclerskiego był weteranem mającym za sobą tysiące podobnych spraw.

– Bardzo mi przykro z powodu sędziego Atlee – powiedział cicho, jeszcze nim zaczął przeglądać papiery.

Harry Rex smutno pokiwał głową. Był przemęczony i chciał mu się pić, myślał niemal wyłącznie o zimnym piwie, które chciał wydudlać za kierownicą, wracając bocznymi drogami do Clanton. Przypominał sobie nawet swój ulubiony sklep w tej części stanu, niedaleko granicy hrabstwa.

– Służyliśmy razem przez dwadzieścia dwa lata – ciągnął tymczasem sędzia.

– To był wspaniały człowiek.

– Pan zajmuje się jego testamentem?

- Tak, panie sędzio.
- Proszę przekazać moje pozdrowienia sędziemu Farrowi.
- Nie omieszkam.

Dokumenty zostały podpisane, rozwód zatwierdzony, a wojujące strony odesłano do domów. Harry Rex w pośpiechu wyszedł z budynku sądu i był już w połowie drogi do samochodu, kiedy dogonił go jakiś prawnik i złapał za rękę. Przedstawił się jako Jacob Spain, właściciel jednej z setek tutejszych małych kancelarii. Był właśnie w sali rozpraw i usłyszał jednym uchem, jak z ust kanclerza padło nazwisko sędziego Atlee.

- Sędzia miał syna, Forresta, prawda? – zapytał.
  - Dwóch synów, Raya i Forresta – odparł Harry Rex, wzdychając ciężko i szykując się na nudną pogawędkę.
  - W szkole średniej grałem w drużynie futbolowej przeciwko Forrestowi. Długo byłem w gipsie po tym, jak złamał mi obojczyk.
  - Uwielbiał takie akcje.
  - Grałem z New Albany, już w zespole seniorów, podczas gdy Forrest był jeszcze juniorem. Widział go pan w akcji?
  - Owszem, wiele razy.
  - Przypomina pan sobie ten mecz przeciwko nam, w którym miał pięć przyłożeń?
  - Oczywiście – mruknął z niechęcią Harry Rex, zachodząc w głowę, ile to jeszcze może potrwać.
  - Tuż przed przerwą przejąłem piłkę po jego podaniu, przedarłem się przez linię obrony i już miałem skoczyć do przyłożenia, kiedy powalił mnie na ziemię.
  - Pamiętam. Bardzo lubił w ten sposób atakować.
- Harry Rex przypomniał sobie motto Forresta: „Atakuj znieścacka, ostro i jak najpóźniej”. Z upodobaniem stosował je szczególnie wobec wolniejszych obrońców, którym udało się przejąć jego podanie.
- Jeśli dobrze pamiętam, tydzień później został aresztowany – dodał Spain. – Jaka szkoda. W każdym razie widziałem go parę tygodni temu tutaj, w Tupelo, w towarzystwie ojca.

Harry Rex uniósł brwi. W jednej chwili zapomniał o sklepie i zimnym piwie, przynajmniej na razie.

– Kiedy? – zapytał.

– Tuż przed śmiercią sędziego. Przyznam, że była to dziwna scena.

Przeszli parę kroków dalej i stanęli w cieniu drzewa.

– Dlaczego dziwna? – zaciekawiał się Harry Rex, poluzowując węzeł krawata. Wygniecioną granatową marynarkę zdjął już wcześniej.

– Moja teściowa ma raka piersi i leczy się w klinice Tafta. Wiosną któregoś popołudnia, pamiętam, że to był poniedziałek, zawiozłem ją tam na badania kontrolne.

– Sędzia Atlee także był pacjentem tej kliniki. Widziałem rachunki.

– Właśnie tam go spotkałem. Odprowadziłem teściową do rejestracji, a ponieważ musieliśmy poczekać, wróciłem do samochodu, żeby przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych. I kiedy siedziałem w wozie, zobaczyłem, jak sędzia Atlee wysiada z długiego czarnego lincolna prowadzonego przez kogoś, kogo w pierwszej chwili nie poznałem. Dopiero gdy zaparkował trzy miejsca ode mnie i wysiadł, wydał mi się znajomy. Wysoki, potężnie zbudowany, z długimi włosami, pewny siebie. I nagle zorientowałem się, że to Forrest. Poznałem go po sposobie poruszania się, po długich sprężystych krokach. Miał duże ciemne okulary i czapkę baseballową głęboko nasuniętą na oczy. Wszedł za ojcem do środka, ale już po chwili wyszedł z powrotem.

– Jaka dokładnie była ta czapka?

– Chyba niebieska, trochę wypłowiała, z logo Cubsów.

– Widziałem go w niej.

– Zachowywał się strasznie nerwowo, jakby nie chciał, żeby ktoś go rozpoznał. Schował się za drzewami na skraju parkingu i stał tam, ledwie widoczny z ulicy. Naprawdę się ukrywał. W pierwszej chwili pomyślałem, że poszedł się wysikać, ale on stał tam i stał. Mniej więcej po godzinie wróciłem do kliniki,

jeszcze trochę zaczekałem, po czym odebrałem teściową i podprowadziłem ją do samochodu. Kiedy odjeżdżaliśmy, Forrest ciągle stał za drzewami.

Harry Rex wyciągnął z kieszeni kalendarzyk.

– Jaki to był dzień?

Spain wyjął swój gęsto zapisany terminarz i przerzucił parę kartek, wodząc po nich palcem.

– Poniedziałek, pierwszy maja – odparł w końcu.

– Czyli zaledwie sześć dni przed śmiercią sędziego.

– Tak. Jestem tego pewien. To dziwaczne zachowanie Forresta wryło mi się w pamięć.

– Hm... to w ogóle dziwny człowiek.

– Mam nadzieję, że nie jest ścigany przez policję.

– Nie, przynajmniej nie w chwili obecnej – odparł Harry Rex i obaj uśmiechnęli się smutno.

Spain nagle przypomniał sobie, że ma coś pilnego do załatwienia.

– W każdym razie gdyby go pan spotkał, proszę mu powiedzieć, że wciąż mam do niego żal o tamten atak na boisku – powiedział.

– Na pewno to zrobię.

Pożegnali się i Harry Rex w zamyśleniu odprowadził Spaina wzrokiem.

## Rozdział 38

---

**W** pochmurny czerwcowy poranek państwo Vonnerowie wyjechali z Clanton nowym terenowym autem z napędem na cztery koła, mającym spalać najwyżej dwadzieścia litrów benzyny na sto kilometrów, wyładowanym taką ilością bagażu, która starczyłaby na miesięczny pobyt w Europie. Wybierali się jednak tylko do Waszyngonu, gdzie mieszkała siostra pani Vonner, a Harry Rex nie miał dotąd okazji jej poznać. Na pierwszą noc zatrzymali się w Gatlinburgu, na drugą w White Sulphur Springs w Wirginii Zachodniej. Następnego dnia koło południa dotarli do Charlottesville, obowiązkowo zwiedzili Monticello, rodzinną posiadłość Thomasa Jeffersona, pospacerowali po kampusie i wpadli na wyjątkową kolację do uczelnianego baru o nazwie White Spot, którego specjalnością były hamburgery z jajkiem sadzonym. Harry Rex przepadał za takimi daniami.

Następnego ranka, kiedy żona jeszcze spała, wymknął się na spacer po śródmiejskim pasażu. Odnalazł właściwy adres i postanowił zaczekać przy wylocie bocznej uliczki.

\* \* \*

Kilka minut po ósmej Ray starannie zawiązał sznurówki drogich butów do joggingu, w przedpokoju zrobił parę skłonów i przysiadów, po czym zbiegł po schodach i wyruszył na swoją codzienną ośmiokilometrową trasę. Mimo wczesnej pory było już gorąco. Pod koniec czerwca do Wirginii na dobre zawitało lato.

Ledwie wybiegł z za rogu, usłyszał za sobą znajomy głos:

– Jak się masz, chłopcze!

Harry Rex siedział na ławce, z kubkiem kawy w dłoni, obok nierozłożonej jeszcze gazety. Ray zastygł bez ruchu i przez kilka sekund nie mógł się otrząsnąć z zaskoczenia. Coś musiało się stać.

Kiedy wreszcie mógł się poruszyć, podszedł do Harry'ego Rixa.

– A co ty tutaj robisz? – spytał.

– Ładne wdzianko – mruknął Harry Rex, przeciągłym spojrzeniem obrzucając jego szorty, starą bawełnianą koszulkę, czerwoną czapkę z daszkiem i modne okulary dla sportowców. – Jesteśmy tu z żoną przejazdem. Ma siostrę w Waszyngtonie i doszła do wniosku, że powinienem ją poznać. Siadaj.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś?

– Nie chciałem cię niepokoić.

– Trzeba było zadzwonić. Wybralibyśmy się na kolację, pokazałbym wam miasto.

– Nie przyjechałem tu niczego zwiedzać – powiedział Harry Rex. – Siadaj wreszcie.

Wietrząc kłopoty, Ray pośpiesznie usiadł obok niego.

– Aż nie chce mi się wierzyć... – mruknął.

– Zamknij się i słuchaj.

Ray ściągnął okulary i popatrzył ze zdumieniem na adwokata.

– Złe wieści?

– Powiedzmy, że dość dziwne.

Harry Rax powtórzył to, co usłyszał od Jacoba Spaina o Forreście sześć dni przed śmiercią sędziego, ukrywającym się za drzewami przy klinice onkologicznej. Ray słuchał z niedowierzaniem, osunąwszy się nisko na ławce. Wreszcie wyprostował się, pochylił, oparł łokcie na kolanach i opuścił głowę.

– Według wpisu do karty chorobowej, tamtego dnia, pierwszego maja, twój ojciec odebrał pojemnik z morfiną. Nie wiem, czy był to pierwszy, czy tylko uzupełnienie zapasu, bo nie

zostało to wyszczególnione. W każdym razie wygląda na to, że Forrest zatroszczył się, by ojciec miał pod dostatkiem morfiny.

Zapadło milczenie, gdy alejką przeszła zgrabna młoda kobieta, której pupa w obcisłej spódniczce poruszała się kusząco przy każdym kroku.

Harry Rex pociągnął łyk kawy.

– Ten testament, który znalazłeś w gabinecie, od początku wydawał mi się podejrzany – powiedział. – Omawialiśmy z Sędzią jego ostatnią wolę już od dobrych sześciu miesięcy. Jakoś nie mogę uwierzyć, że tuż przed śmiercią zmienił zdanie i postanowił napisać nowy testament. Długo przyglądałem się obu podpisom i według mojej skromnej opinii, ten ostatni został podrobiony.

Ray odchrząknął.

– Jeśli Forrest zawiózł ojca do Tupelo, powinniśmy zakładać, że nocował wtedy w domu.

– I pewnie nie tylko nocował – dodał Harry Rex, który wynajął detektywa z Memphis i zlecił mu odnalezienie Forresta, ale ten nie natrafił na żaden ślad. Teraz ze złożonej gazety wyciągnął kopertę i podał ją Rayowi. – A to przyszło trzy dni temu.

Był to list od Oscara Meave'a, prowadzącego Alcorn Village:

*Szanowny panie Vonner!*

*Nie mogę się skontaktować z Rayem Atlee. Jeśli szuka brata, to wiem, gdzie Forrest przebywa. Proszę do mnie zadzwonić, gdyby chciał Pan porozmawiać w tej sprawie. Wiadomość jest poufna.*

*Z poważaniem  
Oscar Meave*

– Od razu do niego zadzwoniłem – oznajmił Harry Rex, odprowadzając wzrokiem następną młodą kobietę. – Jeden z jego byłych pacjentów jest obecnie terapeutą w pewnym ośrodku odwykowym na zachodzie. Forrest zgłosił się tam trzy tygodnie temu i kazał zachować to w ścisłej tajemnicy. Powiedział, że

sobie nie życzy, aby ktoś z rodziny dowiedział się, gdzie jest. Takie rzeczy chyba nie należą do rzadkości, bo personel ośrodka przyjął to za dobrą monetę. Wszyscy mają obowiązek stosować się do życzeń klientów, ale z drugiej strony, udział najbliższej rodziny może mieć kluczowe znaczenie dla przebiegu kuracji. Dlatego terapeuci pozostają ze sobą w kontakcie. A Meave zdecydował się, aby cię o tym powiadomić.

– Gdzie dokładnie na zachodzie?

– W Montanie. Ośrodek nazywa się Morningstar Ranch. Meave powiedział, że pobyt w nim bardzo się Forrestowi przyda. To ekskluzywna, całkowicie odizolowana od świata klinika odwykowa dla najcięższych przypadków. Przekazał też, że nie wypuszczą stamtąd Forresta przez rok.

Ray wyprostował się i w zamyśleniu potarł palcami czoło, jakby znów czuł wymierzoną w to miejsce broń.

– A ta kuracja, oczywiście, jest cholernie kosztowna – dodał Harry Rex.

– Oczywiście.

Nie było więcej o czym mówić, w każdym razie nie na temat Forresta, więc po kilku minutach adwokat powiedział, że musi wracać. Doręczył wiadomość, powiedział, co miał do powiedzenia, a żona chciała jak najszybciej zobaczyć się z siostrą. Może następnym razem będzie mógł się zatrzymać na dłużej, na obiecaną kolację i zwiedzanie miasta. Poklepał Raya po ramieniu i zostawił go na parkowej ławce.

– Do zobaczenia w Clanton – rzucił na pożegnanie.

Zbyt słaby i otępiały, żeby wyruszyć na trasę biegu, Ray długo jeszcze siedział, patrząc niewidzącym wzrokiem na śródmiejski pasaż i okna swojego mieszkania. Czuł się całkowicie zagubiony w chaosie błyskawicznie i bezładnie przemieszczających się kawałków układanki. Ruch stawał się coraz większy, handlowcy, urzędnicy bankowi i prawnicy śpieszyli do pracy, ale on ich nie widział.

\* \* \*



Carl Mirk w każdym semestrze prowadził zajęcia z prawa ubezpieczeniowego i podobnie jak Ray był członkiem miejscowej palestry. Podczas lunchu mówili o czekającym Raya przesłuchaniu i doszli do wniosku, że jest to część rutynowego śledztwa, więc nie ma się czym martwić. Mirk zgodził się być przy nim obecny i pełnić funkcję adwokata Raya.

Inspektor firmy ubezpieczeniowej nazywał się Ratterfield. Spotkali się z nim w sali konferencyjnej wydziału prawa. Pośpiesznie zdjął marynarkę, jakby szykował się na wielogodzinną rozmowę. Ray był w dżinsach i koszulce polo, Mirk także nosił sportowe ubranie.

– Zwykle nagrywam takie rozmowy – zaczął urzędowo Ratterfield, wyciągając z teczki magnetofon i ustawiając go między sobą a Rayem. – Mają panowie jakieś zastrzeżenia? – zapytał, podłączony do prądu.

– Rzecz nie – odparł Ray.

Inspektor włączył nagrywanie, zajrzał do notatek, po czym dla potrzeb zapisu na taśmie zaczął od oficjalnego wprowadzenia. Był niezależnym inspektorem ubezpieczeniowym wynajętym przez Aviation Underwriters w celu zbadania zasadności wniosku złożonego przez Raya Atlee oraz trzech innych współwłaścicieli w związku ze zniszczeniem drugiego czerwca beech bonanzy wyprodukowanej w 1994 roku. Zgodnie z raportem stanowego inspektora straży pożarnej, przyczyną zniszczenia samolotu było celowe podpalenie.

Następnie zapytał o lotnicze doświadczenie Raya. Ten pokazał mu swoją książkę lotów. Ratterfield przejrzał ją uważnie, lecz nie znalazł niczego szczególnie interesującego.

– Nie zaliczył pan testu odczytu przyrządów pokładowych? – zapytał.

– Jeszcze do niego nie doszedłem.

– I wylatał pan czternaście godzin na bonanzie?

– Tak.

Potem zainteresował się konsorcjum właścicieli bonanzy i zaczął rozpytywać o okoliczności jego powstania. Wcześniej

rozmawiał już z pozostałymi członkami i znał treść umowy, którą zawarli, oraz inne dokumenty. Ray potwierdził wszystkie te informacje.

– Gdzie pan był pierwszego czerwca? – zapytał inspektor, zmieniając niespodziewanie temat.

– W Biloxi, w stanie Missisipi – odparł Ray, przekonany, że Ratterfield nie ma pojęcia, gdzie to jest.

– Jak długo pan tam przebywał?

– Kilka dni.

– Mogę zapytać, jaki był cel pańskiego wyjazdu?

– Oczywiście.

Ray przytoczył skróconą wersję historii swoich ostatnich podróży do domu. Oficjalnie jako powód wyjazdu na wybrzeże podał chęć odwiedzenia starych przyjaciół, jeszcze z czasów studiów na Uniwersytecie Tulane'a.

– Na pewno ktoś może potwierdzić, że był pan tam pierwszego czerwca – wtrącił inspektor.

– Co najmniej kilka osób. Poza tym mam rachunki za hotel.

Inspektor sprawiał wrażenie przekonanego, że Ray rzeczywiście był w Missisipi.

– Pozostali współwłaściciele byli w domu, kiedy samolot spłonął – powiedział, przerzucając kartki notatnika. – Wszyscy mają alibi. Jeśli założymy, że było to celowe podpalenie, musimy najpierw ustalić motyw działania podpalacza, a potem jego tożsamość. Nie ma pan żadnych podejrzeń?

– Nie wiem, kto mógł to zrobić – odparł Ray szybko i stanowczo.

– A co z motywem?

– Dopiero co kupiliśmy ten samolot. Dlaczego któryś z nas miałby go spalić?

– Może właśnie po to, by uzyskać odszkodowanie. Zdarzają się takie sytuacje. Niewykluczone, że któryś ze współników doszedł do wniosku, że wziął na siebie zbyt duże obciążenie finansowe. W końcu w grę wchodzi niemałe pieniądze, prawie dwieście

tysięcy dolarów, blisko dziewięćset miesięcznie od każdego ze współników przez sześć lat.

– Świetnie znaleźliśmy warunki finansowe już dwa tygodnie przed podpisaniem umowy.

Przez pewien czas omawiali delikatne sprawy sytuacji finansowej Raya, wysokość jego poborów, wydatków i zobowiązań. Kiedy Ratterfield zyskał przekonanie, że stać go było na spłacenie umowy, szybko zmienił temat.

– Przejdźmy do pożaru w Missisipi – rzucił, sięgając po jakiś raport. – Proszę mi o nim opowiedzieć.

– Konkretnie o czym?

– Jest pan podejrzanym w sprawie dokonanego tam podpalenia?

– Nie.

– Na pewno?

– Oczywiście. Może się pan skontaktować z moim adwokatem.

– Już to zrobiłem. Poza tym w ciągu ostatnich sześciu tygodni dwa razy włamywano się do pańskiego mieszkania.

– Ale nic nie zginęło. Za każdym razem złodzieje wyważali tylko drzwi.

– Miał pan bardzo ekscytujące wakacje.

– Czy to jest pytanie?

– Wygląda na to, że ktoś sobie pana upodobał.

– To też mam uznać za pytanie?

Ratterfield tylko uśmiechnął się ugodowo, a Ray odetchnął z ulgą.

– Czy kiedykolwiek w przeszłości był pan podejrzewany o podpalenie?

– Nigdy. – Teraz Ray uśmiechnął się nieznacznie.

Inspektor przerzucił jeszcze kilka stron w teczce, po czym ją zamknął.

– Nasi adwokaci na pewno pozostaną z panem w kontakcie – powiedział i wyłączył magnetofon.

– Wręcz nie mogę się doczekać – mruknął Ray.

Ratterfield włożył marynarkę, spakował teczkę i wyszedł.

- Coś mi się zdaje, że wiesz znacznie więcej, niż mówisz – odezwał się Carl, kiedy zostali sami.
- Możliwe – odparł Ray. – Ale nie mam nic wspólnego ani z jednym podpaleniem, ani z drugim.
- Nawet nie chcę tego słuchać.

## Rozdział 39

---

**P**rawie przez cały tydzień gwałtowne letnie fronty atmosferyczne, nisko wiszące chmury i wiatry tworzyły zbyt niebezpieczne warunki dla awionetek. Kiedy wreszcie w kilkudniowej prognozie zapowiedziano czyste bezchmurne niebo nad wschodnimi i środkowymi stanami aż do południowego Teksasu, Ray wystartował cesseną z Charlottesville do najdłuższego lotu w swojej krótkiej karierze pilota. Omijając strefy zatłoczonej przestrzeni powietrznej i wypatrując punktów orientacyjnych, poleciał na zachód wzdłuż doliny Shenandoah, przeciął Wirginię Zachodnią i dotarł do Kentucky, gdzie musiał wylądować na krótkim, zaledwie tysięcznym pasie niedaleko Lexington, żeby uzupełnić paliwo. Cessna mogła utrzymać się w powietrzu jakieś trzy i pół godziny, zanim wskaźnik poziomu paliwa spadał do granicy jednej czwartej pojemności zbiorników. Po raz drugi wylądował w Terre Haute, potem przeleciał nad rzeką Missisipi w pobliżu Hannibal i zatrzymał się na noc w Kirksville w Missouri.

Był to jego pierwszy pobyt w motelu od czasu zakończenia odysei z pieniędzmi, choć i tym razem nocował poza domem właśnie z ich powodu. Przerzucając kanały telewizji kablowej, uświadomił sobie, że jest w Missouri, i od razu przypomniała mu się opowieść Pattona Frencha o jego pierwszym zetknięciu z ubocznymi skutkami ryaxu podczas prawniczego seminarium w Saint Louis. Syn pewnego starego adwokata z małego miasteczka w leżących niedaleko górach Ozark wykładał na Uniwersytecie Columbii i znał wyniki badań laboratoryjnych tego leku. To właśnie przez Pattona Frencha i jego bezgraniczną

chciwość on, Ray Atlee, musiał po raz kolejny nocować w motelu, w miasteczku, w którym nikogo nie znał.

Nad Utah tworzył się następny front atmosferyczny, więc Ray wystartował zaraz po wschodzie słońca i wzbił maszynę na tysiąc pięćset metrów. Potem ustawił parametry lotu i otworzył duży kubek gorącej czarnej kawy. Leciał przez jakiś czas na północ i znalazł się nad polami kukurydzy stanu Iowa.

Półtora kilometra nad ziemią, w spokojnym i przejrzystym rannym powietrzu, otoczony ciszą panującą nawet na radiowych kanałach łączności lotniczej, próbował się skupić na czekającym go zadaniu. Było to jednak znacznie trudniejsze od rozkoszowania się samotnością, pięknymi widokami i kawą, od napawania się świadomością, że cały świat pozostał daleko w dole. Przyjemnie było w takiej chwili odepchnąć od siebie wszelkie myśli o bracie.

Po krótkim postoju w Sioux Falls znów skierował się na zachód i przez jakiś czas leciał wzdłuż międzystanowej autostrady numer dziewięćdziesiąt przecinającej Dakotę Południową, potem musiał łukiem okrążyć zamkniętą przestrzeń powietrzną nad Mount Rushmore. Wylądował w Rapid City, wypożyczył samochód i wybrał się na długą wycieczkę do parku narodowego Badlands.

Ośrodek Morningstar Ranch leżał gdzieś pośród wzgórz na południe od Kalispell, lecz na jego stronie internetowej nie było adresu. Oscar Meave rozpytywał znajomych, ale nie zdołał poznać dokładnej lokalizacji. Pod koniec trzeciego dnia podróży, już po zmroku, Ray wylądował w Kalispell. Znów wynajął samochód, zjadł późną kolację, znalazł motel i jeszcze przez kilka godzin ślęczał nad drogowymi i lotniczymi mapami tych okolic.

Cały następny dzień poświęcił na latanie wokół miasta, koncentrując się głównie na terenach nad jeziorem Flathead i leżących nad nim miasteczkach Woods Bay, Polison, Bigfork oraz Elmo. Kilka razy przeleciał nad wodą i już zamierzał zrezygnować, gdy jego uwagę przyciągnął kompleks zabudowań

w pobliżu Somers na północnym brzegu jeziora. Krążył nad nim, lecąc na wysokości pięciuset metrów, aż dostrzegł solidne zielone ogrodzenie, niemal na całej długości biegnące przez las i prawie niewidoczne z powietrza. W paru mniejszych budynkach prawdopodobnie mieszkali pacjenci, większy był zapewne centrum administracyjnym, poza tym na terenie znajdował się basen, korty tenisowe oraz duża stajnia, za którą na łące pasły się konie. Latał nad tajemniczym ośrodkiem tak długo, aż kilka osób kręcących się po terenie przerwało pracę i zadarło głowy, osłaniając oczy od słońca.

Odnalezienie kompleksu na ziemi było równie trudne, jak wypatrzenie go z powietrza, ale nazajutrz koło południa Ray zatrzymał w końcu samochód przed nieoznakowaną bramą i przez chwilę obserwował uzbrojonego strażnika, który mierzył go surowym wzrokiem. Wysłuchawszy kilku pytań, strażnik z ociąganiem przyznał, że owszem, jest to ośrodek, którego szukał.

– Nie wpuszczamy tu odwiedzających – dodał szybko.

Ray bez wahania opowiedział bajeczkę o trudnej sytuacji rodzinnej, która zmusiła go do poszukiwania brata. Strażnik wyjaśnił jednak, że powinien zostawić swoje nazwisko oraz numer telefonu i odjechać, a jeśli będzie miał szczęście, ktoś się z nim skontaktuje. Nazajutrz Ray właśnie łowił pstrągi w rzece Flathead, kiedy zadzwoniła komórka. Jakaś Allison z Morningstar Ranch opryskliwie powiedziała, że chce rozmawiać z Rayem Atlee.

Czyżby spodziewała się, że odbierze jego sekretarka? Kiedy odparł, że to on, zapytała, w jakim celu chce się dostać na teren ośrodka.

– Mam tam brata. – Starał się mówić uprzejmym tonem. – Nazywa się Forrest Atlee i chciałbym się z nim zobaczyć.

– Skąd pan wie, że on tu jest? – rzuciła ostro.

– Bo wiem. Pani wie to równie dobrze jak ja, więc darujmy sobie tę zabawę.

– Sprawdzę, ale proszę za bardzo nie liczyć na odpowiedź.

Przerwała połączenie, zanim zdążył otworzyć usta. Potem zadzwonił równie opryskliwy Darrel, kierownik ośrodka czy ktoś w tym rodzaju. Było już późne popołudnie; Ray maszerował szlakiem turystycznym w górach Swan Range, niedaleko sztucznego zbiornika Hungry Horse. Darrel był jeszcze mniej rozmowny niż Allison.

– Tylko pół godziny – zastrzegł. – Ani minuty dłużej. Jutro o dziesiątej rano.

\* \* \*

Ośrodek przypominał więzienie o zastrzonym rygorze. Ten sam uzbrojony strażnik zrewidował Raya przy bramie i przeszukał samochód.

– Proszę jechać za nim – polecił, wskazując kolegę czekającego w elektrycznym wózku golfowym u wylotu wąskiej alejki.

Po kilku minutach wjechali na niewielki parking blisko wejścia do budynku administracji. Ledwie Ray wysiadł z samochodu, w drzwiach pojawiła się Allison, nieuzbrojona. Była wysoka i po męsku barczysta, a gdy uścisnęła mu dłoń na powitanie, przemknęło mu przez myśl, że jeszcze nigdy nie czuł się tak fizycznie zdominowany przez kobietę. Poprowadziła go przez hol, w którym kamery systemu bezpieczeństwa śledziły każdy jego ruch, i w pokoju bez okien przekazała bezpłciowemu umundurowanemu strażnikowi, ten zaś z delikatnością ładowacza bagażu dokładnie obmacał wszystkie wypukłości i wgłębienia jego ciała. Oszczędził mu tylko najgorszego i nie wpakował łapy między nogi, choć pewnie i na to miał ochotę.

– Ja tylko chciałem się zobaczyć z bratem – zaprotestował Ray nieśmiało, ale został zaszczycony spojrzeniem, które odebrał prawie jak policzek.

Kiedy w końcu uznano, że jest niegroźny, Allison poprowadziła go dalej krótkim korytarzem do niemal pustego kwadratowego pokoju, sprawiającego wrażenie celi, w której przez przeoczenie zapomniano wyłożyć ściany materacami



i zdemontować klamkę. Było małe okienko, ale w drzwiach, i wskazując je palcem, Allison ostrzegła:

– Będziemy obserwować.

– Co chcecie obserwować? – zapytał odruchowo.

Skrzywiła się pogardliwie; wyglądała tak, jakby chciała go powalić na podłogę.

Pośrodku stał mały stolik i dwa krzesła ustawione naprzeciwko siebie.

– Proszę usiąść – rozkazała i Ray pośpiesznie zajął wskazane miejsce.

Przez dziesięć minut, siedząc plecami do drzwi, gapił się na puste ściany.

Drzwi otworzyły się wreszcie i Forrest wszedł do środka, sam. Nie był zakuty w łańcuchy, nie miał kajdanek, nie prowadził go żaden mięśniak. Bez słowa usiadł naprzeciwko Raya, położył dłonie na stole i splótł palce, jakby przygotowywał się do medytacji. Głowę miał ostrzyżoną na zapałkę, a za uszami i przy karku ogoloną. Wydawał się o dziesięć kilogramów chudszy. Ubrany w workowatą ciemnooliwkową koszulę z niską stójką i dwiema dużymi kieszeniami na piersi, przypominał rekruta.

– Tu jest jak w karnym obozie wojskowym – powiedział Ray.

– Konieczna dyscyplina – odparł Forrest bardzo powoli i miękko.

– Przechodzisz pranie mózgu?

– Właśnie.

Ray przyjechał tu z powodu pieniędzy i postanowił od razu przejść do rzeczy.

– Więc co tu dostajesz za siedemset dolarów dziennie?

– Nowe życie.

Z aprobatą pokiwał głową. Forrest z kamienną twarzą wbijał w niego nieruchome spojrzenie, ani razu nie mrugnął. Gapił się, jak gdyby miał przed sobą kogoś obcego.

– I zamierzasz tu zostać przez cały rok?

– Co najmniej.

– To będzie kosztowało ćwierć miliona dolarów.

Forrest ledwie zauważalnie wzruszył ramionami, chcąc dać do zrozumienia, że pieniądze nie stanowią żadnego problemu i jeśli zapragnie, zostanie tu na trzy lata albo nawet dłużej.

– Jesteś pod wpływem jakichś leków? – zapytał Ray, chcąc sprowokować brata.

– Nie.

– Bo zachowujesz się dziwnie.

– Niczego nie biorę. Tu nie stosuje się żadnych leków. Chyba domyślasz się dlaczego, prawda? – Głos Forresta stał się bardziej agresywny.

Ray uświadomił sobie, że czas ucieka. Nie wątpił, że Allison zjawi się dokładnie po upływie trzydziestu minut, przerwie im rozmowę i wyprowadzi go z budynku. Musiał się streszczać, choć bardzo żałował, że nie będzie mógł poznać wszystkich szczegółów. Do rzeczy, nakazał sobie w myślach. Wyciągnij od niego, co się da.

– Porównałem podpisy ojca na testamencie, który znalazłem w gabinecie, i na listach wzywających nas na spotkanie siódmego maja. Doszedłem do przekonania, że zostały podrobione.

– Brawo.

– Nie wiem, kto je podrobił, podejrzewam jednak, że ty.

– Podaj mnie do sądu.

– Nie zaprzeczasz?

– A co to za różnica?

– Co to za różnica? – powtórzył cicho Ray i skrzywił się pogardliwie.

Wzbierała w nim wściekłość, ale czas uciekał nieubłaganie.

– Otrzymałem list od ojca w czwartek, a został nadany w Clanton w poniedziałek, tego samego dnia, kiedy zawiozłeś go do kliniki w Tupelo, żeby zaopatrzyć go w morfinę. Powstaje pytanie, jakim cudem zdołałeś wystukać oba wezwania na starym underwoodzie bez wiedzy ojca.

– Nie muszę odpowiadać na twoje pytania.

– Musisz. Sam zorganizowałeś to oszustwo, Forrest. Jesteś mi winien przynajmniej tyle, by teraz opowiedzieć, jak do tego

doszło. Wygrałeś. Stary nie żyje, dom spłonął, pieniądze są twoje. Nikt nie będzie cię ścigał poza mną. Nie mam dużo czasu, więc powiedz mi, jak to się stało.

– Brał morfinę już wcześniej.

– Tak, wiem. Zabrałeś go, żeby lekarz dał mu drugi pojemnik albo uzupełnił zapas. Nie o to pytałem.

– Ale to ważne.

– Dlaczego?

– Bo stale był otępiały. – Niewzruszona poza Forresta nieco się zmieniła; zdjął łokcie ze stołu i odwrócił głowę.

– A więc bardzo cierpiał? – zapytał szybko Ray, chcąc podsycić tłące się emocje brata.

– Owszem – odparł obojętnie Forrest.

– A kiedy zwiększałeś mu dawkę morfiny, miałeś cały dom dla siebie?

– Coś w tym rodzaju.

– Kiedy po raz pierwszy się tam zjawiłeś?

– Nie pamiętam dat. Nigdy nie miałem do nich głowy.

– Nie rób ze mnie idioty, Forrest. Ojciec zmarł w niedzielę.

– Przyjechałem w sobotę.

– Osiem dni przed jego śmiercią?

– Na to wychodzi.

– Po co tam pojechałeś?

Forrest skrzyżował ręce na piersi i spuścił głowę.

– Bo tego chciał – rzucił cicho. – Poprosił, żebym przyjechał. Zrobiłem to następnego dnia. Nie mogłem uwierzyć, że jest już tak stary i schorowany. Czuł się straszliwie samotny. – Westchnął ciężko i zerknął na Raya. – Dokuczał mu nieznośny ból, nie pomagały nawet większe dawki morfiny. Usiedliśmy na werandzie i długo rozmawialiśmy o wojnie secesyjnej, o tym, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Jackson nie zginął pod Chancellorsville. Wracaliśmy do tych samych bitew, które wspominał od lat. Ból tak mu dokuczał, że nie mógł usiedzieć na jednym miejscu. Czasami aż zatykało mu oddech. Ale chciał rozmawiać. Nawet nie próbowaliśmy zakopać topora wojennego

ani czegokolwiek wyjaśniać. Żaden z nas nie czuł takiej potrzeby. Jemu zależało tylko na tym, żebym był przy nim. Położyłem się spać na kanapie w gabinecie, ale w nocy zbudził mnie jego krzyk. Leżał na podłodze w swojej sypialni, z kolanami pod brodą, i trzął się z bólu. Ułożyłem go na łóżku, podałem mu morfinę i czekałem, aż się uspokoi. Była trzecia nad ranem. Nie mogłem zasnąć, więc zacząłem myszkować po domu.

Urwał.

– I wtedy znalazłeś pieniądze? – spytał Ray, nie chcąc tracić czasu.

– Jakie pieniądze?

– Te, z których opłacasz po siedemset dolarów dziennie swój pobyt tutaj.

– Ach, te.

– Właśnie te.

– Tak, wtedy je znalazłem. Leżały tam, gdzie ty je znalazłeś. Dwadzieścia siedem pudełek. W pierwszym było sto tysięcy dolarów, w pozostałych już nie liczyłem dokładnie. Nie miałem pojęcia, co z tym zrobić. Siedziałem tam przez kilka godzin, gapiąc się na te pudełka upchnięte w komodzie za kanapą. Bałem się, że wstanie z łóżka, zejdzie na dół i przyłapie mnie na tym, a jednocześnie tego chciałem. Bo wtedy musiałby mi wyjaśnić, skąd je wziął. – Znowu oparł łokcie na stole, podniósł głowę i popatrzył na Raya. – O wschodzie słońca miałem gotowy plan. Postanowiłem zostawić tobie ten problem. Jesteś pierworodnym, ukochanym synkiem, starszym bratem, złotym chłopcem, wzorowym uczniem, wykładowcą prawa i wykonawcą testamentu, wszyscy ci ufają. Pomyślałem sobie: zobaczymy, co zrobi Ray, jak zaopiekuje się tymi pieniędzmi. W końcu wszystko, co robisz, musi być słuszne. Dlatego zamknąłem drzwi komody, przysunąłem kanapę z powrotem i zacząłem udawać, że o niczym nie wiem. Miałem straszną ochotę zapytać starego, skąd wziął tyle forsy, ale pomyślałem, że gdyby chciał mnie wtajemniczyć, sam by mi o niej powiedział.

– Kiedy napisałeś to wezwanie?

– Wieczorem tego samego dnia. Zdrzemnął się w hamaku pod drzewami pekanowymi na tylnym podwórku. Czuł się już znacznie lepiej, ale był całkowicie uzależniony od morfiny. Niewiele pamiętał z tego ostatniego tygodnia swego życia.

– A w poniedziałek zawiozłeś go do Tupelo?

– Tak. Wcześniej jeździł sam, ale ponieważ zostałem przy nim, poprosił, żebym go zawiózł.

– To dlatego ukrywałeś się za drzewami obok kliniki, żeby nikt cię nie rozpoznał?

– Naprawdę sprytnie. O czym się jeszcze dowiedziałeś?

– O niczym. Reszty się tylko domyślałem. Zadzwoiłeś do mnie tamtego wieczoru, kiedy dostałem list z wezwaniem, i powiedziałaś, że odebrałeś taki sam. Zapytałeś, czy zamierzam zadzwonić do ojca. Odparłem, że nie. Co by się stało, gdybym wtedy zadzwonił?

– Telefon był odłączony.

– Jak to?

– Kable biegną w piwnicy, a tam jest obłuzowane gniazdko.

Ray w zamyśleniu pokiwał głową; następna tajemnica została wyjaśniona.

– Poza tym on już rzadko kiedy podnosił słuchawkę – dodał Forrest.

– A kiedy napisałeś nowy testament?

– Dzień przed jego śmiercią. Znalazłem poprzedni, który nie bardzo mi się podobał, postanowiłem więc poprawić kilka rzeczy i podzielić majątek równo między nas dwóch. Teraz wiem, że równy podział to głupi pomysł. Byłem naiwny jak dziecko. Nie rozumiałem zasad, na jakich działa prawo w podobnych sytuacjach. Sądziłem, że skoro jesteśmy jedynymi spadkobiercami, powinniśmy dzielić się wszystkim po połowie. Nie przyszło mi do głowy, że prawnicy szkolą się w tym, by brać dla siebie wszystko, co znajdą, okradać swoich braci, ukrywać przed nimi części majątku, których powinni strzec. Nikt mi tego wcześniej nie powiedział. Chciałem być wobec ciebie uczciwy, a wyszedłem na idiotę.

- Kiedy ojciec zmarł?
- Dwie godziny przed twoim przyjazdem.
- Ty go zabiłeś?

Forrest prychnął pogardliwie i nie odpowiedział.

- Zabiłeś go? – powtórzył Ray.
- Nie, zrobił to rak.

– Dziwny zbieg okoliczności. – Ray pochylił się jak śledczy gotów do obnażenia kłamstwa przesłuchiwanego. – Kręciłeś się przy nim przez osiem dni i cały czas był jedynie otępiony morfiną, a potem nagle poszedł ci na rękę i zmarł dwie godziny przed moim przyjazdem?

- Zgadza się.
- Kłamiesz.

– Pomagałem mu tylko dawkować morfinę, jasne? To ci bardziej odpowiada? Płakał przy mnie z bólu. Nie mógł chodzić, jeść, pić, spać, załatwić się czy usiedzieć parę minut na krześle. Ciebie przy tym nie było. A ja byłem. Specjalnie wyszykowałem się na twój przyjazd. Poprosił, żebym go ogolił. Pomogłem mu się podnieść na kanapie, bo był już za słaby, żeby wcisnąć guzik dawkujący morfinę z pojemnika. Nacisnąłem go za niego. Kiedy zasnął, wyszedłem z domu. Wtedy przyjechałeś, zastałeś go martwego, potem znalazłeś forszę i od razu zacząłeś mnie okłamywać.

- Wiesz, skąd się wzięły te pieniądze?

– Nie. Podejrzewam, że zdobył je gdzieś na wybrzeżu. Prawdę mówiąc, mało mnie to obchodzi.

- Kto podpalił mój samolot?

– Nie brałem udziału w tym przestępstwie. Nic o tym nie wiem.

- Ta sama osoba, która śledziła mnie przez miesiąc?

– Owszem. Było ich dwóch. To moi starzy kumple, poznaliśmy się w więzieniu. Są bardzo sprytni, zresztą byłeś łatwym celem. Przykleili ci pluskwę za zderzakiem tego pięknego małego autka i śledzili cię za pomocą GPS. Znali każdy twój ruch. Łatwizna.

- Dlaczego podpaliłeś dom?

– Wypieram się udziału w aktach przestępczych.

– Dla odszkodowania? Czy może postanowiłeś całkowicie pozbawić mnie udziału w spadku?

Forrest pokręcił głową, uparcie zaprzeczając. Uchyliły się drzwi i Allison zajrzała do środka.

– Wszystko w porządku?

Tak, oczywiście, jak najbardziej.

– Jeszcze siedem minut – rzuciła i zamknęła drzwi.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, wbijając wzrok w podłogę. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki.

– Chciałem dostać tylko swoją połowę, Ray – mruknął cicho Forrest.

– Więc weź ją teraz.

– Za późno. Teraz już wiem, co powinienem zrobić z pieniędzmi. Sam mi to zademonstrowałeś.

– Bałem się dać ci twoją połowę.

– Dlaczego?

– Żebyś dzięki niej nie wyprawił się na tamten świat.

– Jak widzisz, nie zrobiłem tego. – Ray zatoczył w powietrzu szeroki łuk, jakby chodziło mu o ten pokój, ośrodek, o całą Montanę. – Właśnie do tego wykorzystuję pieniądze. Wcale nie wyprawiam się na tamten świat. Nie jestem tak rąbnięty, jak wszyscy myślicie.

– Masz rację, myliłem się.

– Och, dziękuję bardzo. Uważasz tak dlatego, że zostałeś z niczym, czy dlatego, że wcale nie okazałem się takim idiotą? A może dlatego, że przyjechałeś tu, bo chciałeś dostać połowę forsy?

– Wszystkiego po trochu.

– Ja też boję się nimi podzielić, Ray. Tak samo jak ty. Boję się, że uderzą ci do głowy, że wydasz wszystko na samoloty i grę w kasynach, że staniesz się jeszcze większym palantem, niż jesteś. Muszę cię chronić przed tobą.

Ray usiłował zachować spokój. Nie mógł się rzucić z pięściami na własnego brata, zresztą nawet gdyby to zrobił, cóż by zyskał?

Miał straszną ochotę znaleźć jakąś pałkę i porządnie go stłuc. Tylko co by to dało? Nawet gdyby go położył trupem na miejscu, i tak nie odzyskałby pieniędzy.

– Co będzie z tobą dalej? – zapytał na tyle obojętnym tonem, na ile było go stać.

– Nie wiem. Jeszcze o tym nie myślałem. Na odwyku człowiek marzy o różnych rzeczach, ale kiedy z niego wychodzi, te marzenia wydają się głupie. Na pewno nigdy już nie wrócę do Memphis, bo mam tam za dużo dawnych przyjaciół. I nigdy nie wrócę też do Clanton. Znajdę sobie gdzieś nowy dom. A ty? Co teraz zrobisz, po tym, jak przepuściłeś taką okazję?

– Mam swoje życie i będę żył tak samo jak do tej pory.

– Słusznie. Kiedyś sprawdziłem, że zarabiasz sto sześćdziesiąt tysięcy rocznie, i chyba wcale tak ciężko nie pracujesz. Nie masz rodziny ani większych zmartwień na głowie, więc to kupa forsy, powinna ci wystarczyć na wszystkie zachcianki. Masz to, czego chciałeś. Chciwość to straszna bestia, prawda, Ray? Znalazłeś trzy miliony dolarów i szybko doszedłeś do wniosku, że chcesz je mieć tylko dla siebie. Nie zamierzałeś dać ani centa swojemu porąbanemu braciszкови. Ani jednego centa. Zabrałeś całą forszę i próbowałeś z nią uciec.

– Nie byłem pewien, co powinienem z nią zrobić. Tak samo jak ty.

– Ale ją zabrałeś, całą. A mnie okłamałeś, że nie ma żadnych pieniędzy.

– To nieprawda. Wziąłem forszę tylko na przechowanie.

– I dlatego zacząłeś ją wydawać na hazard i samoloty?

– Nie, do cholery! Nie uprawiam hazardu, a samoloty wynajmuję już od trzech lat. Naprawdę wziąłem ją tylko na przechowanie, Forrest. Próbowałem się w tym rozeznać. Do diabła, przecież minęło dopiero pięć tygodni!

Głośniej wypowiedziane słowa musiały się wydostać na zewnątrz, bo Allison znów zajrzała do środka, gotowa przerwać tę rozmowę, gdyby jej pacjent zanadto się denerwował.



– Spróbuj mnie zrozumieć – powiedział ciszej Ray. – Tak samo nie wiedziałeś, co zrobić z pieniędzmi jak ja. A kiedy tylko je znalazłem, ktoś, jeśli nie ty, to twoi kołesie, nieźle mnie wystraszyli. Naprawdę nie możesz mnie winić, że zapakowałem forszę do samochodu i uciekłem.

– Okłamałeś mnie.

– Ty też mnie okłamałeś. Powiedziałeś, że od dawna nie rozmawiałeś ze starym, że twoja noga nie stanęła w domu od dziewięciu lat. To były kłamstwa, Forrest. Łgałeś w żywe oczy. Po co? Dlaczego od razu nie powiedziałeś mi o pieniądzach?

– A czemu ty nie powiedziałeś?

– Może zamierzałem to zrobić? Sam nie jestem już pewien, dlaczego tego nie zrobiłem. Trudno myśleć logicznie, gdy znajduje się martwego ojca, a chwilę później trzy miliony dolarów gotówką, po czym okazuje się, że ktoś jeszcze wie o ich istnieniu i będzie gotów cię zabić dla tej forsy. Takie rzeczy nie zdarzają się codziennie, więc wybac mi, że nie mam doświadczenia w załatwianiu podobnych spraw.

Zapadła cisza. Forrest delikatnie postukiwał palcami, spoglądając w sufit. Ray powiedział wszystko, co chciał powiedzieć. Allison zapukała do drzwi, ale nie weszła do pokoju.

Wreszcie Forrest pochylił się na krześle.

– Co do tych dwóch podpaleń, domu i samolotu... – szepnął. – Macie jakichś podejrzanych?

Ray pokręcił głową.

– Nie bój się, nikomu nie powiem – obiecał.

Znów żaden się nie odzywał. Po chwili Forrest powoli wstał i patrząc na brata z góry, mruknął:

– Daj mi rok. Pogadamy, kiedy stąd wyjdę.

Gdy drzwi się otworzyły, zawahał się, po czym położył Rayowi dłoń na ramieniu i delikatnie uścisnął.

– Do zobaczenia za rok, braciszku – powiedział i wyszedł z pokoju.

# Przypisy

---

- <sup>1</sup> Sąd kanclerski (*Chancery Court*) – działający w stanie Missisipi sąd do spraw rodzinnych (rozwoy, adopcje, wyznaczanie opiekunów prawnych), ale także zajmujący się uznawaniem niepoczytalności, sporami spadkowymi i zarzutami o niekonstytucyjność ustaw stanowych. Od sędziego zwanego kanclerzem zależy, czy rozprawa odbywa się z udziałem ławy przysięgłych.
- <sup>2</sup> Pas Biblijny – potoczna nazwa regionów USA, w których dominują konserwatywni protestanci.